



# 鬼地方

PRZEŁOŻYŁ JAREK ZAWADZKI

# UPIORNE MIEJSCE

陳思宏  
——  
著

KEVIN CHEN



MOVA

KEVIN CHEN

陳思宏

# UPIORNE MIEJSCE

鬼  
地  
方

PRZEŁOŻYŁ Z CHIŃSKIEGO

Jarek Zawadzki



*Moim stronom rodzinnym,  
nieistniejącemu Yongjingowi*

# O TRANSKRYPCJI

Kwestia transkrybowania toponimów czy innych nazw własnych na Tajwanie nie została w pełni ujednolicona, głównie ze względów historyczno-politycznych. Zdarza się, że na tej samej ulicy, na znakach drogowych czy też na tabliczkach adresowych, widnieje jej nazwa, którą przetranskrybowano na kilka różnych sposobów, co dla osoby nieposługującej się językiem chińskim wygląda jak kilka zupełnie innych nazw (przykładowo Chung-hsiao i Zhongxiao to ta sama nazwa ulicy 忠孝 w dwóch różnych transkrypcjach). Zgodnie z *Zasadą stosowania transkrypcji języka chińskiego* z dnia 10 marca 2011 roku ogłoszoną przez Yuan Administracyjny<sup>1</sup> postanowiłem w odniesieniu do toponimów o utrwalonej tradycją transkrypcji stosować taki właśnie przyjęty od dawna zapis (oparty zazwyczaj na systemie Wade'a-Gilesa), na przykład Taichung czy Changhua. W ortografii spolszczonej zapisywałem te nazwy, które mają taką formę, np. Tajpej czy Syczuan.

Pozostałe nazwy własne (które nie doczekały się utrwalonego tradycją czy prawem zapisu w alfabecie łacińskim) oraz wyrazy pospolite zapożyczone z języka mandaryńskiego zapisuję również zgodnie z *Zasadą stosowania transkrypcji języka chińskiego* w transkrypcji hanyu pinyin<sup>2</sup> (pomijając zapis tonemów – utarł się bowiem zwyczaj pomijania znaków diakrytycznych w tekstach niejęzykoznawczych – z wyjątkiem sytuacji,

w których przytaczane jest bezpośrednio wyrażenie w języku mandaryńskim niebędące zapożyczeniem). Wyrazy pochodzące z języka tajwańskiego zapisuję w transkrypcji tâi-lô stosowanej przez słownik języka tajwańskiego dostępny na stronie Ministerstwa Edukacji Republiki Chińskiej<sup>3</sup>.

Nazwę miejscowości centralnej występującej w niniejszej powieści zapisywałem mimo wszystko nie w oficjalnej wersji widniejącej na stronie urzędu gminy<sup>4</sup>, ale w preferowanej przez wyżej wspomniany akt prawny transkrypcji hanyu pinyin. Podjąłem taką decyzję między innymi dlatego, że wersja Yungchin, podana na stronie urzędu, nie jest jedynym zapisem stosowanym w przestrzeni publicznej, gdyż na znakach drogowych, które można zobaczyć między innymi w Google Street View, występuje wersja zapisana w hanyu pinyin, czyli Yongjing. Ponadto autor osobiście zasugerował mi użycie formy Yongjing.

Jeśli chodzi o własne imię i nazwisko, autor powieści preferuje formę Kevin Chen w kontekstach niechińskich, warto jednak zaznaczyć, że po chińsku nazywa się 陳思宏, co można transkrybować Ch'en Ssü-hung (transkrypcja Wade'a-Gilesa) lub Chen Sihong (transkrypcja hanyu pinyin) – wymowa spolszczona: cz<sup>h</sup>en sy-huŋ. Wikipedia podaje zapis Shih-hung Chen, ale to zapis błędny z formalnego punktu widzenia, możliwe jednak, że widnieje on w dokumentach autora.

Wasz tłumacz

*Jarek Zawadzki*

---

<sup>1</sup> <https://edu.law.moe.gov.tw/LawContent.aspx?id=GL000499> [dostęp 16.01.2023].

<sup>2</sup> Zasady czytania tejże, które nie są w żadnym razie intuicyjne, zostały dobrze przedstawione w artykule na Wikipedii: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Hanyu\\_pinyin](https://pl.wikipedia.org/wiki/Hanyu_pinyin) [dostęp 16.01.2023].

3 [https://twblg.dict.edu.tw/holodict\\_new](https://twblg.dict.edu.tw/holodict_new) [dostęp 16.01.2023].

4 <https://town.chcg.gov.tw/yungchin> [dostęp 16.01.2023].

## **CHENOWIE**

Matka (A-Chan lub Sojowa Cykada) – córka szefa fabryki sosu sojowego,  
żona Chen Tianshana

Ojciec (Chen Tianshan lub A-Shan) – kierowca ciężarówki i potomek  
bogatej ziemiańskiej rodziny

Najstarsza siostra (Shumei) – szwaczka, pracująca w swoim domu  
w Yongjingu

Druga siostra (Shuli) – referentka do spraw meldunkowych w biurze  
w Tajpej

Trzecia siostra (Shuqing) – żona prezentera telewizyjnego

Czwarta siostra (Sujie) – żona Wanga mieszkająca w Białym Domu

Piąta siostra (Qiaomei lub Manmei) – niedoszła żona starszego syna Wanga

Starszy brat (Chen Tianyi) – były wójt Yongjingu

Młodszy brat (Chen Tianhong) – pisarz, partner T.

## **WANGOWIE**

Stary Wang – biznesmen

Starszy syn Wanga – potentat branży ciastkarskiej, mąż Sujie

Młodszy syn Wanga (Lekkoduch) – pierwsza miłość Tianhonga

## **POZOSTALI**

Mały Gao – operator wózka widłowego, mąż Shumei

Łódeczka – kolega Tianhonga ze szkolnych lat

T. – muzyk, partner Tianhonga

Matka T. – nauczycielka muzyki

Rzeźnik węży – sąsiad Chenów





**CZĘŚĆ I**

**MAMY NIE MA**

# 1

## PIERWSZE DOMY SZEREGOWE

– Skąd jesteś?

To było pierwsze pytanie, jakie mu zadał T. Wiele, bardzo wiele dostał od T. – niemiecki paszport, nową rodzinę, możliwość ucieczki i mnóstwo pytań. T. z początku lubił zadawać pytania. A jak wygląda twoje rodzinne miasto? Ile masz rodzeństwa? Jaka temperatura jest latem na Wyspie? Czy są tam cykady? A węże? Jak wyglądają drzewa? Jak się nazywają? Macie tam rzeki? A może kanały? Kiedy jest pora deszczowa? Macie tam powódzie? A ziemia jest żyzna? Co tam rośnie? Czemu nie mogę jechać z tobą na pogrzeb? Czemu wracasz do domu? Czemu nie wracasz do domu?

Pytania doprowadzały go do szału. Nie wiedział, jak ma na nie odpowiadać, i nie chciał odpowiadać. Wymigiwał się, kłamał. Zmyślony życiorys pełen był luk i sprzeczności. Jego przeszłość przypominała źle napisaną powieść. Kiedy piszemy powieść, to w pierwszym rozdziale umieszczamy stół, a na nim pistolet, dwa noże i trzy pamiętniki. Pistolet zawsze wystrzeli na końcu książki, nóż powinien dźgać i kroić, a po otwarciu pamiętników rozwiąże się zagadka całej tej historii. Powieść o jego życiu była jednak chaotyczna. Kiedy tak pisał i pisał, z czasem zapomniał o pistolecie, nożach i pamiętnikach, a zamiast tego zaczął myśleć o różnych śmieciach porzucanych po stole, rozdrabniając się bez przerwy na jakieś nieistotne wątki: plakat wiszący na ścianie,

jaskrawoczerwone spodenki, twarz z foliowym workiem na głowie. Kiedy człowiek do niczego, to i powieść marna – aż roi się w niej od wyrw.

Wyrwy można było u niego znaleźć wszędzie. Od stóp do głów. Rozmaite zaszłości, o których nie chciał mówić, te wszystkie sprawy, które mieszały mu się w pamięci, na temat których kłamał, że ich już nie pamięta, wciskał właśnie do tych wyrw. Ale wyrwy z czasem pękają i wiele spraw wychodzi na jaw.

Jak to powiedzieć? Jak to napisać?

Nie potrafię tego powiedzieć, więc pozostaje mi tylko napisać: Pochodzę z małej miejscowości.

Urodziłem się w niewielkiej wiosce, która nazywa się Yongjing i leży w środkowej części Wyspy. W XIX wieku przybyli tutaj z Guangdongu osadnicy, aby uprawiać ziemię i stawiać na tym płaskim pustkowiu pierwsze chaty. Płynie tu niewielka rzeczka wykopana przez ludzi, czyli jest to w sumie kanał, o co pytał T. System irygacyjny, zwany Kanałem Stuletnim, który nawadniał pola okolicznych rolników, czerpiąc wodę z rzeki Zhuoshui, powstał już w XVIII wieku. W początkowych latach osadnictwa dochodziło tu do starć na tle etnicznym, ciągle zdarzały się jakieś pożary albo powodzie, dlatego nadano temu miejscu nazwę Yongjing („Nieustanny Spokój”) w nadziei, że dzięki temu w osadzie zapanuje ów nieustanny spokój.

To teren równinny, bez gór czy pagórków. Kiedy spojrzeć ku wschodowi, zobaczyć można w oddali zielone łańcuchy górskie. Od zachodu nie widać ani nie słychać rzeki Zhuoshui, ale starzy ludzie powiadają, że idąc cały czas na zachód, dojdzie się w końcu do Cieśniny Tajwańskiej. Mieszkańcy parali się rolnictwem, rzadko opuszczając ten skrawek ziemi. Nie byli nigdy w górach, nie widzieli morza. Gleba jest tutaj wilgotna, nawet żyzna. Uprawiano na niej kwiaty, betel i ryż. Teraz wioska

przypomina już małe miasteczko, ale wciąż widać rolniczy charakter tego miejsca. Tu i ówdzie napotkać można niskie chłopskie chaty, a kilka sanheyuanów<sup>5</sup> wpisano nawet na krajową listę zabytków. Turystów przyjeżdża jednak mało. Okres rozkwitu jeszcze nie nastął.

W latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku do Yongjingu przyjechali deweloperzy z innych części kraju, pozyskali kawałek ziemi i zbudowali pierwszy w miasteczku ciąg domów szeregowych. Dziesięć ciasno obok siebie postawionych budynków, z których każdy miał trzy kondygnacje – przedśpiew rozkwitu tego niepozornego miejsca. Kiedy budują wysokie budynki, to znaczy, że się okolica rozwija. Mało kto z ówczesnych mieszkańców Yongjingu widział wcześniej dom, który miał więcej niż trzy kondygnacje. Zbudowany został z żelbetonu, a wewnątrz wyposażony był w lastrykową posadzkę oraz muszlę klozetową, na której się siadało, a nie kucało, i która do tego była jeszcze wyposażona w spłuczkę. Wszystko to stanowiło absolutne novum w dziedzinie budownictwa na tych terenach. Wychował się właśnie w jednym z tych szeregowców. Jego dom był piąty, jeśli liczyć od lewej strony, stojąc twarzą do budynków. W szóstym domu od lewej mieszkała jego najstarsza siostra. Teraz to pustostan. W siódmym od lewej mieściła się kiedyś wypożyczalnia kaset wideo. Teraz cały budynek stoi poczerniały od pożaru, a na balkonie wisi ogłoszenie 出售 (*chūshòu* – sprzedam). Wisi ono już kilka lat. Część napisu się odkleiła i zostało samo 出 □ (*chūkǒu* – wyjście), a numer telefonu na dole tak się zakurzył, że trudno go nawet odczytać.

Widząc napis 出 □ (*chūkǒu* – wyjście), zamyślił się. Spędził w więzieniu wiele lat, naprawdę potrzebował jakiegoś wyjścia. Dzisiaj powrócił jednak właśnie w to miejsce. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, że tutaj wyjścia nie znajdzie. Czy podążając za tym zabrudzonym napisem 出 □ (*chūkǒu* – wyjście), można wrócić do... jaskrawoczerwonych spodenek?

Została mu tylko siostra mieszkająca w piątym budynku od lewej, w jego domu rodzinnym. Nigdy nie wyjechała.

To właśnie tutaj było jego upiorne miejsce.

Upiorne, bo odludne. Z punktu widzenia cywilizowanej, międzynarodowej metropolii jego rodzinne strony to wiocha zabita dechami, o której nikt nie słyszał. Podczas gdy Wyspa cieszyła się latami bujnego rozkwitu, to miejsce nie wytrzymało tempa. Mieszkańcy masowo je opuszczali. Młodzież, która wyjechała, nigdy już nie powróciła, zapominając nawet nazwę tego miejsca. Zostali tylko ludzie w podeszłym wieku, którzy nie mieli dokąd wyjechać. Nazwa tego miejsca była pierwotnie życzeniem, a stała się zaklęciem, które zadziało – spokój – gdyż naprawdę tu zapanował.

W centralnej części Wyspy okresy letnie są teraz suche. W południe na ulicy jest jak w piecu. Nie trzeba butli z gazem, żeby sobie na chodniku przyrządzić jajka sadzone, kleik ryżowy czy smażony ryż. Wrócił po wielu latach, ale nic się nie zmieniło, wciąż panował tu niemiłosierny skwar. Temperatura po południu była tak wysoka, że czas zwalniał, drzewa robiły sobie sjęstę, a wiatr ruszał się jak mucha w smole. Jeśliby wstrzymać oddech i nadstawić ucha, można by usłyszeć, jak ziemia chrapie. To zaś oznacza, że ziemia zapadła w głęboki sen i nie ma najmniejszego zamiaru się budzić aż do najbliższych opadów deszczu. Kiedy był dzieckiem, mógł w taką pogodę zapaść w głęboki, głęboki sen pod drzewem. Gdakanie kur, cykanie cykad, kwiczenie świń, syczenie węży, beczenie kóz nie były w stanie go obudzić. Teraz, kiedy dorósł, nie potrafi już tak zasnąć. Spokój to ostatnie, czego mu brakowało w więzieniu. Nie słyszał, jak pada deszcz; nie słyszał, jak wieje wiatr. Nawet jak liście spadają. Lekarzowi więziennemu powiedział, że w celi jest za cicho. Jak ma spać? Czy tabletki jakoś pomogą? Chciał spytać lekarza, ale się nie odezwał. Czy po wzięciu

tabletki będzie mógł usłyszeć, jak pada deszcz? W rodzinnym domu deszcze waliły w blaszany dach jak perkusista w talerze. Jeśli tylko usłyszy taki dźwięk, to na pewno uda mu się zasnąć.

Naprawdę chciał usłyszeć deszcz. Dlatego wrócił.

Zamiast deszczu jego uszu dobiegł jednak stukot maszyny do szycia.

To jego najstarsza siostra.

Kobieta szyła, a koło niej grał telewizor – leciała właśnie południowa opera mydlana. Wredna teściowa w tej chwili spoliczkowała biedną synową. Koguty piały po południu na cały regulator, szumiał wiatrak, a z sąsiedniej wioski dochodziły odgłosy petard<sup>6</sup>. Nie spał już kilka nocy z rzędu. Po kilku przesiadkach samolotowych miał problemy z koncentracją. Nie był do końca pewien, gdzie się znajduje. Ale stukot maszyny do szycia nieomylnie wskazywał, że wrócił w to upiorne miejsce.

Upiorne miejsce leży na odludziu, ale czy są tu upiory?

Wiele zjaw i widm polnych żyje tutaj w ludzkich opowieściach. Naprzeciwko szeregowców rośnie bujny bambusowy gaj. Ludzie powiadają, że między drzewami krąży duch kobiety i pod żadnym pozorem nie wolno się tam zbliżać. Ponoć to duch ofiary gwałtu z okresu rządów japońskich<sup>7</sup>. Kiedy straciła czystość, wygnano ją z domu, dlatego powiesiła się w bambusowym gaju. Teraz jest upiorem i zwodzi młodych mężczyzn. Mama zawsze mówiła, że jeśli psy wyją po nocy, to znaczy, że widzą duchy. Trzeba się wtedy natychmiast położyć i zasnąć, i pod żadnym pozorem nie otwierać oczu, bo można zobaczyć jakiegoś upiora. Skoro nie wolno patrzeć, to nie można zobaczyć, ale jeśli się już zobaczy, to nie należy o tym mówić. Kto zobaczy ducha, musi uciekać ile sił w nogach, żeby go zjawa nie dogoniła. Dzieci mówią, że najwięcej upiorów jest przy Kanale Stuletnim. W wierzbach rosnących po obu brzegach mieszkają kobiece duchy drzew. W żadnym wypadku nie wolno dotykać opadających

liści, bo ten, kto ich dotknie, zostanie opętany przez ducha i dostanie równe zero punktów na klasówce. Jedynym ratunkiem będzie poślubienie upiorzycy. Ponoć te wierzbowe zjawy to duchy starych dziewic, którym nie było dane wyjść za mąż. Po śmierci nie porzuciły jednak marzeń o zamążpójściu. Zaczaiły się w gałęziach wierzb, czekając na nieszczęśnika, który się z nimi ożeni. W kanale mieszka duch wodny. W czasach rządów japońskich pewna urodziwa kobieta, nad którą pastwili się japońscy żołnierze, wskoczyła do studni. Uratowano ją jednak i zawieziono do szpitala, gdzie została zgwałcona przez lekarza. Rzuciła się potem do rzeki Zhuoshui. Dusza samobójczyni nie powędrowała z prądem rzeki do oceanu, ale wpłynęła do kanału irygacyjnego, przez który dostała się aż do tej wioski i tutaj osiadła na stałe. Dzieci mówią jeszcze, że występujące w kanale porosty wodne to zielona krew upiorzycy, a unoszący się odór to smród jej zgnilizny. Grzybów dziko rosnących po obu brzegach kanału również nie wolno dotykać, a tym bardziej jeść. To jej sutki. Kto ich dotknie, zostanie opętany, a po ich zjedzeniu ludzkie jelita i żołądek staną się mieszkaniem upiorów – w ciągu siedmiu dni źrenice zaczynają krwawić i człowiek umiera. Jeśli się zobaczy leżącą na drodze czerwoną kopertę<sup>8</sup>, nie wolno jej pod żadnym pozorem podnosić, gdyż w niej znajdują się data urodzenia i znak zodiaku<sup>9</sup> upiorzycy. Kto taką kopertę podniesie, musi się ze zmorą ożenić.

Z jego rodziny również wyszła jedna upiorzyca. Z rozwianymi włosami, krzycząc i wyjąc jak dziki zwierz, wybiegła i utopiła się w kanale nawadniającym okoliczne pola.

Kiedy był jeszcze dzieckiem, umarł im stary już pies. Mądrość ludowa mówi: „Martwego kota powieś na drzewinie, ale pies zdechły niechaj z wodą płynie”. Mama wsiadła więc na skuter, a on, trzymając psa, usiadł z tyłu za nią i pojechali nad kanał, żeby tam pozbyć się truchła. Bał się



duchów wodnych. Ciągłe płakał. Mama ponaglała go, by czym prędzej wrzucił psa do wody. Kanał był już nieczynny, zapchany martwymi prosiakami, trupami czworonogów, zgniłymi arbuzami i starymi skuterami. Był nawet jeden porzucony stragan sprzedawcy betelu. Wszystko cuchnęło niemilosiernie w panującym dookoła skwarze. Roje much miały tutaj niebywałą wyzerkę. Rozpoznał rozkładające się ciało psa sąsiadów, zapłakał, nie był w stanie wrzucić swojego przyjaciela do wody. Powiedział, że chce go pochować w ziemi i postawić nagrobek. Matka wyrwała mu truchło i... plusk! wrzuciła do stojącej wody. Muchy odleciały, ale po chwili wróciły, dziękując gromkim bzy, bzy, bzy za świeże psie mięso, choć jeszcze nie zdążyły zjeść tego, które już zgniło.

Jak ma wytłumaczyć temu T., że pochodzi z tak upiornego miejsca?

Jak ma opowiedzieć swój absurdalny życiorys? Pięć starszych sióstr, jeden starszy brat, ojciec, który nigdy nic nie mówił, mama, która gadała jak najęta, sąsiad, który zabijał węże, Lekkoduch w czerwonych spodenkach, kanał, wesele, drzewo ka-tang<sup>10</sup>, Biały Dom, hipopotam, Pływalia Wiecznej Pomyślności, piwnica, sad karambolowy<sup>11</sup>, Świątynia Mazu<sup>12</sup> pod Murami Miasta, księgarnia Jutro, srebrzysta wieża ciśnień.

Podczas pobytu w więzieniu często śnił mu się ten Lekkoduch, a także cmentarz dla psów, jaki T. miał w ogródku za domem. T. miał w dzieciństwie trzy psy, które pochował w ogródku za domem, kiedy zdechły. Na drewnianych nagrobkach widniały zdjęcia zwierzków zrobione za ich życia. O takim grzebaniu zawsze marzył i dopiero w Niemczech to zobaczył. Nierzadko śnił mu się również ten kanał, do którego wrzucano psy, ale po upiorach nie było ani śladu. Kiedy dorósł, przestał wierzyć w duchy i już się ich nie bał. Duchów nie ma się co bać, najokrutniejsi są ludzie. Kanał w jego snach nie cuchnął, tafłę wody porastały lotosy, u brzegu rosło mnóstwo grzybów, wierzby zieleniły się jak

miskanty, zawsze było ciepłe i słoneczne lato. Śnił mu się również ojciec – jak czerpał wodę z kanału, jak uprawiał pole. Młodzieniec o ciemnej karnacji i białych zębach, najprzystojniejszy w całej okolicy. Młodzieńczym, słonecznym uśmiechem zawstydział nawet lotosy.

Ale niestety T. zginął z jego ręki.

Zapytany teraz przez T. na ucho, wskazałby na ten rząd budynków i tak by mu odpowiedział:

– Pochodzę z tego upiornego miejsca, a to jest mój dom rodzinny. Dzisiaj jest Święto Duchów<sup>13</sup>, zjawią się upiory, dusze zmarłych. Ja też wróciłem.

---

<sup>5</sup> Zabudowa mieszkalna składająca się z trzech rzędów budynków, stykających się ze sobą pod kątem prostym i tworzących w ten sposób kanciastą podkowę z podwórzem wewnątrz.

<sup>6</sup> Petardy mogłyby oznaczać, że odbywa się właśnie jakieś wesele, otwiera się biznes lub dzieje się coś innego, co wymaga ubłagania pomyślności losu.

<sup>7</sup> W latach 1895–1945 Tajwan należał do Japonii.

<sup>8</sup> W czerwonych kopertach wręcza się pieniądze, czy to jako prezent (ślubny, noworoczny itp.), czy to jako łapówkę.

<sup>9</sup> Tradycja chińska nakazuje przed ślubem wykonanie horoskopu.

<sup>10</sup> Tajwańska nazwa drzewa *Bischofia javanica*. Wyrazy dotyczące typowo tajwańskich odniesień kulturowych postanowiłem transkrybować z języka tajwańskiego, a nie z mandaryńskiego.

<sup>11</sup> Karambola (oficjalnie zwana oskmanem pospolitym) to nazwa drzewa. Karambolą określa się również jego podłużny owoc o przekroju w kształcie gwiazdy.

<sup>12</sup> Bogini morza, czczona głównie w Fujianie i na Tajwanie. Patronka rybaków i żeglarzy.

<sup>13</sup> Święto Duchów przypada na piętnasty dzień siódmego miesiąca księżycowego, zwanego miesiącem duchów. Dusze zmarłych opuszczają wówczas zaświaty i odwiedzają swoje rodziny, które wystawiają im na ołtarzykach żywność i palą fałszywe banknoty, którymi zmarli płacą potem w zaświatach. Nie należy w tym miesiącu podróżować, ponieważ duchy piekielne chodzą po świecie i są niebezpieczne.

## 2

# SZCZELINA W PODŁODZE

Zadzwoniła czwarta siostra<sup>14</sup>.

– Co robić?! Co robić?! – krzyczała. – Mamy nie ma.

Shumei odłożyła słuchawkę i bezsilnie położyła się na podłodze. To, czy odłoży, czy nie, w ogóle nie miało znaczenia. Wiedziała, że czwarta siostra nawet nie zauważy, że odłożyła telefon, i będzie dalej krzyczeć do aparatu:

– Mamy nie ma! Mamy nie ma!

Lato było piekielnie gorące, nie spadła ani kropla deszczu, na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka, słońce grzało jak wściekłe każdego dnia, panował morderczy skwar, ale wytrzymała bez klimatyzacji – w tym miesiącu nie miała zbyt wielu zleceń, musiała oszczędzać prąd. Nieco zimniejsza lastrykowa posadzka pozwalała się trochę ochłodzić. Kobieta przywarła do kamiennych płyt, żeby ulżyć rozpalonemu i przemoczonemu ciału. Jakiś czas temu centralną część Wyspy nawiedziło silne trzęsienie ziemi. W podłodze powstała szczelina. Zdecydowała jednak, że nie będzie tego naprawiać, bo w tym starym domu i tak wszystko już niszczało: na ścianach pojawiły się ordynarne wykwitki, szczury biegały jak szalone, rury się zatykały, a blaszany dach na trzeciej kondygnacji niejednym raz zdmuchiwały tajfuny. Pamięta, jak dom wyglądał, kiedy był jeszcze zupełnie nowy. Płytki elewacyjne miały kremową barwę, ściany wewnątrz pomalowane były świeżą śnieżnobiałą farbą, a lastrykowa posadzka lśniła,

bo została nawoskowana. Podłoga wyglądała, jakby rozrzucono tylko tłuczeń, o który można się było potknąć, ale wystarczyło zrobić krok, by się przekonać, że jest idealnie równa.

Obróciła się na brzuch, wlepiając wzrok w szczelinę w podłodze. Dzisiaj Święto Duchów, bramy piekieł już pół miesiąca stoją otwarte, a dusze umarłych włóczą się po świecie. Pomyślała sobie, że jeśli się mocno wpatrzy w szczelinę, to kto wie, może zobaczy piekło. Szczelina znajdowała się tuż obok maszyny do szycia. Za każdym razem gdy obracała głowę, spoglądając na podłogę, miała wrażenie, że szczelina się powiększyła. Wiele razy spoglądała na nią w nadziei, że być może pewnego dnia sama się tam wciśnie i nikt jej nie znajdzie. Pamięta ten wstrząs. W środku dnia ziemia się poruszyła i niebo zakołysało. Mąż nawet na nią nie spojrzał, czym prędzej wybiegł na tylne podwórze, chwycił kilka doniczek orchidei i wybiegł na ulicę. Nawet nie wstała. Szyła dalej. Ubranie miało być gotowe na następny dzień. To co, że jest trzęsienie ziemi. Nie przejmowała się tym, czy się ściany przewrócą albo dach zawali, żeby tylko prądu w gniazdku nie brakło, to będzie dobrze. Jak zabraknie prądu, nie będzie mogła szyć, nie skończy zlecenia i nie dostanie zapłaty. Jeszcze nie uregulowała rachunków za ten miesiąc. Miała tylko nadzieję, że mąż będzie tak biegł z tymi orchideami i biegł, i biegł, aż wybiegnie z tej wioski i nigdy nie wróci.

W młodości sama chciała być orchideą. Żal jej było tych kwiatów podczas trzęsienia ziemi.

Ile lat mają te domy? Kiedy urodził się młodszy brat, opuścili sanheyuan i zamieszkali w jednym z tych domów – w piątym, licząc od lewej. Dziesięć nowych domów to był wówczas przyszłościowy projekt. Z tyłu staw rybny, z przodu pole ryżowe. Deweloper mówił, że jest bardzo dobre feng shui, pomyślny teren, szczęście rodzinne, dobre duchy, róg

obfitości – idealne gniazdko. Mieszkańcy tej gminy rozwiną się razem z nią; mała wioska zamieni się w duże miasto, duże miasto w małą metropolię, na polach ryżowych staną wieżowce, na wieżowcach zabłysną neony. Ojciec zaczął wtedy dniami i nocami rozwozić towar rozklekotanym dostawczakiem: sadzonki arbuza, bonsai, ubrania i co tylko wpadło mu w ręce. Przez jakiś czas najczęściej dostarczonym towarem były orzechy betelowe i liście betelu. Zauważył, że na rynku jest duży popyt na betel, a jego sprzedawców wszędzie pełno. Wszyscy mężczyźni w okolicznych miasteczkach i wioskach zażywali się do czerwoności. On sam także żuł. Krwista czerwień wypełniała usta od żucia orzechów betelowych owiniętych w liście. Wszyscy żuli ten betel i żuli, aż wyżuli pole na intratny biznes. Liście palm betelowych uprawiane w tym regionie nie dorównywały jakością ani smakiem temu pochodzącemu ze wschodu Wyspy. Tutejsze liście były raczej cienkie, a smak miały dosyć słaby, ale stabilna produkcja i niska cena skłaniały handlarzy ze środkowego Tajwanu, aby głównie tutaj zaopatrywać się w towar. Ojciec dogadał się z hodowcami i zaczął pracować jako pośrednik hurtownik. Rolnicy sprzedawali mu liście betelu, a on jeździł po okolicznych wsiach i miasteczkach, gdzie sprzedawał je straganiarzom, zarabiając na różnicy cen. Nie minął rok, a chesne wszystkich pięciu córek zostało opłacone na czas, na kolację były biały ryż i wieprzowina. Z początkiem roku urodził się pierwszy syn, a gdy rok dobiegał już końca, na świat przyszedł kolejny chłopiec. Siedmioro dzieci nie mogło się dalej gnieździć w ciasnych pomieszczeniach sanheyuanu. Uzbierał pierwszą ratę, pożegnał matkę i rodzina wyprowadziła się ze starego domu, by zamieszkać w jednym z nowych szeregowców.

Kiedy Shumei – najstarsza córka – z siódmym bratem na rękę przekraczała próg nowego domu, był to pierwszy radosny dzień, jaki

pamięta; mama w końcu urodziła dwóch synów i nie trzeba już było codziennie widywać się z babcią. Shumei po raz pierwszy w życiu znalazła się w piętrowym budynku: a więc tutaj są schody na górę i trzy kondygnacje, o wielkie nieba, no to będzie miała własny pokój. Pierwszej nocy najstarszy syn spał z rodzicami, a najstarsza córka Shumei i druga córka Shuli opiekowały się najmłodszym braciszkiem. Były tak podekscytowane, że aż nie mogły zasnąć. Wykradły się z łóżka, wzięły malca na ręce i poszły razem wachać świeżą farbę na ścianach. Chodziły tam i z powrotem po schodach, tarzały się po lastrykowej podłodze, bez przerwy bawiły się pierwszym w rodzinie telefonem – podnosiły słuchawkę, w której słychać było sygnał, a kiedy przykładają ją braciszкови do ucha, niemowlak się uśmiechał. Ku ich zaskoczeniu w nowym mieszkaniu była ubikacja, na której się siedzi, żeby sikać – ale wygoda. W sanheyuanie wychodek znajdował się za podwórzem i była to śmierdząca kryta strzechą latryna. Kiedy w środku nocy zabolął brzuch i pobiegło się do ubikacji, w blasku księżyca nieraz można było zobaczyć węże wijące się przy wejściu do latryny. Ale węże nie są takie straszne. Najstraszniejsza jest upiorzyca wychodka, o której ludzie gadają. Ubikacja w nowym domu ma drzwi, które można zamknąć, a jak się naciśnie przycisk, to woda spłukuje nieczystości w okamgnieniu, wszystko pachnie, nie ma upiorów, nie ma węży. Braciszek zaczął płakać w środku nocy. Dwie siostry ruszyły czym prędzej, żeby przygotować mleko w proszku. Ale wtedy nie miały jeszcze pojęcia, jak należy je gotować. Wiedziały tylko, że mają wysokiej jakości japońskie mleko w proszku polecane przez aptekarza. Pomyślały, że gęstsze będzie lepsze, pożywniejsze. Nalały więc nieco mniej wody i dodały kilka łyżeczek mleka więcej, a efekt tego był taki, że maluch łapczywie połknął i elegancko wszystko zwrócił. Obie były bardzo rozbawione tym, jak ich braciszek zwymiotował cały posiłek. Żadna

z nich nigdy stąd nie wyjeżdżała, żadna nie widziała wodospadu, ale wymiotowane mleko było najpiękniejszym wodospadem, jaki widziały w dzieciństwie.

Nagle przypomniała sobie o bracie. A co słychać u braciszka? Za każdym razem jak o nim myślała, wyobrażała go sobie palącego marihuanę.

Bramy piekieł otwały się pół miesiąca temu. Żaden bezdomny duch<sup>15</sup> jeszcze jej nie nawiedził, tylko czwarta siostra ciągle wydzwania i drze się jak nawiedzona – takie czasy. Przyglądała się darom ofiarnym suto wyłożonym na stole. Cały dzień nic nie jadła. Zaprasza obce duchy na ucztę, podczas gdy sama zmieniała się w głodnego ducha. Trociczki zgasły, więc samotne polne duchy pewnie najadły się już do syta. Podczołgała się do stołu, ściągnęła pudełko ciastek i łapczywie zabrała się do jedzenia. Ciastka smakowały naprawdę ohydnie. Nie mogła tego zrozumieć. Miały konsystencję jałowej gleby w skwarny dzień, były tak słodkie, że jeden gryz mógł doprowadzić do cukrzycy, a te z innego pudełka były tak słone, że po dwóch kęsach należałoby zrobić dializę nerek. Dlaczego są takie popularne? To nie ona je kupiła, ale mąż pojechał po nie do supermarketu do sąsiedniej miejscowości. Powiedziała mu wyraźnie, żeby na ołtarzyk kupił cokolwiek, z wyjątkiem tej marki ciastek, a on kupił kilka pudełek. Wiedziała, że zrobił to umyślnie. Te ciastka jadło się jak cegłówki. Czemu ludzie lubią je jeść? Z tych ciasteczkowych cegłówek ułożonych jedna na drugiej wybudowano w tej małej wiosce okazały Biały Dom.

Nie dało się ich jeść, ale zmusiła się do tego, bo nie wolno pod żadnym pozorem marnować jedzenia. Przeżuwanie pokarmu nie sprawiało jej przyjemności, było raczej nagłą potrzebą. Nieważne, jak niedobre były w smaku i jak trudne do przełknięcia, wszystko należało zjeść. Nawet długo przeterminowaną żywność można spożywać, z nadpsutych ciastek

ryżowych wystarczy odciąć pleśń i już nadają się do jedzenia. Doskonale pamięta, czym jest głód, skrajny niedostatek, trauma na całe życie.

Jej matka była żoną najstarszego syna w rodzinie, dlatego kiedy mieszkali w sanheyuanie, do jej zadań należało przyrządzanie posiłków babci, która często na nie narzekała. Pewnego razu babcia oblała matkę gorącą zupą i powiedziała jej, żeby zabrała wszystkie potrawy i nakarmiła nimi świnie – ciekawe, czy będą jadły. Matka wróciła z gorącą zupą. Słyszając, jak córki wołają, że są głodne, wylała na nie cały garnek. Nie czuła poparzenia, tylko wielki smutek. Cały dzień nie było czego jeść. Tym garnkiem zupy mogłyby się nasycić. Zlizywała zupę z własnej skóry, chciała nawet położyć się na podłodze i chleptać płynący we wszystkich kierunkach wywar. Pamięta ten dzień, kiedy na świat przyszła czwarta siostra. Znowu córka. Stryjkowie mieli syna za pierwszym razem, a u nich same córki cztery razy z rzędu. Ojciec nie miał pieniędzy, nie szło mu w interesach, w domu się nie przelewało, nie było ryżu ani mięsa. Babcia miała dużego czarnego psa, za jego karmienie odpowiedzialna była druga siostra. Czasem babcia dawała psu jakąś potrawę, tak że jego miska wyglądała okazalej niż ich kolacja. Babcia w końcu zabiła psa, a potem wrzuciła do wielkiego gara i przyrządziła z czosnkiem. Zaprosiła ich kuzynów, by przyszli skosztować, tylko one musiały zostać u siebie i czekać. Czując intensywny zapach mięsa, dziewczyny zaczęły skrycie płakać, ale nie wiedziały, czy to dlatego, że były głodne, czy też dlatego, że ten czarny pies, którego widywały, został ogłuszony cegłówką przez babcie i wrzucony do bulgoczącej wody. Zbroczona krwią cegłówka leżała przed domową kapliczką. Kiedy potem na nią patrzyła, słyszała żalosne skowyczenie psa.

Jako jedyna w całej rodzinie nadal w pełni kultywuje obrządek składania ofiar za odkupienie dusz zmarłych. Od dziecka odprawiała



obrzędy razem z matką, doskonale zna wszelkie zakazy i rytuały związane z mniej i bardziej ważnymi świętami. Wyciąga okrągły składany stół, a na nim kładzie makaron błyskawiczny i suszone mięso: drób i wieprzowinę. Stół wystawia na zewnątrz, przy wejściu do budynku. Przed stołem umieszcza miskę z czystą wodą, a w niej zaś ręczniczek, żeby zbłąkane duchy mogły się umyć przed wielką ucztą. Do każdej miski z jedzeniem wsadza trzy trociczki. Im chudsze są lata, tym obficiej zastawia stół. Pali pieniądze pozagrobowe<sup>16</sup>, żeby duchy nie przychodziły niepokoić domostwa. Siódmego miesiąca księżycowego nie wolno rozpoczynać budowy, przeprowadzać się ani podróżować w dalekie strony. Pewnego razu chciała zmienić pracę w siódmym miesiącu księżycowym, przenieść się z jednej fabryki włókienniczej do drugiej, gdzie proponowano jej wyższą pensję i lepsze warunki zatrudnienia, ale matka jej zabroniła, mówiąc, że jak zmieni pracę w miesiącu duchów, to nie będzie mieć przyszłości i na pewno źle wyjdzie za mąż. Posłuchała jej i została, po czym w jej życiu zjawiał się Gao.

Obudziła się o czwartej nad ranem, złana potem. Klimatyzator jak zwykle pochodził dwie godziny i zdechł, trzeba go było okładać pięściami i grzecznie prosić – może za pół dnia znowu się włączy. Hodowała kury na podwórzu za domem. Jak tylko wstała, zabiła koguta, którego sobie wczoraj upatrzyła i któremu związała nogi na znak, że czeka go śmierć. Był to ptak o błyszczących piórach, zadziorny i wrzaskliwy; często przelatywał przez ogrodzenie i bił się z psem sąsiada. Nie znosiła go cała okolica. Każdego ranka darł się wniebogłosy. Kiedy go zabiła w ofierze dla duchów, wszystkim sąsiadom ulżyło. Kogut, wiedząc, że został skazany, szamotał się z całych sił, dziobał ją w ramiona i kwilił żałośnie, ale nogi miał mocno związane sznurem. Kury przezornie trzymały się na bezpieczną odległość, nie zbliżając się do złowieszczonego zapachu śmierci. To matka nauczyła ją

zabijać kury. Przytrzymuje się szyję ptaka i ucina jednym ciosem; krew spływa wprost do naczynia napełnionego ryżem, żeby można było od razu zrobić krwiste ciasto<sup>17</sup>. Potem parzy się w gorącej wodzie i pincetą wyskubuje dokładnie wszystkie pióra. Przyjaciele mówią, że ma zwinne ręce, ale kiepską głowę; mózg jej wyrósł nie tam, gdzie trzeba – wszystko poszło w ręce, więc umie składać, szyć, kroić. Kury skubie szybko i energicznie, aż się całe błyszczą i wyglądają ładniej niż te kupione na targu. Ale co jej po zwinnych rękach? Wiedziała, że jest staroświecką kobietą, o której świat nie pamięta. Miała piętnaście lat, kiedy porzuciła szkołę i wyjechała do Shalu w powiecie Taichung, żeby zostać szwaczką. Dłońmi pełnymi odcisków sześćdziesięcioletnia już dzisiaj kobieta wykonuje zlecenia dla fabryki, szyjąc setki ubrań na eksport do Europy, a z pensji, którą dostaje, nie może sobie kupić nawet jednego nowego ciucha. Często wyobraża sobie, co teraz robią osoby noszące jej ubrania w Europie. Piją kawę przy ulicy? Płyną statkiem po rzece? Palą marihuanę? Chodzą po sklepach w wolny dzień z markową torbą w ręku? Brat mówił jej, a skąd! Ludzie w Europie muszą ciężko pracować tak samo jak ty. Ale nigdy tam nie pojechała, więc mu nie wierzyła. Stać ich było przynajmniej na to, żeby kupić szyte przez nią ubrania. Ona sobie na to nie mogła pozwolić.

Wstała o czwartej rano i umyła twarz mydłem, które miało trzydzieści lat. Porządkując jakiś czas temu poddasze, natrafiła na kilka kartonów mydła. Papierowe opakowania dawno już wyblakły, ale po namoczeniu fioletoworóżowe kostki pieniały się w dłoniach, a intensywny syntetyczny zapach kwiatów wdzierał się do nosa. Pewnego razu mąż stwierdził, że trzeba zainwestować w fabrykę mydła, i przeznaczył na to oszczędności całej rodziny. Kilka dni później otrzymał telefon z informacją, że fabryka stanęła – po inwestycji zostały więc tylko wspomnienia i kilka kartonów o silnym zapachu. Strasznie tego mydła nie lubiła, ale nie mogła go

wyrzucić, gdyż nadawało się wciąż do użytku; można było prać ubrania, kąpać się, umyć psa i podłogę – w całym mieszkaniu unosiła się intensywna woń. Minęło kilka lat, kiedy podczas zakupów w supermarkecie zobaczyła pełny regał tegoż mydła. Fabryka wcale nie stanęła. Stanowczo zapytała więc męża, o co chodzi. Okazało się, że ta cała inwestycja to był bluff. Wziął pieniądze, żeby spłacić dług hazardowy. Nie było żadnej fabryki ani inwestycji, a te kilka kartonów mydła to sam kupił. Pamięta wyraz jego twarzy, mówiący: „Nawet w coś takiego uwierzyłaś?”. Tego wieczoru dodała mydła do zupy na kolację. Cała potrawa w garnku nabrała nietypowej barwy, ale mąż wypił<sup>18</sup> ją grzecznie, nie dając po sobie niczego poznać. Nie zachorował, nie umarł, tylko głośno beknął.

Nie dało się go zabić. Shumei wiedziała doskonale, że cokolwiek zrobi, mąż i tak nie umrze. To była największa motywacja jej życia – zobaczyć na własne oczy, jak jej mąż umiera.

---

<sup>14</sup> Czwarta w hierarchii starszeństwa. W Chinach zwyczajowo używa się hierarchii starszeństwa w odniesieniu do różnych członków rodziny. Mówi się więc na przykład o drugim stryjku czy trzecim wujku.

<sup>15</sup> Bezdolny duch lub dziki duch (野鬼 yě guǐ), czyli taki, o którym krewni zapomnieli, nie składali mu ofiar, dlatego jest głodny.

<sup>16</sup> Fałszywe pieniądze, których zmarli (według wierzeń ludowych) używają w zaświatach.

<sup>17</sup> Krwiste ciasto przypomina polską kaszanekę, tyle że zamiast kaszy wykorzystuje się ryż. Wykonywane jest najczęściej z krwi wieprzowej. Kroi się je potem podobnie jak u nas ciasta.

<sup>18</sup> Zupy w kuchni chińskiej przeznaczone są do picia. To, co w Polsce nazywa się „zupką chińską”, jest dla Chińczyków makaronem w zupie, a nie zupą z makaronem.

### 3

## TWARZ BEZ WORKA FOLIOWEGO

Nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy.

Twarzy bez worka foliowego.

Nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy bez worka foliowego.

Pamięć jest ulotna, niestała, oszukuje, wymazuje, przekręca fakty. Ale pamięć przywiera mocno do skóry. Lipiec jest parny w środkowej części Wyspy, pot spływa po ciele strumieniami, worek foliowy przywiera mocno do skóry, twarz niewyraźna, głosu nie słyszeć.

Pamiętam jednak twarde fakty, na przykład liczby. Z łatwością zapamiętuję liczby, pierwszy numer telefonu w nowym domu po wyprowadzeniu się z sanheyuanu i to, że jestem pierwszym synem wiejskiej gałęzi rodu, że mam trzech młodszych braci, pięć córek, dwóch synów, ożeniłem się jeden raz, i ile jest mi winien jaki klient, za który rok, oraz ile ciężarówek kupiłem i jaki miałem wskaźnik wątrobowy przed śmiercią.

Zupełnie wyleciała mi z głowy jej twarz. Czy miała prosty nos? Grzywkę daleko od rzęs? Oczy duże czy małe? Usta szerokie czy wąskie? A zęby?

Pamiętam jednak liczby z jej życia, rok, miesiąc i dzień urodzenia, i to, że była piątą córką, i jej wynik na egzaminie do liceum, numer rejestracji motocykla, i że spała na trzeciej kondygnacji w pokoju z balkonem, i że miała uczulenie, więc zawsze rano po wstaniu z łóżka kichała, a jej rekord

nie przekraczał piętnastu razy, i że sześciokrotnie znalazła się w szpitalu po próbie samobójczej oraz to, że miała sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Wzrost był ostatnią informacją, jaką poznałem. Zamówiłem trumnę u sąsiada, więc przyszedł fachowiec, żeby zmierzyć zwłoki. Powiedział, że jeden, sześć, pięć; budowa ciała bardzo dobra. Osoba od makijażu pomalowała jej usta szminką, nałożyła cień na powieki – był to z pewnością bardzo ładny make-up, ale ja przez cały czas myślałem tylko o tym worku foliowym.

Nasza rodzina wprowadziła się do nowo wybudowanych szeregowców jako pierwsza. Byłem najstarszym synem w sanheyuanie. Zanim Japończycy się wynieśli, matka, prowadząc mnie do szkoły, pokazywała palcami raz to, raz tamto, te kilka hektarów ziemi w okolicy należy do nas, zbieramy z nich rentę od pokoleń, nie musimy się martwić o to, co będziemy jeść, a ty dobrze się ucz i tyle, bo kiedyś to wszystko będzie twoje. Gdy Japończycy się w końcu wynieśli, posłano mnie do szkoły średniej z internatem. Rząd narodowy rozpoczął reformę agrarną – kiedy wróciłem do domu, nie byliśmy już obszarnikami, sytuacja rodziny znacznie się pogorszyła. Nie można powiedzieć, żeby Yongjing był wówczas jakimś pustkowiem, ale krzaczyska rosły wszędzie, drogi były błotniste, węże tłuste, a komary agresywne.

Nagle przyjechali deweloperzy, a z nimi pojawiły się beton zbrojony i wywrotki – zwiastuny cywilizacji. Rosnący naprzeciw stawu rybnego bambusowy gaj wykarczowano pod budowę. Wkrótce potem postawiono dziesięć domów szeregowych. Deweloperzy potrzebowali rąk do pracy, żeby oczyścić teren. Wycinałem bambusy. Wszyscy mówili, że w tym lesie mieszka duch kobiety, ale wisiał tam tylko jeden zdechły kot i roiło się od różnobarwnych węży – oczopląsu można było dostać. Stuletni gaj wycięto

niemal doszczętnie w ciągu tygodnia, zostawiając tylko niewielki skrawek. Kto wtedy chciał patrzeć na jakiś gaj bambusowy? Kupa zieleni, czyli zacofanie, bez żadnej wartości, a żołądka się tym nie napełni. Beton zbrojony zastąpił bambusy, nad placem budowy unosił się dym i kurz. Wzięłam głęboki oddech, w nosie poczułem suchy, szczypiący metalowy pył. Ach, co za słodka woń! Zapach postępu.

Odbierając wypłatę, spytałem majstra, jak te domy będą sprzedawane.

Na trzech kondygnacjach można wydzielić dużo pokoi, jeden dla mnie i dla A-Chan, po jednym dla każdej z córek i po jednym dla każdego z synów, a gdy już odejdziemy z tego świata, zostawimy dom najstarszemu synowi.

Miałem przecucie, że ten dom stanie się kolebką rodu Chenów. Nie byliśmy już obszarnikami, a ja – najstarszy syn – zostałem bez grosza. Wierzyłem jednak, że ten dom pozwoli nam wyjść z ubóstwa.

Byliśmy pierwszą rodziną w tych szeregowcach, drugi pojawił się zakład pogrzebowy, a niedługo potem tuż obok grabarza otworzył się jeszcze sklep z artykułami metalowymi. Kiedy ktoś brał ślub, w sklepie metalowym kupowało się rzeczy niezbędne do ceremonii: poduszki ze znakiem podwójnego szczęścia<sup>19</sup>, wstążki jedwabne i wielobarwne, plakietki z imionami, kosze dziękczynne<sup>20</sup>, świece, dwanaście prezentów<sup>21</sup> – wszystko można było kupić za jednym zamachem. A kiedy ktoś umarł, szło się do zakładu pogrzebowego wybrać gatunek drewna i fason trumny. Dobrze się złożyło, bo mam pięć córek do wydania i dwóch synów do ożenku – taki sklep z artykułami metalowymi w sąsiedztwie to wielkie ułatwienie. A jak mi przyjdzie oddać matce ostatnią posługę czy też na mnie samego przyjdzie pora, nie będzie trzeba daleko chodzić, wszystkie sprawy życia i śmierci można bowiem załatwić po sąsiedzku. Nie trzeba się stąd nawet ruszać, tu można żyć i umierać.

Nie przypuszczałem, że jej pogrzeb będzie wcześniej.

W ogóle nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy, ale pamiętam, jak wszyscy mówili, że była najpiękniejsza spośród pięciu sióstr.

Kiedy się żeniłem z A-Chan, swatka mówiła, że to najpiękniejsza dziewczyna w całej wiosce.

Najpiękniejsza córka podobna była do A-Chan – miała duże oczy, duże piersi, gęste brwi, białą skórę<sup>22</sup>. Były najbardziej do siebie podobne, a jednocześnie najbardziej się nawzajem nienawidziły.

Tak właściwie to moja żona zabiła mi córkę.

Na szczęście zapomniałem, jak wyglądała twarz córki. Ale to oznacza, że nie pamiętam również twarzy własnej żony.

---

<sup>19</sup> Znak podwójnego szczęścia (囍) powstały z połączenia dwóch znaków oznaczających szczęście (喜) jest symbolem pomyślności w małżeństwie.

<sup>20</sup> W koszach dziękczynnych (najczęściej plecionych z rattanu lub bambusa) strony małżeństwa za pośrednictwem swatek przekazują sobie nawzajem dary.

<sup>21</sup> Prezenty, jakimi strony małżeństwa obdzielają krewnych i znajomych: na przykład pieniądze, ciastka, wódka, pszenica, wieprzowina czy liście taro lub kwiaty paciorecznika (gdyż rośliny te dobrze się rozmnażają).

<sup>22</sup> W kulturze chińskiej biała skóra jest synonimem piękna, istnieją nawet kosmetyki wybielające.

## REFERENTKA DO SPRAW MELDUNKOWYCH, PANI CHEN

Shuli, skończywszy pracę, wyszła z biura i dopiero wtedy zorientowała się, że dzisiaj Święto Duchów.

Wiele sklepów i zakładów wystawiło stoliki, palono pieniądze pozagrobowe i składano ofiary wędrującym duszom. Dawno już nie odprawiała obrzędów, no bo jak je odprawiać, mając do dyspozycji małe mieszkanie w starym budownictwie w Tajpej. Po przybyciu do Tajpej wystawiała stolik na balkonie. Miejsca było jednak mało, bała się, że paląc pieniądze pozagrobowe, podpali sobie mieszkanie – dlatego ofiarowywała tylko kurczaka w zalewie solnej i owoce; nie zapalając trociczek, składała dłonie i modliła się o to, by we wszystkich domostwach panował spokój. W budynku po przeciwnej stronie uliczki również odprawiano obrzędy, ale tam się ludzie nie bali, pieniądze pozagrobowe płonęły, aż ogień buchał na wszystkie strony, a jak zawiał wiatr, popiół fruwał po całej uliczce, która tonęła w szarawym pyłe. Widziała, jakie ofiary leżały na stolikach sąsiadów z naprzeciwka – ich ołtarzyki zastawione były tymi ciastkami. Dlaczego wszyscy kupują właśnie te ciastka? Ciastka z Białego Domu przypomniały jej pogrzeb piątej siostry. Z pieniędzy pozagrobowych usypano wtedy mały pagórek, ojciec go podpalił i buchnęły płomienie. Kilka sióstr wrzuciło ubrania piątej siostry do ognia, a rozszalałe płomienie chciwie wchłonęły jej łzy.



– Manmei – krzyczała matka, stojąc przy ogniu – kiedy zostanę upiorem, wrócę po niego!

Jej krzyk był rytmiczny, chyba za dużo czasu spędziła na recytowaniu ksiąg buddyjskich; non stop powtarzała „wrócę po niego”, ale za każdym razem na inną melodię. Wyraz „niego” wymawiała coraz wyższym i coraz bardziej przeszywającym tonem; głośny i dźwięczny wir, niczym smukły i ostry świder dłutowy, wiercił jej dziurę w błonie bębenkowej. Ogień płonął już od kilku godzin, kiedy nagle zawiął silny wiatr i unoszący się popiół przysłonił całe niebo. Matka jednak nie przestawała, pył wleciał jej do ust, ale podbrzusze pęczniało i jeszcze donośniej słychać było „niego” rozchodzące się po całej wsi. Tylko że on, ten „on” z Białego Domu, nie mógł tego usłyszeć. Pył wzbijał się wraz z wykrzykiwanym płaczliwie wyrazem „niego” i niesiony wiatrem znad miejsca pogrzebu docierał w każdy zakątek, wirując w powietrzu; wszystkie niskie budynki we wsi, palmy betelowe i kanały irygacyjne pełne były popiołu, wszędzie słychać było „niego”. Ale pył ominął Biały Dom. Jego ogrodzenie, filary i dach pozostały nieskazitelnie czyste i lśniące jak zawsze.

Ziemia była mokra. Czy dzisiaj w Tajpej padał deszcz? Zmęczenie dawało o sobie znać. Oburzeni ludzie bez przerwy dzwoniли z zarzutami, musiała ciągle przeproszać; w ogóle nie słyszała, że padało. Popatrzyła na niebo, gęste czarne chmury przyjęły groźne pozy, zwiastując kolejną ulewę. Lubiła słuchać, jak pada deszcz. Rzęsiste krople bombardujące wiejską glebę wypędzają z niej pełzające robactwo, w powietrzu unosi się zapach świeżej trawy, położy taplają się w błocie, z pajęczyn zwisają tysiące wodnych perełek. W Tajpej blaszane dachy są wszędzie. Kiedy oberwanie chmury nawiedza miasto, deszcz rozbija się o dachy, eksplodując brzękiem czystym i donośnym, zagłuszającym na chwilę klaksony aut. Spytała brata, czy chce coś z Tajwanu. Kupię ci i wyślę. Odpisał, nie wiem dlaczego, ale

często tęsknię za wioskowymi odgłosami deszczu, a także za dźwiękiem deszczu w Tajpej; tutaj nie ma blaszanych dachów, w budynku nie słychać, jak pada, bardzo tu spokojnie, aż za spokojnie. Ale jak można kupić odgłosy spadających kropli? Chciała nagrać je komórką i wysłać bratu. Nie mógł jednak otrzymywać mejli, poza tym nie wiedziała nawet, jak przesłać plik dźwiękowy z telefonu na komputer. Jak wysłać odgłosy deszczu?

Czekając na autobus, wdepnęła do kałuży na chodniku, żeby uniknąć zderzenia z rowerem; ufajdała się po same kostki. Woda była naprawdę brudna; wyobraziła sobie, jak miejski pył, zanieczyszczenie i kwaśny deszcz przebijają się przez skórzane buty i wsiąkają w skarpetki, tworząc między palcami środowisko idealne dla pleśni. Ale nie wyciągnęła stóp z kałuży. Letnie powietrze było nagrzane jak w piekarniku, a brudna woda wydawała się wyjątkowo chłodna. W biurze wdrożono akcję oszczędzania energii i zabroniono używania klimatyzacji; cały dzień moczyła się we własnym pocie. Trzymając nogi w brudnej wodzie, przypominała sobie, jak w dzieciństwie chodziła po błocie, człap, człap, człap, nadeptując czasami na obślizgłego płoza, zwanego wężem śmierdzielem. Po całym dniu spędzonym w parnym pomieszczeniu bez klimatyzacji jedyną strefą komfortu była brudna kałuża. Kolega z biura siedzący po jej prawej stronie pocił się pod pachami, czuć było od niego intensywny smród, a w południe, siedząc na biurku, zjadł dwa opakowania śmierdzącego tofu<sup>23</sup>. Koleżanka z lewej strony zdjęła buty, jej stopy nieustannie miotały cuchnące pociski wycelowane prosto w jej nos – ten odór byłby w stanie zniszczyć cywilizację. Kiedy kierownik opieprzał ją, że jest mało elastyczna, miała wrażenie, jakby wylewał na nią rzekę śmieci; a kiedy, pocieszając ją, drapał się po niemal łysej głowie, czuła, jakby przewrócił wiadro z odpadkami dla świń. Ludzie, którzy w twarz zarzucali jej, że nie szanuje praw zwierząt, śmierdzieli wszyscy jak psy. Ludzki odór to straszliwe narzędzie zbrodni.

Przez cały dzień miała wrażenie, że smród ten nieustannie rozcina jej gardło. Psi odór nigdy jej w sumie nie przeszkadzał. Bezpańskie psy wioskowe śmierdziały znacznie gorzej. Lubiła pocierać twarzą o sierść psa czy też wąchać psie łapy. Kiedy była jeszcze mała, opiekowała się czarnym psem babci w sanheyuanie, póki babcia nie zabiła go cegłówką i nie przyrządziła na obiad. Wiedziała, że babcia nie przepada za psim mięsem, to przez nią wrzuciła zwierzę do garnka.

Miała małe mieszkanie w Tajpej, trzy sypialnie i salon, męża, córkę, syna i gdyby jeszcze znalazł się choć jeden karaluch więcej, to szpilki nie wetkniesz; nie było gdzie trzymać psa. Córka straciła pracę, syn nie poszedł na studia, całymi dniami przesiadywali więc w domu, czekając, aż mama wróci i poda kolację. Ale dzisiaj to właśnie przez psa znalazła się na czołówkach portali informacyjnych, oskarżona o znęcanie się nad zwierzętami.

Załatwiała sprawy meldunkowe, wydawała dowody tożsamości, zaświadczenia i odpisy. Jej zadania były proste, miała idealną pracę. Idealną dlatego, że niewiele się w niej zmieniało, pensja była stabilna, zakres obowiązków nieskomplikowany, wystarczyło dobrze rozumieć polecenia i każdego dnia wykonywać niemal identyczne czynności – takiego życia zawsze pragnęła. Codziennie wstawiała punkt szósta, robiła śniadanie dla całej rodziny, z domu musiała wyjść przed wpół do ósmej, żeby pojechać metrem, a potem przesiąść się do autobusu, i przed ósmą trzydzieści była w Biurze Meldunkowym, siadała, parzyła herbatę, włączała komputer i czekała na petentów. Ludzie pobierali kartkę z numerkiem i czekali, aż zostaną wywołani. Wszystko odbywało się, jak należy i w najlepszym porządku.

Ale pewnego roku „ideal” został zakłócony. W prostej pracy zaszło wiele zmian. Należała do tego pokolenia, które w młodości nie miało nawet

okazji dotknąć komputera; kiedy uderzyło technologiczne tsunami, musiała stanąć na głowie i nauczyć się tych wszystkich nowych programów biurowych. Dzięki pełnej komputeryzacji tempo pracy przyspieszyło, a zadania, które kiedyś wymagały kilku dni, teraz – według oczekiwań kierownika – miały być wykonywane w ciągu godziny, by nikt nie mówił, że „wydajność pracy urzędników pozostawia wiele do życzenia”. Tempo pracy mogła przyspieszyć, ale nie umiała sobie w ogóle dać rady z obiektywami aparatów fotograficznych i kamer. Technika przyniosła wszelkiego rodzaju obiektywy. Niejeden petent przychodzący do okienka, jeśli się tylko dowiedział, że nie może otrzymać potrzebnego dokumentu, wyciągał od razu komórkę i mówił, że „gromadzi dowody”, aby cały świat mógł zobaczyć, jak bardzo do niczego są urzędnicy na Wyspie. Wszyscy mają przy sobie komórkę, wystarczy przycisnąć i już można nagrywać, grożąc, że jeśli sprawa nie zostanie szybko załatwiona, to film trafi do mediów.

Pewnego razu do urzędu przyszła młoda dziewczyna, duże oczy, długie włosy i taka ładna, że na jej widok Shuli przypomniała sobie o piątej siostrze. Dziewczyna patrzyła wzrokiem nieśmiałym, nie widziała jeszcze zbyt wielu brudnych spraw w życiu, była czysta jak łąza. Przyszła po zapomogę z tytułu urodzenia dziecka. Dokumenty, które przyniosła, były niekompletne, nie dało się więc załatwić formalności od ręki, a petentka straciła panowanie nad sobą i cisnęła papierami o podłogę.

– Będę rodzić! – wydarła się. – Nie mam pieniędzy! A wy nie chcecie mi pomóc!

Piekliła się tak przez jakiś czas, Shuli wraz z kilkoma koleżankami opuściła swoje stanowisko pracy, żeby ją pocieszyć, zaparzyć jej kubek herbaty, porozmawiać z nią, powiedzieć, o co należy zadbać przy porodzie, pogratulować jej i poradzić, żeby uważała na siebie w pierwszym miesiącu

po porodzie, czego ma dużo jeść, który oddział położniczy ma dobry personel. Kiedy tak z nią rozmawiały, dziewczyna zaczęła się uśmiechać, oczy jej pojaśniały, powiedziała, że jutro przyjdzie znowu. Tego wieczoru rozplakana dziewczyna znalazła się w wiadomościach telewizyjnych, okazało się, że wiele osób czekających na swoją kolej nagrało całe to zajście telefonami i natychmiast wrzuciło do internetu. W nudne codzienne życie wdarła się dziewczyna, która straciła panowanie nad sobą, w końcu były jakieś fajerwerki, liczba wyświetleń szybko przekroczyła dziesięć tysięcy, ciężarną okrzyknięto „chamską smarkatą wariatką”, zaczęto nawet wyszukiwać jej prawdziwe dane osobowe. Dziennikarze udali się na targowisko, gdzie znaleźli jej matkę, która zarzynała właśnie kurczaka.

– Czy mama wie, że córka będzie wkrótce rodzić? – spytano kobietę, kierując na nią obiektyw i podsuwając jej pod nos mikrofon. – Czy widziała pani filmik, który robi furorę w sieci?

Dziennikarz wyjął komputer i pokazał nagranie, na którym widać, jak dziewczyna wydziera się na cały personel Biura Meldunkowego. Matka miała przerażony wyraz twarzy. Z właśnie co odciętej szyi kurczaka, którego trzymała w ręku, nie przestawała płynąć krew.

Chowała się w łazience, oglądając na okrągło nagranie wrzeszczącej dziewczyny i wspominając piątą siostrę.

Choć dziewczyna miała przyjść następnego dnia, nie pojawiła się. Nigdy więcej się nie pokazała.

W odpowiedzi na obywatelskie „przedstawienie dowodów” filmowych w biurze wprowadzono nowy wymóg, mimo kamer monitoringu cały personel musi osobiście wszystko nagrywać dla własnego bezpieczeństwa.

Dzisiaj zapomniała, że trzeba to robić.

W grupie oczekujących powstało nagle zamieszanie, czyjeś dziecko płakało. Czekala właśnie na kserokopię jakiegoś dokumentu, kiedy

usłyszała płacz, wyszła zza kontuaru, żeby zobaczyć, co się dzieje. Okazało się, że ktoś przyprowadził pięć dużych psów, pobrał numerek i czekał, aż zostanie wywołany, a dziecko, które bało się psów, zaczęło płakać, jak tylko je zobaczyło. Rodzice, widząc, że do nich podeszła, zażądali, żeby zrobiła coś z tymi psami, bo dziecko bardzo się boi. Czy to nie jest urząd publiczny? Czy psy nie powinny czekać na zewnątrz i nie być wpuszczane do środka? Podeszła więc do pana, który psy przyprowadził, żeby z nim porozmawiać, ale ten natychmiast wyjął telefon i zaczął ją nagrywać.

– To są psy przewodniki – mówił podniesionym tonem – a ja jestem ich trenerem.

Myśląc, że ma do czynienia z osobą niewidomą, natychmiast przeprosiła, ale reakcji rozmówcy, jaką to wywołało, nie spodziewała się.

– Co? Myśli pani, że jestem ślepy? Przecież mówię, że jestem trenerem psów. Jeśli byłbym ślepy, to jak miałbym je trenować? Psy mają zostać ze mną, a nie na zewnątrz. Złożę zażalenie w sprawie złego traktowania psów przewodników.

Mężczyzna wrzasnął, psy zostały, dziecko płakało, ona wróciła do kserokopiarki i więcej o tym nie myślała.

Kilka godzin później zaczęły dzwonić telefony. Głos w słuchawce dopytywał się o „referentkę do spraw meldunkowych, panią Chen”, kiedy głos dotarł w końcu do jej numeru wewnętrznego, zaczął ją opieprzać z góry na dół. Zjawili się także dziennikarze, mówiąc, że szukają „referentki do spraw meldunkowych, pani Chen”.

– Dlaczego wygania pani psy dla niewidomych? – spytano ją, podsuwając mikrofon.

Okazuje się, że zaraz po wyjściu z urzędu trener psów przewodników opublikował filmik na psim forum. Koleżanki z pracy pokazały jej nagranie, doskonale zmontowane, z dodanymi napisami i efektami

specjalnymi, czerwona strzałka wskazywała jej twarz, a u dołu widniał napis: „referentka do spraw meldunkowych, pani Chen, nie toleruje psów przewodników dla osób niewidomych”. Trener psów zna się na montażu filmów, ten moment, w którym pada słowo „ślepy”, został wycięty, a jej zmarszczone brwi stały się wyrazem braku tolerancji. Na nagraniu widać zaniepokojone i wystraszone psy, a zaraz potem w kadrze pojawia się jej chłodna twarz.

Zalała ją fala hejtu: Ty zdziro! Szmatława baba nie szanuje piesków. To przez takich urzędników jak ty nie ma postępu na Tajwanie. Ty larwo. Z moich podatków żyjesz. Zwolnij się. Szmatława biurwa. Niedojebane truchło. Psami cię poszczuję. Nie masz ani krzty empatii. Pieski i kotki to najlepsi przyjaciele człowieka, rozumiesz?

Przed wyjściem z pracy dostała jeszcze ostatni telefon, w którym usłyszała wściekłe ujadanie psa, a po nim ludzki głos:

– Zajebię cię! Jak wyjdiesz z pracy, to uważaj.

Odłożyła swoje obowiązki na bok. Zgodnie z zaleceniem kierownika miała napisać raport i jutro złożyć. Wiedziała, że chodzi o wyrażenie skruchy i chęć poprawy – na tym się w sumie zakończyła jej tegoroczna ocena osiągnięć pracownika. Ten kierownik, któremu tak śmierdziało z ust, poklepał ją po ramieniu.

– Pani Chen – powiedział – nawet pani nie zapłakała, podziwiam.

A co mam płakać, pomyślała sobie, opieprzana byłam od dziecka do dorosłości, nie ma o co płakać.

Autobus nie przyjeżdżał. Nie mogąc się powstrzymać, wyjęła komórkę i obejrzała film jeszcze raz. Zatrzymała obraz na zbliżeniu swojej twarzy, więc to tak teraz wyglądała, chłodny wyraz, włosy opadające na ramiona i lodowaty wzrok stanowiły wyraźny kontrast w porównaniu z gorącymi

i szczerymi spojrzeniami psów, nic dziwnego, że wszyscy uwierzyli, że jest zdziurą, która nie znosi zwierząt.

Sklepikarze palili pieniądze pozagrobowe na ulicy, przesunęła wzrokiem po wszystkich stolikach ofiarnych, na każdym z nich leżały ciastka z Białego Domu, nie dało się przed nimi uciec. Rok temu była na wycieczce w Chinach. Kiedy grupa podziwiała mgły i obłoki unoszące się nad górami Huang Shan, miejscowy przewodnik spytał turystów, czy chcą spróbować waszych tajwańskich ciastek. Rodzime smaki? Nikt nie wyciągnął ręki; kiedy przewodnik powiedział, że częstuje za darmo, wszyscy rzucili się na ciastka jak opętani. Przechadzając się małą uliczką w Hongcun (wiosce leżącej w prowincji Anhui), zobaczyła dziewczynkę jedzącą właśnie te ciastka. Rozkoszując się krabami nad Jeziorem Zachodnim<sup>24</sup>, również zobaczyła te ciastka na stole. Kiedy była w Japonii, weszła do drogerii, żeby kupić mężowi witaminy, i tam również zobaczyła półki zastawione tymi ciastkami. Napisała list do brata, pytając, czy w niemieckim więzieniu też mają te ciastka. Nie zdziwiłaby się, gdyby tak było. Wszyscy przecież mówią o globalizacji, co nie?

Pod rozkładem jazdy na przystanku stało kilkoro licealistów. Usłyszała: „referentka do spraw meldunkowych, pani Chen” – no to miała fejm. Wyszła z kałuży i zbliżyła się do nich, żeby usłyszeć, jak hejtują referentkę, która nienawidzi psów. Jedna z dziewczyn podniosła wzrok i spojrzała na nią, jakby chciała powiedzieć: „Czemu ta starucha tak przy nas stoi? Ale ma brudne nogi!”, nie wiedząc, że ma przed sobą bohaterkę oglądanego nagrania. Z początku martwiła się, że cały dzień będzie piętnowana w telewizji i spali się ze wstydu, ale wcisnęła się do autobusu, wsiadła do metra, pojechała na targ wieczorny kupić coś do jedzenia, a jak wracała do domu, nikt jej po drodze nie rozpoznał.



Właścicielowi straganu mięsnego na targu wieczornym powiedziała, że może być to, co wczoraj. Spojrzał na nią i długo przeszukiwał w pamięci listę znajomych twarzy klientów, ale liczba wyników wynosiła zero. Dziwne, przecież często kupuję u niego mięso. On chyba w ogóle nie umie prowadzić biznesu.

Nie zdawała sobie wcale sprawy, że tak naprawdę jest osobą bezbarwną, przezroczystą, którą niezwykle trudno zauważyć w tłumie.

Kiedy kilka dni temu na podłodze w sypialni ćwiczyła jogę rozciągającą, do pokoju wszedł mąż, w ogóle jej nie zauważając; usiadł na łóżku, wziął tablet i zaczął oglądać film dla dorosłych, spodnie spuścił do kolan i zaczął się prężyć. Trwała nieruchomo w pozycji psa z głową w górę, bojąc się głośno oddychać. Mąż bardzo szybko wydał z siebie delikatny jęk i wytarł się kołdrą. Po chwili delikatny jęk przeszedł w głośne chrapanie, wstała więc po cichu, nie ważąc się nawet spojrzeć na męża, i na palcach wyszła z pokoju. Zastanawiała się, czy pościel będzie trzeba wygotować? Czemu mnie w ogóle nie zauważył? Leżałam tuż obok łóżka! Ale co tam, nie widział mnie, to trudno.

Wracając do domu z kupioną na targu wieprzowiną, usłyszała dźwięk komórki. Popatrzyła na ekran, to była czwarta siostra.

Odebrała.

– Siostruniu! – wrzasnęła czwarta siostra. – Siostruniu! Szybko, wracaj do domu! Co robić, co robić, co robić? Mamy nie ma!

Wzięła głęboki oddech i spokojnym głosem powiedziała:

– Mama od dawna nie żyje.

– Halo! Halo! – wydzierała się czwarta siostra, jakby w ogóle nie słyszała, co się do niej mówi. – Jesteś tam? Halo! Siostruniu! Siostruniu! Halo! Wracaj szybko do domu! Nie słyszałaś, co powiedziałam? Mamy nie ma!

Nie mogła wiedzieć, że czwarta siostra w ogóle nie usłyszała jej odpowiedzi. Nie zdawała sobie sprawy, że jest bezbarwna, nawet głos miała beznamiętny, przelatywał przez telefon lekko, nieuchwytnie i nie docierał do uszu czwartej siostry.

– Mama nie żyje – powtarzała jej bez przerwy. – Mama nie żyje. Nie krzycz. Mama nie żyje. Całymi dniami pracuję tutaj w Tajpej, nie mam czasu wracać do domu.

Czwarta siostra w ogóle tego nie usłyszała i darła się dalej.

Referentka do spraw meldunkowych, pani Chen, była jak duch, niematerialna, ludzie zarówno wzrokiem, jak i słuchem odrzucali jej istnienie. To było jej wymarzone życie, niewidoczna w tłumie, wtopiona w tło, nieodbijająca się w lustrze, niezostawiająca śladów na drodze, unosząca się w powietrzu, jeszcze nieulotniona, ale już nieistniejąca.

---

[23](#) Produkt o silnym zapachu przypominającym odchody.

[24](#) Jezioro Zachodnie to atrakcja turystyczna w Hangzhou.

## 5

# NAJMŁODSZY SYN NA DRZEWIE KARAMBOLOWYM

Chciał powiedzieć swojemu T., że w rodzinnej wiosce są drzewa, że jest dużo drzew.

Jakieś pół hektara zajmowały palmy betelowe, ale nie owocowały zbyt obficie, więc zastąpiono je krzewami betelu. Szkoła podstawowa, do której chodził, liczyła ponad sto lat, a na jej terenie rósł płomień Afryki<sup>25</sup>. Latem drzewo zapalało się, na krótko wybuchały na jego gałęziach jaskrawoczerwone kwiaty. Dzieci zbierały opadłe kielichy i czerwone płatki; z kielichów robiły tułów, a z płatków skrzydła, i tak powstawały motyle. Kiedy był dzieckiem, weekendy spędzał z całą rodziną na polu, plewiąc i nawadniając. W południe przypadała pora obiadu, matka szła wtedy na ulicę kupić bah-uân<sup>26</sup>, uánn-ké<sup>27</sup> i zupę ze smażonym tofu, a wszyscy siedzieli pod płomieniem Afryki i czekali na matkę, robiąc motyle z czerwonych płatków, aż tu nagle nadleciało stadko białych motyli. Najstarsza siostra cicho zawołała, żeby nikt się nie ruszał, wszyscy zamarli w bezruchu, a białe motylki przysiadły im na ramionach i dopiero gdy usłyszeli warkot silnika maminego skutera i poczuli zapach bah-uânów, przepłoszyli owady, rzucając się na jedzenie. Starszy brat zawsze dostawał obiad w pierwszej kolejności, i to największą porcję, matka mówiła, że chłopiec je więcej bah-uânów i wypija więcej zupy, bo musi mieć siłę. W zupie starszego brata zawsze były wieprzowe klopsiki i tofu, siostry

dostawały jedynie tofu, a czasem tylko samą zupę. On też był chłopcem, być może matka już coś przeczuwała – tak samo jak jego siostry dostawał zupę z tofu.

Obok gimnazjum państwowego rosło drzewo ka-tang uważane za święte. Mieszkańcy wioski przywiązali do niego czerwoną wstęgę z napisem „Tysiącletnie drzewo ka-tang odbija blask słońca i księżyca, jasność boskiej mocy oświeśla Yongjing”. Obok drzewa stała kapliczka, przed którą również wisiała czerwona wstęga z napisem „Bosko narodzony król i książę drzewa ka-tang niechaj żyje po wsze czasy”. Poza tym rosły tam również inne drzewa: albicje, figowce bengalskie, tajwańskie bambusy olbrzymie. Zanim wybudowano te domy szeregowe, na ich miejscu rosły właśnie bambusy. Matka nie raz ostrzegała go, żeby nie wchodził do lasu, bo mieszka tam zła upiórzyca, która czyha na małych chłopców, a do tego żyją tam jeszcze bardzo jadowite zielone żmije. Z wyjątkiem jednak Święta Smoczych Łodzi<sup>28</sup>, kiedy to matka brała go ze sobą do tegoż bambusowego gaju, żeby nazbierać liści na zongzi<sup>29</sup>. Przyglądał się wówczas uważnie bambusom, ale nie widział upiórzycy, węży też nie było, a jedynie kocie zwłoki zwisające z bambusowych gałęzi.

Wiedział, że T. będzie pytał dalej: a zimą? Zimno jest w zimie? A te drzewa, ich liście nie więdną?

T. pochodził z leżącego u brzegów Bałtyku niewielkiego miasta Laboe na północy Niemiec, gdzie zimą wszystko pokrywa śnieg, drzewa tracą liście, trawy usychają i dopiero w marcu czy kwietniu można zobaczyć nowe pędy. Pamiętał ten przeszywający mróz, lodowaty wiatr wrzynający się w czubek nosa jak nóż. Pewnego razu pojechał z T. do jego rodzinnego domu na Boże Narodzenie. Była to najsrozsza zima od czasu zjednoczenia Niemiec, ale przy stole podczas kolacji panowała atmosfera znacznie dokuczliwsza niż niska temperatura na zewnątrz. T. i ojciec nie rozmawiali

ze sobą przez cały dzień, powstrzymali się od kłótni aż do kolacji, kiedy ojciec T. rzucił talerzem o ziemię, kopnął choinkę i zasypał go lawiną niemieckich słów, których on, jako obcokrajowiec, nawet nie rozumiał. Nie rozumiał zupełnie niczego. Wyrazy, których znaczenia nie znał, nie powinny mu zatem wyrzucić żadnej krzywdy, ale ton i piana tocząca się z ust pełne były gniewu. Rozumiał kilka brzydkich słów, wiedział, że go znieważano. Matka T. otworzyła drzwi i wybiegła na dwór, a on wyszedł za nią, zamknął drzwi, wyciszając straszliwe wrzaski dochodzące z wewnątrz. Tylko domki nad samym brzegiem Bałtyku były oświetlone, poza tym nie było nigdzie latarni ulicznych. Stał z matką T. w ogrodzie. Wszystko dookoła pokrywała bezksiężycowa noc. Przed domem rozciągało się czarne morze, niemal nie było słychać szumu fal. Dziesięć stopni poniżej zera, pomyślał, czy woda w morzu zamarzła? Próbowała zapalić papierosa, silny wiatr bez przerwy zdmuchiwał płomień, osłoniła ręką zapalniczkę i w końcu udało jej się zapalić. Wiatr ustał, wszystko zamarło, zamarła huśtawka w ogrodzie, zamarły jabłonie, zamarły kępy traw, zamarł szum morza, zamarł Bałtyk. Miał wrażenie, że stojąca obok niego matka T. również zamarła, jej oczy zmatowiały, oddech ucichł. Zapaliła papierosa, ale nie zaciągnęła się. Niewątpliwie płakała, ale nie roniła łez. Sam nie wiedział, czy jeszcze żyje, bo wybiegł na dwór bez kurtki, chłód przeszywał go od stóp ku górze, stracił czucie w dłoniach, wokół panowała ciemność. Żywy był jedynie ten żarzący się spokojnie papieros.

T. otworzył drzwi kopniakiem, w ręku trzymał bagaże i nie przestawał ciskać w ojca granatami obelg. T. w ciemnościach znalazł jego dłoń. Idziemy, powiedział, nie mam zamiaru wracać do tego przeklętego miejsca. Ciągnąc walizki, przeszli pewien odcinek drogi na zimnym wietrze, który przez nos wdzierał się do ciała, nie uszli jednak daleko, stanęli nad

brzegiem morza i przytulili się do siebie, dysząc głęboko. Nie wiedział, o co się ojciec z synem pokłócił, wiedział tylko, że T. płacze.

Usiedli nad brzegiem morza, wyjęli ubrania z walizki i je założyli. T. mówił przez jakiś czas po niemiecku, ale nagle zdał sobie sprawę, że on nie rozumie niemieckiego, i przeszedł na angielski. Kłóciłem się z ojcem po niemiecku, przepraszam, zapomniałem, że z tobą muszę rozmawiać po angielsku. Witaj w moim rodzinnym Laboe. No, powtórz trzy razy, Laboe, Laboe, Laboe, trudno wymówić, co nie? To „o” i „e” obok siebie, nie da się, trzeba wymówić jakiś dziwny dźwięk, język niemiecki jest dziwny, powoli się go nauczysz. Tutaj jest Laboe, na drugim brzegu od południowej strony leży Kiel, Kilonia. Ta zatoka to Kieler Förde, Fiord Kiloński. Kierując się ku morzu, wypływa się na Bałtyk. Tutaj się wychowałem. Teraz nie widać, ale przed nami jest piękna biała plaża. Wiele czasu tutaj spędziłem latem, pływając, opalając się, uganiając się za dziewczynami, za chłopcami, aż spotkałem ciebie. Całe lato wylegiwałem się na plaży, obserwując statki w zatoce, najbardziej lubiłem patrzeć na masywne wycieczkowce wypływające z Kilonii na Morze Północne, a potem na cały świat. Lubię tę plażę i nienawidzę jej, piach mnie zatrzymuje, nigdzie nie mogę pójść. Idąc wzdłuż plaży w tamtym kierunku, można zobaczyć okręt podwodny. Jak byłem mały, zawsze marzyłem, że odpłynę tym okrętem i zwiedzę cały świat. Na szczęście pojechałem pociągiem do Berlina i poznałem ciebie.

T. mówił dużo, długo, nie mógł skończyć, mówił i płakał. Tutaj rośnie szpaler drzew, mówił, wiosną pojawiają się młode listki, takie piękne, takie zielone, w ciągu jednej nocy obumarłe drzewo nagle ożywa. A u ciebie? Jakie tam rosną drzewa? Czy tracą liście na zimę?

Nie odpowiedział mu na razie, mróz był jego wymówką, powiedział, że zamarzył na śmierć, znajdziemy szybko jakiś hotel, żeby przenocować. Dokąd

pójdziemy? Może do tego okrętu podwodnego? Prześpimy się w nim, co? Wyśpimy się, a nazajutrz weźmiemy okręt i popłyniemy nim aż na Tajwan.

Teraz wrócił w swe rodzinne strony, do tego upiornego miejsca. Chciał powiedzieć swojemu T., że tutaj zimą drzewa są nadal zielone, nie tracą liści, trawa nie przestaje rosnać. Zimą dni są krótkie, ale noc nie jest ciemna dzięki plantacjom chryzantem. Hodowla kwiatów to istotna część gospodarki tego rejonu. Żeby regulować tempo wzrostu chryzantem, plantatorzy zawieszają nad polami tysiące żarówek, by kontrolować rozkwitanie, nocą jest jasno jak w dzień. Kiedy zapada zmierzch, plantatorzy zapalają lampy, nad chryzantemami rozlewa się morze światła, nie ma sensu zadzierać głowy i szukać na niebie gwiazd czy księżycy, w tej wiosce blaski gwiazd są przyćmione. Produkcja chryzantem rośnie z roku na rok, wielu rolników inwestuje w hodowlę tych kwiatów, a powierzchnia, jaką zajmują plantacje chryzantem, jest zdumiewająca, przez cały rok świecą się niepojęte wręcz rzesze żarówek, rozpraszając mrok.

Niedaleko od domu znajduje się plantacja chryzantem, T., to jest miejsce, w którym nie ma nocy, dasz wiarę?

W jego rodzinnej wiosce rosło wiele drzew i kwiatów, a najbardziej chciał powiedzieć T. o drzewie karambolowym.

Wrócił pociągiem z samego rana. Pociągi regionalne Tajwańskich Linii Kolejowych zatrzymują się na każdej stacji, nawet w tej małej wiosce. Dworzec w Yongjingu to miejsce bezludne. Nie ma tu żadnej obsługi, podróżnych jak na lekarstwo, dookoła rozciąga się równinny krajobraz wsi środkowego Tajwanu, zardzewiałe blaszane dachy, leżące odłogiem pola ryżowe, wyschnięte kanały irygacyjne. Choć to jego rodzinne strony, to gdy wysiadł z pociągu, nie wiedział, w którym kierunku ma iść. Na szczęście zobaczył, że na dworzec wchodzi jakiś staruszek z workiem kukurydzy. Niezręcznie tajwańszczyzną spytał, jak dojść na ulicę Yongjing. Usta

staruszka spływały krwistą czerwienią po żuciu betelu, wskazał ręką drogę, mówiąc, że też nią przyszedł. Nie masz komórki, chłopcze? Wystarczy sprawdzić mapę na komórce.

Pokręcił głową. Naprawdę nie miał komórki. W więzieniu nie wolno ich używać. Wiedział, że świat komunikuje się teraz za pomocą telefonów komórkowych, ale on już stracił kontakt ze światem, był upiorem, który zniknął, na razie nie chciał wracać do ludzi, więc nie miał komórki.

Ruszył w kierunku wskazanym przez staruszkę, zdecydował, że nie pójdzie prosto do szeregowców, ale obejdzie dookoła, a jak się zgubi, to znów spyta o drogę. Bał się, że go ktoś rozpozna, nie było go tyle lat. Wujkowie, ciotki, wujenki, stryjkowie wciąż tutaj mieszkali, naciągnął czapkę i szedł różnym krokiem, nie podnosząc głowy, chyba że nikogo w pobliżu nie było. Minął Świątynię Wiecznej Pomyślności, zapamiętał ją jako małą świątynię, a w rzeczy samej był to okazały trzykondygnacyjny budynek. Przed nią był plac, na którym kiedyś często urządzano bankiety otwarte, ojciec często zabierał go na festyny, podczas których oddawano cześć królom trzech gór<sup>30</sup>. Dalej znajdowała się Świątynia Beztroskiej Szczęśliwości, która utkwiała mu w pamięci jako niska brązowa świątynia Boga Ziemi, czemu dzisiaj wyglądała zupełnie inaczej, niż ją sobie zapamiętał?

T., dzisiaj tak samo jak ty nie wyznaję żadnej religii, ale bardzo bym chciał, żebyś zobaczył, to są świątynie, do których często chodziłem, gdy byłem dzieckiem. Świątynia Wiecznego Spokoju, Świątynia Mazu pod Murami Miasta, Świątynia Słodkiego Deszczu, taka mała miejscowość, a tyle świątyń taoistycznych. Kiedy w dzieciństwie dopadła mnie gorączka, mama nie zabierała mnie do szpitala na leczenie, ale szła do świątyni odprawiać modły i ujarzmiać strachy, otrzymywała od świątynnego zaklęcia wypisane na jaskrawożółtym papierze, paliła je i wrzucała do



wody, po czym kazała mi wypić tak przyrządzoną miksturę. Myślę, że szczena by ci opadła ze zdumienia, gdybyś słyszał, jak ci to mówię, a ze szczeliny między zębami wyleciałby wielki znak zapytania.

Najbardziej chciał jednak zobaczyć Świątynię Mazu pod Murami Miasta. To tam matka recytowała sutry, to tam oglądało się filmy, urzędowało świniobicie, wędziło kielbasę, całowało. Często śniła mu się ta świątynka, kiedy siedział w niemieckim więzieniu. We śnie bez przerwy się rozbudowywała, rosnące za nią drzewa ciągle się wydłużały, po kilku latach takich snów świątynka zmieniła się w ogromne stupiętrowe sanktuarium, drzewa sięgnęły nieba, a na placu przed nią puszczano nieustannie pierwszy film, jaki w życiu obejrzał. Tytuł wyleciał mu z głowy, ale pamiętał, że był to film o wojnie z Japonią. Oglądał go, siedząc na udach odzianych w czerwone spodenki; poczuł, że w tych czerwonych spodenkach znajduje się coś tajemniczego, co powoli twardnieje.

Dotarł do wielkiego targowiska. Okoliczni mieszkańcy kupowali dary ofiarne na Święto Duchów, ale bah-uânów, które tak lubił jeść w dzieciństwie, nigdzie nie widział. Targ był wyraźnie mniejszy. Pamiętał, że stały tu niegdyś setki sprzedawców mięsa i warzyw. Czemu teraz stoiska tak się przerzedziły, a może targ wcale się nie zmienił, ale jego pamięć go skurczyła? Przeszedł jeszcze kilka ulic. Zauważył, że otworzył się tutaj sieciowy sklep z wielkim szyldem. Można było w nim kupić towary z całego świata, mnóstwo dziadków i babć przychodziło tu na codzienne zakupy. Nowoczesny supermarket zastąpił wielkie targowisko.

Wstąpił do Makaroniarni Przybysza na bah-kinn<sup>31</sup> i makaron w sosie sezamowym. Smak już nie ten, po pierwszym kęsie wiedział, że nie przyrządzał tego właściciel. Właściciel, który po wojnie przybył z Syczuanu na Tajwan, siedział w tej chwili na wózku inwalidzkim, a obok stała butla z tlenem, jego oczy straciły blask. Teraz gotował jego syn, gęsta

zupa i makaron zmieniły smak, mniej było w nich ostrego sosu paprykowego. Młode pokolenie nie potrafi odtworzyć dawnych smaków. Po zjedzeniu makaronu udał się na przechadzkę po polach. Wiele plantacji krzewów betelu już nie istniało, ziemia leżała odłogiem, gdzieś wbito tabliczki z napisem „Sprzedam grunty rolne”. Na polu chryzantem, jakie pamiętał, stał teraz porzucony motel, nie było już kwiatów, w motelu świeciło pustkami, trawa rosła wyższa od człowieka. Budynek szkoły podstawowej był zupełnie nowy, w ogóle nie przypominał tego, jaki zapamiętał z czasów dzieciństwa. Druga siostra pisała w liście, że po trzęsieniu ziemi na budynku podstawówki pokazały się niepokojące pęknięcia, a sanheyuan babci zawalił się, szkołę odbudowano, ale resztki sanheyuanu zostały zrównane z ziemią. Napisała mu, że sanheyuanu już nie ma, i dobrze. Nie ma, zniknęły dowody z czasów dzieciństwa, niczego już nie zobaczy, więc łatwiej będzie zapomnieć. Z całych sił starał się zostawić dzieciństwo za sobą, ale nocami, gdy tylko zmrużył oczy, rozbłyskiwał sanheyuan, lśniły się domy szeregowe, nigdy nie zniknęły. Przynajmniej nie było już namacalnego dowodu. Bał się trzęsień ziemi, ale podziwiał je – to, co nie mogło się rozsypać w jego pamięci, w ciągu kilku sekund legło w gruzach.

Oczywiście, że widział Biały Dom, greckie kolumny, rzeźbione złote balustrady. Biała farba połyskiwała w słońcu, chyba niedawno został odmalowany. Patrzył na Biały Dom z daleka, nie śmiał podejść bliżej. Biały Dom we krwi, kiczowata opera mydlana. Nie miał odwagi się zbliżyć, bał się. Biały Dom, który mu się śnił przez te lata spędzone w więzieniu, miał barwę krwi.

Kochany T., o Białym Domu na razie nie będę ci opowiadał. Powiem ci najpierw o drzewach karambolowych.

Jeszcze są, w sadzie karambolowym jeszcze rosną. Dróżką biegnącą u skraju pól dotarł do sadu, który tak dobrze znał. Na przekór wszystkim wichrom drzewa karambolowe wciąż stały jak dawniej, nieugięte, pnie nawet jakby nieco grubsze, dookoła walały się przejrzałe owoce, nie było komu ich pozbierać, płot leżał przewrócony, miejsce wyglądało na zapomniane od dawna. Gałęzie drzew ugiwały się pod ciężarem owoców. Zerwał jeden wyraźnie dojrzały owoc, ugryzł, poczuł kwaśno-słodki smak, nagle przypomniał sobie, jak miał siedem lat.

Bawił się w chowanego z dziećmi z sąsiedztwa – najszybciej biegał i najlepiej się chował, nikt nie mógł go złapać. Pewnego razu popędził za domy szeregowe, przez staw rybny, przez pole fioletowych wieczników kulistych, przeskoczył kanał, w którym pływały martwe psy i świnie, przebiegł przez sanheyuan, gdzie suszono zboże, wparował na podwórze hodowcy gęsi, przemierzył teren fabryki sosu sojowego, biegł i biegł, aż dotarł do sadu, gdzie rosły karambole. Jeszcze nigdy w swoim siedmioletnim życiu nie zabrnął tak daleko. Gdzie ja jestem? Jak długo biegłem? Czy to jeszcze Yongjing? Jak się tutaj schowam, to mnie nikt nie znajdzie.

Sad miał niskie ogrodzenie, za którym rosły drzewa karambolowe. Nastąpiła właśnie pora kwitnienia, na gałęziach pojawiły się nieśmiałe fioletowe kwiatki o pięciu płatkach. Sad był zadbany, na ziemi nie leżał ani jeden uschły liść. Na zewnątrz panował niemiłosierny skwar, a w sadzie było chłodno i przyjemnie, w powietrzu unosił się kwaśno-słodki zapach. Wybrał sobie najgrubsze drzewo i wdrapał się na nie, nie śmiał głośno oddychać, bał się wydawać jakiegokolwiek dźwięki, dzisiaj na pewno znajdą go ostatniego. Wydawało mu się wtedy, że to najbezpieczniejszy zakątek na świecie, gdzie nikt go nie znajdzie.

Czekał i czekał, aż w końcu zasnął. Po przebudzeniu spojrzął w dół, a tam czerwono.

Pod drzewem siedział śniady mężczyzna z gołymi ramionami ubrany w czerwone spodenki i czytał książkę.

– Najmłodszy syn A-Shana<sup>32</sup>, co? – odezwał się mężczyzna, podnosząc głowę.

Czerwone spodenki zdawały mu się coraz większe, aż w końcu przysłoniły mu wszystkie inne myśli. Wpatrywał się w nie bez słowa.

– Ej, coś taki przerażony, tu jest bezpiecznie, na pewno cię nie znajdą.

Kochany T., od razu zakochałem się wtedy w tym mężczyźnie spod drzewa karambolowego, który miał na sobie czerwone spodenki.

---

<sup>25</sup> *Delonix regia* – drzewo tropikalne o czerwonych kwiatach.

<sup>26</sup> Potrawa tajwańska przypominająca pyzy z mięsem. Bah-uân (pisane czasem ba-wan) jest jednak znacznie większy, a mięso w środku jest pokrojone, a nie zmielone.

<sup>27</sup> Potrawa przypominająca z wyglądu smalec, na którą składają się: mąka ryżowa, tłuszcz wieprzowy, grzyby, mielone lub cienko pokrojone mięso wieprzowe, cebula, suszone krewetki, jajka, bakalie i inne dodatki, czasem nawet cukier. Mąkę zagotowuje się w wodzie, po czym wlewa do miseczek, wsypując mięso i inne dodatki, a następnie gotuje się to wszystko razem na parze.

<sup>28</sup> Święto obchodzone piątego dnia piątego miesiąca kalendarza chińskiego. W dniu tym je się potrawę zwaną zongzi, a na akwenach wodnych obywają się wyścigi długich łodzi.

<sup>29</sup> Potrawa przypominająca gołąbki, ale z pewną różnicą – liście nie są jadalne, a nadzienie mięsne lub jarskie nie jest zmieszane z ryżem, ale umieszczone wewnątrz ubitej masy ryżowej o kształcie płaskiego pryzmatu.

<sup>30</sup> Chińskie bóstwa taoistyczne czczone głównie w Guangdongu i na Tajwanie, a także wśród diaspory chińskiej w Azji Południowo-Wschodniej.

<sup>31</sup> Zagęszczana zupa na bazie zmielonej lub drobno pokrojonej wieprzowiny.

<sup>32</sup> Przedrostek „A-” dodaje się do jednej sylaby imienia. Taka forma jest wyrazem spoufalenia z daną osobą. W tym przypadku osoba, o której mowa, nazywa się Chen Tianshan, druga sylaba imienia to „shan”, stąd „A-Shan”.

## DO TRZECH RAZY SZTUKA

Shuqing poczuła nagle ochotę na zupę z karamboli.

Gorąca zupa w mlecznobiałej ceramicznej okrągłej miseczce, do tego dwie duże łyżki cukru. Piła ją, kiedy była przeziębiona, ponieważ wywar udroźniał zatkany nos, przynosił ulgę opuchniętemu gardłu. Zimą, kiedy trzymała okrągłą ceramiczną miseczkę w zmarzniętych dłoniach, opary brązowej zupy z karamboli wdzierały się do oczu i nosa. Wpatrując się w mętny, gorący płyn, miała wrażenie, że trzyma w ręku górskie jezioro spowite mgłami. Latem piła na zimno z dużymi kostkami lodu, dolewała miodu z kwiatów longanu<sup>33</sup> i mieszała bezładnie to w lewo, to w prawo, po czym wielkim haustem połykała – czoło ochładzało się w okamgnieniu.

Kiedy była mała, w domu nigdy nie brakowało karamboli, owoce pojawiały się całymi koszykami, złociste i dojrzałe, czyściła je delikatnie miękką szczotką, nożem wydłubywała nasiona, kroїła na gwiazdziste plasterki, polewała skondensowanym mlekiem, posypywała pudrem śliwkowym, maczała w brązowym cukrze i zajadała ze smakiem. Niezjedzone owoce matka wkładała do słoików i robiła słone marynaty. Po tygodniu hermetycznego kiszenia były już gotowe, dodawała je potem do czarnej herbaty albo do świeżego rosółu z kury razem z jujubą i jagodami goji. Shuqing najbardziej lubiła jednak zupę z karamboli, odsączała sok z kiszonki, gotowała na wolnym ogniu, stawiała na stół i maczała w cukrze lub miodzie.

Za każdym razem gdy dostała lanie, chciała się napić tej zupy.

Ale nie pozwalano jej, by tak sobie sama piła.

Kiedyś w tej wsi leżącej w środkowej części Wyspy mama uczyła córki hodować owoce. Na polu rosły papaje, banany, brzoskwinie nieśmiertelnych<sup>34</sup>, marakuje, gujawy<sup>35</sup>. Nadwyżki plonów zawożono na wielkie targowisko i sprzedawano z wózka. Ludzie powiadają „do trzech razy sztuka”, trzecia córka naprawdę wygrała los na loterii, ukochane dziecko rodziców, wszystkiego miała pod dostatkiem. Rodzice darzyli trzecią córkę wyjątkową miłością, wiedzieli, że lubi gujawę, więc zawsze jej zostawiali kilka sztuk, a ona zaszywała się w jakimś kącie i po cichu zjadała, nie dzieląc się z siostrami.

Ale teraz w ogóle już nie je gujawy. Tego, co kiedyś uwielbiała, obecnie nawet nie tknie. Zmusza się teraz do jedzenia potraw, których kiedyś nie znosiła. Nakłada sobie pełną miseczkę, nawet bez ryżu, i z uśmiechem powoli przeżuwa, aż wszystko zje. Kiedyś najbardziej nienawidziła zielonej papryki, bakłażanów, gorzkiego melona<sup>36</sup>, brokułów, uważając, że te warzywa kolorem i kształtem przypominają potwory – nie dość, że ohydne i zdeformowane, to jeszcze w środku takie same jak na zewnątrz, o dziwnym smaku i cudacznej teksturze. Za każdym razem po nich wymiotowała. Ale teraz jadła te warzywa, zwłaszcza gorzkie melony; im bardziej gorzkie, tym lepiej; im dziwniejsza powierzchnia, tym ciekawiej. Lubiła zaszywać się w kuchni, gdzie z zamkniętymi oczami głąskała skórkę gorzkiego melona, którego pestki były jak guzy nowotworowe – strome i ostre. Czy moje wnętrze, pomyślała, też jest takie w dotyku? Jej gładka, jedwabista powierzchność skrywała niejedną guz. Guzy były twarde, uporczywe i suche, w dzień i w nocy rosły po cichu, nie było na nie lekarstwa, jej stan się pogarszał. Wyobraziła sobie, że gdyby można ją było wywrócić na lewą stronę jak sweter, to okazałoby się, że tak

naprawdę jest szpetnym potworem pokrytym guzami. Dlatego nosiła markowe ubrania. Gdy je przymierzała, uważnie czytała metkę ze składem – jeśli było sto procent czystej owczej wełny, czystego moheru, czystego kaszmiru, czystego jedwabiu naturalnego, to szła z tym do kasy, jeśli tylko zobaczyła włókna poliestrowe, to odwieszała. Potrzebowała najbardziej lśniącej, najbardziej wyszukanej, najdroższej zbroi, żeby stawić czoła sińcom, którym czoła stawić należało, bo tylko wtedy ludzie się nie dowiedzą, że jest gorzkim melonem pokrytym guzami. Na skórze miała wiele guzów, napęczniałych i czarnych, które po chwili chowały się pod skórą w jej ciele, nie było ich widać na powierzchni, ale szkielet, żyły i trzewia wyczuwały je. Zmuszała się do jedzenia gorzkiego melona, zjadała go nawet z uśmiechem, sama bowiem zmieniła się w gorzkiego melona pokrytego mnóstwem guzów, więc kiedy go jadła, to tak jakby zjadała samą siebie. Kęs po kęsie zjadała się – z myślą, że w końcu kiedyś powoli zniknie.

Jedzenie gorzkich melonów, zielonych papryk i bakłażanów oznaczało zerwanie z taką sobą, jaką była wcześniej.

Rodzice wiedzieli, że nie lubi bakłażanów, więc niezmiernie rzadko gościły u nich na stole. W dzieciństwie mieszkała w sanheyuanie. Pięć sióstr z rodzicami gnieździło się w jednym łóżku, przy którym stał okrągły stół, a na nim zalegała bieda, rzadko trafiały się ryby czy mięso, posiłki składały się głównie z batatów i kleiku ryżowego. Pewnego razu ojciec przyniósł skrzynkę fioletowych bakłażanów, powiedział, że to prezent od wujka. Matka wrzuciła słoninę do dużego garnka, dodała główkę czosnku i podsmażyła, potem dorzuciła pokrojone bakłażany, zalała wodą i nakryła przykrywką, żeby się potrawa dusiła, na koniec dodała cukru i sosu sojowego. Na stole pojawiły się lśniące, brązowo-fioletowe duszone bakłażany z sosem sojowym, nie zabrakło również kleiku ryżowego, cała

rodzina wzięła się wesoło do jedzenia, jedynie ona nawet pałeczkami nie ruszyła, wolała być głodna, nawet nie spróbowała. Bakłazany nigdy więcej się już w domu nie pojawiły.

Teraz często jada bakłazany. W drogim supermarkecie w centrum handlowym w Tajpej znalazła te z Włoch, okrągłe jak kule do gry w kręgle, co skórkę miały jaskrawofioletową, i jeszcze białe bakłazany importowane z Izraela, jedne i drugie włożyła do koszyka. Kupując żywność, nie przejmowała się ceną, brała pełen koszyk drogich produktów, których nie cierpi, i po powrocie do domu zmuszała się, żeby je wszystkie zjeść.

Raz założyła sukienkę bez pleców, widać jej było sińce, właśnie wychodzili na przyjęcie weselne.

– Robisz to specjalnie? – Mąż złapał ją za ramię. – Wszyscy zobaczą, że masz sińce na plecach. No i co im powiesz? No co? Zaraz się spóźnimy. Masz pięć minut. Przebierz się.

Mąż cenił czas, wszystko miało być zrobione od razu. Co wieczór punktualnie o siódmej pokazywał się w programie informacyjnym. Nigdy się nie spóźniał, zawsze był idealnie na czas, nie tolerował żadnych obsunięć. Zostało tylko pięć minut do wyjścia. Miał w trakcie tego przyjęcia wygłosić mowę na scenie, pod żadnym pozorem nie mógł się spóźnić. Dobrze wykorzystał te pięć minut, pociął sukienkę nożyczkami, uderzył żonę pięścią, ale nie w twarz, za włosy też nie ciągnął, wyjął z szafy czerwony żakiet z długimi rękawami i kazał jej go założyć. W pięć minut pociął jej strój, uderzył ją i zmusił do przebrania się, nie było obsunięcia, nie płakała ani nie krzyczała, bez nerwów założyła żakiet, fryzura pozostała w idealnym stanie, makijaż też, po równych pięciu minutach wyszli. Mąż był lalkarzem, a ona marionetką, grzecznie pozwalała mu sobą sterować, owe pięć minut minęło spokojnie. Była marionetką, więc ręce nie były jej, nogi nie były jej, całe ciało należało do



męża, uśmiech miała namalowany, choćby nawet bestialsko powyrywać jej kończyny, uśmiech pozostanie.

Kiedy po przyjęciu wrócili do domu, ktoś zadzwonił z telewizji, doszło do brutalnego zabójstwa, proszono go, aby natychmiast przyjechał do studia i połączył się z dziennikarzem przebywającym na miejscu zbrodni. Szybko wyjęła z szafy dwa czyste garnitury, w mig dopasowała do nich krawaty i koszule, wrzuciła do torby ekstrakt z kurczaka<sup>37</sup> z żeń-szeniem oraz witaminy i z uśmiechem na ustach wyszła z domu razem z mężem. Odprowadziła go do parkingu podziemnego, gdzie natknęli się na sąsiada, który był posłem w yuanie ustawodawczym<sup>38</sup>. Mąż pocałował żonę w policzek, wsiadł do auta i odjechał.

– Ach – westchnął zazdrośnie parlamentarzysta – zawsze mi smutno, kiedy was widzę, tak się oboje kochacie. Pani redaktorowa, czy nie ma pani może siostry? Chętnie bym poznał.

Zbyła go uśmiechem, zdała sobie jednak sprawę, że był to uśmiech zbyt oschły, tak nie można, uśmiechać trzeba się soczyście, z uczuciem, nie wolno okazywać skrywanej w sobie suchoty, uśmiech trzeba poprawić.

– He, he, nie mam siostry, a poza tym to pan się przecież cieszy wielkim powodzeniem, po co miałabym pana z kimś zapoznawać? Czy to nie pana sfotografowano z tą aktorką? Tą z naprzeciwka. Widziałam ostatnio w tygodniku.

Czym prędzej weszła do windy, powtórzyła do lustra właśnie co odegrała scenę – czy wypadła wiarygodnie? Czy uśmiech był dostatecznie serdeczny? A barwa głosu? Czy miała odpowiednią wymowę, czy nie dał znać o sobie jej wiejski akcent? Mąż mówił, że jej akcent zajeżdżał kiedyś błotem, był taki dziwacznie nosowy, każdym słowem zdradzała swoje żenujące pochodzenie.

Wróciła do domu, weszła do kuchni i otworzyła lodówkę, zobaczyła węzowaty fioletowy bakłażan, nie umyła go ani nie ugotowała, po prostu wyciągnęła i zaczęła gryźć. Zjadła cały, nie wymiotowała, nie płakała, nie krzyczała, porządnie wytresowana dobra żona. Nawet kiedy nikt jej nie widział w tym opustoszałym mieszkaniu na Osiedlu Jeziornym, nadal była dobrą żoną. Skoro mogła jeść ohydne bakłażany, patrząc na jezioro, to mogła odgrywać rolę dobrej żony. Jadła powoli, wpatrując się w białe ptaki wodne na tafli jeziora, mówiła sobie, że zanim z tymi białymi ptakami wodnymi odleci, musi zjeść to surowe warzywo do końca. Szybko połknęła, białe ptaki wodne zatrzęszy się, zatrzepotały skrzydłami i przeleciały nad powierzchnią jeziora.

Nikt ze strony panny młodej nie był obecny na jej weselu. Mąż zabronił komukolwiek z jej rodziny wchodzenia do restauracji, powiedział, że jak tylko kogoś tam zobaczy, to odwołuje imprezę. Mąż pokazał jej przygotowaną notkę prasową, jeśli ślub zostanie odwołany, roześle ją faksem do wszystkich mediów. Notka napisana była chłodnym tonem. Czyniąc pewne przeróbki i dodając pikanterii do ociekającej krwią prawdziwej historii, stworzył historię zmyśloną. Przebieg wydarzeń sprzyjał mężczyźnie, a pogrążał kobietę. Prezenter telewizyjny zachował zimną krew, powiedział, że pracuje w mediach i to on ma prawo zabierać głos.

– Myślisz sobie, że dasz radę wytłumaczyć się z tego widowiska, które wydarzyło się wczoraj wieczorem? – spytał.

– To była moja młodsza siostra!

Prezenter zapalił papierosa. Nie wiedziała, że pali.

– Całe szczęście. Widziałem zdjęcie. Pomyślałem sobie, jak to dobrze, że nie wybrałem twojej siostry. Wielka szkoda, taka ładna dziewczyna. Szybko, zadzwoń do taty, powiedz, żeby siedział w szpitalu w Changhua

i nie przyjeżdżał do Tajpej. Ma swoje lata, pewnie już niedomaga. Szybko, zadzwoń. Jeśli zobaczę dziś twój tatę... jak tylko ktoś się dowie, że rodzina mojej narzeczonej to twoja rodzina, to ja... ma być, jak mówię.

Zatrzymała sobie tę notkę prasową. Mąż umiał opowiadać, ona nie miała głosu, nie potrafiła tworzyć narracji.

Dziś było Święto Duchów, administracja budynku wystawiła na podwórzu okrągłe stoły, mieszkańcy mogli sami przygotować dary i razem zanosić modły. Wiedziała, że mąż nie pozwala jej dołączyć do wspólnych modłów. Po ślubie wstąpiła do kościoła swego męża, przyjęła chrzest i stała się chrześcijanką, od tej pory nie mogła modlić się z trociczkami w ręku. Dzisiaj pomagała pracownikom administracji ustawiać stoły na podwórzu. Luźno rozmawiając z kobietami o Święcie Duchów, powiedziała, że jako dziecko na wsi najbardziej bała się właśnie Święta Duchów, ale jednocześnie najbardziej je lubiła. Bała się, bo bramy piekieł były otwarte, szybujące w powietrzu tabuny duchów tak działały jej na wyobraźnię, że musiała spać w łóżku z rodzicami. Na szczęście mama i tata bardzo mnie kochali, więc pozwolili, żebym z nimi spała. Ale jednocześnie bardzo lubiła to święto. Było ono bardzo ważne dla rodziców, kupowali wtedy mnóstwo jedzenia na ofiarę duchom, kupowali wszystko, co tylko chciałam zjeść, cały stół zastawiony był moimi przysmakami.

Jak tylko przekroczyła próg domu, została powalona na ziemię.

– Widziałem cię z trociczkami w ręku.

Bił żonę nader przemyślnie, nie za mocno i nie za słabo, unikał twarzy i ramion, uderzał w sam środek, tak żeby ją bolało, tak żeby miała siniaki, ale żeby krew nie leciała. Czasem, jak miał zbyt długie paznokcie, zdarzyło mu się zadrapać ją na plecach, zarzucał jej wtedy, że ma za cienką skórę. Potem celował tylko w miejsca, które zakrywało ubranie, żeby nie było widać zadrapań.

– Tyle lat ci to mówię, że nie wolno składać ofiar, a do ciebie to nie dociera. Nie możesz się tak nienormalnie zachowywać, nie mieszkasz już na wsi. Muszę teraz iść do pracy, nie wolno ci wychodzić z domu, jak wrócę wieczorem, to przyniosę coś do jedzenia.

Wyjęła z lodówki kostki lodu, żeby zrobić sobie zimny okład na obolałe miejsca, aż tu na komórcie pojawiło się imię czwartej siostry.

– Halo! Shuqing? To ty? Shuqing? Szybko, wracaj do domu, Pierwsza i druga siostra mnie olewają, tylko ty mnie rozumiesz, wracaj szybko! Mamy nie ma! Mamy nie ma! Mamy nie ma! Słyszysz czy nie?

Obracała w palcach kostki lodu, bardzo, bardzo, bardzo chciałyby teraz wypić miseczkę zupy z karamboli. Dzisiaj jest gorąco, chciałyby wypić ją na zimno.

Mieszkając w sanheyuanie, nie miała pojęcia, że jest na tym świecie coś takiego jak kostki lodu. Pewnego dnia ojciec dostał zlecenie na transport jakiegoś towaru i zabrał ją ze sobą. Zawieźli towar do fabryki, na dworze panował niemiłosierny skwar, ale fabryka to był inny świat, taki zimny, taki przyjemnie chłodny. Pracownicy nosili worki pełne białych kostek, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Shuqing, powiedział ojciec, to jest *ping-kak*, a po mandaryńsku *bīngkuài*. Podniósł leżącą na podłodze kostkę lodu i pokazał jej pod słońce, a potem kazał jej otworzyć usta. Nigdy nie zapomni tego chłodnego smaku. Skąd się na świecie biorą takie piękne i takie smaczne rzeczy! Tylko bogaczy stać na coś takiego, pomyślała. Jak dorośnie, zaoszczędzi dużo pieniędzy, żeby mieć w domu cały stos takich pięknych rzeczy i jeść je każdego dnia. Tato, kiedyś zrobię łóżko z kostek lodu, będziemy mogli na nim spać i nie będzie nam gorąco.

Kiedy urodził się pierwszy brat, a potem drugi, rodzina przeniosła się do szeregowców, a w domu pojawiła się po raz pierwszy lodówka. Pamięta, jak ona i jej siostry nie mogły się już doczekać, kiedy w foremkach

powstanie lód, raz po raz otwierały lodówkę, czekając, aż woda zamarźnie, nawet gdy wszyscy już poszli spać. Lód w końcu się uformował, ustawiała kostki jedna przy drugiej na stole, imponujące kryształy wionęły chłodem. Siostry jadły lód z czym popadło, dodawały go do zupy z wieprzowymi klopsikami, do ryżu gotowanego na parze, do smażonego na woku makaronu ryżowego, do zupy z czerwonej fasoli, do bah-uânów, do smażonych pierożków, do makaronu w sosie sezamowym, mówiły, że to doświadczenie naukowe. Nawet braciszka, który miał niespełna roczek, próbowały karmić kostkami lodu. Kiedy spróbował, zmarszczył brwi, zaśmiał się, zmarszczył brwi, ni stąd, ni zowąd rozplakał się i znowu się zaśmiał, a wyglądał przy tym rozkosznie. Co u ciebie słysząc, braciszku? Ciągle mówiłam, że chciałabym cię odwiedzić w Niemczech, a ty mówiłeś, że pokażesz mi wielkie, wielkie jezioro, ale jak u mnie byłeś, to wiesz, ja nie mogłam nigdzie pójść. Teraz i potem mogę tylko każdego dnia patrzeć na to jezioro za oknem.

Przycisnęła lód mocniej do obolałego miejsca, nie miał szans w starciu z rozgrzanym śladem, jaki pozostawiła po sobie pięść męża, rozpuścił się natychmiast. Nie musiała spoglądać w lustro, wiedziała, że na pewno jest uśmiechnięta.

---

[33](#) Longan (dosł. oko smoka) to białe, galaretowane owoce osłonięte niejadalną jasnobrązową skórką. Podobne do liczi, lecz mniejsze.

[34](#) Powszechnie używana na Tajwanie nazwa owoców canistel (*Pouteria campechiana*) przypominających kształtem brzoskwinie.

[35](#) Popularny na Tajwanie owoc przypominający gruszkę.

[36](#) Zwyczajowa nazwa przepękli ogórkowatej.

[37](#) Suplement diety popularny w Azji Południowo-Wschodniej. Przypisuje mu się właściwości łagodzenia zmęczenia psychicznego.

[38](#) Władze centralne Republiki Chińskiej dzielą się na pięć izb zwanych yuanami: yuan ustawodawczy, yuan wykonawczy, yuan sędziowski, yuan kontrolny (odpowiednik naszego NIK-u)

i prokuratury) oraz yuan egzaminacyjny (odpowiedzialny między innymi za egzaminy do służby cywilnej).

## MÓWIĘ, CO DIABLI NADALI

Jestem upiorem.

Czy to wypada, żeby taki upiór jak ja mówił, że jest upiorem?

Umarłem, a jednak wciąż „istnieję” i gadam tu sam do siebie. To moje „istnienie” nie objawia się światłem, dźwiękiem ani obrazem, nie jest zjawiskiem fizycznym, nauka nie może go wyjaśnić. Moje „istnienie” jest niepoliczalne, niemierzalne, nie ma takich jednostek, w których można by je wyrazić.

Pamięć jest medium mojego istnienia, mojego przekazu. Dzięki temu, że moja pamięć przenika do pamięci innych, mogę „być”, być w tym, być obecnym, być tu, być tam. Polegam na pamięci, żeruję na niej; tam, gdzie jest pamięć, tam, gdzie jest miejsce na opowieści, jestem obecny. Kiedy historię przekazuje się ustnie, jestem w ludzkich gardłach, w ustach i na języku. Kiedy opowieść zostaje spisana, jestem na stalówce, kulce długopisu, błyskawicznie przenoszę się na papier; dopóki papier nie zostanie spalony, podarty, zmielony, dopóty mieszkam na nim, ale nawet jeśli papier ulegnie zniszczeniu, ludzie mają zdolność zapamiętywania, papier odciska na zwojach mózgu doskonałą kopię, a wtedy mieszkam w głowie. Pamięć pełna tajemnic to moje legowisko, niewyjawione, głęboko ukryte, brudne, parszywe, zgniłe i pochowane do końca życia. Tajemnice to moje najwygodniejsze medium.

A jeszcze są drzewa, woda, ziemia i trawy. Ten figowiec bengalski, na którego się tak często wspinałem, nadal mnie pamięta; to drzewo ka-tang, do którego się modliłem, nadal mnie pamięta; ten gaj bambusowy, który ściałem, nadal mnie pamięta; to pole, na którym leżałem, nadal mnie pamięta. Ta mała miejscowość nadal mnie pamięta, tutaj się urodziłem i tutaj umarłem – dlatego jestem upiorem.

Ale pamięć bywa zawodna. Kiedy dziesięcioosobowa rodzina zjadła cały garnek kleiku ryżowego, najpierw padło pytanie do A-Chan, potem do mnie, następnie do pięciu córek, potem do dwóch synków, czy to, co właśnie jedliśmy, było gęste, czy rzadkie. Każde z nas odpowiedziało inaczej, a odpowiedzi nie ograniczały się do „rzadkie” albo „gęste”, między rzadkim a gęstym często pojawiało się „między”. To „między” można wyjaśnić za pomocą jednej linii. Między gęstym a rzadkim leży linia, działające na nią siły zewnętrzne uniemożliwiają jej wyprostowanie, linia wygina się i zawija, tworzą się pętle, zakola, a czasami powstają nawet węzły. W zakolach jest ciemno, mrok daje schronienie, więc kłamstwa mogą czuć się bezpieczne. Kto mówi, że kleik jest rzadki, skrycie myśli, że jest gęsty. Kto mówi, że jest gęsty, marzy o tym, żeby mógł być jeszcze gęstszy.

Dzięki temu, że jest tak wiele tych „między”, w każdej chwili mogę z łatwością znaleźć sobie medium. Mroczne miejsca pełne tajemnic to najlepsze media, ciepłe i wilgotne; dlatego zawsze „jestem”.

Byłem tylko synem chłopca ze wsi w środkowym Tajwanie, edukację zakończyłem na gimnazjum, plewiłem pola, woziłem towary autem, skąd więc u mnie taka elegancka mowa? Śmierć to dziwna przemiana. Jak stajesz się upiorem, wszelkie blokady językowe opadną w okamgnieniu. To, czego kiedyś nie potrafiłem powiedzieć, teraz mówię bez ogródek, co diabli nadali.



Za życia dużo nie gadałem.

Mama zawsze mówiła, że jestem za spokojny, nie płaczę, nie rozrabiam, a kiedy śpię, nie chrapię ani się nie wiercę – jakbym nie żył. Kilka razy po tym, jak nakarmiony mlekiem smacznie zasnąłem, mama, widząc, że śpię dosłownie jak zabity, budziła mnie natychmiast, przerażona, że mogłem umrzeć we śnie. Po przebudzeniu nawet okiem nie mrugnąłem ani nie wydałem z siebie żadnego dźwięku, stwierdziła więc pewnie, że jej pierworodny jest upośledzony umysłowo albo głuchoniemy. Pierwszy zapach, jaki pamiętam, to silna woń balsamu ziołowego<sup>39</sup>. Kiedy matka ugotowała cały stół potraw na ofiarę dla duchów, teściowa zawsze ją strofowała, że tego mięsa się tak nie gotuje, a tego warzywa się tak nie smaży, że takie ofiary nie przypadną przodkom do gustu; jeśli następnemu pokoleniu zdarzy się jakieś nieszczęście, to będzie wina jej synowej. Ugotowała wszystkie potrawy jeszcze raz zgodnie z zaleceniami teściowej, ale i tak została zrugana, bo przeszła im koło nosa pomyślna pora na ich złożenie. Na pewno specjalnie tak zrobiłaś, żeby przodkowie chodzili głodni, spoliczkowała ją. Mama zawsze po takim laniu zamykała się w swoim pokoju, wyciągała z szafki puszkę jaskrawozielonego balsamu ziołowego, przysuwała do nosa i mocno wdychała. Balsam ziołowy był dobry na wszystko: oparzenia, komary, ból, reumatyzm – istne panaceum. Miał silny zapach, który mama bardzo lubiła. Kiedy dopadało ją zmartwienie, zawsze głęboko wdychała jego woń, a następnie smarowała maścią całe ciało. Płacząc i smarując się balsamem ziołowym, zobaczyła pewnego razu, że siedzę obok, ale nie zareagowała. Spokojnie przyglądałem się, jak płacze; nabrała maści i wysmarowała mi nią dziurki w nosie. Dokładnie pamiętam ten zapach. Nawet dziś, kiedy jestem upiorem, nie zapomniałem go, jakby mi ktoś w nosie walił pięściami i kopał. Gdy zobaczyła, że zmarszczyłem brwi, natychmiast przestała

płakać, przytknęła mi do oczu zabrudzony maścią palec. Balsam ziołowy rozcinał mi oczy, w końcu zapłakałem, a mama zaczęła się śmiać. Śmiech usłyszała teściowa, z hukiem wpadła do pokoju i wykręciła uszy mamie. Kolacja jeszcze niegotowa, a ty siedzisz pokoju i rżysz, jakby jakaś upiorzyca rechotała za ścianą, ludzi straszysz.

Balsam ziołowy przyrządzano w Świątyni Mazu pod Murami Miasta. Mówią, że to receptura naturalnego zielarstwa chińskiego, trzeba smarować tam, gdzie coś dolega. Przy okazji każdej wizyty i modłów w tej świątyni mama kupowała wiele puszek, a kiedy ją bito lub wydzierano się na nią, sięgała po balsam, dlatego zawsze czuć było od niej ten silny miętowy zapach. Lubiła oddawać cześć duchom i bogom na lewo i prawo. Kiedy tylko usłyszała, że modlitwy zanoszone w takiej albo innej taoistycznej czy buddyjskiej świątyni zostają wysłuchane, natychmiast zabierała mnie, by się tam modlić o rychłe zejście teściowej z tego świata, o pomyślne plony, o to, żeby jej czterej synowie zdrowo się chowali i dobrze ożenili, żeby jeszcze kupę synów urodziła i żeby w żadnym razie nie urodziła córki, bo i po co. Lubiła mnie zabierać na modły, bo byłem najspokojniejszy ze wszystkich czterech synów, nie marudziłem, że trzeba daleko iść, nie płakałem, nie robiłem scen. Pewnego razu podczas wizyty w Świątyni Mazu pod Murami Miasta zostawiła mnie pod opieką świątynnego i poszła palić pieniądze pozagrobowe, rzucać księżycowymi kośćmi<sup>40</sup> i mamrotać do duchów: Kiedy teściowa w końcu umrze? Teściowa musi umrzeć, żeby ona mogła mieć coś z życia. Siedząc obok świątynnego, który był zalany w sztok, słuchałem jego pijackiej gadki, ale nic nie rozumiałem, więc jedynie patrzyłem na niego, bez słowa. Uszczypnął mnie, nie zareagowałem, uszczypnął mnie mocniej, nie zmieniłem wyrazu twarzy, nagle ze stojącej obok kadzielnicy wyjął żarzące się trociczki i wetknął mi w ramię.

Zaboląo, ale nie rozplakałem się.

Kiedy mama po mnie wróciła, ujrzała ślad po przypaleniu.

– Pani dzieciak nie ma za grosz szacunku dla świętości, wziął trociczki i zaczął się nimi bawić – powiedział świątynny.

Szybko wróciliśmy do sanheyuanu, mama wyjęła balsam ziołowy z koszyka, kazała mi otworzyć usta i zjeść zieloną maść z jej palca. Była gorzka, ostra, dostałem od niej wymiotów i biegunki. Poszłam modlić się o to, żeby babcia szybko umarła, strofowała mnie, a ty tak znieważyles bóstwa, teraz babcia nie umrze, a skoro nie umrze, to jak ja mam dalej żyć?

Babcia szybko nie umarła, dożyła stu lat.

Kupiłem pierwszy z szeregowców, obok którego był zakład pogrzebowy. Kiedy się wyprowadzałem z sanheyuanu, miałem już wszystko obmyślone: jak mama umrze, to wtedy ja, jej najstarszy syn, kupię trumnę po sąsiedzku i pochowam matkę pachnącą balsamem ziołowym.

Ale kto by pomyślał, że matka też dożyje stu lat, a ja odejdę wcześniej niż ona. Zamówiłem więc w zakładzie pogrzebowym trumnę dla samego siebie.

Mamę pamiętam po zapachu. Kiedy tylko poczuję balsam ziołowy, kiedy tylko ktoś trze liście mięty, przypominam sobie matkę. Tak, ponieważ jestem upiorem, który istnieje dzięki pamięci, sam pamiętam zapach, dotyk, ból – wszystko.

Zapach balsamu ziołowego z czasem osłabł. Kiedy ożeniłem się z A-Chan, mama w końcu miała na kim się wyżywać. Ochrzaniała moją żonę dokładnie tymi samymi słowami, co niegdyś babcia ją samą. Kiedy tak się nad nią znęcała, zapach balsamu ziołowego stawał się coraz mniej wyczuwalny. A-Chan była wprawdzie żoną najstarszego syna w sanheyuanie, ale ciągle rodziła tylko córki; mama urągała jej od Shumei

przez Shuli aż po Shuqing, a kiedy na świat przyszły czwarta i piąta córka, od matki nie było już w ogóle czuć balsamu ziołowego.

Po tym, jak straciła miętowy zapach, przestała chodzić na modły do Świątyni Mazu pod Murami Miasta.

Zastąpiła ją A-Chan.

Teraz na odmianę to ona zanosila swoje prośby bóstwom. Błagam, błagam, niech moja teściowa szybko umrze.

Pewnego letniego dnia zjawila się policja. A-Chan wyszła z domu skoro świt. Dawno nie padało w Yongjingu, powiedziała, spoglądając w niebo, cała irygacja zaraz wyschnie, na polu wszystko suche, jak tak dalej pójdzie, to krzewy betelu nie obrodzą. Dzisiaj w Świątyni Mazu pod Murami Miasta jest zgromadzenie, powiedziała, idę czytać sutry z grupą recytacyjną. Dziwne, kto by organizował zgromadzenie z samego rana? Może ktoś zarobił dużo pieniędzy i chce złożyć dziękczynienie. Czy może ktoś umarł? Tak czy owak, nie wiadomo, kto z samego rana urządza modły, by podziękować bóstwom. Kiedy A-Chan wyszła, zmorzył mnie głęboki sen.

Tego ranka, ledwie słońce wstało, A-Chan razem z całą grupą recytacyjną w Świątyni Mazu pod Murami Miasta chwyciła za mikrofon i zaczęła melorecytować święte księgi. Grupa recytacyjna zbudziła cykady na drzewie za świątynią. W pełni przebudzone owady zaczęły niemiłosiernie jazgotać. W dniu świniobicia było dwadzieścia prosiaków do uboju. Rzeźnik bardzo się zdziwił, że grupa recytacyjna zebrała się tak wcześnie, zakłócając inkantacjami odgłosy chrapania i sen. Ale nie miał czasu zawracać sobie głowy tym, co się dzieje w świątyni, chciał tylko jak najprędzej ubić świnie. Zwierzę zawieszona na haku wydało żalony kwik, kiedy wbił w nie ostrze noża, a szara ziemia zaczerwieniła się natychmiast od krwi.

Cykady, rzeźnik, A-Chan – wszyscy chórem hałasowali, budząc tę małą miejscowość. Przebudzone kury zaczęły gdakać, psy zaczęły wyć, zawieszane na drzewach martwe koty miauczały, gęsi gęgały, kaczki kwakały, rosły grzyby w kanałach irygacyjnych, rozkwitały chryzantemy sterowane blaskiem żarówek, śpiący smacznie mieszkańcy wioski powracali z wolna do życia, zbudziła się moja piąta córka i kichnęła piętnaście razy. Obudziły się duchy w grobach. Uśchłe drzewa, pnącza, jałowe pola, dzikie kwiaty, pleśń, łuski ryżowe, to, co martwe, to, co żywe, i to, co chciałoby umrzeć – wszystko się przebudziło.

Wtedy jeszcze żyłem. Leżąc przebudzony na łóżku, wydarłem się na cały głos. Co to za hałas!

Pod osłoną nieprzebranego jazgotu policja wjechała ukradkiem do Yongjingu.

---

[39](#) Maść na bazie mięty, kamfory i oleju, stosowana profilaktycznie i leczniczo: uważa się, że pobudza umysł, przynosi ulgę w bólu i podczas przeziębienia, nawilża i zapobiega swędzeniu.

[40](#) Dwa elementy w kształcie półksiężyca wykonane z drewna lub innego materiału, obłe z jednej, a płaskie z drugiej strony. Rzucane nimi o ziemię i w zależności od tego, na jaką stronę upadną, odczytuje się odpowiedź wyroczni.

## BIAŁY DOM, W KTÓRYM NIE MA BIAŁEGO DNIA

Boi się okien.

Stroni od światła.

Kiedy mieszkała w sanheyuanie, cała rodzina gnieździła się w jednym pokoju, pięć sióstr spało stłoczonych na jednym dużym łóżku, służąc sobie nawzajem za poduszki; spała na łydce drugiej siostry, a trzecia siostra spała na jej udzie, poduszką najstarszej siostry były zaś pośladki najmłodszej. Łóżko stało pod drewnianym oknem, przez które widać było pola ryżowe. Lubiała przy nim leżeć, udając, że śpi, kiedy tak naprawdę łapczywym wzrokiem patrzyła na księżyc i gwiazdy. Bała się ciemności. Kiedy w nocy zachciało jej się sikać, nie odważyła się wyjść do ubikacji znajdującej się na zewnątrz sanheyuanu, trzymała mocz aż do świtu. Dzieci z sąsiedztwa mówiły, że w ubikacji straszy, była więc śmiertelnie tym przerażona. Dzisiaj nie boi się mroku, po omacku w ciemności idzie do ubikacji lub do telefonu i nie boi się żadnych duchów. Teraz już wie, że w mroku powinna się bać nie duchów, lecz samej siebie.

Kiedy była mała, pewnego razu pojawili się w Yongjingu złodzieje, którzy włamali się do wielu domów. Najstarsza siostra powiedziała, że to ponoć jakieś przyjezdne osiłki, atakują wieczorami, kiedy księżyc nie świeci. Włamują się w środku nocy i kradną, a jak zobaczą kobietę, to gwałcą. Mama też słyszała plotki o tych straszliwych bandytach, kiedy

robiła zakupy na targowisku. Wieczorem przed snem porządnie ryglowała drewniane drzwi i barykadowała dodatkowo dwoma krzesłami. Im szerszy krąg te wieści zataczały, tym były straszniejsze, ludzie martwili się o własne bezpieczeństwo, mieszkańcy wioski powołali do życia straż obywatelską, która patrolowała po zmroku ciemne uliczki. Pewnej bezksiężycowej i bezgwiazdnej nocy obudziły ją dochodzące zza okna okrzyki pościgu. Reszta rodziny spała głęboko, tylko ona jedna się obudziła. Wyjrzała przez okno, ale nie było widać pól ryżowych, jak wcześniej. Zamiast nich zobaczyła przed sobą czarną sylwetkę człowieka, która powoli zbliżała się w stronę okna. Oślepił ją jakiś blask, przetarła oczy, światło zniknęło, przed oknem stał mężczyzna o niewyraźnych rysach twarzy i patrzył na nią. Chciała krzyknąć, ale nieznajomy przytknął palec do ust, żeby ją uciszyć. Miała wrażenie, jakby jakaś tajemna siła przecięła jej nagle struny głosowe, poczuła się jak zdmuchnięta świeca, mogła tylko niemo patrzeć na postać za oknem, nie była w stanie nawet drgnąć. Mężczyzna zrobił zaś kilka kroków w tył, ściągnął spodnie do kolan i patrząc na nią, zaczął sobie robić dobrze.

Okrzyki zbliżały się, obcy ruszał ręką coraz szybciej. Jakaś biała i lśniąca substancja trysnęła na okno, mężczyzna znów położył palec na ustach, pomachał jej, podciągnął spodnie i uciekł. Wkrótce potem przygnało z wrzaskiem kilka osób, czarne sylwetki przebiegały przed oknem, wymachując kijami i złorzeczając, ktoś krzyczał, by wezwać policję, aż w końcu wszyscy się obudzili. Obudzili się rodzice, obudził się cały sanheyuan, obudzili się sąsiedzi; okazało się, że to straż obywatelska niemal dopadła złodziei, którzy właśnie co okradli rodzinę Wangów, zginęło całe złoto babci Wangowej.

Nazajutrz mama postanowiła kupić broń gazową do samoobrony za pieniądze, które wystarczyłyby na jedzenie przez kilka dni. Mama

powiedziała, że parę dni głodówki nikogo nie zabije, a kto wie, może za dzień czy dwa złodzieje wybiorą właśnie ich. Broń leżała przy łóżku, roznosząc złowieszczy metaliczny zapach, jakby w oczekiwaniu, że lada chwila mogą zjawić się złoczyńcy.

Nie wiedziała, czy broń gazowa będzie w stanie uchronić całą rodzinę, ale spytała mamę, czy nie byłoby dobrze zawiesić w oknie zasłonę. Mama przyrządzała właśnie obiad dla babci; kiedy usłyszała o zasłonie, skwitowała prośbę uderzeniem córki w twarz. Miała sobie za złe, że była taka głupia, powinna pójść do trzeciej siostry i jej o tym powiedzieć, rodzice najbardziej kochali przecież trzecią córkę, gdyby jej powiedziała, to w oknie wisiałaby już zasłona. Każdej nocy, jak tylko się położyła, miała przed oczami tę białą, lśniąca substancję. Przez zasłonę nie mogłaby jej zobaczyć.

Zaczęła bać się okien. Do snu wybierała sobie miejsce jak najdalej od nich, w szkole bała się siadać przy oknie, w autobusie zawsze wybierała zajmowała fotel przy przejściu. Kiedy podczas porządków noworocznych przydzielono ją do mycia okien, wycierała je z zamkniętymi oczami, ale mimo tego ciągle widziała tę nieznaną białą ciecz, która błyszczała w mroku.

Po przeprowadzce do domu szeregowego miała w końcu swój własny pokój. Drewnianymi panelami wydzielono w budynku wiele pomieszczeń, aby każde z siedmiorga dzieci z rodziny Chenów miało własny kąt. Czwartej córce zależało na pokoju bez balkonu, a piąta siostra chciała ten na trzeciej kondygnacji z balkonem, miała więc dla siebie cały balkon. Nie kłóciła się z piątą siostrą. Jej pokój miał jedno małe okienko z szybą z matowego szkła. Okno wychodziło na korytarz i nie miało żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, czuła się dzięki temu bezpieczna. Wreszcie nie miała okna wychodzącego na zewnątrz, mogła spać spokojnie.



Poszła do sklepu tekstylnego po tanie skrawki ciemnego materiału, właściciel dał jej za darmo resztki, jakie zostały po uszyciu ubrań. Ubłagała najstarszą siostrę, żeby zszyła jej te skrawki na maszynie, poprosiła najstarszego brata, żeby przybił jej nad oknem drewniany drążek, na którym zawiesi tkaninę. Tak zwana zasłona zakryła okienko. Każdego wieczoru przed snem upewniała się, że płachta dokładnie zakrywa wszystkie rogi okna, żeby nie było go widać, sprawdzała jeszcze, czy piąta siostra jest w pokoju oddzielonym tylko cienką drewnianą ścianką, i dopiero wtedy spokojnie pogrążała się we śnie. Mogła zasnąć tylko wtedy, gdy piąta siostra była w pokoju obok.

Teraz mieszka w Białym Domu na czwartej kondygnacji. Pokój jest przestronny i ma oddzielną łazienkę oraz duży importowany z Niemiec portfenetr. Kiedy stanąć przy oknie, można zobaczyć panoramę całego Yongjingu.

Ale nie wiedziała, jak teraz wygląda Yongjing.

Czy pola są takie same jak dawniej? Czy Makaroniarnia Przybysza wciąż istnieje? Czy domy szeregowe jeszcze stoją? Czy Świątynia Mazu pod Murami Miasta nie została wyburzona? Druga siostra mówiła, że podczas trzęsienia ziemi cały sanheyuan obrócił się w gruzy. Dostawała czerwonej wysypki, kiedy tylko przypomniła sobie o tym oknie z dzieciństwa. Skoro sanheyuan się zawalił, to czy domom szeregowym nic się nie stało? Podczas tego trzęsienia miała wrażenie, że Biały Dom się zawali, ucieszyła się, myślała, że skoro Biały Dom legnie w gruzach, to ona też umrze razem z nim. Biały Dom nie ucierpiał jednak zbyt mocno, zaledwie kilka pęknięć pojawiło się na ścianie, konstrukcja budynku nie została naruszona.

Bzdury, powiedział, nasz dom wykonano z materiałów najwyższej klasy, żadne trzęsienie ziemi mu niestraszne. Choćby wszystkie domy na

Tajwanie się zawaliły, to nie bój się, Chen Sujie, nasz Biały Dom będzie nadal stał.

Chen Sujie, mówił, nie wychodzisz z domu, to nie wiesz, jak bardzo zmienił się świat dokoła.

Chen Sujie, odsłoń okno i wyjrzyj na zewnątrz.

Chen Sujie, jak będziesz spała, to odsunę zasłony, dobrze?

Chen Sujie, Chen Sujie, słyszysz ten hałas? To moi robotnicy kopią fundamenty. Mówię ci, mam zamiar postawić w tej małej mieścinie najwyższy budynek świata.

Chen... Su...jie..., mówił, przeprowadzamy się wszyscy do tego najwyższego na świecie budynku obok nas. Zostaniesz sama w tym Białym Domu? Nie chcesz się przeprowadzić razem z nami? Zostawię ci jedno piętro, całe dla ciebie. Ale nie pozwolę ci powiesić zasłon.

Od kilku lat zwracał się do niej pełnym imieniem i nazwiskiem, które wymawiał prowokacyjnym tonem, dodając czasem linię melodyczną tak, że niemal je wyśpiewywał.

Kilka razy się pomylił i nazwał ją imieniem piątej siostry.

Przed ślubem spytał ją pewnego razu: jest was pięć, czemu macie takie dziwne imiona? Shumei, Shuqing, Shuli wszystkie zaczynają się od Shu, czemu ty masz Su, no i jeszcze ta twoja młodsza siostra?

Bo te siostry nie były dziećmi, których oczekiwano. Rodzice chcieli mieć synów, a tu trzy córki jedna za drugą, stąd trzy razy Shu, a kiedy za czwartym razem znowu urodziła się córka, nie mogli już dłużej używać Shu, musieli coś zmienić, żeby przerwać klątwę imienia, bo inaczej następnym razem znowu urodzi się córka. Dlatego czwarta ma w imieniu Su – żeby zatrzymać złą passę rodzenia dziewczynek. Kto by pomyślał, że piąte dziecko to znowu będzie dziewczynka.

Kiedyś zawsze mu odpowiadała, nieważne, co do niej mówił. Teraz on kopie w drzwi i krzyczy do pogrążonego w ciemnościach pokoju, ale ona nie odzywa się ani słowem. Krzyczy, wrzeszczy, a jak się upije, to kopie w sięgające do sufitu stosy gazet i kolorowych magazynów. Ale ona wcale się nie boi, że ją znajdzie, ten pokój jest jak labirynt, a on nie ma cierpliwości do labiryntów. Nawet nie wie, w jakim kącie pokoju się schowała, żeby odebrać telefon.

Ona dobrze rozumie, że strach rodzi strach, on nie odważy się odsłonić okien w tym pokoju. Pewnego razu zniknął. Od ogrodnika Białego Domu usłyszała, że wyjechał do Chin, biznes się rozrastał, nawet pojawił się reportaż w mediach, ciastka okazały się hitem, przejął też jakąś firmę elektroniczną i wszedł w branżę wysokich technologii, budował „wschodnią Dolinę Krzemową”. Po kilku miesiącach nagle wrócił. Przeprowadził tabun znajomych do Białego Domu na imprezę, hałasowali przez całą noc. Następnego dnia rano otworzył kopniakiem drzwi do jej pokoju i wbrew jej woli odsłonił okna. Blask słońca wlał się do pokoju niczym powódź, gęsty kurz tańczył w powietrzu jak szalony. Na widok światła kompletnie straciła panowanie nad sobą, ryknęła jak tygrys, skoczyła mu na plecy i zaczęła okładać pięściami jak wariatka. Udało mu się zrzucić ją z pleców, uderzyła w stos gazet i magazynów, po czym natychmiast wskoczyła mu znowu na plecy, drapiąc go po twarzy paznokciami, których od kilku miesięcy nie obcinała. Krzyczał z bólu, błagając, by przestała. Odskoczyła na bok.

– Najpierw zasłoń okna! – wrzasnęła. – Bo jak nie, to ci oczy wydrapię, a potem podpalę te gazety i magazyny. Nie wydaje mi się, żeby ten twój Biały Dom był taki ognioodporny.

Później wrzasnął tylko jej imię w progu i nigdy już nie odważył się wejść do tego pokoju. Krzyknął kilka razy, rzucił parę cynicznych uwag

i odszedł. Ten pokój należał wreszcie tylko do niej, nikomu nie wolno było wchodzić. Kiedy ogrodnik Białego Domu przynosił jedzenie, otwierał po cichu drzwi, zostawiał posiłek, bezgłośnie zamykał drzwi i odchodził. Kazała mu pogasić wszystkie światła na zewnątrz pokoju, zanim otworzy drzwi. Wiedziała, że na zewnątrz pokoju wisi sprowadzony z Paryża kryształowy żyrandol, zwiesza się trzy metry od sufitu i błyszczy jak Droga Mleczna. Nie mogła znieść światła, jakie żyrandol rzucał do pokoju. Nigdy go nie ściągnął. Jej piąta siostra wyraźnie zażyczyła sobie, żeby go zostawić.

Sama wybrała zasłony do pokoju. Całe czarne, z grubego materiału, żeby całkowicie blokowały źródło światła. Jeden komplet jednak nie wystarczył, zamówiła w sumie trzy i wszystkie trzy kazała powiesić w oknach, aby mieć pewność, że ani drobina światła się nie przebije. Słyszała, że w osadach za kołem podbiegunowym zimą panuje wieczna noc, nie ma w ogóle słońca. Chciała w swoim pokoju stworzyć coś podobnego, żeby nigdy nie było tam dnia.

Od świata na zewnątrz oddzielały ją dźwiękoszczelne importowane z Niemiec okno oraz trzy warstwy czarnych zasłon. Promienie słońca, blask księżyca, szum wiatru nie znajdowały żadnej szczeliny, przez którą mogłyby się wedrzeć do środka. Po zawieszeniu zasłon nigdy ich nie zdjęła do prania. Czasami nie była pewna, czy jeszcze żyje, zatapiała wtedy twarz w czarnych zasłonach, wstrzymywała oddech, a potem otwierała szeroko usta i oddychała głęboko. Zgromadzone na zasłonach roztocza i drobiny kurzu szybko znajdowały drogę do wnętrza jej ciała, wywołując uczulenie, zaczęła więc intensywnie kichać. A psik, a psik, a psik, a psik, a psik! Co najmniej pięć razy. Po pięciu kichnięciach utwierdzała się w przekonaniu, że nadal żyje. Kichanie przypominało jej o piątej siostrze. Ta budziła się

skoro świt i nieustannie kichała, kichała i kichała, co najmniej dziesięć razy, dzień w dzień.

Innym sposobem na utwierdzenie się w przekonaniu, że nie umarła, było dzwonienie przez telefon. Często dzwoniła do starszych sióstr, żeby sobie z nimi pogadać. Nadal pracujesz w fabryce ubrań? Przecież wy, druga i trzecia siostra, cały czas jesteście obie w Tajpej. Czy wam nie mówiłam, żebyście mnie odwiedziły w Białym Domu? Czemu żadna do tej pory nie przyszła? Miała telefon, więc wydzwaniała do nich. Siostry zawsze odbierały, choćby nie wiadomo jak były zajęte.

Kiedy tego ranka ogrodnik przyniósł jej śniadanie, powiedział, dzisiaj jest Święto Duchów, męża nie ma w domu, można zejść i odprawić obrzędy.

Odmówiła milczeniem.

W Święto Duchów składa się ofiary duchom, bramy piekieł stoją wtedy otwarte na oścież. Teraz już nie boi się duchów, ale wierzy w nie, co robić, co robić, duchy przyszły. Trzeba odprawić obrzędy, inaczej duchy się zdenerwują! A mama? Gdzie jest mama?

– A mama?! – wrzasnęła, nim ogrodnik zdążył zamknąć drzwi. – A moja mama? Czy ktoś widział moją mamę? Muszę ją spytać, jak odprawiać obrzędy w Święto Duchów! Tylko mama wie, jak to robić!

Ogrodnik zamknął drzwi, nie zwracając na nią uwagi.

Szybko znalazła po omacku stół, zapaliła jedyną w pokoju słabą lampkę nocną i zaczęła czytać gazetę.

W pokoju leżały stosy gazet i kolorowych magazynów. Czasopisma związane były w paczki poukładane jedno na drugich, hałdy sięgały aż po sufit. Zajmowały niemal cały pokój, zostawiając tylko wąską krętą ścieżkę, w której pełzała. Prała w łazience i wieszała mokre ubrania na stosach gazet. Kości kurczaka i niedojedzone warzywa wpychała w stosy

magazynów. Czasopisma pleśniały, czuć było ich smród. Wszystkie gazety były z jednego dnia. Wszystkie magazyny ukazały się w tym samym miesiącu czy tygodniu. Woń stęchlizny wydostawała się na zewnątrz pokoju. Ogrodnik powiedział, że szef życzy sobie, by posprzątać, bo w innym przypadku w całym budynku będzie czuć odór dochodzący z jej piętra, trudno będzie wtedy przyjmować gości. Ogrodnik zapewniał, że nikt nie będzie ruszał jej gazet, tylko oczyści się je z kości kurczaka i resztek jedzenia, no i że zamontują jeszcze osuszacz powietrza. Osuszacz chodził niezłomnie przez cały dzień, wieczorem zaczął pikać. Uderzyła go z całej siły, ale się nie zamknął i pikał dalej. Otworzyła więc urządzenie i zobaczyła, że pojemnik na wodę był pełny. Kiedy w środku nocy zachciało jej się pić, wypila całą wodę z pojemnika, po czym zamontowała pojemnik z powrotem i osuszacz powietrza już nie pikał.

Dzisiaj jest Święto Duchów, czas składania ofiar, trzeba znaleźć mamę, tylko mama wie, jak odprawiać obrzędy, ona nie ma o tym zielonego pojęcia, a ogrodnik tym bardziej się na tym nie zna. Wyjęła jedną gazetę ze stosu piętrzącego się obok regału, artykuł na pierwszej stronie rozpoczynał się od słów: „Zrujnowane wesele najstarszego syna potentata branży ciastkarskiej budzi wątpliwości...”. Przeczytała to już ponad tysiąc razy, ale przez te wszystkie lata ciągle do tego wracała i czytała na okrągło, myśląc, że coś pominęła.

Rozległ się płacz noworodka.

Skąd noworodek w Białym Domu? To na pewno duch.

Mamo!

W Białym Domu pojawił się upiór. Pewnie dlatego, że nikt nie złożył dziś ofiary duchom.

Co robić? Mamy nie ma. O nieba! Mamy nie ma. Nie mogła sobie przypomnieć, dokąd mama poszła.

Musiała zadzwonić do starszej siostry.

– Mamy nie ma! Mamy nie ma! Mamy nie ma!

Jej krzyk rozbrzmiewał w pokoju, budząc roztocza, gryzonie, karaluchy i pająki. Przez te wszystkie lata spleśniałe gazety nasiąknęły jej krzykiem. Gdy tylko je ruszyła, wypadały z nich dawne krzyki w towarzystwie spasionych karaluchów.

Kiedy tylko nowożeńcy się wprowadzili, w pokoju słychać było głośne echo, małżonkowie tarzali się na łóżku, a ich krzyki rozbrzmiewały w całym domu. Często zapominali zamknąć okna, ich rozkoszne głosy wydobywały się wówczas na zewnątrz, gdzie pokonawszy złote rzeźbione balustrady i ogrodzenie Białego Domu, zalewały pobliskie pola ryżowe, pokrywały drogi w całej wiosce, budziły śpiące zwierzęta domowe, docierały do uszu piątej siostry. Czasami w szczycie przyjemności wykrzykiwał imię piątej siostry, cieszyła się wtedy swoim triumfem, celowo nie zamykała wtedy okna, żeby piąta siostra mogła usłyszeć. Ten pokój mógł zdradzić tajemnicę, dlatego szczelnie go teraz pozatykała, niemal hermetycznie.

Kiedyś nie zwracał się do niej pełnym imieniem, mówił do niej: Mała Jie<sup>41</sup>.

Mała Jie, mówił, Biały Dom wybudowałem dla ciebie jako prezent. To jest twój nowy pokój, podoba ci się? Jak tylko będziesz czegoś potrzebować, to ja ci wszystko kupię, powiedz, czego ci potrzeba?

Chciała wtedy tylko jednego.

Chciała, żeby piąta siostra zniknęła.

---

<sup>41</sup> Używanie jednej z sylab żeńskiego imienia poprzedzonej słowem „mała” jest dość powszechnym zwyczajem w rodzinnych lub przyjacielskich kontaktach. Pełni funkcję naszego zdrobnienia.

## WÓJT NA MURZE FABRYKI

T. często go pytał, czego ty właściwie chcesz?

Najpierw pytał cichym głosem, czego ty właściwie chcesz, potem podnosił głos, czego ty właściwie chcesz, i jeszcze bardziej podnosił głos, czego ty właściwie chcesz, aż pytanie przerodziło się we wrzask, czego ty właściwie chcesz. Kiedy wrzask ucichł i kurtyna opadła, zawsze był płacz na zakończenie. T. płakał, mówiąc, że przeprasza.

On zaś milczał, słysząc pytania, bardzo chciał udzielić odpowiedzi, ale usta miał zaklejone taśmą, a nogi i ręce związane. T. zerwał mu taśmę z ust, poluzował więzy, powiedział, że przeprasza. Przepraszam, wiem, że powinienem iść do lekarza. Przepraszam. Boli?

Taśma mocno trzymała, wydawało mu się, że razem z taśmą oderwał mu wargi. Nie mam ust, no i dobrze, nie muszę odpowiadać T. na pytania. Bolało go każde miejsce na ciele, T. obejmował go, płacząc i cierpiąc jeszcze bardziej. Nie przestając płakać, T. zaczął go całować. Nie mógł odwzajemnić pocałunku, nie miał ust, jak miał całować? Czasami taśma zaklejała mu nos, nie mógł oddychać, prawie się już udusił, kiedy T. odcinał taśmę nożem. T. był prawdziwym artystą, ostrzem noża wyciął w przyklejonej do skóry taśmie dostęp do dróg oddechowych, nie naruszając w ogóle ciała.

T., wróciłem. Wiedziałem, że zawsze chciałeś wrócić do domu, do tego miasteczka nad Bałtykiem, żeby biegać po plaży, patrzeć na statki, czekać



na śnieg, na koniec lata, na przyjscie wiosny, czekać, aż ryba weźmie, czekać na następny pociąg. Zawsze chciałeś uciec, ale ciągle wracałeś do tego domku nad brzegiem morza, gdzie byli rodzice, stary pies, na stole zawsze leżała wędzona ryba z morza, pstrąg, łosoś, węgorz, makrela, koleń, śledź kiloński. Zapach ryb przypominał ci Morze Bałtyckie. Ryby to twoje dzieciństwo, zawsze narzekałeś, że w Berlinie nie ma takich dobrych ryb morskich.

Przed wyjściem z więzienia kolega z celi spytał go, dokąd pójdzie, jak już wyjdzie.

Nikogo nie znał w Berlinie, nie miał się gdzie zatrzymać, mógł tylko pójść do ośrodka readaptacyjnego, ale najpierw chciał wrócić na krótko do domu. Kolega z celi spytał: wracasz do domu? Gdzie jest twój dom? W więzieniu był globus, położył palec na Niemczech i powoli obracał kulę ziemską, pokazując tor lotu, jaki odbędzie po wyjściu z więzienia, przecinając Europę, Azję Środkową, aż do Azji Wschodniej, zakończeniem linii wyznaczającej drogę powrotną miała być pewna wyspa. Dotarł palcem do Azji Wschodniej, przemierzył Chiny, doszedł do Pacyfiku, ale nie było tam wyspy, na której mógłby wylądować. Nic. Pusto. Na tym globusie, o dziwo, nie było Tajwanu. Pokazał mu palcem róg pozostałego już tylko oceanu. Pochodzę z małej wyspy leżącej w tej części oceanu, tam jest mój dom. To chyba bardzo mała wyspa, taka mała, że pominięto ją na tym globusie w berlińskim więzieniu. Patrzył na niebieski ocean, czy to możliwe, że kiedy on siedział w więzieniu, to wyspa zupełnie zniknęła? Daleki Wschód nawiedziło potężne trzęsienie ziemi, płyty tektoniczne przemieściły się, zmieniły położenie, a on siedział sobie spokojnie w więzieniu, o niczym nie wiedząc?

Naprawdę wrócił, wrócił do tej nieistniejącej wyspy na oceanie, do tej nieistniejącej wioski w centralnej części tej wyspy.

Opuścił sad karambolowy i udał się na obrzeża osady, chciał się pokłonić ojcu. Cmentarz leżał na uboczu, z dala od domów. Śmierć nie wróży nic dobrego, może zmącić porządek społeczny, więc wysiedlono ją na obrzeża; im dalej, tym lepiej. Jak żywi nie będą widzieć grobów, to może śmierć ich ominie.

Mama nie pozwoliła mu zjawić się na pogrzebie ojca. Wiele lat temu u ojca zdiagnozowano terminalne stadium raka wątroby, był w różnych szpitalach i w każdym dawali mu kilka miesięcy życia. Zrezygnował więc z chemioterapii, wypisał się ze szpitala, ale nie wrócił do domu, powiedział, że chce zamieszkać w świątyni. Matka trzymała ojca krótko, ale ten powiedział, zostało mi tylko kilka miesięcy, pozwól mi mieszkać w świątyni. Matka wrzasnęła, że się nie zgadza, a ojciec na to, i tak umrę, pozwól mi iść. Niewielu wiernych odwiedzało tę małą świątynię bogini Mazu, zazwyczaj panowała tam cisza, ojciec, tak samo jak świątynny, wcześniej chodził spać i wstawał skoro świt, chorował w spokoju, czekając na śmierć.

Choć dawano mu tylko kilka miesięcy życia, ojciec, mieszkając w cichym przybytku bogini Mazu, przeżył jeszcze dziesięć lat.

Kiedy umarł, jego syn był w Niemczech.

– Tata wczoraj umarł – zadzwoniła do niego druga siostra. – Przyjedź do domu. Znasz mamę, nie jest zbyt zrównowazona, mówi, że jak przyjedziesz na pogrzeb, to jej śmierć będzie następna. Myślę sobie, to w końcu pogrzeb ojca, na pewno chce, żebyś przyjechał. Przyjedź, już ja pomyślę, jak sobie z mamą poradzić. W końcu to syn musi nieść tabliczkę przodka<sup>42</sup>.

– A starszy brat? Przecież wyszedł już chyba z więzienia.

– Kto wie. Mówił, że się pojawi, ma prowadzić interesy z Wangami, ale nigdzie go nie ma.

Sala pożegnań stanęła przy domach szeregowych, dzień później przyleciał z Niemiec, wrócił do tych szeregowców w Yongjingu, dochodziła północ. Trzy najstarsze córki siedziały przy okrągłym stole, robiąc lotosy z papieru.

– Dobrze, że przyjechałeś tak późno – powiedziała trzecia siostra, kiedy go zobaczyła. – Mama poszła spać. Nie wie, że jesteś.

Sala pożegnań była skromna zgodnie z życzeniem ojca, im prościej, tym lepiej, ceremonia nie musi być wystawna, nie trzeba nic palić dla niego, tylko się pomodlić i skremować – wystarczy. Ojciec na zdjęciu pogrzebowym był w średnim wieku, lekko uśmiechnięty, z gęstymi brwiami i jasnymi oczyma, tryskał zdrowiem, na twarzy widać było nieliczne zmarszczki. Miał za życia wiele sekretów, których nie wyjawiał, jego twarz na zdjęciu pogrzebowym była nieporuszona. Po śmierci nieporuszona, a za życia tak pilnie skrywana. Każde z dzieci, siedząc przed salą pożegnań, miało własną ocenę, własne skryte myśli. Zwłok nie włożono do trumny, jeszcze nie pora, na razie umieszczono je w chłodziarce, która była przezroczysta od góry, ojciec leżał na plecach ubrany w strój pogrzebowy.

– Tato, to ja – powiedział, kładąc rękę na chłodziarce.

Ojciec po śmierci miał taki sam wyraz twarzy jak na zdjęciu pogrzebowym, rozluźnione zmarszczki, kruczoczarne włosy.

Ktoś musiał czuwać przez noc. Zgodził się, w końcu jego organizm wciąż funkcjonował w czasie niemieckim, więc nie był senny. Idźcie spać, ja zostanę na czuwaniu.

Noc w Yongjingu przebiegała naprawdę spokojnie. Czuć było już początek jesieni, chłodny wiatr przynosił ledwie słyszalne odgłosy owadów. Czyż nie widział się z siostrami już od bardzo dawna? Czemu one wszystkie takie zdystansowane, nawet go nie dotknęły, nie objęły, spuściły

wzrok, nie uśmiechnęły się, nie uroniły łzy. Podawały mu tylko ciągle coś do jedzenia.

– Zjedz coś. Co tak schudłeś w tych Niemczech?

Drzwi były otwarte na oścież, w sali pożegnań paliło się światło, za kadzielnicą stał mały odtwarzacz, z którego nieustannie wydobywało się ciche *namo Amitabha*<sup>43</sup>. Siedział sam, robiąc lotosy z papieru i jedząc makaron błyskawiczny. Przekazując mu czuwanie, siostry powiedziały, żeby uważał na bezpieczne psy i koty, których wiele włóczy się po okolicy, a tradycja mówi, że nie mogą wejść do sali pożegnań. Wytrzeszczał oczy i nadstawiał uszu, szukając psów i kotów w ciemnościach, nagle zauważył, że uliczka, przy której stały szeregowce, od czasu jego wyjazdu zmieniła się w szeroką ulicę, wyasfaltowaną i gładką, w świetle padającym z sali pożegnań lśniła niespotykanym dotąd blaskiem.

Nazajutrz pierwsza obudziła się mama.

– A twój starszy brat? – spytała, widząc syna. – Jeszcze na Kontynencie? Ojciec umarł, syn musi nieść tabliczkę przodka. Twój powrót na nic się nie zda. Żaden z ciebie syn.

Tego dnia wiele się wydarzyło. Matka go wygoniła, sprzeniewierzyła się ostatniej woli ojca, stwierdzając, że pogrzeb musi być wystawny i że nie będzie żadnej kremacji, tylko pochówek w ziemi. Kazała mu się wynosić, wyzywając go od darmozjadów, skandalistów i wyrodków. Kiedy odchodził, ciało ojca właśnie wkładano do trumny. Matka stwierdziła, że trumna zbyt nędzna i zwłoki mogą poczekać. Rodzina Chenów nie ma teraz co prawda zbyt dużo pieniędzy, ale na trumnę to ich jeszcze stać i osobiście pójdzie wybrać jakąś lepszą. Najstarsza córka powiedziała, że to trumna, którą tata sam zamówił w zakładzie pogrzebowym obok, tanie drewno, prosty wzór, ojciec mówił, że i tak do spalenia, więc wystarczy, że się będzie dobrze palić.

Zanim sobie poszedł, matka zaczęła zawodzić i płakać, obejmując zwłoki ojca. Z jej ust sypały się litanie inkantacji, nie pozwalała złożyć ciała do trumny.

Nie było go więc na pogrzebie ojca, a po powrocie do Niemiec trafił do więzienia i do tej pory nie odwiedził jego grobu. Wiedział, gdzie go pochowano, a skoro już wrócił, i to w Święto Duchów, poszedł pochylić się nad jego grobem, ale zabłądził, nie mógł znaleźć drogi prowadzącej na cmentarz. Wszystkie ścieżki w wiosce wyglądały inaczej niż w jego pamięci. Pamiętał błotniste dróżki pełne drobnych kamieni, a dzisiaj te polne ścieżki pokryte były asfaltem. Pamiętał, że po wyjściu z sadu trzeba minąć fabrykę sosu sojowego, zatoczyć łuk, a potem iść dalej prosto i można dotrzeć do cmentarza. To pewnie przez ten upał. Miał wrażenie, że mu się mózg zagotował i nawigacja w głowie przestała działać. Długo krążył, aż w końcu znalazł fabrykę sosu sojowego, zobaczył zaniedbaną i pozbawioną metalowego dachu halę produkcyjną porośniętą krzakami. W dzieciństwie znajdował ją na węch, jak tylko poczuł słoną woń, wiedział, że jest blisko fabryki. W Berlinie mieszkał nieopodal fabryki słodczy i za każdym razem gdy otwierał okno, czuł słodką woń. Tego dnia, kiedy zabił swego T., otworzył okno, a silny zapach miodu wdarł się do mieszkania. O, dzisiaj robią miodowe słodczy. Cały był we krwi, swojej i T., bolało, był śpiący, zapach miodu przypominał mu pełnię wiosny, zakwitające wszędzie kwiaty, bzyczące pszczoły. Wdychając tę woń, leżał na zimnej posadzce, aż w końcu zasnął głęboko. Zanim zabił T., sypiał niewiele. Nareszcie zasnął, spał głęboko, jak zabity, nie śniło mu się nic.

Zmysł węchu umożliwiał mu orientację w terenie, sad karambolowy pachniał dojrzałymi owocami, ze Świątyni Mazu pod Murami Miasta dochodził zapach tłących się wonności, na cmentarzu czuć było swąd palonych papierów pozagrobowych<sup>44</sup>, a fabryka sosu sojowego śmierdziała

fermentującą soją. Fabrykę sosu sojowego dawno porzucono, jej mury pokryte były różnorakimi malunkami oraz chmarą reklam i ogłoszeń w postaci plakatów czy naklejek. Przyjrzał się uważniej. Jakiś wójt zrobił sobie z tego muru platformę propagandową, niezręcznymi pociągnięciami pędzla i z wykorzystaniem przesadnie wyrazistych kolorów przedstawiono udane żniwa, obfite zbiory i uśmiechniętych rolników cieszących się z zebranych plonów. Najistotniejszym elementem malowidła na murze był portret ówczesnego wójta: duża, owalna twarz, białe zęby, a obok napis: „Yongjing rozwinięty i zamożny, wszyscy razem świętujemy udane żniwa, wójt Chen Tianyi oraz Fundacja Wang Xin życzą wszelkiej pomyślności”.

Brat.

Wójt Chen Tianyi to jego starszy brat. Szóste dziecko w rodzinie Chenów. Najpierw urodziło się pięć córek, aż w końcu na świat przyszedł syn.

To była twarz jego brata, nie miał co do tego wątpliwości: pokaźne czoło, gęste brwi, wielkie oczy, kędzierzawe włosy, podobny do matki. Malunek wyblakł od słońca i deszczu, płaty farby poodpadały, usta zupełnie zniknęły. Podeszedł bliżej. Nad podobizną brata widniało wiele obraźliwych dopisków: „Pierdol się, łapówkarz, sprzedawczyk, idź do diabła, oddawaj pieniądze”. Liczne reklamy, ogłoszenia i plakaty wyborcze pokrywały znaczną część muru, zasłaniając malowidło. Przeczytał wszystkie reklamy i ogłoszenia: wróżenie, wieszczbiarstwo, kupię używane pojazdy, pożyczki na samochód, renowacja foteli, bezpośrednio z fabryki, gujawa prosto od rolnika, sprawy rozwodowe, zdrady małżeńskie, profesjonalne usługi matrymonialne, bezoperacyjne powiększanie piersi, naprawa wieży ciśnień, oczyszczanie szamb, profesjonalne windykcje, inwestycje przez pełnomocnika, żony z Wietnamu, uwierz w Boga i żyj wiecznie; i jeszcze wiele plakatów wyborczych kandydatów na radnych, delegatów czy

starostów, poprzyklejanych jedne na drugich, stare odpadły, nowe doklejano, cały mur aż krzyczał.

Tak wyglądały ogłoszenia z jego rodzinnych stron. Naciągacze, podziemie finansowe, przestępczy półświatek, swatki, polityka, korupcja; kto miał jakikolwiek kłopot, przychodził pod ten mur, przy każdym ogłoszeniu widniał numer telefonu, wystarczyło zadzwonić i po problemie.

– Kolego...

Zatrzymał się przy nim pikap, kierowca wystawił głowę.

– To ty? – przywitał się. – Chen Tianhong?

Wysiadł z auta i podszedł do niego.

To Łódeczka.

Ten Łódeczka, który przyprawiał go o chorobę morską. Kolega z gimnazjum, chodzili do tej samej klasy, drugi chłopak, w którym się zakochał po Czerwonych Spodenkach.

---

[42](#) Podłużna prostokątna tabliczka, na której wypisano imię zmarłego i pomyślne zaklęcia. Uważa się, że mieszka w niej dusza zmarłej osoby.

[43](#) Powierzam się Amitabhie (sentencja sanskrycka).

[44](#) Papiery z zaklęciami, życzeniami lub innym tekstem palone zmarłym, czasem utożsamiane z pieniędzmi pozagrobowymi.

## PARYŻ, DZIĘKUJĘ

Znowu zadzwonił telefon.

Shumei podniosła się z lastrykowej posadzki. To pewnie znowu czwarta siostra, pomyślała. Kilka miesięcy wcześniej przeczytała w internecie, że rodzina z Białego Domu pojechała na wakacje do Europy. W co byli ubrani, jadąc na lotnisko, jakim samolotem lecieli, w jakim hotelu mieli się zatrzymać, jakim samochodem jechali, dziennikarze rozebrali wszystko na części pierwsze, wyszczególniając marki i ceny. „Potentat branży ciastkarskiej wyrusza z synem na wycieczkę do Europy, najstarszemu synowi nie towarzyszy małżonka, ale młoda przyjaciółka”. Dziennikarze sporządzili drzewko genealogiczne: obie żony potentata, tajwańska i pekińska, trzymały taką samą torebkę od paryskiego projektanta. Małżonki najstarszego syna od wielu lat nie widziano, a jego nowa „przyjaciółka” to świeżo upieczona dwudziestoletnia modelka. Zamieszczono również zdjęcie żony najstarszego syna, twarz miała zmartwioną.

To była właśnie czwarta siostra, zdjęcie zrobiono teleobiektywem wiele lat temu podczas pogrzebu piątej; tak naprawdę to nawet za bardzo nie wiedziała, jak teraz może wyglądać czwarta siostra. Kupiła owoce i poszła do Białego Domu, nacisnęła dzwonek. U bramy zamontowano monitoring. Nie było odpowiedzi na dźwięk dzwonka, ale wiedziała, że ktoś na nią



patrzy. Nagle z małego bocznego wejścia w ogrodzeniu Białego Domu wyjrzał ogrodnik i z daleka dał jej znać, żeby weszła małym wejściem.

Shumei ruszyła do niego szybkim krokiem.

– Po co te nerwy, nie jestem taka głupia, wiem, że ich nie ma w domu, bo wszyscy są w Europie. Pisali przecież w internecie.

Ogrodnik zmarszczył brwi.

– To mi bardzo utrudnia pracę. Jak wrócą, będą sprawdzać nagrania z kamer, a ja dostanę dodatkowe zajęcie, bo będę musiał je opracować. Wchodzić, szybko, żeby nikt nie widział.

Ogrodnik wpuścił ją małym wejściem i przez ogród zaprowadził do Białego Domu. Shumei stanęła u drzwi czwartej siostry, zapukała.

– Sujie, to ja, najstarsza siostra. Przyszłam cię odwiedzić.

Sujie nie otworzyła drzwi. Zadzwoiła więc do niej.

– Czyś ty oszalała?! – wrzasnęła z głębi pokoju, zanim jeszcze się połączyły. – Czy nie mówiłam wyraźnie, żebyś tu nie przychodziła? Tutaj jest odrażająco! Syf i mogiła! On może cię zabić! Przed niczym się nie cofnie!

Jej krzyk wydobywał się z pokoju i trafiał do uszu Shumei niczym ponury grom uderzający w oddali. Szkoda, że to nie prawdziwy grzmot, pomyślała Shumei, bo dawno nie padało, powietrze było gęste i unosił się w nim słaby zapach spalenizny. Zapukała raz jeszcze.

– Nie martw się, nie jestem taka głupia. Wiem, że ich nie ma w domu. Otwórz mi. Przyniosłam owoce, twoje ulubione papaje. Zjemy sobie razem. Co ty na to?

Sujie wciąż nie otwierała, rozmawiając z nią cały czas przez komórkę.

– Idź stąd – wyganiała ją – i więcej nie wracaj! Za mało osób z naszej rodziny już nie żyje?

Shumei stała przed drzwiami pokoju w Białym Domu, trzymając w ręku dzwoniącą non stop komórkę, a zza ściany dochodziły nieustające krzyki Sujie. Nie odbierała telefonu, niech sobie dzwoni.

Dzisiaj Święto Duchów, Sujie zadzwoniła, wrzeszcząc „Mamy nie ma!”, nie wspominała o mamie już od wielu lat, co ją dzisiaj naszło? Teraz znowu zadzwonił telefon, odszukała komórkę między skrawkami materiału walającymi się obok maszyny do szycia, na wyświetlaczu nie pojawiła się jednak czwarta siostra, lecz Paryż.

Odebrała natychmiast.

– No witam, witam! Widzę, że szefowa nie odprawia dzisiaj obrzędów, skoro ma czas do mnie dzwonić.

– Shumei! Przyjeżdżaj tu zaraz! Był wypadek! Twój mąż miał wypadek na drodze. Mleko, wszędzie pełno mleka. Ajajaj! Przyjeżdżaj tu zaraz!

Nie wpadła w histerię, chłodnym tonem spytała o miejsce i oświadczyła, że zjawi się jak najszybciej. Znowu kłopoty, przez te ostatnie kilka lat jej mąż ciągle sprawia jakieś kłopoty, już chyba nic jej nie było w stanie przerazić. Po głosie Paryż stwierdziła, że samochód się przewrócił, ale nikt nie zginął. To był upalny dzień, postanowiła się nie śpieszyć. W końcu Paryż była na miejscu.

Spojrzała w lustro, przebrała się, pół roku temu zrobiła sobie trwałą, włosy się już niemal rozprostowały i poblakły, na jej twarzy widać było zmęczenie, powieki miała zapadłe, zmarszczki głębokie, wydawało jej się, że tylko jakieś nieustające trzęsienie ziemi na jej skórze mogłoby porozrywać te zapadliny. Włosy aż prosiły się o dodatkowe farbowanie i ponowną trwałą ondulację, ale ostatnio nie miała pieniędzy na Paryż.

W tej małej wiosce znajdowały się trzy salony fryzjerskie, najstarszy z nich nie miał nazwy, na zapleśniałym drewnianym szyldzie przed wejściem widniał napis „Strzyżenie włosów”, wieczorem szyld odwracano

i był „Kurczak w cieście”. Właścicielka nie zmieniała oleju od dziesięciu lat, w kurczaku często można było znaleźć włosy, okoliczni mieszkańcy mówili więc, że to „Kurczak po włosku”. Kolejny salon nazywał się „Cztery Siostry”. W ich rodzinie, podobnie jak u Shumei, urodziły się cztery córki, jedna za drugą, i wszystkie zostały fryzjerkami. Miały jednego ojca, ale cztery różne matki, ojciec wziął cztery kobiety, żeby mieć syna, ale z żadną mu się nie udało. Kiedy na świat przyszło czwarte dziecko, tak się zdenerwował, że zachorował na serce i umarł. Ich strzyżenie i ondulacja były takie sobie. Kiedy w kalendarzu rolniczym<sup>45</sup> pojawił się „Dzień Pomyślny”, zamykały salon i tańczyły w paradach pogrzebowych<sup>46</sup>, a na pogrzebie ojca przewodziły procesji, aby dusza zmarłego bez problemów trafiła na Wzgórza Nieśmiertelnych. Trzeci salon nazywał się Paryska Pracownia Pięknych Fryzur i cieszył się największą popularnością wśród okolicznych kobiet, na ścianach wisiały tam plakaty z wieżą Eiffla, fryzjerkami były matka i córka, które przyjechały z Tajpej. Nie mówiły po tajwańsku. Podobno spędziły kiedyś trzy dni i dwie noce w Paryżu na wycieczce grupowej. Właścicielka miała jasną cerę, długie rzęsy, prosty nos i cichy chód. Kiedy ją zobaczyła, Shumei od razu zrozumiała, dlaczego na ludzi ze wsi mówi się „capy”, Paryż zaś pochodziła z miasta, na jej twarzy nie było ani grama pyłu, skórę miała czystą i rześką, gdzie tam mógłby się z nią równać taki kocmołuch jak ona. Kiedy myła twarz, umywalka zapełniała się brudem, kiedy Paryż się umyje, myślała sobie, woda pozostaje czysta i przejrzysta. Córkę miała Paryż równie ładną. Po cichu myła głowy, zamiatała włosy, nie odzywała się. Podobno chodziła kiedyś do jednego ze sławnych liceów żeńskich w Tajpej, ale nabawiła się depresji, zrezygnowała z dalszej edukacji i przyjechała z mamą na wieś.

– Jak się córce polepszy – mówiła Paryż – to wrócimy do Tajpej.

Paryska Pracownia Pięknych Fryzur oferowała tylko jeden typ trwałej ondulacji, ale obok lustra wisiało zdjęcie matki i córki przed wieżą Eiffła w Paryżu. Kto z miejscowych był kiedykolwiek za granicą? Kto w ogóle miał paszport? Ten „paryski” salon był w małej wiosce definitywnym wyobrażeniem Europy. Przychodząc tu na trwałą ondulację, można się było poczuć jak we Francji, jak w Europie. Każde włosy po ondulacji wyglądały identycznie. Przyglądając się od tyłu kobietom robiącym zakupy na targu, można było zauważyć, że wszystkie wyglądają tak samo, prosto z Paryża.

– Shumei – zagadnęła ją pewnego razu właścicielka „paryskiej pracowni” – czy twój brat nie mieszka przypadkiem w Europie? W Paryżu? To niesamowite. Ach, Paryż jest taki piękny, popatrz, ten ciuch kupiłam właśnie w Paryżu, prawda, że ładny.

– Brat jest w Berlinie – odpowiedziała jej Shumei.

– W Berlinie? Gdzie? Czemu nigdy nie słyszałam? Byłaś tam?

Pokręciła głową.

– Chciałabym pojechać.

Kiedy jako piętnastolatka wyjechała do Shalu w powiecie Taichung, żeby pracować w tamtejszej fabryce, myślała, że może wyjechać daleko, daleko, a okazało się, że nigdzie nie wyjechała, a w dodatku wróciła. Zazdrościła właścicielce wycieczki do Paryża, chociaż była pewna, że na targu wieczornym w miasteczku obok widziała na straganie ten paryski ciuch. Wtedy po raz pierwszy poczuła, jak od paryskiej szefowej śmierdzi.

Gdy miała osiemnaście lat, spotkała swego przyszłego męża. Poznali się właśnie w tej fabryce włókienniczej w Shalu. Mąż miał na nazwisko Gao, był operatorem wózka widłowego. Małomówny, drobny, ładował i rozładowywał towary, mówiono na niego Mały Gao<sup>47</sup>. Obsługa wózka widłowego nie należy do najłatwiejszych, ale jej mąż był mistrzem w tej dyscyplinie, zwinnie jeden za drugim układał na regałach kartony sukna. Za

każdym razem kiedy przychodziła do magazynu po materiał, nierozmowny zazwyczaj Mały Gao podchodził i witał się z nią.

– Shumei, przejedziesz się?

To „przejechanie się” polegało na tym, że pod nieobecność kierownika sadzał ją na wózku i robili razem kilka rund po magazynie. Los pracownic nie był lekki. Kilkanaście młodych dziewczyn dzieliło jeden mały pokój w hotelu pracowniczym, każdego dnia szwaczki spędzały kilkanaście godzin przy maszynach do szycia, w tygodniu przysługiwał im tylko jeden dzień wolny. Możliwość zrobienia kilku rundek wózkiem widłowym z młodym operatorem przy boku uchodzić musiała w tej fabryce za romantyczną przygodę. Z obawy, że kierownik ich zobaczy, ciągle odmawiała, nie odważyła się wsiąść na wózek. Przerwała edukację, mając piętnaście lat, i wyjechała do Shalu, gdzie znalazła pracę. Eksport tajwański wówczas rozkwitał, zamówień w branży włókienniczej było co niemiara. Od koleżanki z klasy usłyszała, że w Shalu szukają pracownic, kierownik fabryki nie zwraca uwagi na wykształcenie, zapewnia zakwaterowanie, zatrudni każdą, która gotowa jest ciężko pracować. Nie lubiła się uczyć, nic jej do głowy nie wchodziło, a w domu bez przerwy słyszała, jak matka narzeka na biedę, postanowiła więc pójść z domu i zarobić trochę pieniędzy. Poza tym naprawdę nie mogła już dłużej zostać w domu po tym, co się stało; po tym, o czym ojciec nie wiedział; po tym, o czym cały świat nie wiedział, chciała jedynie uciec. Matka jej nie pozwoliła, nie rozumiała. Chce zarobić pieniądze, a jak zarobi, to przecież je przyniesie rodzinie, a w domu będzie o jedną gębę mniej do wykarmienia i o jedno czesne mniej do zapłaty. Co w tym złego? Matka spoliczkowała ją i zabroniła gdziekolwiek wyjeżdżać. Matka w zasadzie nie sprzeciwiała się, żeby córka wyjechała do pracy, ale nie cierpiała jej, dlatego zawsze się sprzeciwiała w każdej sprawie. Wiedziała, że matka jej nie cierpi właśnie z powodu tego, co się

stało. Jedna z jej koleżanek już kilka miesięcy temu rzuciła szkołę i wyjechała do pracy, a teraz wróciła z Taichungu w nowych ciuchach, cała rozpromieniona, powiedziała jej na ucho, że w fabryce jest mnóstwo facetów. Następnego dnia razem z nią pojechała do Shalu i zatrudniła się w fabryce ubrań.

Nie słyszała wcześniej o Shalu. Z pociągu przesiadła się w autobus, aż w końcu dotarła na miejsce. Po drodze widziała wiele fabryk, co oznaczało, że o pracę będzie łatwo, da się zarobić. Jako prosta dziewczyna ze wsi, nie widziała nigdy tylu samochodów ani tylu ludzi naraz. W Shalu wyglądało lepiej niż w domu, i to bez dwóch zdań. Można było zarobić pieniądze, był targ nocny, był uniwersytet, była atmosfera wielkomiejskiego rozkwitu, nie musiała już codziennie mieć do czynienia z matką. Zamieszkała w żeńskim hotelu pracowniczym. Kilkanaście nastoletnich dziewczyn z ubogich rodzin, porzuciwszy szkołę, przyjechało tutaj szyć.

Kiedy odebrała pierwszą wypłatę, była tak szczęśliwa, że natychmiast wróciła do domu i dała wszystkie pieniądze mamie. Matka je przyjęła, nawet na nią nie spojrzała, przeliczyła, zmarszczyła brwi, słowem się nie odezwała, niezadowolona, że tak mało. Potem wracała do domu znacznie rzadziej, grzecznie wysyłając co miesiąc pieniądze do domu, a w niedzielę siedziała w hotelu, popłakując i słuchając radia. Młodsze siostry wysyłały do niej listy, pisząc o tym i owym, co się w domu działo, a młodszy brat zawsze coś na liście rysował, dopisując: „Wracaj szybko”. Młodszy brat miał przyjemny charakter pisma już od małości. Przy siostrach wcześniej zaczął pisać, uwielbiał się uczyć, nic dziwnego, że jak dorósł, to został pisarzem. Chociaż ni w ząb nie mogła zrozumieć tych jego książek, to każdą z nich kupowała. Jeździła skuterem do księgarni w miasteczku obok, gdzie pytała księgarza o konkretny tytuł.

– To mój brat napisał – mówiła, płacąc za książkę. – Błagam, wypromujcie, dziękuję.

Jak poznała Małego Gao, to w każdy zwykły dzień o dziesiątej wieczorem przywoził jej do hotelu kolację. Inne pracownice, widząc go, krzyczały:

– Shumei, masz wizytę!

Siedzieli oboje pod zadaszeniem na zewnątrz hotelu, jedząc kurczaka w cieście i podziwiając niebo nad Shalu. Przed budynkiem bez przerwy przejeżdżała z hurkotem jakaś wywrotka, podnosząc tumany szarego pyłu, pod którego osłoną odważyła się w końcu podnieść głowę i szeroko otwartymi oczyma spojrzeć na Małego Gao: mały nos, małe oczy, drobna postura, śniada cera, dobry kierowca, za dnia jeździ wózkiem widłowym w fabryce, wieczorami dorabia często na ciężarówce, wożąc cement, arbuzy, kapustę, prawie nic nie mówi i przypomina jej ojca.

Pewnego razu zarwały się półki w magazynie sukna i przewróciły inne regały jak kostki domina, kilka ton towaru runęło z hukiem na ziemię, uniosła się chmura kurzu, przewróciły się stalowe ściany hali. Przypadło akurat na szczytowy okres wysyłek, wszyscy operatorzy wózków widłowych pracowali wtedy w magazynie i wszystkich przygniotły zwały towaru. Wraz z resztą załogi rzuciła się odgarniać towar, aby wyciągnąć operatorów. Pamięta doskonale, że wtedy przygotowywano się do wysyłki kontenerów z czerwonymi koszulkami polo, wszystkie pracownice rzuciły swoje zajęcia i wparowały w hałdy czerwonego sukna na ratunek uwięzionym. Wgrzebywała się coraz głębiej i głębiej, w końcu natrafiła na jakieś ciepłe ciało, pociągnęła ile sił w rękach, żeby je wydostać, ale nie dawała rady, rozerwała czerwone sukno, przyjrzała się uważniej i dopiero wtedy zobaczyła, że cała czaszka była zmiażdżona. Nagle z toni czerwonego sukna wynurzyła się inna głowa, to Mały Gao, uśmiechnął się

szeroko, kiedy ją zobaczył. Popatrzyła raz jeszcze na zgniecioną czaszkę, wiedziała, że to ojciec trojga dzieci, jego żona też pracuje w szwalni, siedzi naprzeciwko niej. Beczała przeraźliwie, trzymając się za głowę, Mały Gao wygramolił się ze zwałów czerwonego sukna, nie był nawet zadraśnięty, usiadł koło niej, czekając, aż się wypłacze.

– Shumei – powiedział w końcu – chcesz się przejechać?

Następnego dnia wróciła do pracy w fabryce, czerwonego sukna już nie było, nocą naprawiono stalowe ściany fabryki. Naprzeciw niej pojawiła się nowa pracownica, usiadła i od razu wzięła się do szycia. Musimy szybko wysłać towar, wydierał się kierownik, nikt się nie obija! Pytała koleżanki, co się stało z kobietą, która wcześniej siedziała naprzeciwko, co jej mężowi głowę zmiażdżyło. Żadna nie odpowiedziała, mówiąc jej, żeby sama też nie gadała.

Kilka miesięcy później zaszła w ciążę. Kierownik, jak tylko o tym usłyszał, jeszcze tego samego dnia przyszedł do hotelu pracowniczego, każąc jej się spakować i wynosić. Nie miała dokąd pójść, mogła tylko wrócić do rodziców.

– Mówiłaś, że jedziesz do pracy – wrzasnęła na nią matka – a tu się okazuje, że balować pojechałaś, niezłe tam musiały być balety, że z brzuchem wracasz!

Niezamężna matka w takiej małej dziurze to wielki blamaż. Ktoś obok właśnie chciał wynająć jeden z szeregowców, ojciec wyłożył więc pieniądze na najem mieszkania dla nowożeńców, wesele zorganizowano w pośpiechu, posag był mizerny. Pracowała poza domem przez trzy lata, zamierzała odłożyć trochę pieniędzy i osiaść w Taichungu, nie chciała do końca życia pracować w szwalni, myślała o tym, by otworzyć własny zakład i sprzedawać piękne ubrania. Zatoczyła koło, z wielkomiejskiego



snu wróciła do małej wioski, do tych szeregowców, do tego domu, z którego z takim trudem uciekła, a który teraz będzie miała tuż za ścianą.

Mąż zrezygnował z pracy na wózkach w Shalu i razem z nią wrócił do tego grajdołka, znajdując dorywczą pracę na okolicznych budowach. Dopiero po ślubie dowiedziała się, że jej cichy mąż ma słabość do hazardu, do kart, madżonga i innych gier. W dziewiątym miesiącu ciąży skończyły się gromadzone przez kilka lat oszczędności, poszła po sąsiedzku do mamy z prośbą o pożyczkę, miała do przejścia dosłownie dwa kroki, ale każdy z nich był ciężki, poczuła wstyd, ledwie tylko usta otworzyła. Matka wyjęła plik banknotów.

– Poszłaś z domu, jak miałaś piętnaście lat, żeby zarabiać pieniądze – matka okładała ją słowami ostrymi jak miecz – i tak zarobiłaś, że musisz ode mnie pożyczać. Na całym świecie tylko ty jedna taka tępa, co nie wie, że to hazardzista i na zapleczu świątyni Boga Ziemi kasę przepuszcza.

Wróciła do domu, schowała dobrze pieniądze, wzięła tasak kuchenny i wparowała do świątyni Boga Ziemi, powywracała stoły, porozrzuciła krzesła, pocięła nożem kilku graczy, którzy stawiali opór, kilka osób postronnych, figurkę Boga Ziemi – tylko męża nie pocięła. Ten wymknął się ze świątyni, pobiegł na pola, ona z nożem w ręku rzuciła się za nim, a za nią jechała już policja na sygnale. Przebiegła przez pola ryżowe, uprawy chryzantem, szpinaku wodnego<sup>48</sup>, gdy nagle wody puściły i zanim przyjechała karetka, urodziła dziecko na plantacji szpinaku. Pamięta, że tego wieczoru żaby na polach głośno rechotały, a ich odgłosy harmonizowały z jej krzykami. Księżyc lśnił jasno tej letniej nocy, widziała wyraźnie każdą twarz wokół siebie, nie widziała tylko twarzy ojca swej córki. Tego pola, gdzie rósł szpinak wodny, już nie ma, a na jego miejscu postawiono okazały Biały Dom. Biegła wtedy szybko, im dalej, tym szybciej, prawie go dopadła, była tuż-tuż, niemal go pocięła. Po dwóch

dniach wyszła ze szpitala i wróciła do domu, żeby tam spędzić okres połogu. Pieniądze, które pożyczyła od mamy, nieprzypadkowo zniknęły.

Nie umarł od tasaka, nie zatrzał się mydłem, wiedziała, że wywrócony samochód też go dzisiaj nie zabije.

Wiedziała, że jej mąż pomieszkiwał ostatnio u Paryż. Przez ostatnie kilka lat pracował w supermarkecie, był kierowcą, woził warzywa, ryby i różne inne towary. Znajome doniosły jej, że zobaczyły jakąś kobietę w ciężarówce jej męża, twarzy dobrze się nie przyjrzały, nie było też czasu na zrobienie zdjęcia, zachęcały ją, żeby poszła po pomoc do detektywa i dojechała sukę. Śmiejąc się gorzko, wyzywała ją od suk i zdir, ale nie chciała wiedzieć, kto to jest. Skoro jakaś głupia kobieta uczepiła się jej męża, to mogła tylko dziękować – z pewnością był to znak od Mazu. Pewnego dnia, kiedy przyszła do salonu Paryż umyć włosy, zachciało jej się strasznie siku, tyle co usiadła na muszli, kiedy zobaczyła, że na drzwiach ubikacji wisi koszulka polo jej męża. To była odzież pracownicza z fabryki ubrań w Shalu, miała nadrukowaną nazwę nieistniejącej już fabryki włókienniczej, nosił tę koszulkę od trzydziestu paru lat. Z początku chciała się tylko wysikać, ale jak zobaczyła to polo, wzięło ją na sranie, rozluźniona opróżniła się gwałtownie, aż poczuła się lżejsza. Wskoczyła z powrotem na krzesło. Podczas mycia włosów nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Co taka wesoła? – spytała ją właścicielka salonu.

– To dzięki tobie – odpowiedziała, śmiejąc się – tylko ty potrafisz tak myć włosy. Paryż to Paryż, bez dwóch zdań. Błogo mi.

W rzeczy samej, przed wizytą w „paryskiej” ubikacji miała przez cały tydzień zatwardzenie.

Postanowiła, że nie będzie się przebierać i zostanie w domu. Na dworze panował taki skwar, że jak sobie wyobraziła rozlane dokoła mleko,

natychmiast poczuła w ustach zjełczały smak. Całe szczęście, że miała Paryż, Paryż była w Paryżu, a ona w Paryżu nie była. Paryż się tym zajmie. Paryż, dziękuję.

---

[45](#) Tradycyjny kalendarz księżycowo-słoneczny, zwany też kalendarzem chińskim.

[46](#) Dochowana do dziś na Tajwanie tradycja ku czci zmarłych, mająca korzenie w obrzędach szamanistycznych, na którą składają się śpiewy, tańce (a czasem nawet pokazy gimnastyczno-akrobatyczne) wykonywane głównie przez kobiety.

[47](#) Nazwisko poprzedzone przymiotnikiem „mały/mała” jest formą półformalną, której polskim odpowiednikiem byłby wyraz „pan/pani” użyty z samym imieniem.

[48](#) Zwyczajowa nazwa wilca wodnego (*Ipomoea aquatica*) – rośliny popularnej w kuchniach chińskich.

# NO CHODŹ, NO CHODŹ, NO CHODŹ

Shuli pomyślała, że napisze list do brata.

Na targu wieczornym w starej dzielnicy Tajpei stał zapuszczony sklep papierniczy, w którym migotały świetlówki, a interesy szły jak po grudzie – niejeden artykuł leżał na półce od wielu lat, w długopisach nie było tuszu, atrament wysechł, czerwone koperty wyblakły, a kiedy podczas tajfunu kilka lat temu powódź zalała okolicę, zamoczone i osuszone później papeterie wróciły, rzecz jasna, z powrotem do sprzedaży. Właścicielem był staruszek pochodzący z Changhua. Przyjechał do Tajpei jako praktykant, mając kilkanaście lat, i od przeszło pięciu dekad nie wrócił w swoje strony. Rodzina i krewni dawno poumierali, niczego nie miał, został mu tylko ten zapuszczony sklep, tutaj spał i jadł, nie przejmując się tym, że biznes się nie kręci. Tak czy siak, nie zamawiał więcej towaru, chciał sprzedać wszystko, co ma na stanie, a potem spieniężyć całą budę i wrócić na wieś. Shuli często kupowała u niego papeterię, żeby pisać listy do brata. Zleżały i pomarszczony papier w pionowe linie, ledwo dostrzegalne cienkie czerwone kreski na spłowiałym tle, bez ornamentów, prosty, wysuszony przez słońce, często rwał się pod naciskiem długopisu. Jak sprzedam towar, to wracam na wieś, mówił jej właściciel sklepu. Kupiła już u niego stosy papeterii, ale widząc ilość towaru, pomyślała sobie, że staruszek nie wygrzebie się stąd do końca życia. Powrót do domu, gdy się ciągle o nim

mówi, jest tylko marzeniem niemającym związku z rzeczywistością. Kto może wrócić do domu, ten wraca, a nie mówi o tym, że wróci, i nie musi nawet myśleć, nogi same go prowadzą, a jak już będzie na miejscu, nie musi szukać kluczy, żeby otworzyć drzwi, bo ktoś czeka na niego, pali się światło, jest gorąca woda, jest pościel, na stole leży kolacja; potrawy, nawet jeśli już zimne, ogrzeją się w rozmownych ustach niczym w mikrofalówce, w wystygłym piecu zapłonie ogień. Doskonale to rozumiała, sama często mówiła do męża i dzieci:

– Jutro wracam do Changhua, będę z powrotem za dwa dni.

Ale tak naprawdę szła do taniego hotelu w Tajpej. Ludzie mówią, że wchodząc do pokoju hotelowego, trzeba najpierw zapukać, żeby przebywające tam duchy się pochowały.

– Wróciłam – szeptała, pukając do drzwi.

Spędzała dwie noce w ponurym hotelu, gdzie leżąc na łóżku, oglądała filmy dla dorosłych, brała długą kąpiel, obierała gruszki i banany, czytała grube książki, pisała listy do Niemiec, czasami wysyłała esemesa do męża: „W Changhua mamy słońce, w Tajpej pewnie wciąż leje”. O północy, kiedy zasypiała, słyszała za oknem tajpejski deszcz, w pokoju czuć było wilgoć. Wyobrażała sobie, że na łóżku obok niej leży duch i tak samo jak ona nie może zasnąć. Do drzwi nie puka się po to, żeby przegonić duchy, ale żeby je zaprosić: chodź, duchu.

Sprzedawca na targu wieczornym jej nie pamiętał, ale właściciel sklepu papierniczego wiedział, że przyjechała z Changhua, zawsze ją rozpoznawał. Nie wiedziała, że sklepikarz pamięta ją dlatego, że nikt inny u niego nie kupuje.

– Dzień dobry, pani Chen – witał ją. – Witam krajanekę z Yongjingu. W telewizji znowu mówią o rodzinie Wangów, duma Yongjingu, Fundacja Wang Xin, nieźle, nieźle. Żeby tak sprzedawać ciastka! Zna ich pani?

Pokręciła głową, po czym zawahała się przez kilka sekund.

– Sąsiedzi. – Skinęła głową.

– O, sąsiedzi – zaciekał się – to pani pewnie też z nie byle jakiego domu. Widziałem w telewizji, że zbudowali rezydencję, nazwali ją Białym Domem, olśniewający budynek, złocisty dach, o wiele lepszy od tego Białego Domu w Ameryce. Zna pani tę rodzinę? Ma pani z nimi kontakt? Odwiedziła pani Biały Dom? Czy pani rodzina też jest bogata? Czy rodzina Wangów udostępnia może Biały Dom dla zwiedzających? Jak wrócę do Changhua, to pewno pójdę zobaczyć.

Znała odpowiedź na każde pytanie, ale nic nie mówiła i milcząco, szukała papeterii, takiej niepomarszczonej.

Kiedy wchodziła, sklepikarz właśnie układał ofiary na Święto Duchów. Prominentne miejsce na ołtarzyku zajmowały, rzecz jasna, ciastka rodziny Wangów. Od kilku dni nie miał żadnych klientów, więc od razu się rozgadał, jak ją tylko zobaczył.

– Niech pani patrzy, jak w tych sklepach beztrosko podchodzą do obrzędów. Jak można na Święto Duchów ofiarować gruszki? Ach, ta tajpejska młodzież niczego nie rozumie. Rok temu widziałem, jak tutaj obok ofiarowano gorzkie melony. Starzy ich nie nauczyli. Niedługo już w ogóle nie będzie komu sprawować tych obrzędów.

Wiedziała, że ofiarowanie gruszek jest tabu. Gdy mieszkali jeszcze w sanheyuanie, matka kupiła gruszki na Święto Duchów i nie zdążyła ich jeszcze położyć na ołtarzyku, kiedy babcia ją spoliczkowała. Z ust babci poleciały słowa ostre jak nóż, wrzeszczała, że matka niczego nie rozumie i nigdy się nie nauczy, to wstyd dla rodziny Chenów, że przyjęła taką synową. „Gruszka” w języku tajwańskim brzmi tak, jakby ktoś duchy przywoływał, skąd mogła wiedzieć, że nie można ich ofiarować bezpiecznym duchom. Piękne gruszki spadły na ziemię, Shuli zaczęła je

zbierać, ale zanim dotknęła owoców, poczuła na twarzy otwartą dłoń babci. Nie wolno podnosić, nie wolno dotykać, nie wolno jeść. Ręka babci pokryta była odciskami, które zadrapały jej twarz, do dzisiaj pamięta te odciski. Powtarzała szeptem wyraz „gruszka” po tajwańsku: *lâi-á, lâi-á, lâi-á*, co brzmi podobnie do mandaryńskiego *lái a*, czyli „przyjdź(cie)”, lub „chodź(cie)”. Czy nie po to układa się obfite dary na ołtarzyku, żeby zaprosić duchy na ucztę? Czy gruszki nie są więc zaproszeniem? Niedługo po przeprowadzce do tego skromnego mieszkania w Tajpej specjalnie kupiła gruszki na Święto Duchów. Sprzedawca ostrzegął ją, że gruszek nie wolno ofiarować. Uśmiechnęła się tylko i skinęła głową, a wróciwszy do domu, ustawiła je w centralnym miejscu na ołtarzyku.

– Chodźcie, chodźcie, chodźcie, przyjdźcie wszystkie – powtarzała sobie w myślach.

W sklepie papierniczym u staruszka można było kupić wiele przeterminowanych i przestarzałych szpargałów, podobnie jak w księgarni, którą pamięta z czasów dzieciństwa. Kiedy była mała, w Yongjingu działały trzy księgarnie: Eon, Południe i Jutro. Właścicielem księgarni Eon znajdującej się tuż obok plantacji szpinaku wodnego był mąż jej nauczycielki muzyki z gimnazjum. Sprzedawano tam przede wszystkim podręczniki, a wybór artykułów papierniczych był niewielki. W tym roku, kiedy Stany Zjednoczone zerwały stosunki dyplomatyczne z Tajwanem, nauczycielka muzyki i jej mąż nagle zniknęli, podobno mówili, że Tajwan niedługo upadnie, cała rodzina wyjechała do Argentyny. Kiedy Wangowie doszli do pieniędzy, wrócili do Yongjingu, gdzie zamierzali postawić okazałą rezydencję. Kupili wszystkie grunty dookoła plantacji szpinaku wodnego, zburzyli starą zabudowę, prawa do budynku Eonu nie były zbyt klarowne, trudno było dociec stanu faktycznego, więc rodzina Wangów postanowiła najpierw go zburzyć, a potem zadawać pytania. Bez problemu

zrównali księgarnię z ziemią, a zgromadzone wewnątrz sterty książek i podręczników z lat siedemdziesiątych kazali spalić, stare książki spłonęły.

Właściciel księgarni Południe był człowiekiem napastliwym, potrafił zwymyślać każdemu, kto wypróbował długopis, a potem go nie kupił, ale biznes mu się kręcił, bo chłopcy, którzy tam przychodzili po szkole, wiedzieli, że na zapleczu za kotarą jest ciemne pomieszczenie z jedną małą lampką, gdzie na półkach leżą świerszczyki. To był ich sekret. Pewnego razu, widząc, że w księgarni Południe nie ma w ogóle ludzi, odważyła się odsłonić kotarę i wejść do pomieszczenia na zapleczu. Nie spodziewała się, że spotka tam nauczyciela z gimnazjum przeglądającego jakieś pismo. Kiedy tylko ją zobaczył, odsunął kotarę i rzucił się do ucieczki jak oparzony, ale przez nieuwagę przewrócił regał, a magazyny porno posypały się na Shuli. Pamięta te kobiety ze zdjęć, z rozstawionymi nogami. Nie pomogła się podnieść wyjącemu z bólu nauczycielowi, przytłoczona rozłożonymi nogami ze zdjęć. Nauczyciela podniósł właściciel księgarni. Dopiero wtedy się ocknęła i obróciła głowę, zobaczyła tyłek nauczyciela. W tych czasach, kiedy nie było jeszcze edukacji seksualnej, zobaczyła w księgarni Południe, i to za jednym zamachem, żeńskie i męskie genitalia. W końcu zrozumiała, co znaczy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Następnego dnia nauczyciel wszedł do klasy o kulach i kazał jej zmienić miejsce, posadził ją w kącie najdalej od biurka, jak się tylko dało, zasłonił ją wysoki chłopak siedzący przed nią. Wiele lat później nauczycielka najmłodszego brata przyszła do nich z gębą, kazała przenieść go do innej szkoły, a mężem tej nauczycielki był właśnie ten nauczyciel, który się wtedy przewrócił w księgarni. Nauczycielka darła się na cały głos, rodzice non stop przepaszali, ale jej mąż, jak tylko zobaczył Shuli, natychmiast wybiegł. Martwiła się tylko, że znowu gdzieś upadnie przez to szybkie bieganie i przyjdzie mu raz jeszcze chodzić o kuli. I co wtedy?



Najczęściej odwiedzała Jutro. Dwaj właściciele tej księgarni uwielbiali Japonię. Były u nich japońskie długopisy, gumki do ołówków, kompas, czasopisma, wszystkie nie na jej kieszeń. Kiedy jej starsza siostra pracowała w fabryce w Shalu, kupowała tu często białą papeterię w czerwone linie, żeby napisać list do siostry. Jeden z właścicieli był gruby, a drugi chudy. Gruby miał w imieniu wyraz *míng* (jasny), a w imieniu chudego znajdował się wyraz *rì* (dzień), co w połączeniu dawało *míng rì* (jutro), stąd wzięła się nazwa księgarni. Obaj siedzieli za ladą i razem uczyli się japońskiego z kaset, jedli kurczaka w cieście, lubili beletrystkę, cały jeden regał mieli wypełniony powieściami i esejami literackimi, a na ladzie stały darmowe ciastka dla klientów, które chudy właściciel sam wypiekał. Stała przed regałem, czytając książki cały dzień, nie miała pieniędzy, by je kupić.

– Podobało ci się to, co dzisiaj przeczytałaś? – pytał ją gruby właściciel, uśmiechając się.

Razem z siostrami skwapliwie oszczędzała pieniądze, żeby kupić książkę, potem wszystkie kolejno czytały. Książki były w tamtym czasie na wagę złota. Zaraz po powrocie do domu podpisywała ją na stronie tytułowej: „Shuli kupiła tę książkę w księgarni Jutro w Yongjingu”, podając datę. Pewnego razu zobaczyła ukradkiem, że chudy właściciel, stojąc za ladą, trzyma grubego za rękę, którą puszczał od razu, gdy tylko ktoś wszedł do księgarni.

Ten dzień, kiedy przyjechała policja, był ostatnim dniem księgarni Jutro. Całą księgarnię otoczono taśmą i zaciągnięto stalową roletę. Stojąc za taśmą odgradzającą, patrzyła z daleka, jak spuszczano właśnie stalową roletę, a obu właścicieli wsadzono osobno do dwóch radiowozów. Shuli doskonale pamięta, jak policja ciągnęła ich obu zakutych w kajdanki.

– A-Ming! – krzyknął nagle chudy właściciel.

Policjant uderzył go pięścią w twarz i zwyzywał:

– Dewiant!

Widziała ich wtedy po raz ostatni.

Zawsze kiedy przychodziła do sklepu papierniczego na targu wieczornym w Tajpej, przypominała sobie o tych dwóch księgarzach, grubym i chudym.

Wróciła do domu, niosąc warzywa, wieprzowinę i papeterię, przez całą drogę myślała, jak zacząć list do brata. Brat jest pisarzem, od dziecka miał dobry styl, za każdym razem gdy do niego pisała, kończyła list takim zdaniem: „Wybacz siostrze jej kiepski styl, przepraszam”. To jej „przepraszam” było naprawdę szczere. W jednej z książek napisanych przez jej brata przeczytała o chudym, bladym chłopcu w gimnazjum, któremu wychowawca klasy spuścił lanie.

– Ty cholerny pederasto – urągał mu przed całą klasą – boję się tylko, żebym AIDS nie dostał, jak ci będę skórę łoił.

Pląkała, obejmując książkę. Przepraszam, braciszku, że wtedy nikt nie stanął w twojej obronie, że nikt ci nie wierzył.

Kiedy wróciła do domu, nie zastała tam nikogo, od razu poszła się umyć, zmyła błoto z nóg, ale tych złorzeczeń, którymi ją obrzucono, nie dała rady z siebie zeskrobać.

W łazience wpadła na pomysł, jak zacząć list:

*Braciszku, czy u Ciebie wszystko dobrze w tym więzieniu? Dzisiaj w biurze pojawiło się kilka psów przewodników i cały dzień wszyscy na mnie psioczą, nawet w wiadomościach mówili. Jak pomyślę o tegorocznej ocenie osiągnięć pracownika, to wiem, że mam przesrane. Jak tylko wyszłam z pracy, pomyślałam, żeby do Ciebie napisać, pogadać i przy okazji spytać, czy tam w niemieckim więzieniu są psy? Gdy mieszkałam jeszcze za dziecka w sanheyuanie, miałam czarnego psa, to było, zanim się urodziłeś. W sumie to nie był mój pies, to był pies babci, ale ja go codziennie karmiłam, więc zawsze ze mną wszędzie chodził.*

Niemal w każdym sanheyuanie na Wyspie były psy. Pewnego dnia jakaś suka miała miot na podwórzu sanheyuanu, babcia ją wyгнаła, a potem wybrała sobie szczeniaki. Kilka piesków miało „białe skarpetki”, co uchodziło za zły omen, babcia brała takie i wyrzucała na pole. Wybierała, wyrzucała, narzekała, wybierała, wyrzucała, narzekała, aż w końcu znalazła jednego czarnego z dużymi łapami. Babcia mówiła, ma duże łapy to znak, że wielki pies wyrośnie, będzie mógł pilnować obejścia, przeganiać złodziei.

Shuli stała obok, przyglądając się, jak babcia wybiera psy. Po chwili kobieta wręczyła jej czarnego szczeniaka, patrząc na nią wymownym wzrokiem i nie mówiąc ani słowa.

Shuli nie miała pojęcia, jak wyżywić psa. Cała rodzina nie dojadła, co miała mu dać do jedzenia? Przerzucała śmieci w kuchni, chodziła do sąsiadów po odpadki. Resztki, jakie udało jej się zebrać, mieszała z wodą, pies jadł i wymiotował, potem znowu jadł, widok był rozkoszny. Karmiony byle czym szczeniak chował się zdrowy i silny, a nawet rósł szybko. Kilka miesięcy później był już dużym psem z lubością obgryzającym świńskie kości. Czarny pies wszędzie za nią chodził: na pole wrywać chwasty, do chlewika karmić prosiaki, a kiedy o północy szła do ubikacji, pies człapał za nią przez podwórze i czekał przed wejściem do wychodka, machając ogonem w stronę opustoszałych pól i mrużąc oczy, jakby głaskał go blask księżyca.

Opiekowała się psem, ale przyczyniła się również do jego śmierci.

Była w trzeciej klasie podstawówki, kiedy pewnego ranka jeszcze przed końcem pierwszej lekcji rozwścieczona babcia wparowała do klasy, mówiąc, że przysłała do Chen Shuli. Jak tylko zobaczyła wnuczkę w ławce, rzuciła się do niej i z całej siły pociągnęła ją za prawe ucho.

– Gdzie mój naszyjnik z pereł?! – wrzasnęła.

Babcia wstała wcześniej, chciała iść do świątyni pomodlić się o syna dla swego pierworodnego – pierwsza synowa nie umiała urodzić wnuka, a już pięć córek urodziła, nie wiadomo po co. Pomyślała sobie, że założy perły, które mąż kupił jej w Tokio, jeszcze za japońskich czasów, prawdziwe japońskie perły. Nie mogła jednak znaleźć naszyjnika w pokoju, próbowała sobie przypomnieć, która wnuczka sprzątała jej pokój kilka dni temu. Druga wnuczka? Może trzecia? Nie dość, że to bezużyteczne dziewczyny, to jeszcze naszyjniki kradną.

Babcia poszła do szkoły, chodziła od klasy do klasy i wyciągała na korytarz po kolei najstarszą Shumei, drugą Shuli i trzecią Shuqing, po czym w obecności wszystkich przesłuchiwała. Wszystkie siostry klęczały, płakały i kręciły głowami, a babcia biła je co chwilę po twarzy, jak ją ręka zaczęła boleć, wzięła z klasy wskaźnik i okładała nim dziewczyny.

Nie zdążyły nawet wziąć tornistrów, babcia zabrała wnuczki do domu, wydzierając się na nie przez całą drogę, wszyscy w szkole to widzieli. Po powrocie do sanheyuanu klęczały na podwórzu, a niestrudzona babcia biła je dalej. Ich matka wyszła na dwór z czwartą i piątą córką płaczącymi w jej ramionach. Wszystkie razem klęczały, a babcia okładała je bezlitośnie. Nie chodzi mi o naszyjnik, krzyczała, tylko niech się która przyzna, to dam wam na dzisiaj spokój.

Nagle podniosła się Shuli.

– To ja – powiedziała, płacząc.

Babcia wzięła dużą miotłę i podeszła do Shuli.

„To już po mnie – pomyślała dziewczyna. – Teraz umrę i zmienię się w upiora”.

Kij miotły uderzył dziewczynę w brzuch, drobna postać Shuli odleciała, lądując na ceglanym murze.

Leżała plackiem na ziemi, gotowa przyjąć kolejne ciosy miotłą. Babcia nagle ryknęła jak oparzona, czarny pies złapał ją zębami za ramię i nie puszczał.

Jeszcze tego samego dnia babcia ogłuszyła psa cegłówką i wrzuciła do kotła z bulgoczącą wodą, obdarła ze skóry, pocięła tasakiem, dodała czosnku i usmażyła na woku. Shuli z siostrami zostały w pokoju, przez zamknięte okno wdzierał się jednak zapach psiego mięsa smażonego z czosnkiem.

Drugi stryjek z synem, którego właśnie odebrał ze szkoły, udali się od razu na ucztę z psa. Shuli wyjrzała przez okno i zobaczyła, że syn drugiego stryjka ma na szyi śnieżnobiały naszyjnik z pereł. Nie słyszała, co babcia i wujek między sobą mówili, zobaczyła tylko, że stryjek zabrał synowi naszyjnik i oddał go babci, po czym wszyscy chwycili miseczki i jedli wesoło dalej.

Usiadła i zaczęła pisać.

Braciszku, to ja byłam winna śmierci psa, jeszcze dzisiaj śnią mi się często jego błyszczące czarne oczy. Ale kolory we snach się zmieniają. Przez te wszystkie lata, jak widzę psa we śnie, jego kolor staje się coraz bledszy, ostatnio jest to już niemal biały pies. Dzisiaj mamy Święto Duchów. Przyszło mi na myśl, że do Ciebie napiszę, tak bez powodu, chcę po prostu z Tobą pogadać. Dawno nie dostałam od Ciebie listu. Jak tam zdrowie? Podobały Ci się te książki, co ostatnio wysłałam? Znowu mi się dzisiaj przypomniała księgarnia Jutro. Pamiętasz jeszcze grubego i chudego?

Wiedziała, że ona, ta referentka do spraw meldunkowych, pani Chen, wyrządziła wiele krzywd.

W dzieciństwie mówiła, że jak umrze, to umrze, zmieni się w upiora i dobrze, jedna córka w domu mniej to żadna strata, dlatego palnęła, że to ona wzięła naszyjnik, w efekcie zginął pies. Kiedy już dorosła, krzywdziła nadal. Czy gdyby wówczas nic nie powiedziała, niczego nie wyjawiała, to gruby i chudy księgarz żyliby jeszcze dzisiaj? Zobaczyła potem zdjęcie

grubego właściciela w gazecie, chudy był jak tyczka, jego krągła twarz zniknęła. Myślała z początku, że w gazecie się pomylili, ale przyjrzała się uważnie i tak, to był ten gruby, zaledwie kilka miesięcy później. Jeśli gruby tak się zmienił, to jak wyglądał chudy?

To wszystko jej wina.

## KLUB CHANGHUAŃCZYKÓW W NEIHU

Shuqing ostatnio ciągle się odchudza. Jej mąż prezenter twierdzi, że przytyła, jego zdaniem żona nie trzyma dyscypliny i dlatego przybiera na wadze. Chwytał ją kciukiem i palcem wskazującym za sadło na biodrach i powoli ścisnął, a ona wstrzymywała wtedy oddech i zaciskała pięści, wiedziała, że to wszystko przez to jedno zdjęcie. Jakiś czas temu towarzyszyła mężowi podczas gali otwarcia stacji telewizyjnej, gdzie zrobiono zdjęcie, na którym brzuch jej nieco wystaje. W magazynie plotkarskim pojawił się tytuł: „Czy żona prezentera jest w ciąży?”. Miała wtedy na sobie kreację przygotowaną przez projektanta, który był znajomym męża. Dopiero na miejscu okazało się, że rozmiar jest za mały, ale jakoś z trudem się wcisnęła. Czuła jednak, że ją uwiera zaraz po założeniu.

Mąż poszedł do kuchni i wyrzucił do śmieci makaron, cukier, słodycze, mąkę i przekąski. Wziął torebkę cukierków i roztrzaskał jej na twarzy.

– Codziennie siedzisz w domu i obżerasz się słodyczami? Od dzisiaj koniec z cukrem. Czy ty też, tak jak twoja matka, czytać nie umiesz? Do szkoły nie chodziłaś? Czytaj składy żywności. Jak tylko będą węglowodany, jak tylko będzie cukier, to nie wolno ci tego jeść! Pod żadnym pozorem!

Wspominał członków jej rodziny, kiedy chciał ją upokorzyć.

Matka urodziła się w okresie rządów japońskich, poszła do Kōgakkō (szkoły publicznej, jaką kolonizatorzy utworzyli dla tubylców), ale po dwóch dniach przerwała naukę, niczego się nie nauczyła, pamięta tylko, że nauczyciel mówił wszystkim, jak się schować w razie amerykańskiego nalotu. Przez całe życie żałowała, że nie ma wykształcenia, że nie umie czytać, że wszystko przychodzi jej z trudem. Kiedy szła zdeponować pieniądze na pocztę albo załatwić coś w Biurze Meldunkowym, musiała zawsze brać córkę ze sobą, nie rozumiała żadnych informacji na ulicy. Egzamin na prawo jazdy wymagał formy pisemnej. W ośrodku ruchu drogowego poszli jej na rękę i pozwolili odpowiadać ustnie, egzaminator zadawał jej pytania, a ona udzielała odpowiedzi, ale dopiero za dziesiątym podejściem udało jej się zdać. Matka nie umiała pisać, ciągle narzekała, że jej nazwisko oraz imię mają za dużo kresek i trudno je napisać: 林阿蟬 (Lin A-Chan). Dla niej to były obce symbole, a zwłaszcza 蟬: nie dość, że ma dużo kresek, to jeszcze trudny. Córki kolejno jedna po drugiej uczyły matkę pisać, ale rezultat tego był taki, że się w końcu zdenerwowała i podarła kartkę.

Czemu chodziła do japońskiej szkoły tylko przez dwa dni? Za każdym razem opowiadała inną wersję. Czasami mówiła, że szkoła była za droga, a po co dziewczynie wykształcenie, wystarczy przecież, że wyjdzie za mąż. Innym razem twierdziła, że nauczyciel konspirował przeciwko Japonii i w drugim dniu nauki został zastrzelony w szkole przez Japończyków. Jeszcze innym razem mówiła, że nie mogła się nauczyć tej hiragany<sup>49</sup> na pamięć i bała się, że nauczyciel spuści jej lanie, dlatego przezornie nie poszła więcej do szkoły. Czasem twierdziła, że drugiego dnia był amerykański nalot, a jedna bomba spadła na budynek szkoły, wiele dzieci zginęło i szkołę zamknięto. Matka opowiadała jeszcze o innej bombie, która spadła na staw, wszystkie ryby wysadziło w powietrze, myślała, że to deszcz pada;



ryby spadały z nieba, wszędzie czuć było ich odór. Jak wszyscy inni, rzuciła się do zbierania ryb na drogach, na polach, na drzewach, wszędzie było ich pełno, nałapała ich całkiem sporo i zaniosiła do domu na obiad. Kto by pomyślał, że jej rodzeństwo też ich naznosi, na koniec w kuchni powstało rybne wzgórze.

Matka nie umiała czytać ani pisać, więc dużo mówiła, gęba jej się nie zamykała, a to ochrzaniała córkę, a to się darła na ojca, a to znowu coś opowiadała. W czasach niedostatku często chodziło się spać o pustym żołądku. Matka, która nie umiała czytać i książki w rękę nie miała, nie mogła opowiadać dzieciom bajek na dobranoc, ale Shuqing przed snem zawsze słyszała jej paplaninę, strzępy jej gderania unosiły się w powietrzu jak pył, wpadały jej do uszu i usypiały ją, zapomniała wtedy, że jej kiszki grają marsza. Dzisiaj w polu był wąż w tym miesiącu zabraknie na jedzenie ktoś ma wesele trzeba dać czerwoną kopertę ktoś umarł trzeba dać białą kopertę ktoś urodził syna ktoś się ożenił nie ma pieniędzy naprawdę nie ma pieniędzy dach przecieka ten naszyjnik z pereł był w zasadzie plastikowy i tak dalej urodzę syna nie wierzę że nie urodzę syna. Nie miała spokojnego snu, chrapała jak armata, gadała przez sen jak najęta, złorzeczyła we śnie, klęła jak szewc. Jej gardło miało własny system językowy: ostre klątwy, kojące zaklęcia, wylewne opowieści, głośne recytacje, czasem potrafiła nawet wpleść złożoną historię swojego życia. Magiczne zaklęcia, jakie wyszeptywała, i miseczka ryżu oraz część garderoby wystarczały, żeby pocieszyć płaczące niemowlę. W jednej chwili wypowiadała pogodnym tonem zaklęcia na ujarzmienie strachów, po czym nagle obracała się, zmieniając wyraz twarzy, i wypluwała z siebie ostre złorzeczenia, jedno za drugim, ziała ogniem i lawą, tak się darła na ludzi, że dusze z nich mało co nie poulatywały, aż czuła ból we wszystkich kościach.

Shuqing miała najwyższe wykształcenie w rodzinie, z pięciu córek tylko ona pojechała do Tajpej na studia. Tajpej, stolica, nikt z Chenów tam jeszcze nie był, wszystko tam jest na pewno drogie. Gdzie będzie mieszkać? Gdzie będzie jeść? Jakie są wydatki na życie? Córki Chenów nie odważyły się zdawać na studia, po skończeniu zawodówki zaczęły szukać pracy. Rodzice mieliby pozwolić córkom iść na studia? Ale Shuqing nie bała się zaryzykować, dostała się do najlepszej uczelni w stolicy, ojciec kupił skrzynkę petard, strzelał rano w południe i wieczorem, trzy dni oznajmiał całemu światu, że pierwsza dziewczyna z tej małej wioski dostała się do najlepszej uczelni. Dostać się na najlepszą uczelnię to już było osiągnięcie samo w sobie, a to w dodatku dziewczyna.

Dzień przed rozpoczęciem zajęć ojciec wziął ciężarówkę, zabrał Shuqing oraz całą rodzinę i wyruszyli na północ – do Tajpej. To była ich pierwsza podróż do stolicy. Shuqing i rodzice oraz dwóch synów siedzieli w kabinie na przodzie, pozostałe córki z tyłu w naczepie, wjechali na autostradę, kierunek Tajpej. W drodze złapał ich ulewny deszcz, naczepa nie miała plandeki. Shumei, Shuli, Sujie i Manmei osłaniały się przed deszczem plastikowymi pojemnikami po betelu, całe przemoczone nie miały za złe, że Shuqing siedzi z przodu, w końcu jedzie na uniwersytet, pierwsza od nas jedzie do Tajpej, dzięki niej i my możemy tamjechać.

Wjechali do Tajpej, do okazałego miasta, pod bramą uczelni zatrzymał ich strażnik. Takie duże ciężarówki nie mogą wjeżdżać na kampus! Ojciec wysiadł z auta i poczęstował strażnika wonnym betelem, każąc córkom, które siedziały z tyłu, ściągnąć skrzynkę owoców. Panie strażniku kochany, córka się na studia dostała, przeprowadza się do akademika, całą rodziną tu przyjechaliśmy, bardzo pana proszę.

Cała rodzina wpakowała się do akademika razem z Shuqing, wszyscy wnosili to małe, to duże pakunki, hałasu przy tym było co niemiara,

Shuqing czuła się zażenowana, tyle osób na nią patrzyło. Po usadowieniu się w pokoju rozłożono słomiane maty przywiezione z domu, ktoś krzyknął, że chce jeść, matka wyciągnęła więc przywiezioną kuchenkę gazową i naczynia. Jedzenie w Tajpej na pewno jest drogie, sami możemy sobie ugotować, raz-dwa. Dziewięcioosobowa rodzina zmieściła się jakoś w ciasnym czteroosobowym pokoju domu studenckiego, na kuchence gazowej zapłonął ogień, przywiezione z domu warzywa i mięso wylądowały na woku i po chwili były już usmażone, w pudełku mieli ugotowany wcześniej ryż – ściśnięta rodzina zasiadła do kolacji. Przez okno i szczeliny w drzwiach wydostawał się silny czosnkowy zapach, który kazał nadzorczyńni zapukać do drzwi pokoju. W akademiku nie wolno rozpalać ognia. Matka zaprosiła nadzorczynię do środka i zaczęła ją nagabywać, uznawszy, że najlepszą obroną jest atak, nadzorczyńni nie miała nawet szansy się odezwać, w jej rękę momentalnie znalazła się miseczka, a usta zapełniło mięso, jak już je przełknęła, doprawiła szpinakiem wodnym usmażonym z czosnkiem. Ten szpinak to sami w Yongjingu sadzimy, nie ma żadnej chemii! Powoli zaczęły się zjeżdżać trzy pozostałe koleżanki, z którymi będzie mieszkać; widząc pokój pełen ludzi i jedzenia, miny miały niewyraźne podobnie jak ich domownicy, którzy im towarzyszyli. Shuqing spuściła głowę, zapychając się ryżem, nie odważyła się odezwać. Zaczęła liczyć w myślach, ile osób wcisnęło się do tego pokoju, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, w końcu doliczyła się dwudziestu.

Kiedy rodzina wróciła do Changhua, w akademiku zapanował nareszcie spokój. Regał na książki zastawiony miała owocami, suchym tofu i sosem sojowym, koleżanki już zasnęły, do pokoju wpadał księżycowy blask, torując sobie drogę przez sito palm rosnących pod oknem, zaczął padać deszcz, z brzękiem uderzając o blaszany dach. Pościel przesiąknięta była zapachami kolacji, czosnkiem, żeberkami, truckwą<sup>50</sup>, krewetkami. Siedziała

w ciszy na łóżku, w głowie słyszała wciąż, jak matka obraca łąpatką potrawy smażone na woku, i rozpląkała się, nie wiedząc czemu.

W pierwszym dniu nauki rozpoznało się, wyrzało złociste słońce, w pełni ukazując jej sytuację, w jakiej się znalazła. Fryzury, ubrania, obuwie innych studentek w Tajpei były takie wyraziste, a zarazem spokojne. Ubrana w sukienkę z kwiecistego materiału, którą starsza siostra dla niej uszyła, Shuqing wyglądała przy nich jak uboga krewna. Siostra samodzielnie wykonała wzór, wykroiła materiał i uszyła, to był prezent od niej z okazji dostania się na studia. Ale studentki w Tajpei nosiły stroje wieloczęściowe o dopasowanych kolorach, co sprawiało wrażenie lekkości, ta jej kwiecista sukienka zdawała się zbyt krzykliwa, ciężka i bez ikry. No i jeszcze ten akcent. Studenci podczas zajęć mówili z inną wymową niż ta, do której przywykła. Jak tylko ktoś otworzył usta, rysował mapę swoim akcentem, na której zaznaczone były klasa społeczna i ukształtowanie terenu: osoby ze stolicy i okolic mówiły czysto i wyraźnie, studenci z odległych wiosek mamrotali niemrawo. Po zajęciach pobiegła do akademika, żeby się przebrać, postanowiła zostać tajpejką.

Teraz była tajpejką, po wielu latach dostrajania się jej akcent zatracił ślady wiejskiej wymowy, ubierała się elegancko, nosiła złoty puder na twarzy, nadgarstki skrapiała perfumami, jeździła niemieckim autem, mieszkała w rezydencji nad jeziorem.

W domu na wsi nie było jeziora, tylko śmierdzący rynsztok, kanał irygacyjny, staw rybny. Kiedy wcześniej napotykała w książce na „jezioro”, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by ono mogło wyglądać, ile wody musi się zebrać w jednym miejscu, żeby można to nazwać jeziorem? Po ślubie zamieszkała z mężem w Neihu<sup>51</sup>, z okien roztaczał się widok na Park Dahu<sup>52</sup>, dopiero wtedy się dowiedziała, że w Tajpei są jeziora. Mąż zaprosił kolegów do domu na imprezę, pili francuskiego szampana, czystą wódkę

z Niemiec, zagryzali hiszpańską szynką i rzucali zazdrosne spojrzenia w jej stronę. Jeden z gości przyszedł z fotografem, pstryknął zdjęcie zakochanej parze małżonków na tle okazałej rezydencji nad jeziorem, sfotografował zamówione i wykonane we Włoszech sofy oraz szwedzki barek na alkohole ręcznej roboty. Następnego dnia kolorowe zdjęcia ukazały się w gazetach. W końcu wszyscy się rozeszli. Shuqing wpatrywała się niemo w zapadający nad jeziorem zmrok, wokół panował spokój, księżyc świecił jasno, gwiazdy lśniły, miała przed oczyma budynki, w których ceny mieszkań zwalają z nóg, a i tak trudno je dostać, Tajpej jest dla bogaczy. Była szczęśliwa, że tu jest, nareszcie stała się prawdziwą tajpejką.

Pierwszej nocy w mieszkaniu nad jeziorem blask księżycy był taki sam jak wtedy, gdy wprowadziła się do akademika – nad wyraz srebrzysty.

– Za kilka dni jest pogrzeb mojej młodszej siostry – powiedziała cicho do męża. – Jutro wracam do Changhua.

– Nie pozwalam ci nigdzie jechać – odrzekł redaktor stanowczym tonem.

Czarne chmury przykryły srebrzysty księżyc, w mieszkaniu zapanowały ciemności.

– Wyślę wstęgi żałobne, wieńce, nie martw się, będą podpisy wielu polityków, prezydenta, członków legislatury, celebrytów, wszystkich. Nie musisz tam jechać, fotoreporterzy na pewno będą robić zdjęcia na pogrzebie, zostań tutaj, później pojedziesz.

Ton jego mowy stawał się coraz bardziej stanowczy, każde słowo brzmiało jak rozkaz. Zebrały się czarne chmury, spadł wielki deszcz. Posadził ją na włoskiej sofie.

– Nie chcę, nie chcę – mówiła, kręcąc głową.

Gęste chmury, które pokryły księżyc, przysłoniły mężowi słuch, nie słyszał jej sprzeciwu i rozpaczliwych prośb, wszedł w nią od tyłu bez

pardonu, twardy jak nóż wbił się w suchy obszar tylnej części jej ciała, które kruche jak papier, rozdarło się pod naporem noża, nigdy wcześniej nie czuła takiego bólu.

Następnego dnia rano nie umiała wstać z łóżka ani chodzić, każdy krok ją rozrywał.

– Kiedy przyjedziesz? – spytała ją matka przez telefon.

Nigdy nie podnosiła głosu na Shuqing, to była jej ukochana córka. Jednak na wieść, że z pewnością nie pojawi się na pogrzebie piątej siostry, matce w końcu puściły nerwy i zwyzywała ją od najgorszych, i to przez telefon. Słuchając matczynych wyzwisk, patrzyła na jezioro przed sobą i poczuła się bardzo, bardzo senna. Po ślubie nie umiała zasnąć, wyzwiska rzucane przez matkę stały się dla niej bajką na dobranoc – kiedy ich tak słuchała, sen stopniowo przejmował nad nią kontrolę.

Spała długo, bardzo długo, a gdy się obudziła, męża już nie było, spojrzała na jezioro za oknem i postanowiła przejść się wzdłuż brzegu. Jeszcze ją bolało, jak spacerowała, ale było już znacznie lepiej. Usiadła na ławce u brzegu jeziora, obok niej na trawie grupka ludzi ustawiła stragan, a przy nim czerwoną flagę z napisem „Klub Changhuańczyków w Neihu”. Podeszła do straganu, kupiła sobie bah-uân, usiadła nad brzegiem jeziora i zaczęła jeść. Bah-uân smakował dziwacznie.

To tajpejska podróba changhuańskich bah-uânów, pomyślała. Zbliżyły się do niej dwie piękne, długonogie, białe mewy.

– Niedobre to, lepiej tego nie jedzcie, bo umrzecie – powiedziała do nich.

Siedząc nad brzegiem tajpejskiego jeziora i jedząc podróbę changhuańskiego bah-uâna, słuchała, jak Klub Changhuańczyków w Neihu zaczął głośno śpiewać karaoke. Korzystając z karaoke jako zasłony

dźwiękowej, gadała do mew jeszcze bardzo długo, ale ptaki wciąż nie odlatywały, a ona wciąż nie mogła dokończyć tego bah-uâna.

Młodszy brat, jak wrócił z Niemiec, odwiedził ją w tym mieszkaniu nad jeziorem.

– Przyjedź do mnie, do Niemiec – mówił jej brat. – Koło mojego domu jest o wiele lepsze jezioro.

– Z twoich okien widać jezioro? – spytała.

– Nie widać. Ale jak się otworzy okna, to czuć zapach cukierków. Odwiedź mnie, to sama się przekonasz.

W dniu, kiedy się dowiedziała, że jej brat zabił człowieka, poszła na zakupy do supermarketu i kupiła niemieckie cukierki.

Popatrzyła na adres producenta i faktycznie – Berlin. Rozdarła opakowanie, wsadziła nos w cukierki i wzięła głęboki wdech. To taki jest u ciebie zapach po otwarciu okna, braciszku?

Patrząc na jezioro za oknem, zjadła całe opakowanie cukierków, była pełna podziwu dla brata.

Brat miał odwagę zabić człowieka.

Też by chciała... zabić prezentera telewizyjnego.

---

[49](#) Jeden z dwóch japońskich sylabariuszy (czyli systemów pisma sylabicznego) używany głównie do zapisu słów rodzimych i końcówek gramatycznych.

[50](#) Warzywo należące do rodziny dyniowatych, kształtem i kolorem przypominające ogórka.

[51](#) Dzielnica Tajpej. Nazwa Neihu znaczy dosłownie „wewnętrzne jezioro”. Jeziorem jednak określa się w języku tajwańskim także kotlinę. Neihu leży w Kotlinie Tajpej.

[52](#) Dahu to dosłownie „wielkie jezioro”.

## CYKADA W OLEJU SOJOWYM

Są cykady.

Lato było skwarne. W tym małym zakątku świata deszcz nie padał już od dawna, wyschły kanały irygacyjne, leżąca odłogiem ziemia uprawna popękała, a każda rodzina pali złoty papier<sup>53</sup>, przed każdym progiem stoi mały koksiak, buchające płomienie tylko wzmagają upał, ziemia parzy jak patelnia na ogniu, samce cykad na drzewach cykają z całych sił, nie ma ani jednej chmurki, z nieba leje się żar. Jestem upiorem, jestem duchem, nie mam skóry ani włosów, nie mam organów, nie mam ciała, nie trzeba regulować temperatury, upał czy mróz – dla mnie to już wszystko jedno. Ale „jestem” tutaj. „Jestem” pod lastrykową posadzką domów szeregowych, przenikam przez szczelinę w podłodze, patrzę na swoją najstarszą córkę. Gorąco jej, dlatego wiem, że jest upał. „Jestem” w ciemnym pokoju Białego Domu, widzę, jak czwarta córka dzwoni do wszystkich, cała spocona, dlatego wiem, że jest upał. „Jestem” także przed fabryką sosu sojowego, widzę swojego najmłodszego syna, widzę podobiznę jego starszego brata. Myśli, że kręci mu się w głowie, dlatego zabłądził, błądzi, odkąd wyszedł z berlińskiego więzienia. Wrócił do domu, w Berlinie było piętnaście stopni, kiedy wylatywał, a w Yongjingu, kiedy przyjechał, temperatura doszła do trzydziestu ośmiu. Dziś mamy najwyższą temperaturę w całym roku.



Niezależnie jednak od tego, gdzie „jestem”, nie mogę sobie przypomnieć twarzy piątej córki. Myślałem, że jak już będę duchem, to odnajdę moją najmłodszą. Fruwam po całej wiosce i nigdzie nie mogę jej znaleźć, nie spotykam też żadnych innych duchów, jej po prostu „nie ma”. Za życia myślałem, że kiedy się jest duchem, to można zobaczyć inne duchy. Kiedy jednak nim zostałem, to dopiero wtedy się przekonałem, że duchy to najbardziej osamotnione byty, które w żadnym miejscu i o żadnym czasie nie mogą z nikim ani z niczym nawiązać kontaktu. Mogę poruszać się tylko w wąskich szczelinach czasu, sypiać z nietoperzami na drzewie zwieszony głową w dół, przechodzić w stan anabiozy z owadami w glebie, nie mam trwałej formy, zapachu, temperatury, barwy, nie można mnie dotknąć, nie mam ciężaru ani masy. Ludzie wykładają dary ofiarne na stolikach, mówią, że to pokarm dla samotnych bezdomnych duchów, ale tak naprawdę robią to dla siebie samych. Im mniej bezpieczni się czują, im bardziej obawiają się śmierci, im większy cierpią niedostatek, tym obfitsze przygotowują dary. Im większa obfitość, tym większe osamotnienie.

Z urzędu wójta wyjechał samochód obwieszczeniowy, głośność ustawioną miał na pełny regulator, megafon wytwarzał nie mniej decybeli niż cykady, jeździł po wszystkich uliczkach i zaułkach wioski, a głos wójta wdzierał się do uszu każdego mieszkańca:

– Dzień dobry, drodzy mieszkańcy, mówi do was wójt, dzisiaj obchodzimy Święto Duchów, w obliczu panującej suszy proszę wszystkich o ostrożność w obchodzeniu się z ogniem podczas obrzędów. Uprzejmie przypominam wszystkim, że w Yongjingu od dawna nie spadła kropla deszczu, a meteorolodzy prognozują, że w najbliższych dniach nie będzie padać, oszczędzajcie wodę. Proszę, bardzo was proszę i jeszcze raz proszę. Drodzy mieszkańcy, nie bójcie się, razem przetrwamy ten trudny okres niedoboru wody.

Samochód obwieszzeniowy to pomysł, na który wpadł mój najstarszy syn, kiedy był wójtem, a jego następcy przejęli to rozwiązanie. Poszedł do drukarni wydrukować duży plakat ze swoją podobizną, przymocował do pikapa, na dachu umieścił megafon, z którego puszczał obwieszczenie nagrywane przez cały dzień w urzędzie. Ubierał się wtedy zwykle w garnitur, na który nakładał kamizelkę bez rękawów z wydrukowanym napisem: „Wójt Chen Tianyi do Państwa usług”, i osobiście prowadził pikapa, objeżdżając wszystkie zakłady i ulice, wsłuchując się z zadowoleniem we własny głos rozbrzmiewający po całym Yongjing. Postanowił, że nie może mówić po tajwańsku: pod jego rządami Yongjing ma poderwać się do lotu, rolnictwo ma osiągnąć wyższy poziom, przemysł ma osiągnąć wyższy poziom, palmy betelowe i krzewy betelu mają osiągnąć wyższy poziom, zabytki i inne atrakcje turystyczne mają osiągnąć wyższy poziom, wioska wraz z mieszkańcami ma się internacjonalizować, przyciągnąć turystów z całego świata, a jak się porozumieć ze światem, używając języka tajwańskiego?

Wszystko miało „osiągnąć wyższy poziom”, wynika z tego, że to, co pierwotne, wcześniejsze, zastane, nie było dobre, było niskiej jakości, do wyrzucenia, do wymiany. Wyjechał z grupą roboczą do Paryża i Nowego Jorku, a po powrocie wsiadł do samochodu obwieszzeniowego i poinformował mieszkańców, że zmieni Yongjing w mały Paryż, mały Nowy Jork Wschodu. Drobne sklepiki z mydłem i powidłem nie pasują do nowych czasów: chciał wprowadzić amerykańskie supermarkety, zburzyć starą zabudowę, postawić wieżowce. Wielkie targowisko to przeżytek: chciał zatrudnić architektów, żeby zaprojektowali stoiska warzywne, rybne, mięsne w prostym europejskim stylu, bez zbędnych luksusów; chciał odtworzyć urokliwą atmosferę tradycyjnego targu francuskiego. Stuletnie mury ogradzające sanheyuany były zbyt mało atrakcyjne: zamierzał sprosić

międzynarodowych artystów od graffiti, żeby je pomalowali. Rytualny ubój Boskich Świń<sup>54</sup> w świątyniach psuje wizerunek, Towarzystwo Ochrony Zwierząt może się temu sprzeciwić, trzeba zakazać. Wszystkie nazwy ulic, wszystkie drogowskazy muszą być dwujęzyczne: po chińsku i po angielsku, żeby zagraniczni turyści mogli się zorientować w terenie. Zorganizował kursy języka angielskiego i uczył się języka razem ze wszystkimi. Uprawy krzewów betelu, chryzantem, ryżu, hodowle bonsai przygotowano i otwarto do zwiedzania, zapraszając do Yongjingu turystów z całego świata. Żeby przyciągnąć zwiedzających, którzy zostawią tu swoje pieniądze, trzeba zbudować hotel światowej klasy, kupić leżącą odłogiem ziemię, wybudować pięciogwiazdkowy hotel, żeby turyści mieli gdzie przenocować po przyjeździe do Yongjingu. W dzień będą mogli posłuchać cykad, iść do SPA, a o zmroku podziwiać rechotanie żab, popijając drinki.

To był najszczęśliwszy okres w życiu A-Chan. Najstarszy syn wygrał wybory dużą przewagą głosów, a matkę nowo wybranego włodarza jakby złoty pył obsypał; gdzie tylko poszła, biła od niej złota poświata. Popełniliśmy najpierw pięć córek, żeby w końcu dorobić się dwóch synów, starszy podobny był do matki – twarz miał owalną i zadowoloną, młodszy podobny był do mnie – z twarzą smukłą i delikatną. Starszy syn doszedł do najwyższego stanowiska w wiosce, kolejnym etapem była posada starosty, a potem chciał jechać do Tajpej, do stolicy.

– Mamo – powiedział do A-Chan – pewnego dnia zostanę prezydentem.

Wybuchnęła śmiechem głośnym jak dzwon, kiedy to usłyszała.

A-Chan poznałem latem, słychać było cykady, w powietrzu unosiła się woń sosu sojowego.

Przed śmiercią rozpoznawałem ludzi za pomocą węchu, każdy człowiek miał swoisty zapach, na przykład od mamy czuć było balsam ziołowy, od trumniarza zajeżdżało trocinami, najstarsza córka miała zapach tkanin,

Lekkoduch pachniał jak owoce karamboli, młodszy syn trącił książkami. Starszy syn najpierw zalatywał trocinami, ale potem, jak dzięki temu ciastkarzowi został wójtem, przesiąkł zapachem garnituru.

Osiemnastoletnia A-Chan wydzielala woń sosu sojowego.

Swatka powiedziała mamie, że to najstarsza córka właściciela fabryki sosu sojowego, ojciec zmarł, niedawno skończyła osiemnaście lat, pracowita i zaradna, twarz i tyłek okrągłutkie, na pierwszy rzut oka widać, że mężowi szczęście przyniesie, na pewno urodzi syna. Nazywała się Lin A-Chan, ale przezywano ją Sojową Cykadą, najładniejsza w całej wiosce, nie umiała pisać ani czytać, była za to oszczędna i pracowita, od urodzenia marzyła, żeby zostać dobrą synową. Ten sos sojowy Aromat, powiedziała swatka, wskazując palcem stojący na stole sos, kupuje każda rodzina w Yongjingu, druga strona dobrze stoi finansowo, posag na pewno będzie przyzwoity, no i horoskopy się zgadzają, ślub najstarszego syna Chenów z najstarszą córką Linów zapisany jest w gwiazdach, to będzie udane małżeństwo.

Przed ślubem widziałem Sojową Cykadę tylko dwa razy. Pierwszy raz, kiedy obie rodziny spotkały się w fabryce sosu sojowego Aromat, swatka wprowadziła A-Chan, która przyniosła gościom herbatę oolong i betel. Sojowa Cykada trzymała głowę spuszczoną, nie mogłem się przyjrzeć wyraźnie jej twarzy. W fabryce czuć było silną woń fermentującej soi, kwaśno-słoną, na placu przed fabryką stały liczne kruże pełne sosu sojowego, ponoć muszą tak sezonować na słońcu przez pół roku, zanim będzie je można nalać do butelek. Na drzewach rosnących przy fabryce hałasowały cykady. W dniu kiedy A-Chan przyszła na świat, mówili krewni drugiej strony, cykady tak samo jazgotały jak dziś, nikt wtedy w fabryce nawet nie słyszał, gdy się jej matka wydarła, że ma bóle i będzie zaraz rodzić, dlatego dziecku nadano imię Chan (Cykada). To była fabryka

rodzinna. Kiedy Japonia przegrała wojnę, jej żołnierze przed opuszczeniem Tajwanu przyszli jeszcze do fabryki i kupili duże ilości sosu sojowego, żeby wziąć ze sobą do Tokio i polewać nim sushi. A-Chan już od małości pod okiem matki uczyła się wytwarzania sosu sojowego i naprawdę dobrze jej to szło – wybieranie soi, gotowanie, dodawanie drożdży miała opanowane do perfekcji, ale córka musi kiedyś wyjść za mąż, a biznes rodzinny trzeba przekazać synowi, trzeba czym prędzej znaleźć porządnego męża dla niej.

Drugi raz spotkałem ją, żeby zrobić czarno-białe zdjęcie. Ubrany byłem wtedy w koszulę i spodnie od garnituru, A-Chan miała na sobie obcisłą sukienkę w kwiaty, w ręku trzymała torebkę. Moja mama zamówiła fotografa z jedyne w całej wiosce zakładu fotograficznego i kazała nam stanąć przed fabryką, żeby zrobić zdjęcie przedślubne. Wtedy po raz pierwszy stanęliśmy blisko siebie, w końcu mogłem się jej dokładnie przyjrzeć, duże oczy, krągła twarz, kręcone włosy. Kiedy zauważyła, że na nią patrzę, natychmiast schyliła głowę. Ukradkiem wziąłem głęboki wdech, naprawdę pachniała dokładnie tak samo jak butelka sosu sojowego na stole u mnie w domu. A-Chan nadal milczała, wbijając wzrok w ziemię. Spytałem ją, czy coś tam leży. Zastanowiła się dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała, cykady, jak tylko wyjdą z ziemi, takie białe i malutkie, to je zbieram i wrzucam na głęboki olej, są bardzo dobre, a zamoczone w sosie sojowym stają się jeszcze lepsze, wiele osób o tym nie wie. Skończyła mówić i znów spuściła głowę, pozując grzecznie do zdjęcia.

Za trzecim razem pobraliśmy się. W noc poślubną A-Chan usiadła na łóżku w sanheyuanie i zaczęła mówić. Jak się rozgadała, to nie mogła skończyć.

Cykady nie przestawały jazgotać.

---

53 Żółty papier zadrukowany odpowiednimi zaklęciami lub życzeniami, palony z różnych okazji ku czci rozmaitych bóstw czy zmarłych.

54 Nadmiernie utuczona świnia składana w ofierze bóstwom.

## LEKKA ŁÓDKA MINEŁA NIEZLICZONE SKAŁY<sup>55</sup>

Siedział z Łódeczką pod murami porzuconej fabryki sosu sojowego, jedząc bah-uâny.

Na placu manewrowym fabryki piętrzyły się stosy potłuczonych kruży, pamiętany jeszcze zapach fermentowanej soi całkowicie już zanikł, hala produkcyjna nie miała dachu, pozostały tylko przechylone stalowe filary. Oddychając głęboko, czuło się kwaśnawy posmak rdzy. W dzieciństwie, kiedy w domu zabrakło sosu sojowego, matka kazała mu wsiąść na rower i jechać do babci po sos, babcia wkładała trzy, cztery butelki sosu sojowego Aromat do szmacianej torby i mówiła mu, żeby jechał ostrożnie. Fabryka zatrudniała wtedy wielu pracowników, gospodarka Tajwanu zaczęła się rozwijać, sos sojowy Aromat sprzedawano już nie tylko w wiosce, ale i w każdym zakątku Wyspy, zamówienia spływały bez ustanku, ciągle rozbudowywano halę produkcyjną.

Sos kończył się zazwyczaj w okolicach piątej lub szóstej godziny po południu, w momencie kiedy noc i dzień zamieniają się miejscami, a niebo nad wioską przyjmuje barwę niebiesko-fioletowo-pomarańczową<sup>56</sup>. Pamiętał ostrzeżenia, jakie dawały mu babcia i mama, ale ulice o zmroku były takie ciekawe, że jeździł rowerem gdzie się dało – tylko nie do domu.

Zobaczył, że pod drzewem ka-tang ktoś zanosí próśby do bóstwa<sup>57</sup>, okazało się, że był to sąsiad, rzeźnik węży, który wydał niemałą sumę, żeby

postawić scenę pod drzewem. Trzy siostry zdjęły ubrania i wszystkie razem weszły na podwyższenie, żeby wyginać się do drzewa, zrzuciły z siebie wszystko do ostatniej nitki. Nazywały się „trzema siostrami”, ale tak naprawdę była to babcia z córką i wnuczką. Rozbieranie się to tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie, pokazywały się na każdym weselu czy pogrzebie w wiosce, najmłodsza z nich była uczennicą szkoły podstawowej, jego koleżanką z klasy.

– Chen Tianhong – zawołała, widząc go pod sceną, kiedy się rozbierała – zrobiłeś zadanie z matmy? Jak zrobiłeś, to daj mi przepisać! Dla mnie za trudne. Sama go nie zrobię!

Plantator kwiatów właśnie zapalił oświetlenie nad polem chryzantem. Przewód musiał być uszkodzony, tysiące lampek zapaliło się i zgasło, zawieszane w powietrzu gwiazdy pospadały prosto w chryzantemy.

Księgarnia Południe zapełniła się uczniami, którzy przed chwilą wyszli ze szkoły, a właściciel znowu na kogoś wrzeszczał, ktoś wypróbował gumkę do ołówka i dostał opieprz od księgarza. Ale wrzaski te nie przegoniły klientów, którzy tłoczyli się niecierpliwie. Grupa chłopców wybrała delegata, który zebrał w sobie odwagę i gotów był odsłonić kotarę do pomieszczenia na tyłach sklepu. Wszyscy wyciągnęli drobne i kazali mu iść na zaplecze, podobno była nowa dostawa: kolorowe, nagie zdjęcia. Kilku znacznie starszych od niego chłopców spytało go: chcesz zobaczyć nagie Japonki? Jak chcesz, to dawaj kasę.

– Ja tylko po sos sojowy pojechałem. – Pokręcił głową.

Za drobne kupił sobie loda na patyku w małym sklepie pod figowcem, zatrzymał się pod latarnią uliczną, lód o smaku taro<sup>58</sup> powoli roztapiał mu się w ustach, zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy. Jeden, lampa powoli się rozjaśniła; dwa, rój owadów zleciał się do światła; trzy, przyfrunął nietoperz i zapolował na owady, chłopak głośno zaklaskał w myślach. Lubił



nietoperze. Za dnia śpią sobie smacznie wśród gałęzi drzew, wisząc głową w dół, grupa śpiących tuż przy sobie nietoperzy wygląda uroczo, dopiero wieczorem wylatują na żer. W świetle lampy ulicznej skrzydła nietoperza wydawały się na wpół przezroczyste, a lot, w którym chwycił owady, przypominał uderzenie błyskawicy.

W sadzie karambolowym po zmroku Czerwone Spodenki kończył pracę i wracał do domu.

– Włóczyś się po całej wsi – powiedział, widząc chłopca – a twoja mama w kuchni wrzeszczy, wszędzie cię szuka, nawet tutaj ją słychać, wracaj szybko do domu! Bez sosu sojowego nie można przecież usmażyć warzyw.

Czerwone Spodenki przez cały dzień pocił się w skwarnej słońcu, po zmroku opuszczał sad karambolowy, niosąc w jednej ręce drabinę, a w drugiej książkę. Był wysokiego wzrostu, w porównaniu z jego drobną posturą wyglądał jak drzewo. Kilka dni temu w bibliotece czytał o Puszczy Amazońskiej, o krokodylach, piraniach, agresywnych małpach, tukanach, trujących pająkach, wielobarwnych motylach, stworzeniach, o których nigdy wcześniej nie słyszał i których na oczy nie widział, wyobraził sobie, że sad karambolowy to właśnie taka wioskowa Puszcza Amazońska, gdzie pod drzewami wiją się ogromne pytony. Czerwone Spodenki odłożył na bok drabinę, złapał go wpół i zakręcił w miejscu dookoła, aż rozbawiony chłopak zaczął go błagać, żeby już przestał. Objął Czerwone Spodenki, kręciło mu się w głowie.

– Wystarczy, wystarczy, ha, ha, bo zwymiotuję! – powiedział z uśmiechem.

Dyszając głęboko, wachał pachy Czerwonych Spodenek, przywarł do jego bioder, zapach miał w sobie woń drzew, trawy, rzeki, delikatnie łechtął nos, powachał jeszcze raz, ciało Czerwonych Spodenek pokryło się bujną

puszczą, ten zapach to krokodyle i piranie – niczym ostre zęby wpił się w jego ciało, zostawiając szramę, o której nie sposób zapomnieć. W książce napisano, że żółwie w Puszczy Amazońskiej przyjaźnią się z motylami, motyle lubią łyżać żółwia, a żółw nie potrafi samodzielnie otrzeć sobie wydzieliny z oczu, dlatego pozwala motylom, by siadały mu na głowie i wysysały łyżać, oba stworzenia żyją więc ze sobą w zgodzie i miłości. Wyobraził sobie, że on to motyl, Czerwone Spodenki to żółw, a sad karambolowy to ich sekretna Puszcza Amazońska.

Ale Czerwone Spodenki był żółwiem nieplaczącym. Nawet w najokrutniejszym momencie życia nie uronił ani jednej łzy. Wziął tylko długopis i napisał list pożegnalny.

– Bah-uâny nie takie jak kiedyś, co? – spytał go Łódeczka. – Czujesz różnicę w smaku?

Skinął głową, poczuł różnicę, jak tylko ugryzł. Skórka była zbyt chrupka, musiał bardzo długo żuć, zanim udało mu się przełknąć, farsz nie miał zapachu pędów bambusa.

– A to z tego samego miejsca, gdzie jedliśmy w dzieciństwie, pamiętasz? Często po szkole, jak byliśmy głodni, jeździliśmy tam rowerami na bah-uâny. Stary właściciel umarł, dwóch synów to po nim przejęło, smak się popsuł dokumentnie. Bracia się potem pokłócili, i to nie tylko o pieniądze, w efekcie jeden z nich otworzył nową budę naprzeciwko i tak rywalizują między sobą, czyje mniej zjadliwe.

Siedział z Łódeczką na schodach przed fabryką, jedząc bah--uâny. Nie mieli miseczek, jedli pałeczkami prosto z foliowego worka. Nie mieli też łyżek, zadzierali głowę i trzymając w ręku worek wypełniony zupą z tofu i klopsikami, powoli przechylali, żeby wlać sobie zupę do ust. Ostatnio siedzieli tak razem, jedząc coś, w trzeciej klasie gimnazjum.

– Chodzi głównie o przyprawy, nie ma sosu sojowego Aromat, dlatego bah-uâny nie smakują jak dawniej. Ale czasami najdzie mnie ochota, żeby zjeść, choć wiem doskonale, że to niedobre, nie smakuje tak jak w dzieciństwie, a jednak jadę tam i kupuję. Dobrze się złożyło, że dziś kupiłem więcej, bo spotkałem ciebie.

Spojrzał na Łódeczkę: czarne włosy przystrzyżone na płasko, szczupły, ubrany w sportowy podkoszulek na ramiączkach, krótkie spodenki w kolorze khaki, ubrudzone błotem buty sportowe.

– Przyjechałeś na Święto Duchów? Czemu twoja najstarsza siostra nic mi nie mówiła, że masz przyjechać?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, pokręcił tylko głową.

– Jadąc, zauważyłem cię już z daleka. Widząc sylwetkę i ten krok, wydawało mi się, że to jakiś przyjezdny. Pomyślałem sobie, miesiąc duchów, bramy piekieł otwarte, upiory chodzą po ulicach. Ludzie tutaj albo jeżdżą samochodami, albo na skuterach, kto to widział, żeby chodzić pieszo, naprawdę wyglądałeś jak upiór, całe szczęście, że za dnia. Zobacz, w co ty się ubrałeś, czy to nie marynarka od garnituru? Stary, każdy, kto popatrzy, stwierdzi, żeś nie stąd.

Miał na sobie ciemnoniebieską marynarkę, a pod nią białą koszulę, czarne długie spodnie dżinsowe, czarne buty, czarne skarpetki. Strój kompletnie nie na tę porę roku. Ale po wyjściu z więzienia nie zostało mu wiele ubrań.

– Kiedy wyszedłeś? Czemu twoja najstarsza siostra mówiła, że masz jeszcze kilka lat? Zwolnili cię warunkowo?

Patrząc na porozbijane kruże, zjadł bah-uâny z foliowego worka, wypił zupę, złożył worek na pół, potem znowu na pół, oblizał palce z sosu – nie śpieszył się. Wiedział, że Łódeczka zawiesił na nim wzrok leciutki jak motyl siadający na opuszkach palców, jak bazie muskające taflę rzeki, jak

pająk wpadający między siwe włosy, delikatny i ostrożny. Nie bez przyczyny zyskał ksywę Łódeczka: kołysał się lekko, jakby się powoli huśtał, przyprawiał go o chorobę morską. Wolno podniósł oczy, spojrzał na Łódeczkę, najedzony nabrał mocy, było dobrze. Zacisnął pięści i z całych sił zgromadzonych w przeponie, piersiach i gardle wymówił to twarde jak kamień słowo:

– Wyszedłem.

„Wyszedłem”, trzy sylaby, ostre jak zadziory, poraniły mu gardło i ściany jamy ustnej, bolało. Ale poczuł się lżej, kiedy to powiedział.

Łódeczka położył mu dłoń na ramieniu, nie odzywając się. Spojrzał na jego dłoń i zobaczył na niej głębokie bruzdy, a pod paznokciami brud. Minęło trzydzieści lat, ręka urosła, pociemniała.

Kiedy w pierwszej klasie gimnazjum przeniesiono go z grupy słabeuszy do prymusów, Łódeczka usiadł obok niego. Pierwszego dnia w gimnazjum był pisemny test na inteligencję, na jego podstawie szkoła przydzielała uczniów do grup; tych, którzy zdobyli najwięcej punktów, przydzielano do dwóch grup A+, czyli do pierwszej i drugiej grupy pierwszego roku, potem były dwie grupy A-, czyli trzecia i czwarta grupa pierwszego roku, i tak dalej aż do najmniej inteligentnych. Nigdy w życiu nie zdawał testu na inteligencję, nie miał pojęcia, jakich odpowiedzi udzielać, na całym roku było siedemnaście grup, dostał się do siedemnastej grupy pierwszego roku. Nie wiedział wtedy jeszcze, że siedemnasta grupa jest dla nierokujących uczniów. Kiedy po powrocie do domu powiedział, że został przydzielony do ostatniej grupy, siostry miały kwaśną minę, czuły, że im się wnętrzności przewracają, przecież ich najmłodszy brat nie był głupi, a przypisano go do edukacyjnych nizin. W grupie siedemnastej było wesoło, każdy śmiał się do rozpuku, na kartkówkach połowa dostawała jajo<sup>59</sup>, wszyscy prześcigali się, kto mniej punktów zdobędzie. W grupie tej znalazła się osoba parająca się

wróżbiarstwem, nauczyciel matematyki płaszczył się przed nią, żeby mu wyjawiała zwycięskie liczby na loterii; był tam uczeń z tatuażami, który pewnego dnia przyszedł do szkoły z kataną, mówiąc, że po lekcjach musi z kimś wyrównać rachunki, tego wieczoru ktoś uciął mu głowę, a nazajutrz mówiono o tym w wiadomościach; była też osoba o krągłej twarzy i ślamazarnych ruchach, która się bez przerwy śmiała, był ktoś na wózku inwalidzkim, był ktoś bez ręki. Jego koleżanka z podstawówki, która tańczyła nago, również była w tej grupie. Siedemnasta grupa pierwszego roku była nader rozrywkowa, nauczyciele nie przykładali się zbytnio do nauczania, matematyk pisał na tablicy *Sutrę serca*<sup>60</sup>, nauczycielka angielskiego wyznała otwarcie, że nie zna w ogóle tego języka, nauczyciel chemii często się nie pojawiał, historyk na każdej lekcji popijał wódkę pędzoną z sorgo, nauczyciel pochodzący z Syczuanu ciągle krzyczał, że trzeba odbić Kontynent, a nauczyciel chińskiego pokazywał podopiecznym kupione w księgarni Południe japońskie magazyny ze zdjęciami nagich modelek pochodzących z mieszanych rodzin. Uczniowie zawsze przynosili dużo jedzenia do szkoły: zongzi z mięsem, ciasto ryżowe, bah-uâny, kielbasę, kurczaka w cieście, i jedli wszyscy, kiedy chcieli, ty mi dasz trochę, ja ci dam trochę; ogólnie było wesoło. Po pierwszym półroczu w klasie zaszły pewne zmiany, kilku dziewczynom urosły brzuchy, policja przyjechała na teren szkoły i zabrała kilku chłopców z tatuażami, osoba na wózku inwalidzkim podcięła sobie żyły w ubikacji, krew zalała całą podłogę, jedna uczennica urodziła dziecko w łazience. Kiedy wrócił do szkoły po feriach zimowych, w siedemnastej grupie pierwszego roku została już tylko połowa uczniów. Do klasopracowni wszedł pedagog szkolny i poklepał go po ramieniu.

– Chen Tianhong, zostałeś przeniesiony, bierz torbę i chodź ze mną.

Okazało się, że ten uczeń z siedemnastej grupy pierwszego roku na kilku z rzędu sprawdzianach miesięcznych z języka chińskiego i angielskiego poradził sobie lepiej niż uczniowie pierwszej i drugiej grupy, pedagodzy postanowili więc przenieść go z ogona na czoło – do drugiej grupy pierwszego roku.

Pierwszą lekcją w drugiej grupie pierwszego roku był język angielski. Nauczycielka była niskiego wzrostu, w ręku trzymała ratanowy wskaźnik, a w oczach miała bagnety.

– Dzisiaj mamy nowego ucznia w klasie – oznajmiła. – Mówiono mi, że bardzo dobrze radzi sobie z językiem angielskim, z tego samego egzaminu dostał więcej punktów niż wy, gamonie. Chen Tianhong, wstań. Dołączył do nas nowy uczeń, co znaczy, że ktoś musiał odejść, uprzedzam więc wszystkich: kto się nie będzie pilnie uczyć, może wylecieć jako następny. Chen Tianhong, musisz się przykładać do nauki, bo inaczej spadniesz z powrotem do tej śmieciowej grupy.

Podniósł się z krzesła, wszystko wydawało mu się obce, w klasie panował spokój, nikt nie kopał ławek, nie grał w karty na pieniądze ani w madžonga, wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych, jakby się nie wyspali.

– Yang Xiaozhou, usiądziesz obok Chen Tianhonga, pomożesz mu się zapoznać z otoczeniem, powiesz mu wszystko, o czym musi wiedzieć. Klasa, do której wcześniej chodził, to zbiorowisko chuliganów i dziwek.

Od kolegów w klasie dowiedział się, że Yang Xiaozhou to syn nauczycielki angielskiego, zawsze ma najlepsze oceny, a w przyszłości ma zostać lekarzem.

Nigdy nie zapomni tego, jak mu się Yang Xiaozhou przedstawił:

– Nazywam się Yang Xiaozhou. Takie „zhou”<sup>61</sup>, jak w tym wierszu: *qīng zhōu yǐ guò wàn chóng shān*<sup>62</sup>.

Postanowił, że będzie na niego mówić: Łódeczka. Łódeczka był mu równy wzrostem, miał duży nos i małe oczy.

Powiedział nowo przybyłemu, że druga grupa pierwszego roku różni się od pozostałych grup tym, że inni przychodzą dopiero o wpół do ósmej, a im nauczycielka każe zjawiać się w szkole o wpół do siódmej i od razu mają sprawdzian z angielskiego, a o siódmej z matematyki. Jeśli ktoś zdobędzie mniej niż dziewięćdziesiąt punktów w każdym ze sprawdzianów, to dostaje lanie, i nie ma przebaczenia. Lekcje plastyki, ZPT, życia w rodzinie, muzyki zastąpiono zajęciami z matematyki i angielskiego. W całej szkole sporządzano wspólny ranking wyników ze sprawdzianów śródsemestralnych; jeśli w pierwszej dziesiątce nie znalazło się minimum pięć osób z klasy, to cała grupa robiła żabki na boisku.

Kiedy ogłoszono pierwszy ranking wyników ze sprawdzianów śródsemestralnych, dziesięć najwyższych miejsc zajęły osoby z pierwszej i drugiej grupy. Ale nauczycielka była wielce niepokojona, gdyż Łódeczki nie było w pierwszej dziesiątce. Tego dnia po lekcjach, kiedy inni nauczyciele i uczniowie już sobie poszli, nauczycielka wzięła ratanowy wskaźnik i uderzyła nim Łódeczkę w wewnętrzną stronę dłoni. Kiedy chłopak skulił się w półprzysiadzie, nauczycielka smagała go po plecach, potem Łódeczka robił żabki po całym boisku.

– Yang Xiaozhou – krzyczała – jak ty chcesz z takimi wynikami dostać się na medycynę?! Nie odwiozę cię dzisiaj do domu. Sam sobie wracaj.

Cały czas chował się za rosnącym na boisku drzewem, płomieniem Afryki, i wkuwał słówka do jutrzejszego sprawdzianu z angielskiego, podglądając, jak na Łódeczkę lecą gromy. Wyszedł zza drzewa dopiero wtedy, gdy usłyszał oddalający się warkot skutera, i usiadł przy koledze. Na białej koszuli mundurka Łódeczki widniały pręgi po ratanowym wskaźniku. Wyjął kawałek ciasta taro i podał Łódeczce.

– Moja mama zrobiła, bardzo dobre, masz. – Łódeczka zjadł ciasto.

– Ale ja jestem głupi – powiedział, śmiejąc się – zapomniałem ci powiedzieć, że zgodnie z zarządzeniem mojej mamy nie wolno przynosić do szkoły jedzenia. Czasem, korzystając z okazji, że nas nie ma w klasie, szpera po torbach, jeśliby to znalazła, to, hej, miałbyś bardziej przerąbane niż ja dzisiaj. Kurczę, ale to dobre, fajną masz mamę.

Prowadząc rower, opuścił z Łódeczką pusty teren szkoły, wolnym krokiem ruszyli razem do domu. Tego dnia o zmroku niebo miało barwę złocistą, w powietrzu fruwało mnóstwo nietoperzy.

– Dobrze, że wyszedłeś. Nie byłeś jeszcze w domu, na razie nie wracaj, zadzwonię do twojej najstarszej siostry, żeby przygotowała palenisko. Jak wrócisz, to przejdziesz przez ogień.

– Yang Xiaozhou, co ty tutaj robisz? Czy twoja rodzina się czasem nie wyprowadziła? Zaraz, czekaj, coś mi tu nie gra, skąd znasz moją najstarszą siostrę?

Łódeczka wyjął telefon i mrugnął do niego prawym okiem.

– To ty z Niemiec wróciłeś, a ja nie mogłem wrócić? Poczekaj, zadzwonię do niej.

Nagle dopadła go senność. Która to tak naprawdę godzina? Różnica czasu między Niemcami a Tajwanem wynosi latem sześć godzin, więc która jest teraz dokładnie? I gdzie on właściwie jest? Co to za miejsce?

– No, to ja! Zaraz do ciebie przyjdę, z tajemniczym gościem. Nie pytaj tyle, po prostu z tajemniczym gościem przyjdę. Skończyłaś odprawiać obrzędy? Posłuchaj, poszukaj jakiegoś paleniska, małego, ojej, jakiegokolwiek; grunt, żeby nie było za duże. A, jeszcze coś, masz nóżki wieprzowe w domu? E tam, nie trzeba, po prostu przyjadę.

Gdy słuchał głosu Łódeczki, zdawało mu się, że ma chorobę morską.



– Śpiący jesteś, co? Różnica czasu. Choć, zdrzemniesz się u mnie w aucie, odwiozę cię do domu.

Wsiadł do samochodu i ledwie silnik zaburczał, zamknął powieki.

Auto Łódeczki miało miękkie siedzenia, szybko pogrążył się w głębinach snu. Głębiny miały dno. Poczuł, jak jego ciało uderza o jakąś miękką, galaretowatą, elastyczną powierzchnię, od której się odbija.

– A! – zawołał, budząc się.

A! Nie jestem w więzieniu? Co to za miejsce? Kto siedzi za kierownicą? Łódeczka? Yang Xiaozhou? Czemuś ty taki stary? Łódeczka? Gdzie ja jestem? Te plantacje kwiatów za oknem to chryzantemy?

– Śpij, jedziemy kupić mī-suànn<sup>63</sup>. Twoja siostra na pewno już się domyśliła, na pewno wie, że braciszek wrócił.

---

<sup>55</sup> Cytat z wiersza autorstwa Li Baia:

*Z Bodi we mgle poranka do Jianglingu ruszam,  
A podróż ta zapewne dzień mi zajmie cały.  
Po obu brzegach rzeki krzyk mały nie ustaje,  
Lekka łódka minęła niezliczone skały.*

(Przekład własny tłumacza).

<sup>56</sup> Im bliżej równika, tym różnice długości dnia o różnych porach roku są mniejsze. Yongjing leży około trzydziestu minut na północ od Zwrotnika Raka, dlatego pora roku ma niewielki wpływ na godzinę nadejścia zmroku.

<sup>57</sup> Według wierzeń ludowych drzewa o grubym pniu i bujnych gałęziach mają duszę lub boskie moce.

<sup>58</sup> Warzywo bulwiaste o bladofioletowym miąższu.

<sup>59</sup> Chiński system oceniania opiera się na procentach, a nie na ocenach.

<sup>60</sup> Krótka sutra głosząca między innymi, że „Forma nie jest różna od pustki. Pustka nie jest różna od formy”. Zob. <http://mahajana.net/biblioteka/teksty/sutra-serca-po-polsku> [dostęp 16.01.2023].

<sup>61</sup> Dosłownie „łódka”.

<sup>62</sup> Lekka łódka minęła niezliczone skały.

<sup>63</sup> Cienki makaron pszeniczny.

## LIST POŻEGNALNY

*Braciszku,*

*nigdy nie odpisywałam, ale odbierałam. Wszystkie listy, jakie napisałeś do mnie w ciągu tych lat, otrzymałam. Wysłałeś do starego domu, najstarsza siostra ukradkiem mi je przekazała, on nie wie, naprawdę nie wie. Myśli, że jak dwie osoby z naszej rodziny poszły siedzieć, to wielki wstyd. Kretyn, a od nich to nikogo nie posadzili? Kretyn. Kretyn, niech go szlag trafi.*

*Nie odpisywałam, nie odpowiadałam na Twoje listy, nie. Bo nie umiem. Wiesz przecież, że Twoja czwarta siostra jest głupia, pisanie listów idzie jej ciężko, nie umiem. Głupia jestem, głupia do tego stopnia, że źle wyszłam za mąż. Potwornie głupia, potwornie głupia, potwornie głupia, głupia, po prostu głupia.*

*Teraz odpisuję, późno, za późno. Ale te listy, które do mnie napisałeś, wszystkie przeczytałam. Książki, które napisałeś, też przeczytałam wszystkie. Nie wychodzę teraz z domu, cały czas czytam. Czytam stare gazety, czytam Twoje książki. Tak się czasem zastanawiam, czy w tych powieściach nie napisałeś przypadkiem o mnie. Czytałam wiele razy, każdą czytałam. Ta głupia kobieta to na pewno ja, prawda? Ale trochę inna. Braciszku, Twoje książki są bardzo dobre, często ich nie rozumiem. Nie rozumiem, bo jestem głupia. Ty nie jesteś głupi, mówią, że kogoś zabiłeś, a za to jest wiele lat odsiadki. Bardzo Ci tego zazdroszczę. Zazdroszczę, rozumiesz? Na pewno rozumiesz, jesteś taki pojętny, nie to, co Twoja czwarta siostra.*

*Twoja czwarta siostra jest po prostu głupia. Wszystkie listy, jakie do mnie napisałeś, otrzymałam i zachowałam. Wiele papieru w moim pokoju spleśniało, ale nie chciałam, żeby Twoje listy spleśniały, spytałam ogrodnika Białego Domu, co mam zrobić, dał mi wodoszczelny pojemnik, zasilany prądem, włożyłam tam Twoje listy. Listy mają się dobrze, nie spleśniały. Jak wyjdiesz, będę mogła Ci je oddać, wszystkie Ci oddam, będziesz je mógł uporządkować i następna książka to będą właśnie te listy. Czytałam wiele razy, naprawdę, nie kłamie, wszystkie Twoje książki kupiłam i przeczytałam, Twoje listy też ciągle czytam.*

*Mamy nie ma, mówię Ci, mamy nie ma. Ciągłe wydzwaniam do innych – najstarsza siostra mnie ignoruje, druga siostra mnie ignoruje, trzecia siostra mnie ignoruje, wszystkie mnie ignorują. Chciałam zadzwonić do piątej siostry, ale jestem głupia, po prostu głupia, nie umiem, po prostu nie umiem.*

Musimy znaleźć mamę i wszystko się ułoży, będzie dobrze, najstarsza siostra właśnie zadzwoniła do Białego Domu, mówi, że wróciłeś.

Powiedziała przez telefon, Sujie, chodź szybko, braciszek wrócił. Brat z Niemiec wrócił.

Ty głupku, po co tu wróciłeś? Po co wróciłeś w to upiorne miejsce?

Jesteś potwornie głupi.

Jestem skończona, skończona. Zniszczona. Taka ja. Jestem potwornie głupia. Nie mogę wyjść.

Po prostu nie mogę wyjść. Chciałabym wziąć i podpalić ten Biały Dom. Jak się spali, to nie będzie biały. Okopci się, zwęgli, z białego zmieni się w czarny, całe złoto się wypali.

Jest list.

Jest jeszcze jeden list.

Są dwa listy.

Oprócz listów, które do mnie napisałeś, w tym wodoszczelnym pojemniku są jeszcze dwa inne listy. Bardzo stare listy, z dawnych czasów. Ręcznie pisane. Znalazłam je w domu Wangów.

Nie wiedzą, że je mam. Podobno teraz już nikt nie pisze listów. Mam na myśli, że ręcznie nie pisze. Nie wychodzę na zewnątrz, ale wszystko wiem, wszystko wiem, nie jestem aż taka głupia. Młody Wang. A nie, nie, nie, to ogrodnik. Dał mi nowoczesną komórkę.

Braciszku, ten list. List pożegnalny, napisał go przed śmiercią. Od wielu lat go czytam, non stop. Nikt nie wie o tych dwóch listach. Kilka osób o nich wie. Ty o nich nie wiesz.

Musisz, naprawdę musisz je przeczytać, te listy pożegnalne.

To Lekkoduch napisał. Nie zapomniałeś go chyba. Ten, co uprawiał karambole. Wysoki.

Mieszkał obok.

Najstarsza siostra dzwoniła, kazała mi czym prędzej wrócić do domu. Wracaj do domu, wracaj do domu, wracaj do domu, ale ja nie potrafię. Nie mam odwagi, nie chcę, za głupia jestem, nie umiem. Nie chcę.

Mamy nie ma.

Wróciłeś. Czemu chciałeś wrócić?

*Twoja czwarta siostra, Sujie*



**CZĘŚĆ II**

**BRACISZEK  
WRÓCIŁ**

# 1

## PŁYWALNIA WIECZNEJ POMYŚLNOŚCI

Obudził się, za kierownicą nie było już Łódeczki.

Samochód stał na poboczu, zapadał zmrok, błękitna barwa nieba przechodziła w pomarańczową. Wysiadł, żeby rozprostować nogi, obok rozciągało się pole kapusty głowiastej, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Znał ten zapach, czuł go, kiedy rolnicy palili słomę i śmieci na polach, kiedy rzeźnik węży podpalał węże łuczywem, kiedy się komuś czosnek w woku przypalił i zwęglił, kiedy ludzie palili złoty papier, składając zmarłym ofiary. Czasem w spaleniznie dało się wychwycić słodką woń pieczonych batatów lub taro. Kiedy wybuchał pożar, paliły się domy i pola, palili się ludzie, raz w środku nocy spłonął jeden z tych starych domów szeregowych.

Zapach kazał mu wrócić do terażniejszości. Senność wyparowała, nie był w Berlinie, tylko w swoim starym Yongjingu. Przytknął grzbiet dłoni do nosa i powąchał. Okazało się, że źródłem spalenizny był on sam, a nie wioska. A Łódeczka? Czy nie mówił, że chce jechać po mī-suànn? Zanim zasnął, słyszał, jak Łódeczka mówił, że wie, gdzie można kupić dobry mī-suànn z wieprzowymi nóżkami. Rozejrzał się dookoła, po przeciwnej stronie ulicy zobaczył szyld z napisem „Pływalia Wiecznej Pomyślności”.

Jeszcze istnieje. Basen jeszcze istnieje.

T., to właśnie tutaj nauczyłem się pływać.

Nastały wakacje między pierwszą a drugą klasą gimnazjum, nauczycielka angielskiego napisała na tablicy: „Do egzaminów licealnych zostało 715 dni, kto się leni, ten się nie ceni”, po czym surowym głosem obwieściła, że daje całej klasie tylko trzy dni wolnego, a potem wszyscy mają włożyć mundurki i wrócić do szkoły na wakacyjne douczanie. Minęło zaledwie jedno półrocze, odkąd został przeniesiony z grupy siedemnastej do drugiej, nie miał czasu się nawet wyspać, z okularami na nosie zakuwał i powtarzał czytanki. Gdy wracał ze szkoły, spotkał kolegów z siedemnastej, siedzieli pod drzewem ka-tang i paląc papierosy, rozmawiali między innymi o tym, gdzie spędzą wakacje.

– Macie już owłosienie? – spytał wszystkich chłopak, który po szkole parał się wrózeniem w świątyni.

Chłopcy pokręcili głowami zawstyżeni.

– Ja mam – powiedział z dumą. – Chcecie zobaczyć?

Wszyscy stanęli w kręgu i patrzyli, jak mały wróżbita otwiera rozporek i pokazuje genitalia.

– Ciemne, gęste owłosienie! – krzyknął jeden.

W języku tajwańskim te trzy wyrazy się rymują, zabrzmiało to więc jak rymowane zaklęcie, owłosiony chłopiec został pobudzony i jego prącie natychmiast się uniosło. Chen Tianhong oniemiał, chciał dotknąć; to, co widział, wydało mu się bardziej majestatyczne niż rosnące obok stare drzewo ka-tang.

I wkrótce dotknął. U Czerwonych Spodenek.

Tego dnia po powrocie do domu poważnie zachorował, leżał pod kroplówką, przyjmował leki, czoło miał rozpalone gorączką, która przez wiele dni nie opadała, nie miał jak uczęszczać na wakacyjne douczanie, mógł się tylko zwolnić. Matka stwierdziła, że w syna wstąpił demon, szybko wzięła więc jego ubranie i nakryła nim okrągły ceramiczny kubek

wypełniony po brzegi ziarenkami ryżu, po czym zaczęła wypowiadać zaklęcia na ujarzmienie strachów. Kiedy wyjęła kubek spod ubrania, przyjrzała się uważnie ułożeniu ziarenek i powiedziała, że ryż ukazał jej duże, grube drzewo i złowieszczy wiatr, a z drzewa zwisało coś brudnego, grubego i dużego, nie dziwota, że ma gorączkę.

Yang Xiaozhou i inni koledzy przyszli go odwiedzić. Zazdrościli mu, że ma gorączkę, wakacyjne douczanie nie było wcale łatwe, nauczycielka kazała im zapamiętywać po pięćdziesiąt angielskich słówek każdego dnia. Kupiła nowy wskaźnik z ratanu, stwierdziła, że latem jest za gorąco i nie chce jej się bić uczniów, dlatego od tej pory chłopcy będą bić dziewczyny, dziewczyny będą bić chłopców, a jak ktoś nie będzie uderzał z całej siły, to dostanie dodatkową karę. Wszyscy wrócili zaraz do domu, żeby zakuwać słówka, został tylko Łódeczka, ucząc go tego, co przerabiali w szkole przez te kilka dni.

– Jak ci minie gorączka – mówił Łódeczka – to może chciałbyś się wybrać do Yuanlinu? Nie martw się, moja mama się nie dowie.

Miasteczko Yuanlin wydawało im się wówczas wielką i zapierającą dech w piersiach metropolią. W Yuanlinie było kino, supermarket, park, zatłoczony dworzec kolejowy, duże księgarnie, sklepy odzieżowe, fast food, neony, i chociaż było to tylko małe miasteczko, to stało się spełnieniem ich wyobrażeń o wielkomiejskiej cywilizacji. A poza tym w Yuanlinie można było wsiąść do pociągu albo w autokar i dojechać aż do Tajpej. Tajpej, bardzo chciał zobaczyć Tajpej. Słyszając, że Łódeczka proponuje podróż do Yuanlinu, od razu skinął głową. Jak już tam będą, to być może uda im się wskoczyć do pociągu i pojechać na gapę do Tajpej.

Łódeczka wrócił do domu, a chorego zmorzył sen, cały czas śniło mu się drzewo ka-tang. Kiedy się obudził, zauważył, że jemu też wyrosło delikatne owłosienie.



Wakacyjne douczanie to była katorga. Cykady za oknem jazgotały w najlepsze, usypiając młodzież zmuszaną każdego dnia do zakuwania, wygłaszania z pamięci, pisania testów – a kto nie dostał odpowiedniej liczby punktów, musiał podstawić dłoń pod ratanowy wskaźnik. Kto nie doszłusował do odpowiedniego poziomu na teście, podchodził do miejsca kaźni przed tablicą, chłopcy w jednym rzędzie, dziewczyny w drugim, potem nauczycielka przekazywała wskaźnik, chłopcy bili dziewczyny, a dziewczyny chłopców. Jeden z chłopców wyraźnie starał się uderzać lekko.

– Co tak słabo bijesz? – Nauczycielka spojrzała na niego krzywo. – Zakochałeś się w niej, co? Podoba ci się? Ile razy mam powtarzać, że szkoła to nie miejsce na randki, ale na naukę. Chcecie ze sobą chodzić? Chcecie się pobrać? Zająć w ciążę? Mieć dzieci? To przenieście się do grupy dla słabeuszy, będziecie tam sobie mogli randkować i swawolić ile się da, rodzić dzieci ile wlezie, ku chwale ojczyzny!

Cały ładunek złości i wstydu, jaki w sobie miał, włożył w ten ratanowy wskaźnik: podniósł go wysoko oburącz i z impetem uderzył dziewczynę w wewnętrzną stronę dłoni, gdzie natychmiast pojawiła się fioletowa linia, dziewczyna wykrzywiła twarz, a z jej oczu popłynęły łzy.

Po biczowaniu wszystkim uczniom i uczennicom, którym nie udało się osiągnąć wymaganej liczby punktów, nauczycielka kazała uklonić się i chórem powiedzieć: „Dziękujemy pani”.

Wreszcie nadeszła niedziela, Łódeczka umówił się z nim i razem pojechali rowerem do Yuanlinu. Łódeczka mówił, że pod żadnym pozorem nie można jechać główną drogą, bo łatwo ich będzie zauważyć, a jak będą mieli pecha, to ktoś powie o tym jego mamie. Mknęli przez małe, wyboiste wiejskie ścieżyny, żyzne pola przyciągały wzrok bujną zielenią, rolnicy spryskali uprawy nawozami, w powietrzu czuć było silną woń środków

chemicznych. Dwaj młodzi yongjińscy pedałowali co sił w nogach, jakby ich gonił jakiś potworny nieprzyjaciel, pędzili jak burza, pokonali rów irygacyjny, w którym zalegały martwe świnie, minęli sad karambolowy, przemknęli obok cmentarza, zderzyli się z chmarą jaskrawożółtych motyli, aż w końcu dotarli do granic wioski. Zatrzymali się, wypili wodę z bidonu, żółte motyle przysiadły na ich spoconych ciałach. Przed nimi roztaczał się Yuanlin, a za nimi leżał Yongjing, jeszcze kilka depnięć w pedały i przekroczą tę niewidzialną granicę, wjadą do okazałego Yuanlinu.

Łódeczka znał to miasto jak własną kieszeń. Zaraz po dotarciu wybrali się na yuanlińskie bah-uâny, potem kupili album jakiegoś idola na kasecie, poszli zobaczyć, jak licealiści grają w bilard, w księgarni kupili album z nagimi zdjęciami sławnych japońskich gwiazd i trzymając w ręku wielką torbę kurczaka w cieście, usiedli w poczekalni na dworcu kolejowym, żeby zobaczyć, kiedy odjeżdża następny pociąg do Tajpej.

– Mama chce, żeby mój starszy brat został lekarzem, a ja nauczycielem – mówił Łódeczka. – Mam odziedziczyć po niej miejsce, chyba jej odbiło, nie chcę uczyć, nie mam zamiaru bić uczniów każdego dnia. Ale mój brat ma gorzej. Odkąd poszedł do liceum, mama doprowadza go do kresu wytrzymałości, przynajmniej nie każe mi zdawać egzaminu na studia medyczne. Wcześniej też chciała, żebym został lekarzem, ale teraz mówi, że jestem głupi, więc lepiej, żebym został nauczycielem.

Łódeczka otworzył zdjęcia Japonek, obaj to spoglądali na przyjeżdżające i odjeżdżające pociągi, to znów zagłębiali się w piersiach i włosach łonowych.

– Miyazawa Rie<sup>64</sup> jest sławna w Japonii! – zauważył Łódeczka. – Że też się zgodziła na takie zdjęcia, tak bez niczego. Chyba mama jej kazała.

Patrząc na zdjęcia Japonek, stwierdził, że nie ma w tym nic takiego. Jego koleżanka z podstawówki rozbiera się i tańczy zawodowo, nie raz

widział ją w niejednej świątyni, na niejednym pogrzebie czy weselu zupełnie naga, widział, jak stopniowo rosną jej piersi, pęcznieją pośladki, ale na dole nigdy nie było owłosienia, spytał ją potem, okazuje się, że do tańca nago trzeba się ogolić, w innym wypadku niektórzy zleceniodawcy mogą uznać to za nieprzyzwoite, policja może przyjechać i je zgarnąć, a jak nie ma owłosienia, to nie ma problemu.

Barwy nocy zaczęły już przeganiać biel dnia, musieli więc wracać. Łódeczka wybrał inną drogę powrotną, minęli dworzec kolejowy w Yongjingu i objechali dookoła wielkie pola chryzantem. Dworzec kolejowy w tej małej wiosce był miejscem bezludnym, tylko najwolniejsze pociągi się tutaj zatrzymywały, w takiej dziurze zabitej dechami mało kto wsiadał do pociągu, niewielu też chciało tutaj wysiadać. Po chwili dojechali do Pływalni Wiecznej Pomyślności, gdzie o zmroku na basenie zapalano rażące oświetlenie, w niebieskim basenie kąpało się zaledwie kilka osób. Zaraz po otwarciu Pływalnia Wiecznej Pomyślności była jedyną tego typu atrakcją w całej wiosce, często jeździł wtedy po okolicy samochód reklamowy: „Nowo otwarta Pływalnia Wiecznej Pomyślności zaprasza, bilety z dwudziestoprocentową zniżką, niech dziadek zabierze babcię, niech babcia zawoła wnuki, niech cała rodzina przyjdzie na basen”.

– Chen Tianhong, umiesz pływać? – spytał Łódeczka.

Pokręcił głową i przypomniał sobie, jak go matka pouczała:

– Moja mama mówiła, nie waż mi się uczyć pływać, w wodzie są upiory wodne.

– Pierdu-pierdu. Pływanie jest fajne, nauczę cię. Chcesz?

Zawsze przytakiwał, kiedy Łódeczka coś powiedział.

Pewnego razu pokłócił się z T. na plaży, nagle T. wepchnął go do lodowatego Bałtyku. Chociaż to był sierpień, pełnia lata, woda w morzu była zimna, wpadł do niej cały, nogami nie dotykał dna, był przerażony,

chłodna woda wlewała mu się wszystkimi otworami ciała, oczy, usta, nos – pełne były wody. T. złapał go od tyłu i wyciągnął z morza na brzeg.

– Przecież Tajwan to wyspa, jak to możliwe, że nie umiesz pływać?

Leżał na plaży, odkrztuszając nerwowo, gdy nagle przypomniał sobie matczyne pouczenie: „Nie wolno pływać, w wodzie są upiory”. Upiory wodne specjalizują się w ściąganiu ludzi na dno i topieniu. Kiedy przed chwilą szamotał się w wodzie, wydawało mu się, że jakaś siła ciągnie go na dół. Nie tylko w Yongjingu są upiory wodne, w Morzu Bałtyckim też.

– Umieć pływać, naprawdę umieć. Ale muszę dotykać dna i mieć gogle. Woda musi być czysta, niebieska.

T. otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Woda nie jest niebieska. – Zaśmiał się.

– Jest. Woda w basenie jest właśnie niebieska. Nogami da się dotknąć dna, nie można utonąć. Chciałeś mnie chyba zabić.

Pałac jointa, T. objął go, co wzbudziło zainteresowanie innych osób na plaży. Ale nie bał się tych oczu, czuł się bezpiecznie, kiedy T. był przy nim. Umyślnie zakasłał jeszcze kilka razy, a T. objął go mocniej.

T., moim pierwszym trenerem pływania był Łódeczka.

Powiedział mu, że niczego nie musi ze sobą brać, tylko wymyślić jakąś wymówkę dla rodziców i tyle, a potem spotkać się z nim u wejścia do Pływalni Wiecznej Pomyślności.

Po kolacji okłamał rodziców, że idzie do kolegi, żeby się uczyć. Gnał rowerem tak szybko, jak tylko mógł, pędził na lekcję pływania z Łódeczką. Łódeczka miał dla niego kąpielówkę, gogle i ręcznik, kazał mu iść do przebieralni i sprawdzić, czy kąpielówki nie są za długie. W wąskiej przebieralni założył obcisłe niebieskie spodenki, poczuł niepokój. Wydawało mu się, że ma niewystarczająco płaski brzuch, skórę zbyt bladą, ręce i nogi cienkie jak patyki, a niedorozwinięte genitalia gubią się nawet

w obcisłych kąpielówkach. Zebrał się na odwagę i wyszedł, a Łódeczka dawno założył już kąpielówki i czekał na niego. Jego wzrok zatrzymał się na spodenkach Łódeczki. Przypomnił sobie słowa, jakie słyszał pod drzewem ka-tang: „Ciemne, gęste owłosienie”, aż mu się czoło rozpalilo.

Pływalnia Wiecznej Pomyślności miała dwa baseny, jeden był standardowy, a drugi to brodzik dla dzieci.

– Żeby się nauczyć pływać – powiedział Łódeczka – musimy iść na standardowy. Powiem ci w sekrecie, że niektóre dzieciaki, niech je szlag trafi, sikają do tego brodzika, raz nawet widziałem, jak się jedno wysrało, lepiej tam w ogóle nie wchodzić.

W brodziku ustawiono niemało podróbek belgijskich rzeźb sikających dzieci, a każda z nich bez przerwy sikała strumieniem wody.

Na pływalni wieczorem panował spokój, z okolicznych pól dochodziły odgłosy żab i świerszczy, w basenie było tylko kilka osób, które niemrawo machały nogami w wodzie. Łódeczka umiał pływać żabką, w stylu wolnym, na plecach, na wszystkie sposoby, umiał też nurkować w basenie i wstrzymując oddech, dotknąć dna. Najpierw nauczył go, jak machać nogami w wodzie.

– Nie bój się – powtarzał – w wodzie nie ma upiorów, musisz rozluźnić kolana.

Łódeczka podparł mu brzuch ręką, chwycił za stopę. Machał nogami na tyle nieuważnie, że kopnął Łódeczkę w przyrodzenie. Natychmiast się zatrzymał i stanął na dnie.

– No to nie będę miał dzieci. – Łódeczka zaśmiał się, puszczając do niego oko. – Zapłacisz mi za to. Dawaj, jedziemy dalej.

Owego lata często okłamywali rodziców, żeby wymknąć się na Pływalnię Wiecznej Pomyślności. Wakacyjne douczanie dobiegało końca, rok szkolny zbliżał się wielkimi krokami, umiał już pływać samodzielnie,

choć miał jeszcze problemy z łapaniem oddechu, ale mógł się przynajmniej utrzymać na powierzchni wody.

Aż...

Pewnego dnia niespodziewanie spadł wielki deszcz, grzmoty waliły bez opamiętania, błyskawice rozdzierały nieboskłon. Ratownik dmuchnął w gwizdek, każąc wszystkim wyjść z basenu. Obaj właśnie wtedy siłowali się w wodzie, ciągnęli, pchali, zanurzali, parskali śmiechem, nie zważając na krzyk ratownika ani na ciepły deszcz, który bił ich po twarzy. Kiedy już opuścili basen, ujrzeli przed sobą nauczycielkę angielskiego.

Z jej oczu wystrzeliły błyskawice, trafiając ich obu bez pudła. Nie odezwała się ani słowem, wzięła Łódeczkę za rękę i wyszła z nim.

Następnego dnia nauczycielka kazała im zmienić miejsca. Łódeczka, który siedział obok niego, został przeniesiony naprzeciw pulpitu.

Na początku roku szkolnego cała klasa zmieniła miejsca, ale Łódeczka wciąż siedział naprzeciw pulpitu, a jego przeniesiono na tył sali, w kąt tuż obok kosza na śmieci. Przed nim siedział zaś wysoki i barczysty kolega, który całkowicie go zasłaniał. To miejsce było przeznaczone dla osoby, która osiągnęła najgorszy wynik na sprawdzianie miesięcznym, a teraz przypadło jemu w udziale. Przed zmianą miejsca nauczycielka często chwaliła jego wyniki z języka angielskiego, a teraz ignorowała go zupełnie. Podczas sprzątania klasy przydzielała mu zadanie wyrzucenia śmieci i umycia kosza. Zniknął też rower Łódeczki, codziennie przyjeżdżał z mamą i z mamą wracał. Po każdej lekcji i podczas długiej południowej przerwy Łódeczka musiał udawać się do pokoju nauczycielskiego i siedząc obok mamy, wkuwać angielskie słówka. Łódeczka, który latem trzymał go za ramię w basenie, teraz siedział daleko od niego i patrzył wprost na tablicę.

Minęło ponad trzydzieści lat, a Pływalnia Wiecznej Pomyślności wciąż stała.

Przeszedł przez ulicę, nie usłyszał plusku wody. Kiedyś wystarczyło podejść i słyszeć było taplających się ludzi. Śmiech dzieci na basenie mieszał się z odgłosami owadów, a teraz panowała cisza. Pomyślał, może mają wolne z okazji Święta Duchów.

U wejścia leżał uschnięty szorstkowiec<sup>65</sup>, od bramy odpadła już farba, w kasie biletowej walały się stosy śmieci, ogrodzenie zniknęło. Wszedł. Sucho.

Wody nie było ani w basenie standardowym, ani w brodziku dla dzieci, zostały tylko nagie białe kafelki. Białe rzeźby sikających dzieci leżały przewrócone na dnie, potrzaskane, brudne i już niesikające. W fugach między kafelkami dna basenu wyrosły trawy wyższe od niego. Usechł cały rząd szorstkowców wzdłuż basenu, na gałęziach wisiały porozbijane żarówki, o jedno z drzew zakleszczył się latawiec. W basenie standardowym nie było ani kropli wody, ale były tam zardzewiały rower, miś pluszowy bez głowy, pokryta czarną pleśnią sofa, uschłe bonsai.

Usiadł na skraju basenu, wpatrując się w misia bez głowy. Był osłupiony.

A gdzie woda?

– Zamknięte od wielu lat. Interes nie szedł. Co zrobić? – Łódeczka z siatką w ręku usiadł obok niego. – Szkoda. Co zrobić? Często byłem tu jedynym klientem, cały wieczór pływałem, wszystko było moje. Naprawdę szkoda, że zamknęli. Jakbym miał za co, tobym kupił i sam pływał.

A gdzie woda? Spojrzał na Łódeczkę i ponownie zakręciło mu się w głowie. Jakby mu ktoś wydrążył otwór z tyłu czaszki, cała woda z niej wypłynęła, dzieciństwo wyschło, młodość wyschła, Pływalnia Wiecznej Pomyślności wyschła, nawet Morze Bałtyckie wyschło.

Łódeczka otworzył siatkę, w środku był wielki garnek. Zdjął pokrywkę, uwolniła się woń oleju sezamowego, w garnku pływały lśniące brązowawe nóżki wieprzowe. Chłonał unoszący się zapach tłustego mięsa, patrzył na Łódeczkę, czas stanął, słońce zakleszczyło się w koronie szorstkowca, opary oleju sezamowego zawisły między nim a Łódeczką, który wyjął z siatki pęk cienkiego makaronu mī-suànn.

– Ręcznie robione. A mówią, że tutaj u nas na wiosce to niczego nie ma oprócz Białego Domu. Cholera jasna. W wiadomościach tak mówią, strasznie mnie to wkurza. No dobra, niczego nie mamy, ale mamy chociaż ręcznie robiony mī-suànn.

Mī-suànn w blasku zachodzącego słońca nabrał złocistej barwy; T. miał włosy podobnego koloru.

– Właśnie tutaj poznałem twoją najstarszą siostrę. Chodź, idziemy, czeka na nas.

---

[64](#) Antroponimy japońskie zapisuję w szyku japońskim (nazwisko i imię), czyli zgodnie z wytycznymi rządu japońskiego z 2019 roku, a nie w szyku zazwyczaj stosowanym w językach zachodnich (imię i nazwisko).

[65](#) Rodzaj palmy.



## 2

# WRÓCISZ DO DOMU

W końcu wrócisz do domu.

Synu z rodu Chenów, a jednak wrócisz do domu.

Łódyczka podwiezie cię pod drzwi.

Ostatnio wróciłeś, żeby zdążyć na mój pogrzeb. Całą noc nie spałeś, czuwając przy mnie, następnego dnia rano ta Sojowa Cykada zaczęła znowu bzyzczyć i wygrażać, przegoniła cię, odjechałeś. Przed odjazdem zapaliłeś mi trociczki w sali pożegnań, pokłoniłeś się, coś zamamrotałeś pod nosem. Nie słyszałem twego mamrotania, ale wiem, że się ze mną żegnałeś. Chciałem coś powiedzieć, żebyś sobie poszedł, żebyś szybko stąd wyjechał, słyszałem twoje pożegnanie, dobrze już, skończ i do widzenia szybko, no szybko. Za życia wiele nie mówiłem, a po śmierci zamilkłem zupełnie, z całych sił starałem się dać ci do zrozumienia, żebyś sobie czym prędzej poszedł, już, już, chciałem ściągnąć obrus ze stołu w sali pożegnań, zgasić świece, żebyś wiedział, że usłyszałem. Naprawdę usłyszałem, idź, no idź już sobie. Ale obrus ani drgnął, świece nie zgasły, znieruchomiałem na zdjęciu pogrzebowym, moje zwłoki zeszywniały, nie dmuchał wiatr, nie padał deszcz, okoliczne psy, koty, kury i gęsi jeszcze smacznie spały, nie słychać było najdelikatniejszego nawet szumu pośród traw ani w koronach drzew, panowała grobowa cisza.

Nagle zabręczęczała Sojowa Cykada, wyzywając cię od darmozjadów. W końcu sobie poszedłeś.

Idź szybko, bo się boję. Jeśli zostaniesz choć sekundę dłużej, to być może poznasz całą prawdę. Prawdę o wieży ciśnień. Moją prawdziwą twarz. Prawdziwą twarz twojej matki. I wszystko, co ci zrobiliśmy. Nie obroniliśmy cię. Ani razu. Najokrutniejsza nie była wcale policja ani nauczycielka z gimnazjum. Ale my.

Od małego nie lubiłeś wracać do domu, często wychodziłem na dwór, żeby cię znaleźć, brałem twoje drobne ciało na ręce i zanosłem do domu. Ludzie mówią, że siedmiomiesięczne dziecko zaczyna siedzieć, ośmiomiesięczne zaczyna pełzać, a kiedy ma dziewięć miesięcy, zaczyna ząbkować, ale u ciebie wszystko działo się szybciej niż u innych. Pełzać zacząłeś, gdy miałeś sześć miesięcy, a w siódmym miesiącu umiałeś już stać i uczyłeś się stawiać pierwsze kroki, chciałeś natychmiast chodzić. Pełzając, chodząc czy biegając, zawsze kierowałeś się na dwór, chciałeś wyjść, chwytając drzwi i płakałeś. Widząc zaryglowane drzwi i zamknięte okna, chciałeś je otworzyć, jeśli ci się zabroniło gdzieś wchodzić, to znalazłeś sposób, żeby się tam dostać. Lubiliśmy cię z mamą straszyć, mówiliśmy ci, że tam są upiory, w wodzie są upiory, w lesie są upiory, na polach są upiory, na ulicy są upiory, jak wyjdiesz, to cię upiór złapie i zabierze, i staniesz się dzieckiem upiora. Słyszając o upiorach, twój starszy brat marszczył brwi i beczał, a ty robiłeś wielkie oczy, nie bałeś się – byłeś zaciekawiony.

Ciągle uciekałeś na dwór, jakby ktoś cię gonił. Kiedy A-Chan ugotowała kolację, nie można cię było nigdzie znaleźć, szukałem cię po wszystkich sąsiadach, mówili, że widzieli cię, jak biegałeś tam i z powrotem, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Pewnego razu wlałeś do trumny w zakładzie pogrzebowym i zasnąłeś. Czasem przyglądałeś się zdumiony, jak sąsiad zabija węże, albo najadłeś się u sąsiada i zasnąłeś przy stole. Zdarzało ci się spać pod latarnią, mówiłeś wtedy, że czekałeś na

nietoperze. Jak cię przyniosłem do domu i zjadłeś kolację, patrzyłeś znowu w stronę okna, chciałeś jeszcze wyjść na dwór. Raz po raz zarzucałeś kotwicę, ale ciągle czegoś szukałeś, kotwica nigdy nie upadała na dno, nie umiałeś nigdzie zacumować, w tej małej wiosce nie widziałeś niczego dla siebie, nic nie mogło cię tutaj zatrzymać, nie było ci gdzie zakotwiczyć.

Widząc łańcuchy górskie na wschodzie, mówiłeś, że chcesz tam pójść. Wskazując ręką na zachód, pytałeś, czy tam jest ocean. Kiwałem głową. Pamiętasz? Pewnego razu wróciłem autem pełnym ostryg. Pojechałem na wybrzeże załadować ryby i ostrygi. W porcie rybackim wieje silny wiatr, ocean wydaje się zupełnie czarny, bałem się podchodzić bliżej, morze na pewno jest pełne upiorów. Kiedy to usłyszałeś, puściłeś moją rękę i ruszyłeś na zachód.

Wiedziałem wtedy, że nic cię tutaj nie zatrzyma.

Potem obok nas wprowadzili się Wangowie, zawsze do nich biegałeś. Jak cię u nich nie było, to wiedziałem, że musisz być w sadzie karambolowym.

Wangowie mieli dwóch synów, starszy prowadził biznes z ojcem, handlowali czym się da, a młodszy to inteligent, właśnie co wrócił z wojska. Stary Wang mówi, że jeśli komuś czegoś brakuje, jeśli komuś czegoś potrzeba, to on to ma i może sprzedać. Widząc, że jeżdżę dostawczakiem, zaczął ze mną gadać o współpracy. Otworzył butelkę maotaia<sup>66</sup>, mówiąc, że to świeża dostawa z Hongkongu, wyśmienita jakość, w sklepie takiej nie kupisz, miał swoje kanały, którymi sprzedawał maotaia koneserom, a że to wyjątkowy towar, kupowali, nie patrząc na cenę. Zarobił na tym krocie. Wcześniej nie słyszałem o maotaiu, wypilem czarękę, popatrzyłem na butelkę, a tam pismo uproszczone<sup>67</sup>, od razu odstawiłem wódkę i wyplułem alkohol z gardła na ziemię. Stary Wang uśmiechnął się i zapewnił mnie, że to trunek wysokiej jakości. Jego znajomy w Hongkongu

ściąga specjalnymi kanałami, towar przychodzi z Chin Kontynentalnych, dużo formalności trzeba przy tym załatwić, ale jest w pełni bezpieczny, inaczej by się na nim nie dorobił. Nawet wysocy urzędnicy państwowi kupili od niego kilka skrzynek w sekrecie. Nic się nie stanie, za picie nie zamkną, pij ile wlezie. Stary Wang mówił, że ten cały stan wojenny dotyczy tylko zwykłych ludzi, wysocy urzędnicy piją w domu maotai z tęsknoty za rodzinnymi stronami<sup>68</sup>, nie mogą wrócić, a jak sobie wypiją, robi im się źle na duchu, duch zaś wraca na ziemię ojców. Stary Wang mówił jeszcze, że najlepsze interesy robi się w niepewnych czasach. Ponoć kilka lat temu właściciel księgarni Eon wyemigrował z całą rodziną do Argentyny, bo Stany Zjednoczone porzuciły Tajwan, więc trzeba uciekać. Głupek, jakby został, to dopiero by zarobił. Kierowniku, mówił mi, zrobmy razem biznes, ja znajdę towar, a ty masz samochód, zarobimy kupę kasy.

Spytałem go, skąd wiesz, czego ludziom brakuje? Trzeba ludzi przekonać, mówi, że brakuje im właśnie „tego”, jak „to” kupią, zaznają spokoju i dobrobytu, cała rodzina będzie żyła w szczęściu i zdrowiu, a kobiety będą rodzić tylko synów. Dlatego żeby zrobić biznes, trzeba ludzi przekonać, że potrzebne im jest właśnie „to”. Ale czym jest to „to”? To zależy od umiejętności handlarza, jak duży popyt umie stworzyć na rynku. Mówił, że kilka lat temu sprzedawał broń gazową i nieźle na tym zarabiał, tak nieźle, że mógł sobie kupić jeden z szeregowców. Myślę sobie, kierowniku, w twojej rodzinie też ktoś pewnie kupił wtedy broń gazową, co nie? Można nie jeść, można nie zapłacić chesnego w szkole, ale pistolet gazowy kupić trzeba, dla bezpieczeństwa, wszyscy tak myśleli, dlatego się dorobiłem!

Młodszy syn starego Wanga właśnie wrócił z wojska, szczupły i wysoki, dobrze zbudowany, mówią na niego Lekkoduch. Był pierwszym uczniem z Yongjingu, który wtedy dostał się na najlepszą uczelnię w Tajpej,

po skończeniu studiów i odbyciu służby wojskowej nie chciał szukać pracy w Tajpej, powiedział, że chce wrócić na gospodarstwo. Wangowie mieli podupadły sad karambolowy, i to właśnie Lekkoduch się nim zajął. Stary Wang nazywał go Lekkoduchem, Pomyleńcem. Całymi dniami siedzi pod drzewem i czyta książki, palcem nie ruszy, żeby coś zarobić, załóżę się, że kilku miesięcy by nie wytrzymał, młodzi nie rozumieją, że trzeba ciężko pracować, tyle pieniędzy wydałem na jego studia, myślałem, że robi karierę w Tajpej, a on mówi, że nie może znieść wielkiego miasta i chce wrócić na wieś, żeby zostać rolnikiem. Całe szczęście, że ten starszy ma łeb na karku, tak jak ja, ma pociąg do pieniędzy i do kobiet, nadaje się na biznesmena.

Kiedy sad karambolowy w końcu obrodził, całą rodziną poszliśmy pomagać przy pierwszych zbiorach. Dwóch synów Wanga oraz pięć moich córek i dwóch synów – wszyscy razem zbieraliśmy karambole. Pamiętam, że najstarsza Shumei została wtedy mamą, siedziała pod drzewem, gotując wodę, żeby zaparzyć mleko w proszku, a ten jej mąż hazardzista to nie wiadomo, gdzie był. Czwarta i piąta córka huśtały się na huśtawce pod drzewem, najlepiej się ze sobą rozumiały, najstarszy syn Wanga ciągle łypał okiem na moją piątą córkę. Mój najmłodszy syn właśnie tego roku rozpoczął naukę w podstawówce, ciągle chodził za Lekkoduchem, ucząc się, jak zrywać karambole. A-Chan, stukając łopatką w duży wok, dodała sosu sojowego Aromat i usmażyła makaron z poszatutowanym mięsem, którym można by nakarmić cały pułk.

Obie rodziny zasiadły razem pod drzewami, zajadając ze smakiem danie, którego nęcący zapach przyciągał wszelkiej maści pszczoły, motyle, muchy, koty i psy. Zebrano dobrych kilka koszy karamboli, plon był obfity.

Nagle zerwał się porywisty wiatr, wtargnął do sadu karambolowego, korony drzew zaszeleściły, pourywały się liście, podwiało sukienki. Wicher

wpadł do puszek z mlekiem w proszku, które uniosło się na wietrze, otoczyła nas biała mgła. Zmienił się kolor nieba, ciemne chmury zakryły słońce. Zaczął padać grad wielkości piłeczek pingpongowych, niszcząc bezlitośnie okoliczne uprawy.

Uciekaliśmy z krzykiem. Ktoś kopnął i przewrócił usmażony przez A-Chan gorący jeszcze makaron, który upadł wprost na świeżo zebrane owoce. W powietrzu unosił się mocny zapach mleka w proszku i sosu sojowego. Niebo rozciąła błyskawica, na ziemię posypało się jeszcze więcej kulek gradu.

Wszyscy biegli do szeregowców. Nie wiem, kto krzyczał:

– Szybko! Chodu! Szybko! Jak się nie pośpieszycie, to nie zdążycie!

Lodowa piłeczka pingpongowa trafiła mnie w czoło, świeża krew przysłoniła mi obraz świata. Przetarłem oczy i zobaczyłem, że Lekkoduch leży zwinięty pod drzewem karambolowym, osłaniając mojego najmłodszego synka swoim wielkim ciałem. Ledwie co zerwane owoce nie przetrwały gradobicia, została po nich miazga.

Nigdy w życiu nie słyszałem o takiej nawałnicy. Biegając do domu, minąłem pola chryzantem, śnieżnobiały grad w mgnieniu oka roztrzaskał tysiące żarówek, robiąc przy tym niemało hałasu. Grad jest niezaprzeczalnym mistrzem świata w zrywaniu chryzantem – tysiące nierozwiniętych jeszcze kwiatów odpadło od łodyg. Czerwone, fioletowe i żółte płatki chryzantem spływały z wodą na sąsiadujące uprawy ryżu, leżące martwe kłosa ryżu zabarwione były to na czerwono, to na fioletowo.

Oberwanie chmury trwało całe trzy doby. Słupy padającego deszczu utworzyły w polu widzenia coś na kształt płotu, który uwięził wszystkich w domach. Rolników, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo, wychodzili ratować swoje uprawy, porwał rwący nurt. Wszystkie pola zostały zniszczone, grad roztrzaskał warzywa, których strzępy gniły potem

w wodzie. Wylała woda z kanałów irygacyjnych, martwe kury, świnie, psy i odpadki wypłynęły na ulice. Po trzech dniach rozjaśniło się, ustał wiatr i deszcz, rozpierzchły się chmury, nigdy nie widziałem bardziej błękitnego nieba. Unosząc głowę, miałem wrażenie, jakbym zanurzył się w puszcze jaskrawobłękitnej farby olejnej. Na ulicy przed szeregowcami leżało kilka martwych świń, które lśniły i zarazem śmierdziały w słońcu. Podszedłem bliżej, zatykając nos. Truchło świni pokryte było kawałkami żarówek z pól chryzantemowych.

W promieniach słońca wszystko stawało się wyraźniejsze, spustoszenie bardziej spustoszone, nędza bardziej nędzna. Ulewa dotknęła każdego zakątka wioski, wymywając wszystkie śmieci; ryby pouciekały ze stawów hodowlanych i pozdychały między krzewami betelu, drzewa ka-tang na pół wyłysiały, a z sufitów w sanheyuanach nieustannie kapiała woda, jak z oczu łązy. Ukończony ledwie kilka lat wcześniej dom szeregowy, w którym mieszkałem, miał przemoczone ściany, biała farba odpadła. Stojąc w słońcu, wsadziłem sobie palce do uszu, dźwięk deszczu przykleił mi się do słuchu, chciałem go stamtąd wyczyścić.

Gdyby nie ten grad, wszystko byłoby dobrze.

Gdyby nie ta ulewa, wszystko byłoby dobrze.

To przez ten deszcz A-Chan zobaczyła.

Zobaczyła najmłodszego syna Chenów z najmłodszym synem Wangów.

---

<sup>66</sup> Maotai to jedna z najdroższych wódek chińskich.

<sup>67</sup> Pismo uproszczone (nazywane czasami niepoprawnie językiem chińskim uproszczonym) używane jest w Chinach Kontynentalnych (wprowadzono je za rządów Mao Zedonga) w odróżnieniu od Tajwanu, gdzie obowiązuje wciąż pismo tradycyjne.

<sup>68</sup> W 1949 roku rząd Republiki Chińskiej uciekł na Tajwan po przegranej wojnie z komunistami, wprowadzając na kontrolowanym przez siebie obszarze stan wojenny, aby przeciwdziałać wpływom komunistów i w bliżej nieokreślonej przyszłości odbić Kontynent. Stan wojenny zniesiono w 1987 roku, ale jeszcze do początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku władzę centralną sprawowali

urzędnicy, którzy przyjechali z Kontynentu, gdyż nowe wybory ogólnonarodowe miały się odbyć dopiero po odzyskaniu ziem utraconych, aby cały naród mógł zagłosować.



### 3

## PRZEZ OGIEŃ

Shumei wbiegła na trzecią kondygnację, wpadała kolejno do każdego pokoju, wysuwała szuflady, otwierała szafy, kładła się na ziemię, zaglądała pod łóżka, podnosiła kołdry, materace, poruszając uśpione od wielu lat grube warstwy kurzu – całe piętro pokryło się pierzem i pyłem, które wybudzone ze słodkiego snu gromadziły się w powietrzu i z całych sił uderzały Shumei prosto w nos i wywołały u niej reakcję alergiczną: nos zaczął ją swędzić. Podniosła głowę i otworzyła usta jak hipopotam, a! – kiedy fala powietrza wylatywała jej przez usta, te zwężyły się jak ptasi dziób – psik! Wytrysnęła ślina, w pokoju spadł nagły deszcz, poruszając jeszcze więcej kurzu, którego zmasowany napór wywoływał dalsze reakcje: hipopotam, a, ptaszek, psik, hipopotam, a, ptaszek, psik.

Kicham to kicham, zaśmiała się Shumei, ale skąd mi do głowy przyszły te dwa zwierzaki?

Ano tak, za Białym Domem był kiedyś ogród zoologiczny. Mieli tam hipopotama: tylko dlatego, że piąta siostra powiedziała, że chce zobaczyć hipopotama.

Nie ma braciszka, żeby policzył. Ile razy właściwie kichnęłam przed chwilą?

Shumei usiadła na podłodze w pokoju piątej siostry, wyciągnęła wszystkie szuflady z komody, poczuła silny zapach naftaliny. Nos toczył zaciekłą walkę z kurzem, w przerwach między kichnięciami usłyszała

cichutkie chrzęszczenie. Zasłoniła ręką usta, żeby powstrzymać kichanie, i nadstawiła uszu, wydawało jej się, że słyszy jakby małą piłę, jakby ktoś bardzo ostrożnie piłował drewno. Co to? Święto Duchów, dzień składania ofiar duszom, jest sama w domu, skąd te odgłosy? Dźwięk dochodził z biurka piątej siostry, ija-ija, Shumei podeszła bliżej, popukała w blat, dźwięk piłowania ucichł. Przykucnęła i zajrzała pod biurko, które okazało się gniazdem termitów, nogi biurka były już w stanie krytycznym, mebel w każdej chwili mógł się zawalić.

Na prostokątnym blacie widniała mapa świata – bezkresny niebieski ocean i każdy kraj zaznaczony innym kolorem, u dołu mapy znajdowała się lista flag narodowych, a pod każdą flagą podano nazwę państwa. Kiedy się wprowadzali do szeregowców, tata poprosił architekta wnętrz, żeby na trzeciej kondygnacji wydzielić sklejkami sześć pomieszczeń, by wszystkie córki i najmłodszy syn mieli własne pokoje. Pokój najstarszego syna i sypialnię rodziców umieszczono na drugiej kondygnacji – miały większy metraż. Wszystkie sklepy meblarskie sprzedawały wówczas te biurka z wydrukowaną na blacie mapą świata, korpus i nogi pomalowane były pomarańczowobrazową farbą, do obu szuflad przymocowano srebrzyste półokrągłe uchwyty. Tata kupił siedem sztuk, każde dziecko miało w pokoju biurko z mapą świata, to było też pierwsze biurko, jakie Shumei kiedykolwiek miała. Najmłodszy brat, jeszcze jak był mały, nauczył się na pamięć wszystkich flag, Shumei często zakrywała nazwę państwa pod flagą i sprawdzała, czy brat dobrze zapamiętał. W dzieciństwie często przesiadywał nad biurkiem zapatrzony w mapę świata, jakby go w całości pochłonał ten niebieski ocean.

– Gdzie to jest? – pytał, pokazując siostrze przypadkowy kraj palcem. – Chcę tam pojechać!

Shumei usiadła na biurku, niebieski ocean spłowieł, inne kolory tu i ówdzie wyblakły. Mapa była już kompletnie nieaktualna. Nie była odczytana, nigdy też nie wyjechała za granicę, ale patrząc na mapę, wiedziała, że Mongolia od dawna jest już niepodległym krajem, granice państw w dzisiejszym świecie co chwilę się zmieniają, a ta mapa na tym blacie to była jeszcze mapa begoniowa<sup>69</sup>.

– Przyjedziesz do mnie? – spytał najstarszą siostrę najmłodszy brat. – Zapłacę za bilet, weź ze sobą drugą i trzecią siostrę, pójdziemy sobie popływać w Morzu Bałtyckim.

– Nie. – Pokręciła głową. – Szkoda pieniędzy. Dobrze mi tutaj. Poza tym nie umiem pływać, jeszcze się utopię w tym Jak-mu-tam Morzu, zmienię się w upioryncę wodną i co będzie? Ajajaj, nie da rady, nie da rady, zgubię się i nie będę umiała wrócić do domu.

Rozejrzała się po pokoju. Po śmierci najmłodszej siostry niczego w jej pokoju nie zmieniono, nawet różowe sukienki nadal wisiały w szafie. Po pogrzebie ojciec długo tu przesiadywał, nie można go było wyciągnąć. Siostry chciały uporządkować rzeczy, jakie zostały po najmłodszej, ale ojciec spojrzawszy gniewnym wzrokiem, pokręcił głową i warknął przez zęby. Nie powiedział ani słowa, ale zrozumiały, że wszystko ma zostać po staremu. I zostało. Wszyscy udawali, że w pokoju każdego ranka ciągle ktoś kicha.

Od wielu lat nie wchodziła do pokoju piątej siostry, co ją dzisiaj skusiło?

– Czy ja czegoś szukam? – spytała samą siebie.

A! Czegoś na ogień.

Yang Xiaozhou powiedział jej przez telefon, żeby przygotowała jakieś palenisko do przechodzenia przez ogień. Jego słowa były jak zapalki, które tak szybko potarły o jej czoło, że aż się cała czaszka zapaliła. Mózg jej

płonął, wparowała do każdego pokoju na trzeciej kondygnacji i powywracała wszystko do góry nogami, aż zapomniała, że szuka jakiegoś paleniska.

Szukała dalej.

– Głupek – mamrotała. – Nie mówiłam ci, żebyś nie wracał?

A psik.

Znowu kichnęła. Kiedyś piąta siostra zawsze rano kichała po przebudzeniu. Miała uczulenie, jej skóra była blada jak ściana i cieniutka, wystarczyło złapać, żeby popłynęła krew. Po krewetkach dostawała czerwonej wysypki, i a psik, a psik – od samego rana. To była tania sklejka, nie izolowała dźwięku. Najmłodszy brat zaczynał u siebie w pokoju liczyć: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, aż siostra skończyła kichać. Liczył tak głośno, że cały dom się budził, budzik nie był potrzebny. Po odejściu piątej siostry kichanie ustało, wyłączono telewizor, wyłączono radio, najmłodszy przez kilka miesięcy się nie odzywał. To chyba od tamtej pory ten dom zaczął zapadać w sen i nie wybudził się do dziś.

To najmłodszy znalazł zwłoki piątej siostry.

– Ajajaj, czemu znowu wróciłeś? Gdzie ja w domu znajdę jakieś palenisko! Mam tylko takie metalowe do palenia złotych papierów duchom na ofiarę.

Shumei wstała z ziemi. Termyty chyba się zorientowały, że człowiek je podpatruje, jak zajadają drewno, zaczęły więc gryźć energiczniej, wydając donioślejszy dźwięk. W podłodze było duże pęknięcie, biurko zaraz zostanie zjedzone przez termyty, tak oto wyglądał dom, w którym mieszkała Shumei. Ale budynek się nie przewrócił, biurko też nadal stoi, sama jest cała popękana z góry do dołu, ale jeszcze żyje.

Weszła do pokoju najmłodszego brata. Łóżko, podłoga, wszystkie kąty, biurko z mapą świata na blacie zawalone były kartonami, nie było jak

przejść. Brat opisał każdy karton własnoręcznie. Na jednym napisane było: „antologia opowiadań amerykańskich, pierwszy rok”, na drugim: „dramat irlandzki, trzeci rok”, na jeszcze innych: „jazz CD”, „rekwizyty sceniczne”, „nagrody z konkursów literackich”, „VHS”. Wzdrygnęła się na widok napisu „VHS”. O, to te kasety jeszcze istnieją? Przypomniały jej one piskliwy krzyk matki, odwróciła wzrok, palenisko, palenisko, przyszłam poszukać paleniska.

Wszystkie rzeczy, jakie zostawił, opuszczając Tajwan, znajdowały się w tym pokoju. Zanim brat trafił do więzienia, jego adwokat przysłał jeszcze jeden karton z ubraniami i książkami z Niemiec. Shuli, druga siostra, właśnie wróciła wtedy z Tajpej, obie rozerwały więc karton: kilka par dżinsów, koszule, garnitur, parę książek, model okrętu podwodnego i mnóstwo zdjęć z T., na których się obejmowali, całowali, uśmiechali – byli pełni radości. Shumei nigdy nie miała takiego intymnego zdjęcia z mężem, a przecież z początku wszystko tak dobrze się układało, czemu się więc tak bardzo zmieniło? W kartonie było też sporo opakowań niemieckich cukierków o smaku miodu, miały silny zapach. Leżał tam również list napisany przez brata, w którym podawał nowy adres, na jaki można do niego pisać. Bardzo mu smakowały te miodowe cukierki, poprosił adwokata, żeby ich nakupował dla najstarszej siostry i dla drugiej siostry, i dla trzeciej, i dla czwartej. List kończyły takie słowa:

*Nie martwcie się. Nic mi nie będzie. Chwilowo nie mam gdzie podziąć tych rzeczy, więc proszę, przechowajcie je w moim starym pokoju w domu rodziców. To tylko kilka lat, a potem, jak wyjdę, to się zobaczy.*

Shumei wzięła zdjęcie brata z T. w ramce z podpórką i ustawiła przy swoim łóżku. Zdjęcie zrobiono na plaży, za plecami brata i T. widać było duży okręt podwodny, obaj mieli na sobie kąpielówki, trzymali się za ręce, w drugiej dłoni trzymali lody, śmiali się. Ostatnio Yang Xiaozhou przyszedł

do niej naprawić okno i zauważył to zdjęcie, spytał, czy może zobaczyć z bliska. Długo się przyglądał.

– W ogóle się nie zmienił – powiedział, unosząc głowę w jej kierunku. – Taki uśmiechnięty.

A, przypomniała sobie Shumei, na podwórzu za domem powinno być palenisko. Rok temu w Święto Środka Jesieni<sup>70</sup> umyślnie rozpałała grilla w ogrodzie, żeby uwędzić na śmierć rosnące tam orchidee.

Nie znosiła orchidei. Nie znosiła ogrodu, gdzie Mały Gao pielęgnował te swoje orchidee.

Hodowała za domem kury właśnie po to, żeby pozbyć się orchidei.

Kiedy urodziła na polu szpinaku wodnego pierwszą córkę, mąż powiedział, że pójdzie do Świątyni Mazu pod Murami Miasta, uklęknie i złoży przyrzeczenie, że jeśli kolejne dziecko będzie płci męskiej, to rzuci hazard i natychmiast zabierze ją w odwiedziny do teściów. Teściów? Zawsze myślała, że mąż był sierotą, a tu się okazuje, że to najstarszy syn jakiejś rodziny we wsi obok. Dzielnie zachodziła w kolejne ciąży, a za każdym razem gdy poroniła, słyszała, jak mąż mówił do rzeźnika węży, ta wasza Mazu pod Murami Miasta jest naprawdę skuteczna, te płody, co mi żona poroniła, to na pewno były dziewczyny. Kiedy córka miała trzy lata, żona urodziła w końcu dorodnego chłopca, nie trzeba było nawet jechać do teściów, sami się zjawili w szpitalu, żeby wręczyć czerwoną kopertę, wziąć na ręce drogiego wnuka, poznać synową, spytać o jej rodzinę i w ogóle się nie przejmować rozbeczaną wnuczką.

Kiedy syn przyszedł na świat, mąż rzucił hazard, jak obiecywał, i cały oddał się orchideom.

Mieszkający obok rzeźnik węży trafił na łamy gazet. Wypieszczone przez niego orchidee zdobyły złoty metal na międzynarodowej wystawie, dostał milion nagrody. Wprowadził się do szeregowca mniej więcej w tym

samym czasie co i oni, otworzył wypożyczalnię kaset VHS, uwielbiał łapać, hodować, zabijać i jeść węże, wzrostu był niskiego, z twarzy nieprzyjemny, kawaler w średnim wieku, w dzień i w nocy nosił grube okulary przeciwsłoneczne. Kiedyś to była wiocha zabita dechami: ugory, pola, ścieżyny, walące się chałupy, rowy irygacyjne, raj dla wszelakich pełzających gadów; jak okiem sięgnąć panowały cisza i spokój, czasem tylko ktoś ni stąd, ni zowąd wrzasnął, pewnie znalazł w domu węża. Kto zobaczył węża, biegł co sił w nogach do właściciela wypożyczalni kaset, który potrafił nie tylko okiełznać każdego węża za pomocą zwykłego kija bambusowego i sieci, ale także powiedzieć, jak się gad nazywa, czy jest jadowity, czy nadaje się na zupę, czy może raczej do macerowania w alkoholu; jeśli wąż był barwny, łowca zamykał go w klatce, a jak był tłusty, to obdzierał go ze skóry i zapraszał sąsiadów na obiad. Shumei widziała jednak te jego orchidee na ladzie w wypożyczalni kaset, jej zdaniem były całkiem zwyczajne, niektóre tylko trochę żółte, trochę fioletowe, a jednak dostał za nie milion. Kiedy dzieci płakały, brała je na ręce i mówiła, że idą do zoo. Na piętrze tuż nad wypożyczalnią można było zobaczyć kilka wielkich klatek z węzami. Dzieci, widząc węże, przestawały płakać. Oniemiałe przyglądały się jadowitym gadom. Właściciel mówił, że osobiście pojechał do Tajlandii, żeby wybrać odpowiednie gatunki węży, wiele pieniędzy wydał, żeby je tutaj sprowadzić. Patrzyła na tajskie węże ze zdumieniem, te węże zwiedziły więcej świata niż ona. Skórę tych zagranicznych pytonów pokrywały wyszukane wzory znacznie bardziej interesujące niż orchidee. Mąż powiedział, że hodować węży się nie odważy, ale uprawiać kwiaty to każdy potrafi, ustawił więc w ogrodzie stojaki na kwiaty i zaczął uprawiać orchidee.

Kupił sto doniczek kwitnących orchidei i rozpoczął swój wielki milionowy projekt hodowlany. Nie miał bladego pojęcia o uprawie

orchidei, codziennie je podlewał, w efekcie czego korzenie zgniły, a kwiaty zwiędły, w pierwszym roku cała inwestycja poszła na marne. Potem kupił jeszcze więcej orchidei i nie wiadomo skąd udało mu się zdobyć *Przewodnik hodowcy orchidei*. Siedział całymi dniami na podwórzu za domem i czytał, gapiąc się na swoje kwiaty. Podobnie jak ona, nie ukończył szkoły średniej, w bardzo młodym wieku zaczął pracować. Koparki, duże ciężarówki, dźwigi nie miały przed nim tajemnic, mógł nosić ciężary na plecach, ale oczy wymiękały pod naporem niemal nic nieważących znaków pisma na stronach książki, korzenie powietrzne, szczepienie, flancowanie, czytał i czytał, ale niczego nie rozumiał. Ten rok zakończył się taką samą klapą jak poprzedni, a rzeźnik węży znowu wygrał międzynarodową wystawę.

Dopiero kiedy wszystkie dzieci chodziły już do szkoły, orchidee w ogrodzie bujnie rozkwitły po raz pierwszy. Wszystkiego nauczył się sam, zrozumiał, że podlewać trzeba z umiarem, że korzenie powietrzne rosną na zewnątrz, że musi przycinać zgniłe odnogi, szczepić i flancować oraz założyć siatkę cieniującą i okap przeciwdeszczowy. Kiedy kwiaty wciąż nie były tak okazałe i nie kwitły tak pięknie ani nie miały tak licznych pręcików, by mogły wziąć udział w wystawie, przytaszczył sprzęt do karaoke i śpiewał orchideom piosenki po tajwańsku. Za dnia woził towar ciężarówką, a po pracy szedł do ogrodu, zaczął nawet kaligrafować i na kawałku drewna napisał: „Ogrudek orchidei Małego Gao”. Dzieci powiedziały jej, że tata źle napisał słowo „ogródek”, a on dalej śpiewał kwiatom piosenki miłosne i ćwiczył kaligrafię. Słyszając jego szorstki głos, wyć zaczęły bezpańskie psy w okolicy. Przewertowała stosy zeszytów ćwiczeń do kaligrafii, mąż nieustannie pisał w nich „Ogrudek orchidei Małego Gao”. Tysiące razy. W końcu z wielką ostrożnością zawiózł



orchidee do specjalisty, żeby ten je ocenił, przypomniała sobie wtedy, jak ją zabierał na przejażdżki w fabryce ubrań.

Minęło kolejne kilka lat, gdy ćmówki<sup>71</sup> z jego „ogrudka” zawędrowały wreszcie na wystawę kwiatów i zdobyły nagrodę. Niewielka wygrana przyciągnęła znawców, którzy zjawiali się u niego w domu, żeby za niemałą sumę kupić tę czy tamtą doniczkę. Odmawiał. Żona była tak na niego wściekła, że aż go chciała tasakiem porąbać, ale on spokojnie odpowiadał:

– Cena jeszcze pójdzie do góry.

Kilka dni później zaatakował tajfun, siejąc zniszczenie w środkowej części Wyspy, w okamgnieniu zdmuchnął ten cały „Ogrudek orchidei Małego Gao”, po kwiatkach nie zostały ani jeden płatek, ani jedna doniczka, ani jedna grudka ziemi. Stojąc za drzwiami, patrzył, jak szalony wiatr zaspokajał swoje bestialskie żądze: płot, stojaki, wszystko poznikało, brak słów. Myślała wtedy, że mąż wyjdzie na dwór, żeby ratować kwiaty, ale powiedział tylko:

– Idź do ojca obok pożyczyc trochę pieniędzy, jutro pojedę kupić nowe orchidee.

Tym razem poświęcił nieco więcej czasu i za pożyczone od teścia pieniądze postawił porządne murowane ogrodzenie, zamontował przezroczyste zadaszanie chroniące przed wiatrem i deszczem, odbudował „Ogrudek orchidei Małego Gao”, różnobarwne ćmówki ponownie rozkwitały aż miło. Sypiali wtedy oddzielnie, mąż ustawił sobie leżak w ogródku i pochrapywał ukochanym orchideom. Pewnego dnia rano zakradła się cichcem do ogrodu i zobaczyła, jak mąż onanizuje się przed orchideami. Jeszcze tego samego dnia pognęła na targ, kupiła stado kurcząt i wypuściła wszystkie do ogródka. W sanheyuanie, gdzie dorastała, kury były codziennością, doskonale wiedziała, że szybko rosą, bez przerwy

gdaczą, srają dzień i noc. Żywiolowe kury przeciwko kwiatom, które głosu nie mają – to był jej plan.

Kury hodowała wyłącznie w ogródku orchidei małego Gao, tam je potem zabijała i tam piekła na grillu.

Ale orchidee od tego nie zwiędły. Mąż nie odszedł.

Kilka lat temu, kiedy właśnie sprzątała kurze odchody w ogródku orchidei, usłyszała, że młodszy brat zamordował T. Usiadła na ziemi i rozryczała się. Koguty, które zazwyczaj piałły bez przyczyny, tak się wystraszyły teraz jej zawodzenia, że pochowały się za doniczki orchidei i w milczeniu patrzyły, jak kobieta płacze. Braciszek taki inteligentny, taki wykształcony, tyle książek napisał, za granicę nawet wyjechał, czemu to się tak skończyło? Żadne z dzieci Chenów nie miało udanego małżeństwa, dlaczego nawet najmłodszy brat musiał okazać się mordercą? Zabić męża to przecież ona sama chciała!

Przy porzuconych doniczkach znalazła ceramiczne palenisko i worek węgla drzewnego. Pod paleniskiem leżała plakietka z imieniem najmłodszego brata i Wielkim Murem Chińskim.

Przechodzenie przez ogień? Jak to się robi? Czy druga siostra wie? A, zapomniałam jej powiedzieć. A jeszcze trzecia siostra. Muszę im dać znać, żeby czym prędzej przyjechały do Yongjingu. A czwarta? A może jak czwarta siostra usłyszy, że braciszek wrócił, to zechce wyjść z Białego Domu.

Chwyciła komórkę i wysłała wiadomości kolejno do Shuli, Shuqing i Sujie: „Przyjeżdżajcie szybko do domu, braciszek wrócił”.

Potem zaczęła szukać filmików w internecie, w wyszukiwarce wpisała: „przechodzenie przez ogień” i pierwszy wynik, jaki się pojawił, to „Niebiański Cesarz w żółtej todze uczy przechodzenia przez ogień” – miał milion wyświetleń.

Uruchomiła film, zobaczyła mężczyznę w żółtej todze, z grubymi okularami na nosie, trzymał w ręku złote papiery i stąpał po ogniu.

Hę? To przecież jej niegdysiejszy sąsiad – rzeźnik węży.

---

[69](#) Granice Chin na mapie z początku XX wieku (zawierające między innymi Mongolię) przypominają kształtem liść begonii, stąd nazwa. Na Tajwanie oficjalnie używano takiej właśnie mapy Chin aż do 2005 roku.

[70](#) Święto przypadające na piętnasty dzień ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza chińskiego, czyli miesiąc po Święcie Duchów. Tego dnia ludzie kontemplują piękną pełnię księżyca i jedzą okrągłe kruche ciastka, które najczęściej mają w środku ugotowane na twardo żółtko symbolizujące księżyc.

[71](#) Rodzaj orchidei.

## 4

# CZARNA NOC PADŁA MARTWA

W pikapie Łódeczka miał drabinę, skrzynkę z narzędziami, piłę elektryczną, przedłużacz.

– Jak wróciłem, to zostałem monterem – powiedział mu Łódeczka, nim ten zdążył go nawet spytać. – Wszyscy wyjechali, tylko ja wróciłem. W sumie to jest całkiem nieźle, praca nigdy się nie kończy. Jak cię dzisiaj spotkałem w fabryce sosu, to właśnie co skończyłem naprawiać podgrzewacz wody. Znasz ją, pamiętasz, chodziłeś z nią do klasy w gimnazjum, zanim cię pechowo przenieśli do naszej grupy, twoja koleżanka z podstawówki i gimnazjum, no ta, co tańczyła nago. Bojler jej wysiadł, więc wezwała mnie, żebym naprawił. Mówię, no nie, taki upał, można się myć w zimnej wodzie przecież! A ona do mnie, no to nie możesz ode mnie wziąć pieniędzy, więc jak nie naprawisz, to za darmo nie naprawisz! Jak została mamą, to stwierdziła, że teraz inne czasy, zamówień na rozbieranie mało, zbledła nam gwiazda porno, sprzedaje kotlety z kurczaka na ulicy.

Oczywiście, że pamięta dziewczynę, która się rozbierała: jak była zupełnie naga, jak przepisywała zadania domowe, jak tańczyła. Jej taniec go uratował.

Łódeczka uruchomił silnik pikapa.

– Nie miałeś gdzie się opalić, co nie?

Nie przypominał sobie, żeby Łódeczka miał taką ciemną i lśniąca skórę, żeby mówił jak najęty i żeby umiał naprawiać podgrzewacze wody. Łódeczka ramiona miał jak noc, pełne pieprzyków błyszczących jak gwiazdy na niebie.

T., kiedy cię spotkałem, byłeś czarną nocą. Czarny płaszcz, czarne rękawiczki, czarna czapka, czarne buty, czarna wiolonczela.

Tak naprawdę to najpierw usłyszał czerń T., a dopiero potem ją zobaczył.

Przyjechał do Berlina na tydzień. Organizator rezydencji literackiej przydzielił mu mieszkanie we wschodniej części Berlina, na parterze, małe okno wychodziło wprost na hałaśliwą ulicę. Jedno okno, jedne drzwi, jedno łóżko, jeden stół, jedno krzesło, jeden pokój, jedna łazienka, jedna kuchnia, wszystkiego było po jednym, perfekcyjna kawalerka. Wieczorem za oknem pojawiali się zawsze pijacy wykrzykujący coś w kompletnie niezrozumiałym dla niego języku. Z mieszkania do stacji metra miał pięć kroków. Jak pociągi wjeżdżały i wyjeżdżały ze stacji, podłoga w mieszkaniu lekko drżała. Kiedy na dworze było zimno, on często *kippen* okno, zapraszając do domu odgłosy aut i ludzi z ulicy. *Kippen* to nowe słówko niemieckie, którego się nauczył. Słownik podaje, że to czasownik, „uchylać”, w odniesieniu do okna oznacza tyle co: zamknąć okno i przekręcić rączkę do pionu do góry, potem pociągnąć okno do siebie, a górna lewa i prawa strona okna przechylą się do wewnątrz, pozostawiając tylko dolną krawędź nadal połączoną z ramą okna – człowiek z zewnątrz nie wejdzie, ale wiatr i dźwięki mogą spokojnie kursować tam i z powrotem. Nawet jak było jeszcze zimniej, to on i tak *kippen* to jedno okno. Nie chciało mu się wychodzić z domu, nie miał jeszcze okazji, by poznać Berlin, siedział w domu i pisał powieść, ale zanim zaczął pisać, słuchał odgłosów Berlina dochodzących przez uchylone okno. Wszystkie dźwięki

były dla niego nowe, nowy język, nowy szelest wiatru, nowy szum deszczu. Napisy, tabliczki, plakaty, szyldy, książki – wszystko było dla niego niezrozumiałe, czuł się jak wyalienowany analfabeta, w końcu zrozumiał, w jakim stresie musi żyć jego matka, która nie umie czytać. Ale podobała mu się taka rola outsidera, przyjechał tu na krótko, nie miał przecież zamiaru stawać się częścią Berlina, sam się alienował. Spotykając się z nieznajomymi, wchodził po cichu i wychodził ukradkiem, nie naprzykrzając się nikomu.

Podczas deszczu wyglądał na dwór, ale nie słyszał odgłosu spadających kropeł. Otworzył okno na oścież, deszcz był wciąż ledwie słyszalny, krople spadające na chodnik wydawały delikatny dźwięk. Cichy ten berliński deszcz, a w rodzinnej wiosce albo w Tajpej deszcz uderza w blaszane dachy, jakby kto granatami rzucał, z głębokiego snu może człowieka wyrwać, doprowadza do szału.

Kiedy deszcz przeszedł w śnieg, usłyszał Bacha.

Samotna wiolonczela przysłała do niego po śniegu i przez okno weszła do mieszkania. Siedział przy oknie i słuchał. Dźwięki miały barwę nasyconą, a kiedy zdarzała się pomyłka, takt był powtarzany tak długo, aż zabrzmiał właściwie, potem melodia płynęła dalej. Pomyłki były bardzo wyraźne, nieskrywane, pomyłka to pomyłka, nie ma się czym przejmować. Domyślił się, że jakieś dziecko uczy się grać na wiolonczeli, ale Schubert, który zabrzmiał potem, to już zupełnie inna historia, jakby wyszedł spod palców wprawnego muzyka.

Śnieg padał przez kilka dni bez przerwy. Siedział w domu i patrzył na spadający biały puch, pisał, w ogóle nie wychodził. Po ósmej wieczorem, kiedy ruch uliczny ustawał, przez okno wpadały dźwięki wiolonczeli. Zrobił sobie prostą kolację: sałatkę z pomidorów i sałaty polaną oliwą z oliwek, jajko sadzone, pokrojoną w paski pierś kurczaka usmażoną

z czosnkiem, ryż gotowany na małym ogniu, i siedząc pod oknem, czekał na wiolonczelę. Dźwięki instrumentu wleciały przez okno, zabrał się do kolacji, jadł powoli, przeczytał kilka stron książki. A ledwie skończył jeść kolację, dźwięki wiolonczeli zaczęły przycichać. Pewnego wieczoru granie wiolonczeli nie przybywało, dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, jak źle gotuje: bez osłony, jaką dawał dźwięk wiolonczeli, potrawy traciły smak. Kiedy brzmienie wiolonczeli ucichło, wyczerpały się także zapasy żywności w lodówce, nie ma rady, trzeba iść na zakupy.

Wracał do domu z dwiema dużymi siatkami, niosąc kupione w supermarkecie warzywa, owoce i mrożone mięso, śnieg sięgał po kostki, cały płaszcz pokrywały płatki śniegu. Stojąc pod latarnią, przyglądał się tańczącym w powietrzu płatkom, przypomniało mu się, jak niegdyś pod latarnią w rodzinnej wiosce czekał na nietoperze. Pod berlińską latarnią nie było komarów czy innych owadów ani tym bardziej nietoperzy. Ale śnieg pod latarnią zdawał się wyraźnie żywy, migotał w tańcu, wyglądał jak rój białych owadów.

Ulica delikatnie zadrżała, z wejścia do metra przybywał lekki podmuch, wiatr przynosił dźwięki wiolonczeli, wpychając się do szalika, do czapki, do uszu. Muzyka spóźniła się, ale dotarła. Stanął w wejściu do metra, fala wychodzących ludzi, którzy właśnie co wysiedli z pociągu, wypychała go na zewnątrz, rozpraszając tony wiolonczeli. Nawała ludzi szybko się rozeszła, powrócił dobywający się spod ziemi Bach, nuty powoli ulatywały z głębin metra na ulicę, usłyszał je wiatr, usłyszał je deszcz i usłyszał je również on sam. To jednak nie od sąsiada przybywały te melodie, ale ze stacji metra. Zszedł po schodach, na dole siedział T.

Wtedy, rzecz jasna, nie znał jeszcze imienia wiolonczelisty. Zobaczył tylko czarną postać w rogu stacji metra. Smyczek ocierał się o struny, wydając głębokie tony. Nie widział twarzy muzykanta, który grał, nie

podnosząc głowy. Wchodzący i wychodzący z wagonów pasażerowie śpieszyli do swoich spraw, nikt się nie zatrzymał, żeby posłuchać, jak czarna postać gra na wiolonczeli. Czarny wełniany płaszcz muzyka był przesadnie duży, wyglądał jak kołdra. Zauważył, że czarny instrument na boku z lewej strony miał jakąś naklejkę. Podszedł wolnym krokiem i zobaczył, że przedstawiała okręt podwodny. Wszystkie drobniaki, jakie mu zostały po zakupach, wrzucił muzykowi do futerału. *Danke*, odezwał się cichy głos. Wrócił do domu i słuchając wiolonczeli, pisał powieść i jadł niezjadliwe dania, które sam ugotował.

Od tamtej pory często odwiedzał stację metra pod domem, żeby posłuchać wiolonczeli, a kiedy już stał się stałym bywalcem, zobaczył, że pod czarnym płaszczem kryje się duży krótkowłosey pies o lśniących oczach. Zwierzę czasem tylko wystawiało głowę, zazwyczaj spało, chrapiąc, a po przebudzeniu słuchało wiolonczeli i spoglądało leniwie w bezruchu. Czasem siadał po turecku przy ścianie i słuchał, a czarny pies wyłaził spod płaszcza, podchodził do niego i kładł mu głowę na udo. Może to przez wiolonczelę, może przez czarnego psa – który z tym samym leniwym spojrzeniem położył czarną głowę na udzie obcego człowieka i powoli zasnął, wyrażając bezwarunkowe zaufanie – z oczu poleciały mu łzy.

Przepłakał jedną część utworu. Wiolonczelista pstryknął palcami, pies otworzył oczy, ziewnął szeroko i potulnie wrócił pod czarny płaszcz. Muzykant wreszcie uniósł głowę, odsunął w tył czapkę i pokazał jasną twarz, która uśmiechała się do niego.

Nie spodziewał się, że pod czarną czapką kryła się taka twarz: przejrzysty wzrok, wyraziste rysy, brwi jasny blond, wąskie usta, błękitne oczy, szeroki uśmiech i całkowita szczerość. Z pociągu właśnie wytoczyła



się fala pasażerów, szybko wrzucił do futerału trzymane w garści drobniaki, a nurt wychodzących ludzi porwał go ku wyjściu.

Po tym, jak się rozplakał na oczach wiolonczelisty, postanowił, że więcej do metra nie zejdzie, będzie słuchał przez okno.

Śnieg nie przestawał padać, ale powieść przestała się pisać, fabuła utknęła w martwym punkcie, ni stąd, ni zowąd ani jedno zdanie nie chciało się ułożyć. Poszedł kupić widokówki i znaczki, na widokówkach ujrzał miejsca w Berlinie, których jeszcze w ogóle nie odwiedził. Po co ja tak właściwie przyjechałem do Berlina? Spytał sam siebie. Po co się ubiegałem o stypendium na półroczny pobyt w Berlinie? Nie wychodzę z domu, trzymam się z dala od ludzi, czy to nie takie samo życie jak w Tajpej?

W tajpejskim teatrze widział raz niemiecką trupę. Aktorzy wydzielali się na scenie po niemiecku, wykonywali agresywne ruchy, odbijali się od ścian, upadali na ziemię, powstrzymał się od czytania napisów, patrzył tylko na aktorów. Ich ciała zdawały się nie mieć ograniczeń, po dwóch godzinach wrzeszczenia głos mieli nadal donośny, a grając nago czy w kostiumie, wykazywali równy spokój i opanowanie. Kiedy kurtyna opadła, aktorzy byli znowu sobą i z głupawym uśmiechem na ustach słuchali oklasków. Zdębiał, jakby ducha zobaczył. Jak to możliwe, że ludzie mogą zabrnąć tak daleko, przekroczyć wszelkie granice, wrzeszczeć, wołać o pomoc, brać się za łby, niemal kości sobie nawzajem połamać, a po opuszczeniu kurtyny porzucić rozwydrzoną powłokę i na powrót być sobą? Zapragnął tam pojechać.

A kiedy już tu jest, nie może napisać ani jednego słowa, siedzi nad notesem przy komputerze poirytowany. Na dworze śnieg, w sercu żar. Zasłanianie twarzy poduszką, łykanie lodowatej wody, zimny prysznic na nic się zdały, żar nie ustawał.

Wyszedł na dwór. Ogień w nim gorzał coraz bardziej, jak mały palec drapał go w czaszkę i trzewia.

Kiedy mieszkał w Tajpej, nie lubił wychodzić z domu. Zajmował nielegalną dobudówkę na dachu, właściciel składował tam zwały starych mebli, każdy potencjalny lokator jak tylko zobaczył to pomieszczenie, natychmiast odwracał się na pięcie i wychodził, tylko on od razu powiedział, że bierze. Wynajmujący był nieco zaskoczony.

– Jak znajdę czas, to posprzątam te meble, zawsze chciałem tutaj sadzić drzewka i warzywa, mógłby mi je pan podlewać.

Kiedy lokator się już wprowadził, właściciel próbował uprzątnąć meble, ale po każdej jego wizycie na dachu starych mebli raczej przybywało, niż ubywało. Czynnosc za nielegalną dobudówkę był niski, miejsca było niewiele, pomieszczenie było ciemne, zakurzone i ogólnie w opłakanym stanie, kontrastowało ze stojącymi wokół nowymi okazałymi, lśniącymi budynkami. Czuł się odcięty od świata, po wejściu na dach znajdował się w rzeczywistości równoległej, czyli dokładnie tam, gdzie chciał. Deszcze bombardowały dach starego apartamentowca, rozwalona sofa i stół bez jednej nogi współżyły ze sobą w ciszy, wydając na świat jeszcze więcej ułomnych stolików i krzesełek. Pisał, siedząc pod oknem, a gdy przez nie wyjrzał, pole widzenia zasłaniała mu srebrzysta wieża ciśnień. Wieża ciśnień zasłaniająca pole widzenia to był jego widok na panoramę Tajpej. Patrząc na tę wieżę ciśnień, napisał trzy książki o Tajpej.

Nie powiedział nikomu z rodziny, że jedzie do Berlina.

Przykleił znaczki do widokówek, ale nie wiedział, co ma napisać. Co powiedzieć najstarszej siostrze? O co spytać drugą? Jak wysłę widokówkę do trzeciej, to czy mąż prezenter jej nie przechwyci?

Wiolonczela wysłała zaproszenie, wziął widokówki i długopis i poszedł do metra, usiadł pod ścianą. Czarny pies wygramolił się spod czarnego

płaszcz i położył się na plecach obok niego. Wiolonczelista pociągał smyczkiem, póki miał na to ochotę, po czym odłożył go i szarpał struny palcami, nuty wypełniły stację metra, wniknęły w jego ciało, studząc nieco wewnętrzny żar i podirytowanie. Zaczął wypisywać widokówkę.

*Najstarsza siostrze, jestem w Berlinie. W Niemczech. Dostałem stypendium, pomieszkam tu kilka miesięcy. U taty w świątyni wszystko dobrze? Przed wyjazdem z kraju chciałem wpaść w odwiedziny, a potem pomyślałem, że lepiej nie, w końcu wygoniono mnie z domu, mogłoby dojść do kłótni. U mnie wszystko dobrze, od kilku dni pada śnieg, jest cisza i spokój.*

Czarna postać w rogu stacji metra ponownie uniosła głowę. Uśmiechała się do niego jasna twarz.

Kilka dni później śnieg przestał padać, powiało wiosną, ziemia szybko pozbywała się oznak zimy, temperatura powietrza w dzień mocno podskoczyła, słońce przegnało płaszcze w głąbiny szaf, łyse drzewa przy ulicy w ciągu jednej nocy wypuściły młode listki. Wziął słownik i wyszedł na spacer, sprawdzał w nim słowa, jakie widział na znakach drogowych, szyldach i tablicach informacyjnych w okolicy. Na ścianie sąsiedniego apartamentowca widniała tablica upamiętniająca Lenina. Ze słownikiem w ręku próbował odczytać, co tam wypisano, ale znaczenia słów rozjeżdżały się, nie był w stanie złożyć sensownego akapitu, sierpień, 1895, Lenin. Czarny pies usiadł mu przy nodze. Kucnął, by go pogłaskać, czarny cień przysłonił wiosenne słońce. Czarny płaszcz, z tą samą czarną czapką na głowie, patrząc na płaskorzeźbę Lenina, wypowiedział potok niezrozumiałych dla niego słów.

Pokazał mu słownik, Czarny Płaszcz roześmiał się. Zdjął czapkę, ukazując puszyste długie blond włosy, i mówił dalej, tym razem pojawiło się dużo angielskich słów.

Żar w nim jeszcze bardziej rozgorzał. Stojąc tak na obcej, berlińskiej ulicy, przypomniał sobie nagle Czerwone Spodenki, Łódeczkę z basenu i to

ocieranie się po przyjeździe do Tajpej. Miał erekcję.

Czarny Płaszcz, czarna wiolonczela i czarny pies weszli razem z nim do małego mieszkania. Kiedy właśnie zamierzał *kippen* okno, Czarny Płaszcz chwycił go od tyłu i pocałował w szyję.

*My name is T.*

Czarny T. zaczął się powoli rozjaśniać. Zdjął buty, wierzchnie okrycie, sweter, spodnie, majtki, czarna noc padła martwa na podłogę małego mieszkania. Miał przed sobą wyprostowane, przeraźliwie blade smukłe ciało, jasną cerę, niemal bez zmarszczek, chudą, złociste włosy pachniały kwiatowym szamponem. Kiedy rodzice opowiadali mu w dzieciństwie o duchach, rysował sobie w myślach białe sylwetki, teraz stała przed nim bielutka nieznajoma postać, o jasnym owłosieniu i błękitnych oczach wpatrzonych prosto w niego.

– Jesteś upiorem? – chciał spytać. – Istniejesz naprawdę?

Wywołali na łóżku trzęsienie ziemi. Ptaki na drzewach za oknem głośno śpiewały. Czarny pies wszedł pod łóżko i zasnął. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł, co napisać dalej w nowej powieści. Nogami strącili niemiecki słownik ze stołu na podłogę. T. objął kochanka i położył go na stole. Słysząc było dobywający się z mebla dźwięk: ija-ija. Przypomniały mu się yongjińskie termity.

T. spytał:

Skąd jesteś?

Chciał zadać pytanie temu T.

Czy w Berlinie są termity? Słyszałeś kiedyś odgłosy termitów? Jakby ktoś małą piłą usiłował po kryjomu odpiłować nogi stołu. Jak usłyszysz w środku nocy termity, to może ci się wydawać, że to ija-ija dochodzi z wnętrza twego ciała. Jakby ktoś po kryjomu piłował jeden z organów wewnętrznych. Jakby ktoś po kryjomu piłował żyły.

– Nareszcie – oznajmił Łódeczka.

Ich oczom ukazały się domy szeregowe.

Piąty, licząc od lewej.

T., stąd jestem.

Najstarsza siostra machała w stronę pikapa, stojąc przed domem rodzinnym, obok niej leżało palenisko.

Zapaliła ogień, z paleniska buchnęły płomienie.

T., nie wróciłeś do swego okrętu podwodnego. A ja wróciłem.

## FRYTKI Z MCDONALDA, ROK 1984

Shuli pisała właśnie list do brata siedzącego w więzieniu, gdy nagle otrzymała wiadomość od najstarszej siostry: „Braciszek wrócił”.

Kiedy wyszedłeś? Czemu wróciłeś? Ciągłe cię wyganiamy, czemu znowu wracasz? Nie mówiłam ci, żebyś nie wracał? Przecież się ze mną zgodziłeś.

Czym prędzej sprawdziła, kiedy odjeżdża najbliższy pociąg Tajwańskich Kolei Dużych Prędkości z Tajpej do Taichungu, potem jeszcze przesiadka na pociąg regionalny Tajwańskich Linii Kolejowych; przy dobrych wiatrach za dwie godziny będzie w Yongjingu, wtedy poprosi najstarszą siostrę, żeby po nią przyjechała autem.

Kiedy w czasach swojej młodości jeździła do Tajpej na rozmowy kwalifikacyjne, ojciec podwoził ją samochodem do pobliskiego Yuanlinu, tam wsiadała w autokar linii Chung-Hsing albo Kuo-Kuang, a jak budżet pozwalał, to brała pociąg. Taka podróż ciągnęła się co najmniej przez sześć godzin. Jeśli był korek albo pociąg się spóźnił, to trzeba było doliczyć jeszcze kilka godzin. Pewnego razu autokar zepsuł się na trasie. Trochę jadąc, a trochę stojąc, dotarł w końcu do stolicy po dwunastu godzinach, nie zdążyła tego dnia na rozmowę. Jak tylko autokar wjechał do Tajpej, błagała kierowcę, żeby się szybko gdzieś zatrzymał i pozwolił jej wysiąść. Po wyjściu z autokaru szukała gorączkowo ubikacji, weszła w pierwszą lepszą uliczkę, myślała, że jej pęcherz zaraz detonuje. Zobaczyła kawałek

zielonego terenu, na którym rósł bananowiec, pognała tam zaraz i ściągnęła spodnie. Podlała bananowca trzymanym przez cały dzień moczem, który niczym strugi wodospadu zagłuszył swoim szumem odgłosy miasta w okolicy. Bojąc się, że ktoś ją zobaczy, urwała liść z krzewu, żeby zasłonić sobie twarz. Zawsze lubiła liście bananowca, miały bardzo wyrazistą teksturę, jaskrawy zielony kolor, były szerokie i miękkie, mogły chronić przed słońcem i przed deszczem. Matka kiedyś często zawijała nuomiguo<sup>72</sup> w liście bananowca. Najpierw gotowała je w wodzie, a potem owijała nimi kluseczki, wiązała sznurkiem, wkładała do bambusowego parowaru, nuomiguo nabierały charakterystycznego zapachu bananowych liści. Był to kojący zapach, który wpadając do nosa, rozwiewał wszelkie smutki, wszystkie organy wewnętrzne stawały się senne, kiedy go tylko poczuły, i przeciągały się leniwie. Po zjedzeniu nuomiguo morzył ją sen, kładła się wtedy byle gdzie na podłodze i śniła sen słodki jak rozmiękły banan.

Po zrzuceniu balastu podniosła się i spojrzała dookoła, otaczał ją bujny bananowy sad. Nagle zapomniała, że jest w Tajpej, zapomniała, że skończyła już zawodówkę i właśnie szuka pracy, po głowie chodziło jej tylko jedno: zerwać te jaskrawozielone zdrowe liście bananowca i zawieźć mamie do domu, żeby mogła w nie zawijać nuomiguo.

Opuściła sad, wieżowców było w okolicy tyle, co kot napłakał, zobaczyła za to pola ryżowe, białe czaple i malutkie strumyki. Jak to możliwe, że jechała dwanaście godzin, a wciąż była w Yongjingu. Podczas tej podróży musiało dojść do zagięcia czasoprzestrzeni, północ z południem zamieniły się miejscami. Myślała, że przed nią po prawej stronie stoi fabryka sosu sojowego, a trochę dalej leży sad karambolowy, po lewej stronie ma plantację krzewów betelu, w centrum której piętrzy się żeliwne rusztowanie wyższe niż palmy betelowe, a w górze widać srebrzystą wieżę

ciśnień ze stali nierdzewnej, pełną wody używanej przez rolników do nawadniania pól. Na drabinę, do wieży, puk, puk, hej, jest tam kto?

Kiedy była mała, nocą pukała lekko do wieży ciśnień i ktoś jej odpowiadał. Jak dorosła, pukała do drzwi pracodawców, ale nikt nie odpowiadał. Nie miała odpowiednio wysokiego wykształcenia, nie znała obcych języków, na rozmowach jąkała się albo milczała, ubierała się beznadziejnie. Postanowiła podejść do egzaminów państwowych, niczego nie umiała, ale wkuwanie książek przynajmniej dobrze jej szło. Pół roku siedziała w domu nad książkami do egzaminów, nogi za próg nie wystawiła. Matka mówiła jej, żeby tak nie zakuwała, niech lepiej wyjdzie za mąż i będzie okej, poprosi się swatkę, żeby kilku kandydatów zorganizowała. W sumie to sama już o tym pomyślała, jak się nie dostanie do służby cywilnej, to może po prostu wyjdzie za mąż. Ale ci wszyscy faceci, których swatka naganiała, nie byli zainteresowani beznamiętną drugą córką rodziny Chenów, podobała im się trzecia córka albo może czekali, aż czwarta i piąta dorosną.

Podczas tych oschłych spotkań potrafiła z chłodu męskich spojrzeń wyczytać własną beznamiętność. Kiedy ich uschnięty wzrok padł tylko na którąś z jej sióstr, zmieniał się natychmiast w orzeźwiające źródło. Każda z pozostałych sióstr miała jakąś mocną stronę: najstarsza – wyraziste piersi, trzecia – nos prosty jak wieżowce w mieście, czwarta – cerę miała bielutką i gładką jak papier, a piąta była najpiękniejszą dziewczyną w całym Yongjingu.

Ogłoszono wyniki, zdała, przydzielono ją do urzędu w Tajpej, pojechała do dzielnicy, w której znajdował się sad bananowy, gdyż tam chciała znaleźć sobie mieszkanie, najęła umeblowany pokój nad sklepem sprzedającym posiłki na wynos. W końcu wyprowadziła się z domu. Wieża ciśnień w jej wnętrzu nieustannie pęczniała, prawie przebiła ją na wylot. Po



przyjeździe do Tajpei chciała rozpocząć zupełnie nowe, beznamiętne życie; na wsi wszystko jest przejawskrawione, chryzantemy zbyt urokliwe, kwiczenie ubijanych świń zbyt przygnębiające, płomień Afryki zbyt krwistoczerwony – pragnęła stonowania. Tajpei szybko się wówczas rozwijało, więc łatwo się w nim ukryła, nikt jej nie znał, żyła w błogim cieniu. Po ślubie przeprowadziła się do tej właśnie dzielnicy, prowadząc skromne życie. Małżonkowie kupili małe mieszkanie na gęsto zaludnionym osiedlu. Kilka lat temu, przejeżdżając tędy autobusem, chciała zobaczyć, czy sad bananowy jeszcze istnieje, okazało się, że pól ryżowych już nie było, zielone krzewy poznikały, strumyk żaden już nie płynął, nie było bananów. Sad bananowy nie umknął uwadze grupie finansowej rodziny Wangów, postawiono tu ekologiczny budynek, cały dach pokryty został panelami słonecznymi, w nocy świecą się lampy, jaśniej logo Wangów. Naprawdę nie rozumiała, co w tym budynku takiego ekologicznego? Okazały budynek, do którego wstęp mają tylko członkowie rodziny Wangów, gdzie tu ochrona przyrody? Kiedyś w tym miejscu nie było w ogóle ogrodzenia, dzieci z okolicy przychodziły tu bawić się w chowanego, staruszkowie brali drewniane stołki i siadali tu na herbatę i pogaduszki, żaden hodowca bananów tego nie pilnował, wszyscy wokół byli hodowcami bananów, razem plewili i podlewali, po zbiorach dzielili się plonem, w ogóle nie handlowali. Czy gdy przyznawano temu budynkowi wysokie noty, nie zauważono sadu bananowego, który rósł tutaj wcześniej? Bananowce były silne i zdrowe, na liściach nie pojawiała się ani jedna żółta plamka, a kiście bananów były obfite. Kiedy się podniosło głowę, ujrzeć można było nad sadem gwiazdy.

Przed wyjściem z domu napisała do męża wiadomość: „Wracam do Yongjingu zobaczyć się z bratem”. Ale nie mogła kliknąć przycisku „wyślij”.

– W jakich my czasach żyjemy, żeby jeszcze ręcznie pisać, nie umiesz mejla wysłać? – narzekał mąż, gdy tylko brała się do pisania listu do brata. – Czy ten twój urząd meldunkowy nie przeszedł cyfryzacji?

Mąż nie wiedział, że jej najmłodszy brat zabił w Niemczech człowieka i siedzi w berlińskim więzieniu. Wiele lat temu najmłodszy brat opublikował w gazecie opowiadanie: główny bohater pochodził ze wsi w powiecie Changhua, po przyjeździe do Tajpej wkroczył do świata luksusów obsypanego złotym pyłem, tulił się czule do obcych facetów, dzisiaj spał z rekinem giełdowym, jutro poszedł do hotelu ze sławnym piosenkarzem, dzięki tym wszystkim gorącym kąpielom w rozmaitych wannach stopniowo zmył z siebie resztki woskowego błota, wyczyścił się do tego stopnia, że nawet rysy twarzy mu się zatarły, wyglądał zupełnie inaczej, zmienił mu się charakter, a kiedy wrócił na wieś, ludzie go nie rozpoznali. Mąż przeczytał całość, siedząc w ubikacji, twarz mu się zmarszczyła jak marynowana śliwka.

– Ten twój najmłodszy brat to jakiś dewiant – powiedział do żony kwaśnym tonem. – Żeby takie upiorne rzeczy wypisywać i jeszcze w gazecie opublikować, dewiant. Ten świat schodzi na psy. Powiedz mu, żeby sobie wybrał jakiś pseudonim, taki wstyd.

Potem podarł gazetę.

Ale takie małżeństwo jej właśnie odpowiadało: konserwatywny, staroświecki mąż, urzędnik, o stałych godzinach wychodzi do pracy i z pracy, nie lubi brać urlopów, nie chce wyjeżdżać za granicę, jak ma wolne, to kładzie się i śpi, rysy twarzy ma beznamietne, nie miewa humorów, nie jest rozrzutny, pobiera stałą pensję, ma z nią dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, jest w pełni przewidywalny, nie ma romansów, nudny do szpiku kości. Poznała go dzięki koleżance z pracy, już na pierwszej randce wiedziała, że za niego wyjdzie. Co zjeść, gdzie pójść – druga strona nigdy

nie miała obiekcji. Rysy twarzy miał jak nieprzyprawiony czysty rosół, nie był niski ani wysoki, chudy ani gruby, mówił wprost bez owijania w bawełnę, ubrania nosił niedrogie, nie wykazywał pociągu do zbytków. Po każdym pożegnaniu musiała się niezłe natrudzić, żeby sobie zapisać w głowie zarys jego twarzy. Po ślubie współżyli ze sobą tylko w celu prokreacji. Nigdy nie miała orgazmu, gasili światło i w milczeniu odbywali stosunki, szybko zaszła w ciążę.

Postacie zarówno mężczyzn, jak i kobiet, o których czytała w książkach napisanych przez brata, były wilgotne jak tropikalne lasy deszczowe, jak rwące potoki, jak strzelające ku niebu pnie drzew, jak pełzające boa dusiciele, jak ryki panter, jak śpiewy ptaków. Ale ona była sucha jak drucziana siatka, lasy deszczowe stawały się w jej ciele pustynią. Od kilku lat często chodzi sama do tanich hoteli w Tajpej. W pokojach zawsze mają kanał dla dorosłych, gdzie całą dobę puszczają filmy pornograficzne. Oglądając, jak leżące na sobie ciała aktorów różnych narodowości i kolorów skóry wsuwają i wysuwają się jedno z drugich, jak krzyczą z prawdziwej lub udawanej rozkoszy, chłonęła uszami ich wilgotne dyszenie, ale nadal była pustynią. Aż pewnego razu film został przerwany, na ekranie pojawiło się dwóch mężczyzn, wstała natychmiast z łóżka i zacisnęła pięści. Przez pół godziny nie pokazała się żadna kobieta, tylko mężczyźni penetrujący jeden drugiego. Byli niezwykle przystojni, wyraz oczu mieli jak falujące tafle jezior. Nagle film został przerwany i puszczone inny film, znowu pojawiły się kobiety. Zebrała się na odwagę, żeby zadzwonić na recepcję.

– Przepraszam, ale przed chwilą film...

– Przepraszamy, przepraszamy, przed chwilą student, co u nas dorabia, trochę się pomylił. Już nam goście zgłaszali, to się więcej nie powtórzy,

bardzo przepraszamy, przy wymeldowaniu damy dwadzieścia procent rabatu.

Za co przepraszają? Jeziora oczu tych mężczyzn wpłynęły wprost do jej ciała. To uczucie przypominało jej, jak w dzieciństwie wyszła z czarnym psem na spacer, nagle spadł deszcz, pies zaczął się tarzać w błocie, a ona, usiłując go wyciągnąć, sama w nie wpadła. Deszcze latem są ciepłe, błoto jest gorące, pies się tapla, ona się tarza, dżdżownice się wiją. Ciało opanowała radość, w ogóle nie czuła się brudna. Dzięki mężczyznom z filmu poczuła, jak otula ją ciepłe błoto.

Jej ciału podobało się oglądanie mężczyzny z mężczyzną. Zanurzyła się w wilgotną pościel, hotelowa kołdra z lekka śmierdziała pleśnią, jej mięśnie rozluźniły się, wydała z siebie krzyk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała.

Gruby właściciel i chudy właściciel. Ming i Ri.

Zanim brat trafił do więzienia, jego adwokat przysłał karton z ubraniami i książkami. W kartonie było dużo zdjęć, na widok jednego aż zakrzyknęła. Na zdjęciu, na którym T. całował brata w policzek, stał obok czarny pies i patrzył na nich. Zaczęła przeglądać pozostałe zdjęcia, na wielu z nich był czarny pies. Czarny owczarek niemiecki, wyglądał dokładnie tak samo jak ten, którego babcia zjadła, miał czarne oczy błyszczące jak kryształy, głowę przechyloną jak zahipnotyzowany. Wzięła zdjęcie ze sobą do biura, żeby je zeskanować i przesłać na telefon. Oglądała je tylko wtedy, gdy nie było nikogo w pobliżu.

Braciszku, nigdy cię nie spytałam, kto się opiekował psem przez te wszystkie lata, które spędziłeś w więzieniu?

Wsiadła do pociągu Tajwańskich Kolei Dużych Prędkości, skład zaczął mknąć na południe. Wyjechał spod ziemi, na dworze właśnie zapadała noc. Była głodna. Wytrzymam, aż wrócę do Yongjingu, i potem coś zjem.

Widoki za oknem szybko się zmieniały, obrzeża miasta, wyschnięte rzeki, zniszczone fabryki, okazałe nowo wzniesione budynki. Minąwszy jaskrawopurpurową świątynię taoistyczną, pociąg przejechał przez tunel w skale. Zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy działały na nią usypiająco. Przypomniała sobie, co się jej przyśniło zeszłej nocy.

We śnie widziała piłę. Nie elektryczną, ale taką tradycyjną, z drewnianą rękojeścią i brzeszczotem o ostrych zębach, które ułożone były to gęsto, to rzadko. To piła do piłowania pni. W tym śnie ujrzała także matkę.

Matka w jej śnie była młoda, miała świeżo wykonaną trwałą i makijaż na twarzy. Zabrała ją na wielkie targowisko, nakupiły pełen koszyk warzyw i mięsa, być może na ofiarowanie. Przez cały sen słychać było odgłosy piłowania; nieznaczące, ledwie słyszalne, jakby ktoś bardzo ostrożnie usiłował przepiłować drewno. Matka we śnie przyprowadziła nagle grupę policjantów:

– Shuli! – wrzasnęła na córkę surowym tonem – gdzie oni się schowali? Mów! Na pewno wiesz!

Odgłosy piły nie ustawały. Nie chciała niczego powiedzieć policji ani matce, zrobiła wielki krok i przeleciała nad kanałem irygacyjnym, ruszyła na poszukiwania miejsca, skąd dochodzą odgłosy piłowania. Nagle kadr snu zderzył się z piątą siostrą, roześmiana twarz z impetem uderzyła w obiektyw, kamera uderzyła ją w głowę, poczuła prawdziwy ból. Piąta siostra w prawej ręce trzymała piłę i z uśmiechem na ustach piłowała sobie lewą rękę.

– Też jestem pustynią – mówiła do niej piąta siostra.

Kiedy już odpiłowała sobie ramię, nie popłynęła z niej krew, nie było rany. Piąta siostra prawą ręką podniosła leżącą na ziemi odpilowaną prawą rękę.

– Pustynia nie krwawi.

Pociąg wjechał do tunelu w skale, okna przedziału stały się zwierciadłami, w których obijała się jej przerażona twarz.

Kiedyś każdy sen musiała opowiedzieć matce, która miała pewien system objaśniania, rozbierała na części pierwsze wszystkie przedmioty i postaci, dzieląc je na pomyślne i niepomyślne. Matka jej matki nauczyła ją zaklęć na ujarzmienie strachów, przekazując jednocześnie skomplikowany system rozumienia snów. Nie został on jednak nigdzie spisany, przekazywano go ustnie, zapamiętywano, odczuwano, wytyczano emocjami. Sen o wężu oznaczał rychłe narodziny córki, kwiaty wróżyły, że urodzi się syn, płynąca woda przestrzegała przed daleką podróżą, sen o śmierci zwiastował pieniądze, sen o upiorach wieścił możliwość ożenku lub zamążpójścia, pojawienie się drzewa we śnie uprzedzało o wystąpieniu symptomów choroby, deszcz był znakiem, że można rozpocząć zasiewy i oczekiwać obfitego plonu. System był nierzadko wewnętrznie sprzeczny w czasie. Za pierwszym razem mówiła jej, że woda przestrzega przed dalekimi podróżami, a następnym razem, że woda oznacza, iż można jechać na północ, jednego dnia mówiła, że ogień we śnie oznacza niepomyślność, a innego dnia, że to omen szczęścia.

Tego ranka, kiedy nie znaleźliśmy piątej siostry, matka, jak się tylko obudziła, powiedziała, że widziała we śnie piłę, ktoś piłował trumnę.

Mamo, najmłodszy brat wrócił, wczoraj miałam sen o pile. Powiedz mi, co to może oznaczać? Ale ty umarłaś. Umarłaś, umiesz jeszcze ujarzmić strachy, umiesz jeszcze objaśniać sny?

Pociąg mknął przez równinę we wschodniej części Wyspy, w przedziale roznosiła się woń frytek, zaburczało jej w żołądku.

Kiedyś, jak wracała autokarem z Tajpej do Yongjingu, najmłodszy brat prosił ją, żeby przywiozła coś z McDonalda. Otworzono wówczas pierwszą filię McDonalda w Tajpej, a w wiadomościach powiedzieli, że obroty

w pierwszym tygodniu osiągnęły najwyższy poziom na całym świecie. Długo stała w kolejce, żeby coś kupić, potem wsiadła do autokaru pod głównym dworcem kolejowym w Tajpej i wróciła do domu. Frytki, hamburgery i cola towarzyszyły jej w podróży autokarem przez długie godziny, a gdy już dotarła do domu, uprzątnięto stół i wszyscy czekali, aż wyłoży kupione w Tajpej specjały z McDonalda. Pamięta, jak najmłodszy brat marszczył brwi, jedząc frytki. Hamburgery po kilku godzinach nabrały nieco kwaśnego posmaku, z coli uleciał gaz, smakowała jak przypalony syrop.

Pociąg Tajwańskich Kolei Dużych Prędkości zbliżał się do Taichungu, czas przygotować się do wyjścia i przesiadki w Tajwańskie Linie Kolejowe. Spojrzała w okno, ale nie zobaczyła własnego odbicia. Za każdym razem gdy wracała do rodzinnego domu, wydawało jej się, że blednie, że im jest bliżej Yongjingu, tym bardziej przypomina ducha. Półprzezroczysta.

Sprawdziła w internecie, że pierwszy McDonald na Tajwanie otwarty został w roku 1984. Najmłodszy brat poszedł wtedy do podstawówki, przyjechała policja. Była jak te frytki z McDonalda w roku 1984, podczas kilkugodzinnej podróży na południe powoli miękła, stygła i gorzkniała.

Zanim wysiadła z pociągu, wyjęła komórkę i popatrzyła na zdjęcie brata z T. i czarnym psem.

Przesunęła palcem po ekranie. Następne zdjęcie było z archiwum prasowego. Przeszukała wiele roczników, aż w końcu znalazła informację o tym, że gruby właściciel księgarni Jutro popełnił samobójstwo w więzieniu.

Owego roku kupiła tak naprawdę dwie porcje w McDonalddie. Po zmroku wyszła ukradkiem z domu i poszła do dwóch właścicieli księgarni Jutro, żeby ich poczęstować przywiezionym z Tajpej amerykańskim fast foodem. Z USA! Tamtego wieczoru do księgarni przyszedł także

Lekkoduch z karambolowego sadu. Zamknęli wejście do sklepu, weszli na piętro i razem jedli McDonalda.

Pamięta doskonale, co jej powiedział gruby właściciel, kiedy jadł te zgorzkniałe i zimne frytki:

– Naprawdę dobre. Shuli, kiedyś polecimy razem do Stanów i tam sobie zjemy.

.....

72 Kluski z mąki z ryżu kleistego nadziewane najczęściej mięsem lub pastą z fasoli.



## 6

# ZUPA Z WĘŻA

Twoja najstarsza siostra podpala zapalniczką palenisko, a potem trzymany w palcach złoty papier, który okręca nad twoją głową trzy razy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem przed twoją klatką piersiową trzy razy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wypowiadając takie słowa:

– Naprostowane się odwraca, odwrócone się naprostowuje, płomień się rozpara, rozpalone płonie, naprostujcie ciało, oczyśćcie umysł, spalcie całe zło, przegnajcie całe zło.

Gdy papier w jej ręku się dopalał, szybko wrzuciła go do paleniska. Buchnął obfity płomień. Oddychasz głęboko, zamykasz oczy, dużym krokiem przechodzisz przez palenisko.

Twoja najstarsza siostra bierze komórkę i ogląda filmik z taoistą w żółtej todze, żeby upewnić się co do przebiegu obrzędu.

– Przechodzenie przez ogień – mówi taoista w żółtej todze – obmywa umysł i duszę, odgania zły los, przeskakiwanie przez ogień nic nie daje.

Twoja najstarsza siostra powtarza na głos trzykrotnie coraz to wyższym tonem:

– Przeskakiwanie przez ogień nic nie daje. Przeskakiwanie przez ogień nic nie daje. Przeskakiwanie przez ogień nic nie daje.

Po zakończeniu obrzędu twoja najstarsza siostra zamierza cię mocno przytulić, ale jej ręce przywarły do talii i nie wyciągają się.

– Pójdę do kuchni ugotować mī-suànn z nóżkami – powiedział Łódeczka.

Czy ja cię kiedyś przytuliłem?

Kiedy byłeś niemowlakiem, miałeś kręcone włosy i pulchną twarz, lubiłeś śmiać się i płakać, w twoim śmiechu pobrzmiwała nuta płaczu, a płacz krył w sobie drobinę śmiechu, zasypiałeś spokojnie tylko wtedy, gdy ktoś objął cię z całych sił. Twoja mama całymi dniami nosiła na rękach twojego starszego brata, jakby z obawy, że nie jest prawdziwy, jakby się bała, że zniknie, przywiązała go sobie mocno na piersiach kawałkiem sukna. Zanim się urodził, twojej mamie śniły się kwiaty. Spytałem ją, jakie kwiaty? Powiedziała, że czerwone, fioletowe i żółte, okazałe, o cienkich, długich płatkach, pokrywały kilka hektarów, silna woń wdzierała się do nosa, czuła ją nawet po przebudzeniu. Twoja mama stwierdziła, tym razem na pewno będzie chłopak, rodzina Chenów będzie miała spadkobiercę. Po jego narodzinach twoja mama nie spuszczała go z oczu, bała się, że jak tylko odwróci głowę, to zobaczy ku swemu przerażeniu, że trzyma na ręku dziewczynę. Dopiero jak moja mama zobaczyła, jak stryjenka zobaczyła, jak wujek zobaczył, jak stryjek zobaczył, jak wszyscy potwierdzili, Sojowa Cykada, która urodziła pięć córek z rzędu i w końcu wydała na świat chłopca, ośmieliła się odłożyć niemowlę. Moja mama wreszcie podarowała twojej mamie czerwoną kopertę, z okazji poprzednich pięciu porodów w ogóle się nie pojawiła.

Kiedy twój brat miał trzy miesiące, ręka twojej mamy wsunęła mi się w spodnie niczym jakiś wąż. Za mało, powiedziała, jeden to za mało, musimy zrobić jeszcze jednego. Tyle starszych siostr może się zmówić przeciw młodszemu bratu, jak będziemy mieć dwóch synów, to nie ma obaw, że siostry będą się wyklócać o podział majątku. Mamie ani razu nie przyśniły się kwiaty, kiedy była z tobą w ciąży. Nie bacząc na duży brzuch,

wychodziła z twoim bratem na rękę pospacerować po polu chryzantem, zrywała rosnące przy drodze wieczniki i wpinała je sobie we włosy, pocierała delikatnie płatkami o wydęty brzuch, ale kwiaty wciąż się jej przyśnić nie chciały. Pamiętasz? Potem cię biła.

– Dewiant! – wydzieriała się. – Kwiaty mi się wtedy nie śniły, to był znak, że urodzę dewianta. Utracysz!

Rozumiesz w ogóle, co to znaczy „utracysz”?

Wrzeszczeliśmy na ciebie. Biliśmy cię.

Po klęsce gradu stary Wang przyszedł omówić interesy. Spisał na kartce listę strat poniesionych podczas gradobicia. Żarówki nad chryzantemami, dachówki, szyby w oknach – klęska żywiołowa to okazja na biznes, co zepsute i zniszczone trzeba wymienić na nowe, on znajdował towar, ja rozwoziłem, dobrzy sąsiedzi bogacą się wspólnie. Jeździliśmy razem na motorze po całej wsi i odwiedzaliśmy rolników, a ponieważ mieliśmy ceny niższe niż na targu wyrobów metalowych, dostawaliśmy wiele zamówień. Ciągle gdzieś wydzwaniał, codziennie załatwiał mnóstwo towaru z różnych zakątków Wyspy, a moim zadaniem było rozwozić to wszystko po całym powiecie.

Zarobiliśmy kupę kasy, stary Wang powiedział, że trzeba to uczcić, poszliśmy po sąsiedzku do rzeźnika węży spytać, czy ma odpowiednią zagrychę do wódki.

Powiedział, mam, prosto z Birmy, piękny, tłusciutki, tylko zabić, dolać wódki ziołowej i można ugotować zupę, po wypiciu takiej zupy skóra u kobiet staje się delikatniejsza, a mężczyznom wszystko w pień twardnieje. Wyjął z klatki węża o niezwykle wzorzystym ubarwieniu. Wąż się wypiął, rozszerzył szyję, broniąc się przed śmiertelnym ciosem. Rzeźnik chwycił go umiejętnie za głowę.

– Zabijamy wężaaaa! – krzyknął. Usłyszały to wszystkie dzieci w okolicy i natychmiast zbiegły się wokół niego. Przywiązał głowę węża do wiszącego sznurka, wyjął nożyczki i rozciął skórę przy szyi cięciem okrężnym, odsłaniając czerwone mięso, następnie rozciął w pionie i oboma rękami zdarł skórę z gada. Zebrał krew do ceramicznej miseczki, wyjął czarny pęcherz żółciowy, naciął małym nożem i pozwolił żółci skapywać do ziołowej wódki. Pokroił węża na kawałki, zerwał genitalia i ugotował z dodatkiem wódki ziołowej, jujuby i žen-szenia. Uniósł się zapach zupy węzowej, pełzał bezszelestnie, pnąc się od stóp ku górze, obejmował biodra, owijał ramiona, aż w końcu dotarłszy do nosa, otwierał przeraźliwie paszcze i atakował, pozostawiając po ugryzieniu wrażenie, którego nie sposób wymazać z pamięci.

Wyniosłem z domu okrągły stół i ustawiłem u wejścia, A-Chan położyła kapustę, kurczaka sanbei<sup>73</sup>, zarybek smażony z orzeszkami ziemnymi i smażony makaron z ostrygami, Chenowie i Wangowie zasiedli razem do stołu, i do dna! Piliśmy wódkę zaprawioną świeżą krwią i żółcią węża. Dobrze nam się pracuje, powiedział stary Wang, następnym razem zarobimy jeszcze więcej.

A-Hong<sup>74</sup>, pamiętasz? Niebo nad Yongjingem tego wieczoru miało osobliwą barwę, przypominało leciwą skórę wołu lśniąca brązowym blaskiem. Księżyc był nieco przyćmiony, gwiazdy przebijały się przez brązowe obłoki, mrugając do mnie czule. Koniki polne delikatnie cykały, ten dźwięk wywoływał u mnie wrażenie, jakie pamiętam z czasów, kiedy matka czyściła mi uszy, swędziało, głowa i szyja drętwiały. Wszyscy przy stole byli już pijani, zarówno dorośli, jak i dzieci – bo zupa z węża zawierała alkohol – na twarzach wystąpiły rumieńce. Wiatr zjawił się delikatnie na palcach, przerażony, by nie wydać najdrobniejszego dźwięku, który mógłby popsuć biesiadującym zabawę.

Czułem się szczęśliwy. Zanim przyszedłeś na świat, często głodowaliśmy, na stole nie było kurczaka ani kaczki. Teraz mieliśmy jadowitego węża i ostrygi, każdy jadł do syta i spał do woli. Najstarsza córka wyszła za męża, urodziła, mieszkała w domu obok, dwaj synowie powoli dorastali, wszystko zdawało się takie jak ten rozgwieżdżony wieczór – zachwycające i doskonałe. Pomyślałem sobie wtedy, że zakończyłem pewien etap ciężkiego ojcowskiego obowiązku, nie musiałem się dłużej martwić, że będziecie głodni, nie musiałem się już starać o kolejne potomstwo.

Mojej uwadze umknęło, że kiedy wszyscy się upili, tylko A-Chan pozostała trzeźwa, nie wypila ani łyka zupy, nie skosztowała wódki z żółcią węża.

Nie mogła cię nigdzie znaleźć.

Powiedziała, że pewnie znowu poszedłeś do Lekkoducha, grad go całego poobijał, zniszczył mu zbiory karamboli, człowiek musi się wyspać i zregenerować, a ten mu ciągle przeszkadza.

Chwyciła oburącz miskę gorącej zupy z węża i poszła do domu Wangów, weszła po schodach, drzwi do pokoju Lekkoducha były otwarte.

Nie widziałem.

Niczego nie widziałem.

Tylko na podstawie jej relacji, którą przekazała mi dopiero następnego dnia rano, mogę odtworzyć tamten dzień, kiedy Lekkoduch był z tobą.

Powiedziała, że Lekkoduch leżał na łóżku, dłonie trzymał splecione pod głową, oczy miał zatknięte, wyraz twarzy osobliwy. Byłeś całkiem nagi, skłoniłeś głowę na biodrze Lekkoducha i obiema rękami z całej siły trzymałeś go za prącie. Było twarde.

A-Chan zamarała na kilka sekund. Postawiła zupę na stole i podeszła do łóżka. Złapała cię. Byłeś cały rozpalony. Spałeś jak nieżywy. Ale obiema

rękami mocno trzymałeś się Lekkoducha. Nie chciałeś puścić.

Uszczypnęła cię w udo, wzdrygnąłeś się i dopiero wtedy puściłeś.

Udawał, że śpi, mówiła, Lekkoduch cały czas udawał, że śpi. Nic dziwnego, że nazywano go Lekkoduchem i Pomyleńcem, chłop jak dąb, taki wykształcony, taki czytany, a tu się okazuje, że dewiant. Śmieć. Doskonale wiedział, że weszła do pokoju i go zobaczyła, a ten i tak dalej udawał, że śpi.

Jak to dobrze, mówiła, jak to dobrze, że mam dobre serce i chciałam zanieść Lekkoduchowi zupę, dzięki temu na własne oczy zobaczyłam, inaczej nie miałabym w ogóle pojęcia.

Przeniosła cię do domu, przechodząc obok nas gwarnie biesiadujących za stołem przy zupie z węża, niczego nie powiedziała. Milczała, póki się nie obudziłeś. Zupa z węża i wódka ziołowa sprawiły, że spałeś kilkanaście godzin, a podczas snu zasikałeś łóżko. Twoja matka nie spała całą noc, a kiedy następnego dnia rano zauważyła, że masz mokrą pościel, puściła jej zawlecza i granat ręczny poleciał prosto na ciebie.

Obudził cię ból, rozplakałeś się, a matka nie przestawała łoić. Słyszając płacz, wszedłem na wasze piętro. Kiedy mnie zobaczyła, opowiedziała mi, co zaszło poprzedniej nocy. Znowu cię uderzyła, i to jeszcze mocniej. Odwróciła się potem do mnie i powiedziała, że teraz ja mam bić. Wyobraziłem sobie ciebie, jak trzymasz Lekkoducha, usiadłem przy twoim biurku, popatrzyłem na mapę świata na blacie... i nie mogłem ruszyć z artylerią.

Później, wiele lat później, przyszła do nas twoja nauczycielka z gimnazjum, mówiąc, że podrywasz jej syna, zażądała, byśmy przenieśli cię do innej szkoły.

Matka nieustannie przepraszała, kłaniając się w pas, i mówiła, że źle dziecko wychowała. Przepraszam panią, już nigdy więcej nie będzie miał

nic wspólnego z pani synem.

– Nie chcę zmieniać szkoły – powiedziałeś, kiedy nauczycielka już wyszła.

Matka rzuciła w ciebie krzesłem.

Powiedziała, na pewno pamiętasz, że w dzieciństwie doprowadziłeś do śmierci Lekko ducha. Dewiancie. Utracjuszu. Pomyłeńcu. Żółtodziobie nieopierzony. Wstydu nie masz. Idź do diabła. Jak cię diabli wezmą, to większej straty nie będzie.

Słyszac o Lekko duchu, zacząłeś płakać. Nawet nie drgnąłeś, kiedy nauczycielka wyzywała cię przy nas od dewiantów, ale jak tylko mama wspomniała o Lekko duchu, rozsypałeś się.

Pamiętasz, wszystko pamiętasz.

Ale o wielu sprawach w ogóle nie wiesz.

Nie wiesz, że przeżyłem tyle lat tylko dzięki rzeźnikowi węży.

Nie byłeś przez nas przytulany. Byłeś bity.

---

73 Dosłownie „trzy kubki”. Nazwa potrawy wywodzi się od trzech przypraw używanych do jej wykonania: sosu sojowego, miji (czyli wódki ryżowej stosowanej jako przyprawa), i oleju sezamowego.

74 Zdrobienie imienia Tianhong.

## BERLIŃSKA JESIEŃ

Czarna niemiecka limuzyna mknęła autostradą na południe.

Shuqing, jak tylko usłyszała, że najmłodszy brat wrócił do Yongjingu, od razu wsiadła do auta i ruszyła w drogę; jechała z nadmierną prędkością, fotoradary zrobiły jej mnóstwo zdjęć, potrafiła już sobie wyobrazić wyraz twarzy męża na widok mandatów. Ta twarz, którą codziennie pokazywano w telewizji, zawsze była upudrowana – na widok mandatu nie będzie mógł zmarszczyć brwi, zachowa oblicze gładkie bez ani jednej zmarszczki, zmianę będzie można dostrzec tylko w lodowatych oczach, gałki oczne pojaśnieją, zajdą delikatną mgłą, kąciaki oczu nieznacznie się rozszerzą, nawet nie mrugnie, w źrenicach błysnie surowy lodowiec.

Dociskała pedał gazu. Skoro już ma się zderzyć z lodowcem, to może się równie dobrze zderzyć na autostradzie.

Braciszku, a jednak wróciłeś.

Napisał do wszystkich sióstr, żeby pod żadnym pozorem nie odwiedzały go w więzieniu.

Ale Shuqing i tak się do niego wybrała.

Mąż z zespołem redakcyjnym leciał do Berlina zrobić reportaż, błagała, żeby ją zabrał ze sobą, ale on się nie zgadzał.

– Wiem, że chcesz go odwiedzić w więzieniu, a ja nie mogę pozwolić, by się ludzie dowiedzieli, że mój szwagier to przestępca. Rusz głową, co napiszą ci wszyscy dziennikarze, którzy chcą mnie zaatakować? Całe



szczęście, że te książki, które twój brat napisał, to nie są bestsellery, dobrze, że nie jest sławny i że media nie drażyły sprawy, więc nie zrobił się z tego jakiś wielki news, w innym przypadku, gdyby ktoś zaczął drażnić, doszedłby w końcu do ciebie, a potem, co gorsza, do mnie.

– Jak mnie nie zabierzesz, to sama pojedę. Zastanów się, co będzie większym newsem, jak pojedziemy razem, czy jak pojedę sama?

Przed wyjazdem skontaktowała się z adwokatem brata. W więzieniu, gdzie brat odsiadywał wyrok, na odwiedziny pozwalano co dwa tygodnie, trzeba było się wcześniej umówić. Ustaliła datę i poszła razem z adwokatem na dwugodzinne widzenie. Początkowo mąż też chciał się z nią wybrać, ale wycofał się w ostatniej chwili z obawy, że mogą mu zrobić zdjęcie, jak wchodzi do więzienia albo gdy będzie wychodził – postanowił zorganizować wywiad z jakimś politykiem. Adwokat przekazał, żeby nie zapomniała wziąć paszportu, ale portfela, kart kredytowych, gotówki, kluczy, komórki ani żadnych urządzeń służących do komunikacji nie wolno wносить na teren więzienia, osoba odwiedzająca musi je zdeponować w specjalnej zamykanej szafce.

Shuqing wyszła z hotelu, długo szukała taksówki, a na miejsce dotarła w piętnaście minut. Zdziwiła się, że więzienie było usytuowane tak blisko okazałego centrum miasta, myślała, że zakłady karne buduje się z dala od ludzi, ale to więzienie stało tuż obok zwyczajnej dzielnicy mieszkalnej. Do Berlina właśnie zawitała jesień, promienie słońca padały na żółknące listowie drzew, rzucając złotawy blask. Opadłe na ziemię liście wirowały na wietrze, szeleszcząc. O ustalonej godzinie stawiała się przy oznakowanej zachodniej bramie więzienia, adwokat już tam na nią czekał. Nosił zwyczajne niemieckie imię, a cerę miał ciemną, południowoazjatycką, płynnie mówił po angielsku, szybko się przedstawił i wyjaśnił, jak będą przebiegać odwiedziny. Dojrzał znak zapytania w jej oczach i sam z siebie

powiedział, że jest sierotą, którego adoptowało niemieckie małżeństwo, pochodzi z Wietnamu.

Shuqing wzięła ze sobą tylko małą torebkę, szafki znajdowały się przed wejściem do więzienia, wyciągnął z kieszeni monetę i włożył jej torebkę do skrytki, którą potem zamknął. Naprawdę niczego nie można wnieść, pomyślała sobie wtedy, człowiek jeszcze dobrze nie wszedł, a już musi zdeponować swoje rzeczy. Przygotowała czerwoną kopertę pełną euro, ale nie miała jak przekazać jej bratu.

Adwokat powiedział jej, że brat kilka razy próbował się zabić, ale dzięki poradom psychologa polepszyło mu się. W pierwszej chwili odmawiał widzenia z siostrą, Szekspir sprawił jednak, że brat zmienił zdanie.

– Szekspir?

– Niech go pani spyta.

Adwokat nacisnął dzwonek, weszli. Po sprawdzeniu dokumentów zamienili jej paszport na kartę gościa, policjantka zabrała ją do małego pomieszczenia i dokładnie obszukała, nawet wkładki w butach podnosiła, żeby się upewnić, że nie próbowała wnieść przedmiotów niedozwolonych. Po minięciu licznych drzwi i wielu surowych strażników dotarła do sali widzeń, gdzie czekała na brata. Adwokat powiedział, że poczeka za drzwiami i że może go zawołać, jeśli będzie go potrzebowała. Sala widzeń była biała i jasna: białe ściany, biały stół, białe krzesła, biała lampa, panował w niej chłód jeszcze większy niż na dworze, ciepłe pomarańczowożółte barwy jesieni zostały za oknem.

Schudł.

Ostrzyżony na jeża, zapadłe policzki, cera blada i sucha, skóra mu się łuszczyła na czole.

Jak tylko go zobaczyła, chciała sięgnąć po torebkę, ale wtedy przypomniała sobie, że zostawiła rzeczy w szafce. Miała w torebce krem do twarzy, który zawsze z sobą nosiła, brat miał tak bardzo suchą skórę, że aż mu się łuszczyła. Delikatnie usunęła dłonią złuszczony naskórek z jego czoła, dotknęła warg.

– Czemu nawet usta masz takie suche? Jak wrócę, wyślę ci balsam do ust. Wiem, którą markę lubisz, sam mi ją pokazałeś, do tej pory używam, mam w torebce, ale nie pozwolili mi niczego wnosić.

Nie odpowiedział, uśmiechnął się delikatnie, zaciskając usta.

Powietrze w sali widzeń było suche, jej słowa odbiły się od białych ścian, wywołując senne echo, którym rozbrzmiewało całe pomieszczenie. Brat poczekał, aż Shuqing skończy mówić i wolnym ruchem dłoni otrze mu z twarzy białe drobiny uschniętego naskórka.

– Tak długo się nie widzieliśmy – powiedział w końcu – a ty pierwsze, o czym mówisz, to balsam do ust, no wiesz.

Shuqing również się uśmiechnęła. Poprzednim razem widziała się z bratem, jak umarł ojciec, brat wrócił na Tajwan, żeby wziąć udział w pogrzebie, a matka go przegoniła.

– Wy, Niemcy, to jesteście niemożliwi, niczego nie można wnieść, a ja nawet myślałam, żeby ci przynieść mała guo<sup>75</sup>.

– Mała guo. Jak ja dawno nie jadłem mała guo.

– Nie martw się. Pytałam adwokata, niedużo ci już zostało do odsiadki, niedługo wyjdiesz. Pójdziemy razem zjeść, ja stawiam.

– Twój mąż czeka na zewnątrz?

– Mąż... mąż ma dzisiaj wywiad. Było lepiej, żeby nie przychodził. Sama przyjechałam prosto z hotelu. Jak chciałam złapać taksówkę, to się okazało, że prawie żadnej nie było na ulicy, no chyba że jestem niemota. Szłam więc tak przed siebie, nie wiedząc, w którą stronę iść, myślałam, że

z uwagi na mój charakter będę mocno zdenerwowana, jeśli się zgubię, ale nie wiedzieć czemu, gdy tak sobie szłam i szłam, poczułam odprężenie, dokładnie tak, jak to opisałeś w esejach o Berlinie.

Myślała, że może tak iść bez końca, nie wracać do hotelu, nie wracać do tego mieszkania nad jeziorem w Tajpej.

– Nie denerwowałaś się, jak tu wchodziłaś?

– Po cholere się miałam denerwować, to ciebie posadzili, nie mnie.

Zaśmiał się i przeciągnął leniwie. Potok słów rozmoczył nieco tę groble między nimi, Shuqing poczuła odprężenie.

Powiedział, że ma się nieźle. Odkąd lekarz przepisał mu leki, apetyt się poprawił, a podłe więzienne jedzenie zaczęło smakować. Nie ma za bardzo ochoty, żeby się ruszać, woli leżeć w celi. Celi są jednoosobowe, nie trzeba jej z nikim dzielić, ma dużo czasu na czytanie, pisanie, spanie i myślenie o różnych sprawach. Powiedział, że w zakładzie jest biblioteka, można wypożyczać książki, oczywiście wszystkie po niemiecku, ale pilnie uczy się tego języka. Jak ostatnio rozmawiał z psychologiem, wszystko umiał wyrazić po niemiecku. Niemieckie książki czyta powoli, wertując słownik, ma przecież dużo czasu. Na wolności, o dziwo, nie chciało mu się uczyć niemieckiego. Mieszkał w Niemczech, a czemu się nie uczył?

– Chodzę na próby. *Hamlet* Szekspira.

Pracownicy berlińskiego teatru podjęli współpracę z zakładem karnym, wybrali kilku więźniów, żeby wystawić *Hamleta* w więzieniu dla widzów z zewnątrz. Ludzie będą mogli przyjść i obejrzeć spektakl.

– Kogo grasz? Ducha?

– Odwal się, nikt nie gra ducha. Reżyser postanowił, że *Hamleta* zagra pięciu aktorów, ja jestem jednym z nich. Całymi dniami wkuwam monologi *Hamleta* po niemiecku, to mnie wykończy, trudne jak diabli. Słuchaj, powiem ci coś, jak poszedłem na próbę, to się dopiero przekonałem, że ja to

jestem pikuś. Ten, co się wciela w Ofelię, zabił trzy osoby, inny Hamlet zabił pięć. Ja tylko jednego.

– Chyba nie mówisz poważnie...

Spojrzał na biały sufit. Shuqing nie widziała jeszcze tak żalosego wyrazu twarzy. W oczach brata pojawiło się morze, z niemałym wysiłkiem udało mu się zatrzymać morskie wody w oczodołach.

– Kiedy premiera? Zjawię się. Zabiorę najstarszą siostrę i drugą siostrę też wezmę. Zapłacę im za bilet na samolot.

– Nie ma sensu. Będę mówił monologi po niemiecku. Jak zobaczę was na widowni, to nie wytrzymam i się rozpłacę. Nie będę mógł grać. Muszę jeszcze zatańczyć i zaśpiewać piosenkę. Lepiej, żeby was tam nie było.

– Aleś ty głupi, możemy siedzieć w ostatnich rzędach, z kapeluszami na głowie i maskami na twarzy, nie będziesz wcale wiedział, kim jesteśmy.

– Wszyscy mają się dobrze?

Tym razem to ona wbiła oczy w sufit.

Powiedzieć prawdę? Piąta córka Chenów była niechcianym dzieckiem, więc czy w tym życiu miała szansę „mieć się dobrze”?

Powiedział jej, że w bibliotece więziennej jest globus, na którym nie ma Tajwanu. Widziałaś śmieci pod oknami celi, jak wchodziłaś? Więźniowie wyrzucają je przez okno, ktoś je potem sprząta trzy razy dziennie, ale zawsze jest syf. Pewnego razu wyjrzał i zobaczył, że leży tam atlas. Proszę nie wyrzucać tego atlasu, powiedział do osoby, która sprzątała, czy mógłbym go sobie wziąć? Ale ten ktoś nie zważał na jego prośby i wrzucił atlas do śmietnika. Chciał tylko zobaczyć, czy w tym atlasie był Tajwan. A jeśli był, to czy dałoby się tam znaleźć Yongjing?

– Dam znać adwokatowi – powiedziała bratu na pożegnanie – żeby mnie poinformował, jak tylko będą jakieś wieści. Kiedy będziesz wychodził, to przyjadę z najstarszą i z drugą siostrą, będziemy czekać na

ciebie przy bramie. A potem pojedziemy na wycieczkę. Nie były nigdy w Europie, pojedziemy na wycieczkę. Poszukam, gdzie w Berlinie mają mała guo, i zabiorę cię tam już pierwszego dnia, będzie śmiertelnie ostre.

Chciała go objąć, ale pogłaskała go tylko po twarzy. Kiedy był niemowlęciem, nosiła go na rękach i tuliła do siebie, a teraz nie mogła nawet wyciągnąć ramion. Może bała się, że jeśli go obejmie, to wtedy coś, czego tak usilnie pilnują, zostanie między nimi zgniecione i rozsypie się w drobny mak.

Wszedł adwokat, mówiąc, że czas widzenia minął. Objął jej brata i pocałował w policzek.

Po wyjściu powiedział, że przyjechał autem i może ją podwieźć. Pokręciła głową, chciała się przejść. Adwokat rozłożył ramiona, jeszcze raz pokręciła głową, robiąc krok w tył. *No, no, no, thank you, goodbye.*

Spojrzała na zegarek, było jeszcze wczesnie, mąż wróci do hotelu dopiero wieczorem. Ma resztę dnia wyłącznie dla siebie.

Idąc ulicą, zobaczyła park, postanowiła, że wejdzie i usiądzie. Na ławce siedział jakiś tata, czytając książkę, podczas gdy dwójka jego dzieci tarzała się w liściach albo huśtała na huśtawce, ich śmiech przypominał odgłosy metalowych dzwonek.

W ciągu kilku lat po ślubie dokonała dwóch aborcji, mąż zawsze jej wtedy towarzyszył.

– Czemu płaczesz? – mówił. – Przecież ustaliliśmy przed ślubem, że będziemy szczęśliwi tylko we dwoje. Popatrz na swoją rodzinę, dzieci co niemiara i jaki tego efekt?

Jej mąż był kolegą Lekkoducha ze studiów, byli w tej samej grupie, miał bliskie związki z rodziną Wangów. Kilka lat po śmierci Lekkoducha mąż często przyjeżdżał do Yongjingu, żeby przeprowadzać wywiady, zatrzymywał się wtedy w domu obok, u Wangów. Mówił, że pisze biografię

Lekkoducha. Wtedy rodzina Wangów wybudowała już w Chinach dużą fabrykę, ojciec też wiele zainwestował. Najstarszy syn Wanga mówił, że chce się ożenić z piątą siostrą, że chce zbudować dla niej okazałą willę. Mąż ściągnął z Tajpej kilku znajomych architektów i tak powstał projekt Białego Domu. Biografia Lekkoducha doskonale się sprzedawała, mąż stał się poczytnym autorem, zaproszenia i kontrakty zaczęły pukać do drzwi.

– Początkowo pociągała mnie twoja piąta siostra – powiedział jej pewnego razu wiele lat po ślubie. – Taka twarz, taka figura, kto by jej nie chciał. Ale już ją sobie syn Wangów upatrzył, pomyślałem wtedy, że ty też jesteś całkiem niezła, masz wykształcenie jak ja, jesteśmy w podobnym wieku, wyglądasz nie najgorzej, trochę cię podrasować i będzie okej. Okazało się, że dobrze zrobiłem, twoja piąta siostra była taka impulsywna, że strach. Dobrze, że wybrałem ciebie, jesteś żoną prezentera, *perfect*.

Wyszła z parku i zamówiła taksówkę przez aplikację w telefonie. W polu „cel podróży” wpisała adres tego berlińskiego apartamentowca, gdzie brat mieszkał kiedyś z T. Wsiadła z samochodu i stanęła u drzwi budynku, czytając listę mieszkańców na domofonie. Pod którym numerem mieszkał kiedyś brat? Na którym piętrze? Usiadła na schodach przed wejściem do budynku, wyjęła z torebki balsam do ust. Smarując sobie wargi, poczuła nagle słodką woń. Ano tak, przecież mówił, że w pobliżu jest fabryka cukierków. Zamknęła oczy i oddychała głęboko – miód, jej ulubiony zapach miodu. Czowała, jakby ktoś polewał jej głowę miodem, lepka maź spływała po całym ciele. Jak się teraz wytarza w opadłych liściach, oblepi ją berlińska jesień. Kierując się zapachem, poszła szukać fabryki cukierków, krążyła po okolicznych uliczkach, aż w końcu znalazła. Zadzwoił do niej mąż.

– Jestem już w hotelu, a ty jeszcze nie wróciłaś. Zgubiłaś się czy co? Albo tak dobrze ci w tym więzieniu, że nie chcesz wychodzić?

To był naprawdę piękny dzień. Kiedy mąż bił ją w ich tajpejskim mieszkaniu, wracała myślami do tego berlińskiego dnia. Do chodzenia po liściach, do zapachu miodu, do szukania cukierków. Była całkiem sama, nie poznawała się; nie czuła lęku, że może się zgubić, nie chciała wracać.

Limuzyna wjechała do Yongjingu. Nie była tu od wielu lat, na ulicach wyrosło niemało wielkich sieciowych supermarketów, sklepików całodobowych i kilka nowych budynków mieszkalnych. Nagle jej oczom ukazał się Biały Dom. Jego biel błyszczała w mrokach nocy, zdawał się większy, niż go zapamiętała. Przetarła oczy, naprawdę nie pamiętała, że Biały Dom jest taki duży? Albo uparcie go sobie w pamięci pomniejszała?

Stała przed bramą, wyłączyła silnik. W powietrzu czuć było zapach mąki, sosu sezamowego i pieprzu. Była głodna, ostatnio namiętnie się odchudza, dziś niczego nie jadła. Czy to z tej Makaroniarni Przybysza dochodzi ten zapach? Ten właściciel z Syczuanu jeszcze prowadzi swój biznes? Bardzo lubiła kiedyś gęstą zupę z makaronem u Syczuańczyka, doprawioną specjalną ostrą papryką – paliła w język, w głowie przez cały dzień czuło się pikantny posmak.

– Chen Sujie! – wydarła się w stronę Białego Domu. – Wyłaż mi tu w tej chwili! Wróciłam, wyłaż!

Obok podjechało białe porsche. Zza kierownicy wysiadł najstarszy syn Wanga i podszedł do niej.

– Całą drogę wydawało mi się, że ten samochód wygląda znajomo, bardzo podobny do samochodu mojego szwagra prezentera, no i nie myliłem się. Co za spotkanie, właśnie wracam z Tajpej. Wróciłaś złożyć ofiary z okazji Święta Duchów? A gdzie mąż? Wejdiesz na chwilę?



---

75 Potrawa ta zwana jest również mala huoguo albo w skrócie huoguo. Składają się na nią gorąca ostro doprawiona zupa (czasem dwie: jedna ostra, druga łagodna) stojąca na środku stołu oraz surowe produkty (mięso, warzywa, tofu itp.), które jedzący wkładają do wywaru, żeby je zagotować lub zaparzyć.

## KOLUMNY W STYLU JOŃSKIM

Sujie miała wrażenie, że ktoś woła jej imię.

Niemożliwe. Okna szczelnie zamknięte, zasłony grube i ciężkie, żaden dźwięk się nie przemknie.

Braciszek? Najstarsza siostra mówiła, że wrócił.

Od wielu dni się nie myła, na pewno musiała cuchnąć, braciszek wrócił. Najpierw się umyję, a dopiero potem zdecyduję, czy wychodzić.

Wychodzić?

Przecież nie wychodziła z domu od pogrzebu piątej siostry.

Wydawało jej się najpierw, że zwyciężyła, bo przecież to ona została panną młodą, a nie piąta siostra. I to ona miała odgrywać główną rolę na tym weselu. Ale piąta siostra wykazała się niesamowitym sprytem, swoim pogrzebem przyćmiła to huczne wesele.

Biały Dom ukończono latem, budynek z zewnątrz wymalowano w całości na biało, greckie kolumny, frontony, barokowe zdobienia dachu, malowane złotą farbą metopy. Ogrodzenie stało na śnieżnobiałej podmurówce. Złociste arabeski w kształcie chryzantem. Główna brama była cała złota, w słoneczne dni raziała w oczy swoim blaskiem. W ogrodzie stała imitacja Pałacu Wersalskiego, rzeźba Apollina będąca fontanną, były tam również krzyżujące się kanały, w których pływały tłuste karpie. Sujie pamięta, jak na weselu mąż bez przerwy mówił gościom, kolumny w stylu jońskim, kolumny w stylu jońskim, non stop powtarzał, aż się zmieniły

w kolumny w stylu ojskim, kolumny w stylu ojoj, a wszystko jedno, kolumny to kolumny, przecież to i tak import z Europy, na Tajwanie nikt czegoś takiego wcześniej nie widział.

Na tyłach Białego Domu powstało małe zoo, w klatkach trzymano barwne tropikalne ptaki, które bez przerwy pokrzykiwały skrzeczącym głosem. Była tam jeszcze sadzawka, a w niej wielki hipopotam, który otwierał szeroko paszczę, jakby ziewał. Czasem uderzał z impetem w ogrodzenie, aż dudniło.

W dzień wesela po raz pierwszy udostępniono posiadłość gościom z zewnątrz, fale mieszkańców małej wioski, z których nikt nie widział jeszcze tak ogromnej budowli w europejskim stylu, załazy Białą Dom. Pracę kuchni osobiście nadzorował najślawniejszy w środkowym Tajwanie specjalista od bankietów otwartych, w ogrodzie ustawiono pięćset stołów, nie było przy nich wolnych miejsc, a jeszcze na ostatnią chwilę dostawiono kolejne; kiedy w ogrodzie zabrakło już miejsca, stoły ustawiano na leżącym obok polu uprawnym. Liczba czerwonych kopert przekroczyła wszelkie oczekiwania, gotówkę wkładano do wielkich worków na ryż, zebrano dziesięć pełnych worów gratulacji od znamienitych gości. Na weselu najstarszego syna rodziny Wangów zjawili się z gratulacjami politycy, mafia, gwiazdy, po prostu wszyscy. W tej małej wiosce nigdy wcześniej nie pojawiło się tyle czarnych niemieckich limuzyn, aż się korek zrobił. Tu nigdy nie było korków, a nagle każda uliczka i zaułek zapchane były importowanymi samochodami, okoliczni mieszkańcy nigdy jeszcze takiego tłoku nie wiedzieli.

Najstarszy syn Wanga wyjechał z Białego Domu w kolumnie liczącej dziesięć nowych czarnych niemieckich limuzyn, kierując się do domu Chenów, aby odebrać pannę młodą. Uklęknął wraz z Sujie przed jej rodzicami. Obecne były trzy starsze siostry i dwaj bracia panny młodej, nie

było jednak najmłodszej piątej siostry. Panna młoda dziękowała rodzicom na klęczkach, bijąc czołem o ziemię. Po oddaniu pokłonu Sujie myślała, że się rozpłacze, ale oczy miała suche i mimowolnie uniosła kąciki ust. Wygrała, pokonała piątą siostrę, teraz to ona zostanie panią Białego Domu.

Do koszyka na drogę wybrano dorodnego koguta<sup>76</sup> o imponujących piórach i wysokim grzebieniu. Fajerwerki wykonano na specjalne zamówienie, sznur petard ciągnął się na kilometr, pan młody osobiście je podpalił, huk rozpoczął się od Białego Domu, minął Świątynię Mazu pod Murami Miasta, stragany, gdzie sprzedawano kotlety z kurczaka, inną świątynię Mazu, pola chryzantem, pływalnię, jakby miał się nigdy nie skończyć i biec tak aż do rzeki Zhuoshui, a może nawet do samej Cieśniny Tajwańskiej. Panna młoda wsiadła do limuzyny. Składany wachlarz, jaki upuściła, wychodząc z domu, sprowadzono z Hiszpanii, ręcznie szyty, haftowany, obszywany koronkami. Kiedy rozłożony wachlarz upadł u progu domostwa Chenów, cała rodzina usłyszała melodię flamenco. Suknia panny młodej pochodziła od amerykańskiego projektanta, japoński specjalista przyszył perły na piersi, tren sukni miał trzy metry. Chociaż rejon ten słynął z uprawy kwiatów, pan młody uparł się, że kwiaty na wesele muszą być importowane z Europy, bukiet sprowadzono z Holandii: urocze, dorodne tulipany. Dzieci witające pannę młodą niosły przed sobą glazurowane włoskie tacki pełne importowanych z Japonii jabłek Fuji. Panna młoda wkroczyła do Białego Domu, przechodząc przez ogień rozpalony w palenisku pochodzącym z pracowni ceramicznej w mieście Shuili w powiecie Nantou, a płytki, po których stąpała, importowano z Toskanii. W sypialni nowożeńców zainstalowano jacuzzi, kafelki były portugalskie, uszczelniane okna importowano z Niemiec, z Francji przybyło łóżko wodne.

– W łóżku jest woda – mówił pan młody – ale to nie jest nasza kranówka, to woda z alpejskiego źródła w Szwajcarii.

Drzwi główne do Białego Domu otwarte były na oścież, każdy mógł zobaczyć, jaki panował tam przepych. Żyrandol z kryształu górskiego przetransportowany z Francji drogą lotniczą zwieszał się z sufitu niemal po samą posadzkę, lśniąc tysiącem barw. Meblom z czerwonego cyprysu tajwańskiego towarzyszyły najwytworniejsze włoskie sofy, dywany sprowadzono z Bliskiego Wschodu<sup>77</sup>. Na środku salonu stał wielki, czarny fortepian Steinwaya, na którym ktoś grał Schuberta. Pianista ubrany był w garnitur ze skóry pytona. Kiedy podniósł głowę, wszyscy go rozpoznali: to właściciel wypożyczalni kaset, rzeźnik węży.

Uczta weselna rozpoczęła się o pomyślnej porze, wzniesiono toast. Czerwone wino przywieziono z Francji, białe z Kalifornii, a maotai z Chin. Państwo młodzi przebrali się do wzniesienia toastu, pan młody założył czerwony garnitur z ałasu, a panna młoda czerwoną cekinową suknię z dekoltem. Wszyscy usłyszeli, że za tydzień nowożeńcy wyjeżdżają na miesiąc miodowy do Paryża.

Wangom naprawdę udało się podbić Chiny – sprzedając tam swoje ciastka ledwie od kilku lat, zbudowali u siebie w wiosce taki zdumiewający Biały Dom. Najstarszy syn Wanga chwycił mikrofon.

– W przyszłości rodzina Wangów zarobi jeszcze więcej renminbi<sup>78</sup>, które zainwestuje w naszej wiosce, zbudujemy najwyższy budynek na świecie, zgadzacie się?

Yongjing tonął w radosnych okrzykach aplauzu, w ogrodzie za Białym Domem karpie w krzyżujących się kanałach skakały nad taflą wody, wystrzeliły korki francuskich szampanów.

Nikt nie zauważył, że przy stole rodziny Chenów panowały cisza i spokój.

W połowie bankietu na powierzchni krzyżujących się kanałów pływało już całe mnóstwo plastikowych kubków i butelek po alkoholu, wielu okolicznych mieszkańców zaczęło zbierać do reklamówek potrawy ze stołów i wynosić torby pełne francuskiego wina.

Pojawiła się piąta siostra. Ubrana była w białą koronkową sukienkę, z uśmiechem na ustach weszła do Białego Domu, znalazła stół Chenów i usiadła obok najmłodszego brata. Jedzenie na tym stole było niemal nietknięte.

– Braciszku – odezwała się piąta siostra, jak tylko usiadła – tak lubisz jeść, czemu masz pustą miseczkę? Czemu żadnej potrawy nie ubyło?

A-Chan podniosła się, chciała wyprowadzić piątą córkę. Ale córka wyrwała się matce, wróciła na miejsce, złapała pałeczki i zaczęła jeść. Pan młody wygłaszał mowę na scenie, śpiewacy śpiewali, tancerze tańczyli, piąta siostra klaskała, śpiewając do wtóru.

– Czym się przejmujecie? Nic mi nie jest.

Sujie z daleka zobaczyła piątą siostrę z rodziną przy stole, śmiejącą się i zajadającą mięso i zupę, chwyciła dłonią suknię ślubną, z całej siły zacisnęła pięść.

– Niech żyje panna młoda!

Ktoś podał jej czerwone wino<sup>79</sup>, puściła sukienkę, dłoń miała pełną drobniutkich czerwonych cekinów. Zerwane czerwone cekiny mieniły się w blasku słońca, wyglądały jak krew.

Zmrok jeszcze nie zapadł, kiedy mistrz feng shui powiadomił Wangów, że nadeszła pomyślna godzina, czas na sztuczne ognie. Słońce nadal grzało niemilosiernie, szef kuchni przygotował deser. Fajerwerki pohukiwały na jasnym niebie, nie było widać żadnych kolorów, na dach Białego Domu spadło trochę szarawego popiołu. Część fajerwerków ustawiono przy pobliskich drzewach. Po odpaleniu wystrzeliły w niebo, gdzie potem

wybuchały, budząc śpiące na drzewach nietoperze. Zerwał się wiatr, niosąc popiół ku stołom biesiadnym, słodka zupa z tangyuanami<sup>80</sup> nabrała posmaku prochu strzelniczego. Popiół był coraz gęstszy, przypominał wodospad wolno opadający z przestworzy. Nietoperze przebiły się przez popiół i pofrunęły w cztery strony świata. Pokaz sztucznych ogni trwał dziesięć minut, a kiedy się zakończył, nie było już widać nietoperzy... ani piątej siostry.

Jacuzzi w sypialni, łóżko wodne, fortepian w salonie, sztuczne ognie – piąta siostra marzyła o tym wszystkim.

Tyle lat już minęło, jacuzzi od dawna nie działa. Łóżko wodne pocięła nożyczkami dawno temu, alpejska woda zalała pokój, spłynęła po schodach Białego Domu, wsiąknęła w dywan z Bliskiego Wschodu.

Sujie naląła gorącej wody i nie ściągając ubrania, położyła się w wannie. Trzeba się trochę odświeżyć, braciszek wrócił.

Jak zwykle nie zapaliła świateł.

Gdyby zapaliła, na pewno wpatrywałaby się we własne dłonie. Kiedy się uważnie przyjrzała, to czerwone cekiny z sukni ślubnej, którą owego dnia z całej siły chwyciła, utkwily w jej dłoniach i powoli wydostawały się na zewnątrz.

---

<sup>76</sup> Tradycja nakazuje, aby panna młoda, wychodząc z domu, brała ze sobą kurę i koguta w koszyku, których nogi związane są czerwoną wstążką o długości 9 chi (1 chi to 1/3 metra), gdyż „dziewięć” (九) brzmi tak samo jak „długo” (久), czyli *jiǔ*. Obecnie używa się do tego celu kur zabawek.

<sup>77</sup> Tak, Chińczycy nazywają ten rejon świata wschodem (środkowym wschodem, mówiąc dokładniej), choć to dla nich zachód.

<sup>78</sup> Dosłownie: „waluta ludowa”, oficjalna nazwa waluty ChRL-u.

<sup>79</sup> Zwyczajem na chińskich biesiadach, nie tylko weselnych, jest picie w parach: jedna osoba podchodzi do drugiej, wręczając lub napełniając jej kieliszek, po czym razem piją do dna.

<sup>80</sup> Tangyuan to kulki ryżowe w syropie lub delikatnym bulionie, nadziewane sezamem lub pastą z fasoli.

## ZNAJDZIEMY JESZCZE WIĘCEJ PORZUCONYCH RĘKAWICZEK

Łódeczka wszedł do kuchni, postawił na piecu garnek z wieprzowymi nóżkami, żeby je podgrzać, a potem wziął się do mī-suànn. Makaron szybko się zagotował. Wyjął go i włożył do zimnej wody z kostkami lodu. Nalał zupę do miseczki, umieścił w niej nóżki i wrzucił schłodzony mī-suànn, po czym postawił przed Chen Tianhongiem.

Shumei, Tianhong, Łódeczka trzymali każde swoją miseczkę mī-suànnu z nóżkami wieprzowymi, nóżki były brązowe i lśniące, zupa gęsta. Mimo że była to pora kolacji, Tianhong nie czuł wcale głodu, było za gorąco, po plecach spływały mu strugi potu. Zmusił się do przełknięcia dwóch kęsów. Śliski mī-suànn, tłuste wieprzowe nóżki, danie było naprawdę smaczne, ale gorący makaron w gardle palił jak rozżarzone węgle. Między trojgiem narastała cisza, każdemu wydawało się, że chce albo musi coś powiedzieć, ale nikt się nie odzywał. Cisza i wysoka temperatura ścisnęły im gardła, dusili się wszyscy troje. Shumei i Łódeczka, sapiąc, wciągali makaron, Tianhong stukał pałeczkami w porcelanową miseczkę, żeby tylko jakiś dźwięk przerywał panującą ciszę.

Shumei naprawdę chciała się odezwać. Czemu tak schudłeś? Zjedz coś. Pójdę zabić kurę, zrobię potrawkę z kurczaka. Wziąłeś ledwie jeden kęs. Dwa kęsy. Zupy się chociaż napij. Ludzie po wyjściu z więzienia mają przecież ochotę na mī-suànn z nóżkami wieprzowymi. Ale nie wiem,



czemu ja mam ochotę na mī-suànn. Druga siostra zaraz tu będzie. Trzecia też zaraz przyjedzie. Pamiętasz? Jak byłeś mały, karmiłyśmy cię mlekiem. Aj, ale ja głupia, jak mógłbyś to pamiętać? Ale ja pamiętam. Mama powiedziała, że będzie się zajmować wyłącznie pierwszym bratem, więc ciebie przekazała nam, siostronom, pod opiekę. Potem wydzierała się na nas, mówiła, że to myśmy cię zepsuły i dlatego nie masz męskich cech.

Tianhong spuścił wzrok, patrząc na szczelinę w lastrykowej posadzce, zdawało mu się, że ta szczelina żyje, rozszerza się i zwęża. Biała farba odpadała ze ścian, pozostałość przypominała trójwymiarowy obraz jakiegoś abstrakcjonisty. Na stole leżały dary ofiarne na Święto Duchów, było wśród nich wiele opakowań ciastek od Wangów. Zmarszczył brwi, jak to możliwe, że najstarsza siostra kupiła te ciastka dla duchów?

Obok maszyny do szycia leżały stosy różnokolorowych rękawiczek. Tianhong podniósł dwie, lewa była czerwona, prawa czarna, miały różne rozmiary, nie do pary, szwy niewykończone. Najstarsza siostra w końcu wymyśliła, co powiedzieć.

– Ta partia jest na eksport do Europy, może nawet do Niemiec.

Rękawiczki nie do pary, pamiętasz, T.?

Jeżdżąc berlińskim metrem, Tianhong i T. szukali w nim pojedynczych rękawiczek.

Jak tylko w Berlinie zaczęło się nieco ocieplać na wiosnę, T., trzymając jedną ręką jego, a drugą psa, powiedział, że idą szukać *Handschuh*. Sprawdził w słowniku, *Hand*, ręka, *Schuh*, but, rękobut, but noszony na rękę, rękawiczka. Jeździli metrem bez żadnego celu, wsiadali, wysiadali i przesiadali się gdzie popadło. T. wodził wzrokiem po przedziałach w pociągu, po podłodze na stacji, a jak zobaczył rękawiczkę, to cieszył się jak dziecko i natychmiast ją podnosił. Wiele upuszczonych rękawiczek ludzie zdążyli już podeptać, wyglądały tragicznie, T. podnosił je ostrożnie,

traktując jak skarb. Pomagał mu szukać i wtedy zdał sobie sprawę, że znalezienie porzuconej rękawiczki nie było wcale takie trudne. Przez cały dzień zjeździli Berlin wszerz i wzdłuż, zapelniając plecak najrozmaitszymi rękawiczkami: materiały, fasony, kolory – wszystkie były inne.

Po co zbieramy zgubione rękawiczki?

Język zawiódł, zasób angielskich słów, jakim dysponował T., był ograniczony, a on po niemiecku nie mówił wcale, podręczny słownik też na niewiele się zdał, jeśli z długiego potoku słów można zrozumieć tylko kilka, to jakby z zupy warzywnej wyłowić tylko groszek i na podstawie tego groszku domyślić się, jaki smak ma cała zupa. T. gadał jak najęty, gestykulował, widząc jego skonfundowaną twarz, roześmiał się i pocałował go. Nikt go wcześniej nie całował w miejscu publicznym, pod kwitnącym drzewem japońskiej wiśni, pod wypuszczającym pierwsze listki kasztanowcem, na siedzeniu w metrze, na trawie w parku, nad rzeką, na dachu. Kiedy nie było nikogo w pobliżu, śmiali się i całowali.

Wzięli prom i pokonując jezioro Wannsee, dotarli do skromnego Alt-Kladow. Siedząc nad brzegiem jeziora, wypisał widokówkę do trzeciej siostry.

Jestem w Berlinie nad jeziorem Wannsee, wielkim jak morze.

Kiedy ostatnio był w tajpejskim Neihu i siedząc przy oknie wychodzącym na jezioro, pił kawę i rozmawiał, zobaczył, jak białe ptaki wodne w parku Dahu poderwały się do lotu, a srebrny wagon metra przemknął wzdłuż brzegu jeziora. Nagle wrócił mąż trzeciej siostry, zobaczył go, w oczach błysnęły pioruny, nie miał już takiego wyrazu twarzy jak w telewizji. Czym prędzej się pożegnał, siostra popatrzyła wzrokiem pełnym żalu, rozpacz i osamotnienia. Pamięta to spojrzenie: Lekkoduch, wychodząc z wieży ciśnień, Łódeczka, kiedy się z nim żegnał,

piąta siostra, podziwiając pokaz sztucznych ogni na weselu czwartej siostry, każde z nich patrzyło takim wzrokiem.

Z początkiem wiosny stworzenia budzą się do życia, wszystko wokół rozbrzmiewa, zakochani tryskają świeżością. T. zaprowadził go do lasu, mówiąc, że muszą znaleźć *Bärlauch*, czosnek niedźwiedzi. Niedźwiedzi?

Spomiędzy uschłego listowia wyrastało w lesie wiele nowych jasnozielonych listków, czarny pies znalazł sobie wygodne zacienione miejsce i zasnął głęboko. T. zerwał jasnozielony listek z ziemi, potarł dłońmi i podstawił mu czubek palca pod nos. Czuć było słaby zapach szczypiorku. A więc to jest czosnek niedźwiedzi, długa szeroka nać o jasnozielonej barwie. T. wyjął torbę z materiału i zaczął zbierać dziko rosnący czosnek niedźwiedzi. Promienie słońca przedzierały się przez gałęzie drzew, w lesie panowała delikatna mgła, słychać było śpiew ptaków i bzyczenie pszczół, przypomniał mu się sad karambolowy z dzieciństwa. Nagle zrobił się senny, miękkie leśne podłoże przyciągnęło go niczym magnes. Położył się na plecach, zamknął oczy i bardzo szybko zasnął. Dopiero jak T. przygniótł go swoim ciałem, obudziła się jego świadomość, ale ciało wciąż pogrążone było we śnie i nie zamierzało wracać do rzeczywistości. T., żując w ustach nać czosnku niedźwiedziego, pocałował go. Smak naci czosnkowej przeniósł się od T. na jego zęby i język, w ustach wyrósł mu las.

Wrócili razem do małego mieszkania, podgrzali całą kostkę masła, wrzucili drobno pokrojone ząbki zwykłego czosnku i nać czosnku niedźwiedziego, krótko podsmażyli, po czym włączyli masło do naczynia i wystawili za okno, żeby ostygło i stężało. Umytą nać czosnku niedźwiedziego zawinął w szmatkę i związał na supełek, po czym zaczął wywijać w powietrzu, żeby siła odśrodkowa odsączyła wodę. Włożył nać czosnku do blendera, dodał ząbków zwykłego czosnku, oliwy z oliwek,

orzeszków piniowych, soli i pieprzu, po czym wszystko zmiksował, powstała zielona pasta czosnkowa, którą umieścił potem w słoiku. Można nią było smarować chleb, nadawała się do makaronu i do sałatek. Masło szybko stężało na wiosennym chłodzie. T. wyjął czarne pieczywo, posmarował je najpierw masłem z czosnkiem niedźwiedzim, dodał plaster sera, a potem nałożył jeszcze dopiero co przygotowaną pastę, położył jeszcze kilka świeżych naci czosnku niedźwiedziego w całości i na koniec przykrył to wszystko szynką.

Wziął kanapkę od T., ugryzł, łyzy naszły mu do oczu. Jak to możliwe, że chleb jest taki smaczny? Skąd czosnek niedźwiedzi ma taką magiczną, pobudzającą moc? Ugryzł jeszcze raz, poczuł wiosnę w ustach, w przełyku rozkwitały pąki, w żołądku świeciło ciepłe słońce, natychmiast wrócił do tego bezludnego lasu nad brzegiem jeziora. Kim jest ten obcy człowiek naprzeciwko? Ile ma lat? Skąd pochodzi? Gdzie mieszka? Czemu każdego dnia mieszka u mnie? A jego dom? Czemu robi mi kolację? Czemu gra dla mnie na wiolonczeli?

Kilka dni później T. powiedział, że chce go zabrać na otwarcie wystawy w galerii sztuki. Bał się tłumów, bał się obcych ludzi, bał się społeczeństwa, odmówił więc, kręcąc głową. Wyczerpał wszystkie słowa, próbował to jakoś wytłumaczyć, ale im dłużej mówił, tym większy znak zapytania rysował na twarzy T., który w końcu nie wytrzymał i wrzasnął, przewrócił szklanę, spadła na podłogę i rozbiła się. Założył na siebie wszystkie czarne ubrania, wziął czarnego psa, czarną wiolonczelę i wyszedł.

Powrócił do ohydnych kolacji, które sam sobie robił, i do pisanego w ciszy pamiętnika. Już od małego musiał przywyknąć do rozstań, T. był tylko obcą osobą, poza tym niedługo i tak wyjeżdża z Berlina, wraca do Tajpej, nie ma się co przywiązywać.

W środku nocy zadzwonił dzwonek, spał już, nie chciało mu się otwierać. Dzwonek nie przestawał dzwonić, w końcu musiał wstać. Pies zaszczeakał do domofonu.

T. wyciągnął go z domu, zostawiając psa u niego w mieszkaniu. Dzisiaj wieczorem, powiedział T., tylko ty, ze mną. Bez ludzi.

Księżyc, gwiazdy. Całą drogę nie zamienili ze sobą ani słowa, szli metr od siebie, pokonując wiele ciemnych zaułków. Szli długo, bardzo długo, skręcili w uliczkę, na której rosły rzędy japońskich wiśni, drzewa właśnie zakwitwały, cała alejka zasypana była różowymi płatkami, w powietrzu unosiła się delikatna woń. Zapach był ledwie wyczuwalny, na bezludnej berlińskiej ulicy nocą trzeba było wziąć głęboki oddech, żeby go poczuć. Czarne ubrania, które T. miał na sobie, pokryły się różowymi płatkami. T. wyciągnął rękę.

Trzymając się za ręce, dotarli do galerii sztuki, T. otworzył drzwi kluczem, zapalił światło, przyciągnął krzesło, zgasił światło, powiedział, by usiadł.

Na środku galerii widać było małą wydmnę, z sufitu zwieszały się pojedyncze rękawiczki, które razem znaleźli. Ustawił wiolonczelę i zaczął grać. Rękawiczki kołysały się w rytm muzyki, w rękawiczkach ukryte były lampki LED-owe, małe ciężarówki i małe pociągi zaczęły jeździć po wydmie. Kiedy ucichła muzyka wiolonczeli, ustał ruch rękawiczek, pojazdy zatrzymały się, wydma na powrót zamarła.

Zaklaskał z całej siły, a wtedy rękawiczki poruszyły się. Dotknął wydmy, to był miękki drobny piasek. Na wydmie leżały drewniane tory, na które wjeżdżały i z których zjeżdżały małe pojazdy, doskonała stolarka, T. zrobił to wszystko własnoręcznie. Na czubku wydmy znajdował się model okrętu podwodnego. Okręt nie był sterowany dźwiękiem, stał nieruchomo.

To piasek z Ostsee, powiedział T. Ostsee, Morze Wschodnie, Bałtyk.

T. powiedział, że pochodzi z Bałtyku. Kiedyś zabiorę cię ze sobą w rodzinne strony. Tam jest taki okręt podwodny.

Latem znowu poszli do lasu, gdzie rósł czosnek niedźwiedzi. Teraz czosnek wypuścił już białe kwiatki. Policzył, każdy kwiatek miał sześć płatków, patrząc z daleka, można było odnieść wrażenie, że las pokryty jest śniegiem. Kiedy czosnek niedźwiedzi zakwitnie, mówił T., to już nie nadaje się do jedzenia, gorzki jest, nie ma sensu zrywać. Wskoczyli do mieniącego się jak złoto jeziora. W barwach lata włosy T. zdawały się jeszcze jaśniejsze, przybierając kolor słońca. Nie wyjeżdżaj, nie wracaj na Tajwan, mówił T., razem znajdziemy jeszcze więcej porzuconych rękawiczek.

Wiedział już wtedy, że T. nie ma gdzie mieszkać w Berlinie, spał na sofie w mieszkaniu wynajmowanym razem ze znajomymi.

Niedługo będzie musiał opuścić mieszkanie przydzielone mu przez stowarzyszenie literackie, jak zostanie, to gdzie będą mieszkać?

Długo szukali, obejrżeli wiele mieszkań, w końcu na obrzeżach Berlina znaleźli coś taniego na wynajem, daleko od stacji metra, ale blisko fabryki cukierków.

Telefon Shumei zadzwonił.

– Tutaj Shuli, jesteś na dworcu w Yongjingu? Bo ja właśnie...

Shumei spojrzała na brata, a potem na Łódeczkę.

– Wyślę kogoś po ciebie! Poczekaj chwilę. Ktoś cię odbierze autem, zaraz tam będzie! Jadłaś coś? Mamy tutaj mī-suànn z nóżkami wieprzowymi.

Shumei mówiła głośno, nie straciła z wiekiem decybeli. Głos kobiet z domu Chenów był jak dzwon – kiedy płakały, śmiały się, wrzeszczały, opieprzały, śpiewały, słyhać je było w całej wiosce. Wczesnym rankiem, kiedy panowała jeszcze zupełna cisza, słyszał ich głos w berlińskim więzieniu.

Łódeczka otarł sobie ręką tłuszcz na ustach.

– Pojadę po nią. Kupić może po drodze kotlet z kurczaka? Twoja koleżanka ze szkoły je robi. Ta, co tańczyła nago. Widzę, że mī-suànn coś ci nie wchodzi. Głodny jesteś w ogóle?

Koleżanka, która tańczyła nago, robi kotlety z kurczaka?

Dawno już nie jadł kurczaka smażonego na głębokim oleju, w sumie nie był głodny, ale może jak zobaczy, to zje. Pokiwał głową.

Popatrzył, jak Łódeczka odjeżdża pikapem. Było coś, o czym nigdy Łódeczce nie powiedział.

Nauczycielka z gimnazjum zjawiła się u nich w domu i powiedziała, że uwodzi jej syna, dewiant. Pamięta doskonale, jak nauczycielka powiedziała mamie:

– Mój Xiaozhou pójdzie kiedyś na Uniwersytet Tajwański, zostanie lekarzem, a ten wasz dewiant to... krew mnie zalewa. Zabierzcie go ode mnie i sami się nim zajmujcie! Co za licho nadało, że taki pederasta trafił do takiej dobrej klasy. Jeśli to wyjdzie na jaw, to jak mój Xiaozhou sobie potem żonę znajdzie!

Rodzice przyrzekli nauczycielce, że czym prędzej załatwią przeniesienie do innej szkoły i zabronią mu rozmawiać z Łódeczką. Następnego dnia w szkole nie wytrzymał i napisał liścik, który włożył Łódeczce ukradkiem do tornistra, kiedy klasa brała właśnie udział w ceremonii podniesienia flagi.

Zapomniał, że nauczycielka, korzystając z okazji, że wszyscy są na boisku przy podnoszeniu flagi, wracała do klasy, otwierała wszystkim tornistry i sprawdzała, czy ktoś nie przyniósł do szkoły czegoś, czego nie wolno przynosić. Tego dnia znalazła dwa komiksy, kasetę VHS, magazyn filmowy, jedną powieść i jeden liścik.

Po podniesieniu flagi nauczycielka pokazała wszystkie niedozwolone przedmioty, wymierzając karę każdemu, kto je przyniósł, biła ratanowym wskaźnikiem po wewnętrznej stronie dłoni, kazała pisać wypracowanie po angielsku, policzkowała, zionęła ogniem i wylewała żółć. Ale liściku nie pokazała.

Po szkole pojechał rowerem pod drzewo ka-tang i czekał tam na Łódeczkę.

Chciał mu powiedzieć, dziękuję, że nauczyłeś mnie pływać, muszę zmienić szkołę, do zobaczenia.

Zjawiała się nauczycielka.

Przyprowadziła ze sobą dwóch uczniów, złapali go i skopali pod drzewem.

Przycisnęli mu szyję, jego starszy brat Chen Tianyi właśnie przejeżdżał tamtędy na rowerze. Wołał o pomoc, Chen Tianyi natychmiast odwrócił głowę w drugą stronę, nacisnął mocniej na pedały i szybko odjechał.

Policzkowanie, okładanie pięściami, zniewaga. Myślał, że umrze.

Uratowała go koleżanka – ta, co tańczyła nago i chodziła z nim wcześniej do klasy.



## ZASŁUŻONY DLA YONGJINGU

Chcesz bardzo dużo powiedzieć. Twoja najstarsza siostra chce bardzo dużo powiedzieć. Ale śluz w gardle się nie otwiera, słowa nie mogą się wydostać, usypują w myślach wydmę. Masz w myślach wydmę. Twoja najstarsza siostra ma w myślach wzgórze, które zniknęło. Chcesz komuś powiedzieć. Chcesz, żeby ktoś cię wysłuchał. Ale jednocześnie nie chcesz nikomu powiedzieć. To, co leży na sercu, wydaje się nieprawdą. Jeśli powiesz, będzie jakby prawdą. Więc nie mówisz. Milczenie to ucieczka. Chowasz w sercu. Umrzesz. Sekret umrze z tobą.

Za życia prawie się nie odzywałem, bo ja tak samo kryłem w sercu górę. Górę, na którą razem możemy się udać. Szczyt, na który nigdy nie dotrzemy.

Poszedłeś się umyć, masz tyle lat co rury w domach szeregowych, pot spływa po tobie jak rzeka, ale strumień wody w słuchawce prysznicza jest słaby. Czarna pleśń rośnie na kafelkach w łazience, drewniana półka na przybory do mycia rozpadła się. Pamiętasz? Twój starszy brat własnoręcznie ją zrobił.

Założyłeś luźną koszulkę z krótkim rękawem, krótkie spodenki, znalazłeś sobie drewniany stołek i usiadłeś obok najstarszej siostry. Ten stołek to również dzieło twojego starszego brata, tyle lat minęło, a stołek wciąż się trzyma jak nowy, nadal jest gładki i widać słoje. Głośny stukot maszyny do szycia rozegnał ciszę panującą między siostrą a bratem,

w takim hałasie nie warto nawet zaczynać rozmowy. Siostra nie przerywa pracy, siedzisz na stołku i patrzysz, co się dzieje na dworze. Główne wejście do domu stoi szeroko otwarte, noc zaległa nad Yongjingem, zapaliły się lampy uliczne, małe czarne komary pod osłoną czarnej nocy celują prosto w twoje nogi. Kiedy maszyna do szycia zatrzymuje się na chwilę, słychać skrzeczenie, ksz-ksz-ksz-ksz. Ach, od lat nie słyszałeś tego dźwięku, to gekon. Podchodzisz do okna, na moskitierze widzisz jasnobrażowego gekona polującego na komary. Z oddali dolatuje ciepły powiew przynoszący domom szeregowym dym, pył, wilgoć i skwar. Wiatr głaszcze cię po twarzy, jeszcze mokrych włosach, ociera się o uszy, całuje w zarośnięte policzki. Zdaje ci się, że ktoś mówi do ciebie.

Słowa. Skąd dochodzą? Z głowy? Z gardła? Z serca?

Czasem słowa przynosi wiatr.

Twoja mama nie umiała pisać ani czytać, ale wiedziała, jak roznosić słowa na wietrze. Wszędzie rozsiewała plotki. Jak tylko zerwał się wiatr, wypowiedzi szybowwały na wietrze, wpadały ludziom do ust i uszu, powstawała rozmowa długodystansowa przez głuchy telefon.

Kiedy raz na wielkim targowisku wyklócała się ze straganiarzem o cenę wieprzowiny, nieopatrznie zdradziła, że syn Wangów – ten, co właśnie skończył studia i wrócił do domu – jest nienormalny, lubi chłopców.

Kupując szpinak wodny, mamrotała półgębkiem do sprzedawczyni, słyszałam, że ten Lekkoduch od Wangów, no ten, co to taki wykształcony, ten, co uprawia karambole, to świntuch jakich mało, i to w dodatku nie za kobietami lata, podobno chłopców lubi.

Na próbie grupy recytacyjnej w Świątyni Mazu pod Murami Miasta mówiła zgromadzonym, słyszałam, że ten Lekkoduch, ten najmłodszy od Wanga, codziennie chodzi w krótkich czerwonych spodenkach, nawet zimą je zakłada, udaje, że uprawia karambole, a tak naprawdę to tylko zwabia

chłopców z podstawówki do tego swojego sadu karambolowego, żeby ich obmacywać, tylko szsz!, nie mówcie o tym nikomu.

W ubojni nieopodal świątyni rzeźnik właśnie zmywał krew z betonu wodą ze szlauchu. Plusk wody zagłuszał głos twojej mamy, kiedy zdradzała rzeźnikowi tajemnicę, niech pan nikomu nie mówi, ten Wang, w domu nazywają go Lekkoduch. Ano tak, Lekkoduch, czyli ten Pomylenieć. Pomylenieć, panie, w Tajpei wyszła jakaś sprawa, dlatego wrócił do Yongjingu. Ponoć chłopców lubi. Rzeźnik odkręcił wodę do oporu, świńska krew spływała w stronę świątyni oraz pobliskich pól, a razem z krwią ukradkiem spłynęły również te tajemnice.

Ty tworzysz opowieści długopisem albo na klawiaturze, twoja mama używała do tego ust. Ustami formowała historię, smarowała kolorytem, dodawała bohaterów i plotka była gotowa. Im bardziej absurdalna, tym chętniej ludzie w tym upiornym miejscu byli skłonni w nią wierzyć. Wirus plotki przenosił się drogą kropelkową, jedna osoba powiedziała drugiej, druga trzeciej, trzecia komuś obcemu, dowiedziały się o tym drzewa kantang i kanały irygacyjne, usłyszały o tym ryby w stawach oraz krzewy betelu i chryzantemy na plantacjach, w końcu dotarło to nawet do zbłąkanych upiorów. Wiatr się podrywa, zgarnia plotki i dmucha nimi ludziom w uszy.

Ja w tamtych latach prawie się nie odzywałem, więc siłą rzeczy nie roznosiłem plotek. Ale słowa, które A-Chan rozpuściła na wietrze, zdobyły rozgłos w całej wiosce, w końcu trafiły również do moich uszu. Plotka mutuje, powstają wariacje na temat, różne wersje mnożą się jak króliki. W szeptach, jakie roznosił wiatr, Lekkoduch stał się już dewiantem, który wybierał sobie małych chłopców.

Twoja mama bardzo mądrze pominęła twój wątek w stworzonej przez siebie historyjce. Nie mogłeś się pojawić w żadnej wersji opowiadania. Ale

w przekazywanych z ust do ust opowieściach był zawsze jakiś bliżej nieokreślony chłopak. Niewyraźne nakreślenie postaci to taki trik narracyjny, nieostry zarys ofiary pobudza wyobraźnię, rodzi więcej współczucia i gniewu, no i oczywiście strachu.

Być może odziedziczyłeś talent pisarski po mamie. Pamiętasz, jak ujarzmiła strachy? Nad ziarenkami ryżu potrafiła stworzyć opowieść, w której były porywisty wiatr, ulewny deszcz i złowrogie upiory. Ty piszesz opowiadania na papierze, ona tworzyła fale na usypanym ryżu.

Pod koniec życia mieszkałem w świątyni. Jak wydałeś jakąś książkę, twoje siostry zawsze mi ją przynosiły, gdy mnie odwiedzały. Skończyłem ledwie podstawówkę. Powieści, które napisałeś... Myślałem, że... że ich nie zrozumiem. Ale wszystkie... Nie wiem, jak to powiedzieć. Duchom też brakuje czasem słów. Ale wszystkie, słowo po słowie, przeczytałem. Książka po książce. Dla ludzi w terminalnym stadium choroby nowotworowej każdy dzień jest jak odliczanie, ale jednocześnie jak gruba powieść, której nie da się przeczytać do końca, przez którą nie można przebrnąć. Ale przeczytałem. Przeczytałem i nie mogłem zasnąć. Śniły mi się te słowa, te opowieści.

Pamiętasz, jak dostałeś nagrodę literacką? W dodatku literackim do gazety napisali, że dostałeś nagrodę. Wcale mi o tym nie powiedziałeś. Dodatku literackiego zwykle nikt nie czyta w tym upiornym miejscu. Ale pracownik urzędu gminy Yongjing przeczytał, wertując gazety, przeczytał twój biogram: pochodzi z Yongjingu w powiecie Changhua. Sprawdził w systemie i znalazł twój adres zameldowania. Właśnie zbliżały się wybory, ówczesny wójt ubiegał się o kolejną kadencję, nie mógł odpuścić żadnej okazji do podbicia sobie sondaży. Ten urzędnik wyciął informację z gazety i położył na biurku wójta, niech sam zdecyduje, jak to rozegrać. Kiedy głębiej pogrzebał, wyszło na jaw, że jesteś rodzonym bratem poprzedniego

wójta Chena Tianyi, wywodzącego się z partii opozycyjnej. Wygrał wybory dużą przewagą głosów i gdyby nie poszedł siedzieć za łapówki i korupcję, to kto wie, może wciąż byłby wójtem. Jeśliby sobie zrobił zdjęcie z rodzonym bratem poprzedniego wójta, zbudowałby wrażenie jedności nad podziałami, można by to korzystnie rozpropagować, żeby przejąć głosy wyborców opozycji i utrzymać stanowisko. Decyzję podjęto natychmiast, przyszykowano dyplom i tabliczkę pamiątkową, żeby uhonorować wybitnego syna Yongjingu.

Przyszli do ciebie, w domu była akurat twoja najstarsza siostra.

– Przepraszamy, pani Chen, czy mogłaby nam pani powiedzieć, gdzie znajdziemy brata?

Siostra zajęta była pracą przy maszynie.

– Mój brat... dopiero za kilka lat wyjdzie. Mama dzisiaj pojechała go odwiedzić.

– Pani mnie chyba źle zrozumiała. Chodzi mi o pani drugiego brata.

Podniosłem się z ratanowego krzesła i powiedziałem, że jesteś w Tajpej i dawno cię w domu nie było. Urzędnik gminy pokazał mi wycinek z gazety. Gratuluję, dostał nagrodę, niezła suma pieniędzy, w gazecie napisali. Chcieli uhonorować wybitnego syna tej ziemi, mieli nadzieję, że się z tobą skontaktujemy i wrócisz, żeby przyjąć wyróżnienie.

Nie mogliśmy cię namierzyć, poprzedni telefon już nie działał. Nie mieliśmy bladego pojęcia, gdzie mieszkasz. Urzędnik gminy powiedział, no to nie szkodzi, w takim razie pan Chen może przyjąć wyróżnienie w zastępstwie za syna, zrobimy zdjęcie i będzie w porządku. Urzędnik powiedział, że Chen Tianyi bardzo dobrze go traktował, więc teraz ma okazję odwdziaczyć się rodzinie Chenów.

W drzwiach pojawił się wójt, urzędnik wręczył wielką tabliczkę pamiątkową, na której napisano: „Zasłużony dla Yongjingu”, pod nią

widniała kiczowata grafika przedstawiająca orła z rozpostartymi skrzydłami przelatującego nad Wielkim Murem. Wryto tam również imię i nazwisko wójta – większymi znakami niż twoje. Ja oraz twoja najstarsza siostra i ówczesny wójt z tabliczką w ręku stanęliśmy do zdjęcia przed domem, uśmiechając się niezręcznie. Po zdjęciu wójt podał rękę i uklonił się.

– Proszę o głos w tych wyborach! – szepnął mi do ucha.

Kiedy spojrzałem na tabliczkę, zakręciło mi się w głowie. Nie raz byłem na tym Wielkim Murze. Tego roku, kiedy wprowadzono możliwość odwiedzania rodzin po obu stronach cieśniny, poleciliśmy ze starym Wangiem w interesach do Pekinu przez Hongkong. Weszliśmy na Wielki Mur. Tutaj zarobimy kupę forsy, powiedział Wang. Co będziemy sprzedawać? To, czego im brakuje, odrzekł.

Strona goszcząca w Pekinie zorganizowała kilka młodych dziewczyn, żeby towarzyszyły nam w chodzeniu po Murze. Kto nie wejdzie na Wielki Mur, mówił Wang, nie jest prawdziwym mężczyzną<sup>81</sup>, skoro już tu jesteśmy, to trzeba się cieszyć, obejmować, być prawdziwym mężczyzną. Popatrz na te dziewczyny, mówił dalej, jakie chude, słabo wykarmione, na pewno się źle odżywiają. Będziemy sprzedawać żywność, na opakowaniu napiszemy coś po japońsku, nie patrz na to, że są wrogo nastawieni do Japonii, że każą zabijać japońskie bestie, bo tak naprawdę to zazdroszczą Japończykom. Sugerując, że to japoński produkt, na pewno dużo sprzedamy. Obejrzymy hale fabryczne, poszukamy sprzętu, kapitału, mówił Wang, a kiedy już zarobimy kupę kasy, wrócimy do Yongjingu, odrestaurujemy zabytki, postawimy luksusowy wieżowiec. Potem Pekin zmienił się w srebrzystą wieżę ciśnień. Powiedziałem Wangowi, zostawiam ci dziewczyny, zostawiam ci Wielki Mur, niczego nie chcę.

Kiedy twoja mama wróciła tego dnia z więzienia, zobaczyła tabliczkę z napisem „Zasłużony dla Yongjingu”, usiadła na lastrykowej posadce

i zapłakała. Tyle wysiłku, tyle starań, żeby w końcu udało się urodzić dwóch synów, a tu jeden siedzi za kratkami, a po drugim słuch zaginął.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że wyjechałeś do Niemiec.

Jakiś czas później usłyszeliśmy nowinę, powiedziałaś, że „bierzesz ślub”.

Z Niemcem o dziesięć lat starszym.

Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, przechodził właśnie tajfun. Twoja mama wpadła w szal, zniosła tabliczkę z napisem „Zasłużony dla Yongjingu” na dach i powiedziała, niech ją sobie wiatr zabierze.

Zawsze ten wiatr. Czemu ciągle wiatr. Wiatr jest zły, przynosi nieszczęście, rozsiewa plotki, wszystko niszczy.

Pamiętasz film w Świątyni Mazu pod Murami Miasta? Nagle zerwał się wielki wicher i przewrócił ekran. Mama szukała cię wśród ludzi uciekających w popłochu. Siedziałeś wtedy na kolanach Lekko-ducha.

---

[81](#) Popularne powiedzenie chińskie.

## ANI W GÓRACH, ANI NA WIETRZE

Najmłodszy brat siedział na stołku, opierając się o stos rękawiczek, spał.

Nie wyglądało to na zbyt dobrą pozycję, a bardzo szybko zapadł w głęboki sen. Dopiero co się umył, siedział nieruchomo, ale i tak się pocił. Oparty o miękkie rękawiczki oczy miał zamknięte, we śnie był cały mokry, ślizgał się po krętej zjeżdżalni, woda szumiała, przyśpieszał, z dużą prędkością wyślizgiwał się przez otwór na końcu zjeżdżalni i wpadał do głębokiego, przejrzystego morza, spadał, ciągle spadał w bezdenne głębiny.

Nie mógł we śnie odróżnić, czy to Pływalia Wiecznej Pomyślności w Yongjingu, czy Morze Bałtyckie.

Dzieci Chenów, pomyślała Shumei, mogą zasnąć gdzie i kiedy popadnie. Nie pogardzimy żadnym miejscem ani materią: na desce, na betonie, na trawniku, na sofie, na łóżku wodnym, na kafelkach, pod drzewem, na skraju pola, w aucie, na siedząco, na leżąc, na stojąc, w pozycji wyprostowanej czy skulonej, zawsze zaśniemy. Możemy spać, nawet nie mając żadnego schronienia. Matka kiedyś często powtarzała, trzeba się przede wszystkim wyspać, niebo jest ważne i ziemia jest ważna, ale najważniejsze jest, żeby się wyspać.

Shumei przeprowadziła się z mężem z sąsiedniego mieszkania do rodzinnego domu, ogródek orchidei małego Gao przeniósł się razem z nimi. Matka, zanim umarła, najlepiej zasypiała właśnie w ogródku orchidei małego Gao. Po obiedzie narzekała, że maszyna do szycia strasznie



hałasuje, szła więc na podwórze za domem, kładła się na leżaku i chrapaniem rozmawiała z orchideami i drobiem. Matka chrapała jak megafon, trzęsły się jej usta, nos i piersi, wydawała dźwięki podobne do tych, jakie wydostają się z instrumentów dętych blaszanych, robiła więcej hałasu niż ta maszyna do szycia. Kiedy matka chrapała, koguty, które lubiły pisać bez ładu i składu, zamykały dzioby i kładły się w kącie kwiatowego ogródka, kierując nogi ku niebu, i zapadały w letarg. To był najlepszy moment na łapanie kur; Shumei, korzystając z okazji, wiązała im nogi sznurkiem, a jak się kogut obudził, to już był w garnku na rosół.

Kiedy ta góra zniknęła, Shumei i mąż kompletnie zbankrutowali, byli zadłużeni po uszy. Dwoje dzieci już dorosło i opuściło Yongjing, wyjeżdżając do pracy w Chinach. Raz do roku dzieci wracały w odwiedziny. Obok w starym domu zostali tylko rodzice. Ojciec mówił, przeprowadźcie się, w końcu to tylko przez ścianę, twoja mama codziennie chce się ze mną kłócić, ale ja się nie odzywam, więc nie ma się z kim kłócić i źle jej z tym, przeprowadźcie się, zaoszczędzicie na czynszu, będziesz się kłócić z mamą.

Bez konsultacji z żoną jej mąż wziął wszystkie ich oszczędności i do tego jeszcze zaciągnął kredyt w banku, żeby kupić górę w Nantou.

Ona pamięta tę górę. Jechało się długo, bardzo długo samochodem, górską drogą urywała się w bujnym bambusowym lesie, wszędzie rosły wysokie trawy i krzaki, trzeba było zostawić samochód i dalej iść pieszo po wąskiej i krętej górskiej ścieżynie, torując sobie drogę siekierą i nożem. Po dłuższym czasie takiej wędrówki skórę na rękach miała zdartą do krwi przez ostre gałęzie, a nogi poranione niemiłosiernie od pokrzyw. Pokrzywy gryzły chyba tylko ją, mąż śmiał się przez całą drogę, nie było na nim widać śladu krwi, nic go nie bolało.

Kiedy już przebrnęli przez gęsty i wilgotny las, ich oczom ukazała się otwarta przestrzeń i góra, którą kupił mąż. Odmierzał rękami i pokazywał, od tej śliwy aż do tamtej na samym szczycie to wszystko jest nasze. Zbocze porastały krzewy herbaty, niepielęgowane przez człowieka ani nieobrywane, dzikie, zielone i błyszczące. Śliwy dopiero co zakwitły, tłuste pszczoły pracowicie zbierały nektar z białych kwiatków z żółtymi pręcikami. Dotarli do śliwy na szczycie góry, pod drzewem przygotowano już stół i krzesła. Mąż parzył herbatę i kaligrafował, delektując się spokojem. Rozejrzała się, inne wyższe szczyty zasłaniały panoramę, nie widziała odległego miasta, kompletne odludzie. Słychać było cichy szmer strumyka i wiatr buszujący w krzewach herbaty. Dzieci dorosły, powiedział, zbudujmy sobie tutaj dom, będę dalej sadił orchidee, a ty będziesz sobie mogła robić, co zechcesz, przynajmniej twojej matki nie będzie za ścianą. Sami będziemy sadić warzywa, hodować bażanty, parzyć herbatę na źródlanej wodzie, gotować makaron. Wiatr zrywał kwiaty, biały płatek kwiatu śliwy wpadł jej do czarki z herbatą. Patrzyła na małego Gao, marszcząc brwi. Odwrócił się i zaczął kaligrafować. Pod nogami stało małe radyjko, odbiór pozostawiał wiele do życzenia, głos prowadzącego ciągle się urywał.

– Przyszły rok będzie rokiem dwutysięcznym – oznajmił głos z radia. – Zbliża się nowy wiek, jesteście na to gotowi? Jak powitacie nowe stulecie?

Zapomniawszy o pokrzywach, zasnęła pod śliwą. Po przebudzeniu zauważyła, że nie siedzi na krześle, nie jest w Yongjingu, a małego Gao przy niej nie ma. Leżała na trawie na wznak, obróciła się na bok, potem na brzuch. Zwiędłe źdźbła, miękkie błoto, padał drobny deszcz, nie było ani zimno, ani gorąco, wilgotność w sam raz, ziemia pachniała, przyroda wkoło wydawała się zahipnotyzowana.

Spała dalej. Nie chciała się budzić. Chciała tutaj tak spać, nie wstawać, powitać nowe stulecie.

Nowy wiek jeszcze nie nadszedł, budowa domu na szczycie góry jeszcze nie ruszyła, we wrześniu uderzyło wielkie trzęsienie ziemi z epicentrum w Nantou. Tego wieczoru mąż pojechał z towarem na południe, nie było go w domu, ona była na parterze, jeszcze nie spała, dostała do wykonania naglącą partię towaru na eksport, wypła czarną kawę i zasiadła do maszyny. Budynek zaczął gwałtownie drżeć, szybko więc podniosła stalową roletę i wybiegła na zewnątrz, mieszkający obok rodzice również wybiegli, matka darła się wniebogłosy. Drżenie ustało, wszyscy mieszkańcy szeregowców wybiegli z domów na ulicę, ciągle słychać było odgłosy tłuczonego szkła. Matka kazała jej zadzwonić do starszego z braci, który wtedy wyjechał już z Wangami prowadzić biznes w Chinach, ale nie udało się nawiązać połączenia przez ocean. Ledwie odłożyła telefon, kiedy ten znów zadzwonił, to najmłodszy brat.

– U was wszystko w porządku? W Tajpej zatrzęśło jak diabli.

– Też nas tutaj przeraziło. Rodzice są na zewnątrz, nic się nikomu nie stało, nic się nie stało. Wiesz przecież, że mama martwi się tylko o twojego brata.

– Jak nic wam nie jest, to dobrze. Tylko błagam, nie mów, że dzwoniłem.

W tym momencie komórka zamilkła, zniknął zasięg, tego wieczoru nie można już było ani zadzwonić, ani odebrać połączenia.

Mąż czym prędzej wrócił z południa, mówiąc, że musi natychmiast udać się do Nantou. Popędziła więc z nim. Po wjechaniu do Nantou nie dało się ruszyć dalej, droga była przecięta, domy zawalone, krajobraz zniszczony. Mąż chciał za wszelką cenę zobaczyć kupioną niedawno górę, powiedział żonie, żeby wzięła auto i wróciła do Yongjingu.

Wrócił do domu po kilku dniach.

– Pusto, niczego nie ma.

Trzęsienie ziemi 921 potargało krajobraz, w ciągu kilku krótkich sekund zniknęły krzewy herbaty, zniknęły śliwy, cała góra zniknęła.

Wziął nożyce i poszedł do ogródka przycinać i flankować. Trzęsienie pozrzucało wiele kwiatów na ziemię, łamiąc łodygi. Milczał, ręce mu się trzęsły, przez nieuwagę uciął kilka kwitnących orchidei.

Góry już nie było, zbliżało się nowe stulecie, byli bankrutami i do tego w długach. Jedyne, co jej zostało, to wypowiedzieć umowę najmu i przenieść się po sąsiedzku do rodziców. Powiedział, że sam przeniesie swój ogródek, doniczkę po doniczkę, jak diamenty, z jednego podwórka na drugie.

Ogródek kwiatowy zavalony był plakatami, planszami i chorągiewkami z czasów, kiedy starszy z braci startował w wyborach na wójta. Wałała się tam również należąca do młodszego brata tabliczka z napisem „Zasłużony dla Yongjingu”. Kury obsrały plakaty wyborcze starszego brata, a na tabliczce młodszego stały doniczki włożone jedna w drugą.

Kiedy znalazła palenisko w ogródku, zauważyła tę niewidzianą od dawna tabliczkę. Kilka lat temu tajfun nawiedził środkową część Wyspy, matka wyniosła na dach wszystkie niepotrzebne rzeczy, niech je sobie wiatr zabierze. Mamrocząc jak podczas zbiorowych modłów w świątyni, na środku dachu położyła od lat już przeterminowany sos sojowy Aromat, stare gazety ojca, stare buty piątej córki, swoją sukienkę, którą nosiła, kiedy była młoda, kilka kartonów książek, spleśniały materac, tabliczkę najmłodszego syna – wszystko jedno przy drugim. Kiedy zerwał się wiatr, matka recytowała sutrę, złożyła dłonie i oddawała cześć niebiosom. Po adoracji spojrzała na srebrzystą wieżę ciśnień na dachu własnego domu, jej najstarsza córka rozumiała, co znaczy to spojrzenie. Matka życzyła sobie,

żeby wiatr porwał również tę wieżę ciśnień. Najlepiej, żeby porwał wszystkie wieże ciśnień w całej wiosce.

Kiedy tajfun minął, poszła z mamą na dach, wichura zdmuchnęła wszystko, ale tabliczka najmłodszego brata wciąż tam leżała, wieża ciśnień też stała niewzruszona. Wiatr zostawił jeszcze duży karton, Shumei otworzyła go i zobaczyła, że jest pełen egzemplarzy książki *Zagubiony Lekko Duch: śmierć tajwańskiego geniusza* autorstwa prezentera telewizyjnego, który ożenił się z trzecią siostrą.

Kiedy owego roku przyjechał do Yongjingu, zatrzymał się w domu Wangów, zawsze nosił przy sobie dyktafon, przeprowadzał wywiady z krewnymi i znajomymi Lekko Duch. Spytał Shumei, co sądzi o Lekko Duchu.

Powiedziała mu, że wysoki, szczupły, niewielu było wtedy tak wysokich mężczyzn, to był naprawdę dziwny człowiek, dlatego wszyscy mówili na niego Lekko Duch. Lubił czytać książki, był bardzo grzeczny. Przykładnie opiekował się sadem karambolowym, czasem przynosił nam wielki kosz owoców. Lubił czytać książki w sadzie, cały czas czytał. Pamiętam, jak mówił, że chce w sadzie wybudować mały domek. Nie wiem, może dlatego, że był wykształcony, ale wiele osób nie rozumiało, co mówi. Przyjaźnił się z właścicielami księgarni Jutro, często się z nimi spotykał.

– A była pani na piętrze nad księgarnią Jutro?

Energicznie pokręciła głową. Nie powiedziała, że o to trzeba spytać drugą siostrę – Shuli. Druga siostra, kiedy chodziła jeszcze do szkoły, lubiła tam biegać, a jak skończyła szkołę, zdała egzaminy urzędnicze i wyjechała do Tajpej; za każdym razem gdy wracała, przywoziła obu właścicielom prezenty.

Nie powiedziała, że zanim to się wydarzyło, wszyscy dookoła mówili, że Lekkoduch to dewiant, który dobiera się do małych chłopców. Synek Shumei nie miał wtedy jeszcze roczku, a Lekkoduch stwierdził, że to słodkie maleństwo i jeśli będzie trzeba potrzymać dziecko, to on chętnie pomoże. Przytuliła dziecko mocniej do siebie i przerażonymi oczami spojrzała na wysokiego młodzieńca.

W książce nic o tym nie było. Wszyscy, którzy wówczas przekazywali sobie te plotki, po latach zamilkli jak jeden mąż. Nie musieli się na to wcale umawiać, taki zbrodniczy system panował w tej wiosce: gadać, gadać, gadać i za każdym razem coraz bardziej przesadzać, aż człowieka zgarną, a nawet zabiją, a potem gęba w kubeł. Nikt nie puszcza pary z ust, nikt nie ponosi odpowiedzialności.

Mężowi trzeciej siostry wszyscy mówili, jaka to ogromna szkoda, że ta mała wioska straciła tak wielkiego człowieka.

Najmłodszy brat cały się trząsł, nagle wstał, oczy zaszyły mu mgłą.

Shumei rozumiała. Wyrzucony ze snu do rzeczywistości brat nie wiedział nawet, gdzie jest. Jeszcze w Niemczech? Nadal w więzieniu? Co to za miejsce? Kim jest ta starsza kobieta?

Braciszku, ta starsza kobieta to twoja siostra.

Po tym trzęsieniu ziemi często nie dosypiała. Nie bała się trzęsień ziemi, ale tego, że przyśni jej się ta góra, którą zniszczyło trzęsienie. Budziła się ciągle w środku nocy ze łzami w oczach, sen mieszał jej się z jawą, nie wiedziała w ogóle, gdzie jest.

Nie wierzyła mężowi, chciała na własne oczy zobaczyć. Jakiś czas po trzęsieniu wiele dróg w Nantou było już przejezdnych, sama pojechała autem, żeby znaleźć tę górę.

Droga, którą wcześniej jechali, całkowicie zniknęła. Pytała miejscowych, czy tu wcześniej była droga. Na końcu drogi rósł bujny

bambusowy las.

– Nic nie zostało – odpowiedzieli jej. – Niczego nie ma, niech pani popatrzy tylko na te łyse stoki, po drzewach, krzakach, wodospadach nie ma ani śladu.

Wciąż nie mogła uwierzyć, szła na pamięć, sama była ciekawa, jak daleko zajdzie. Patrzyła pod nogi, wiedziała, że powinien tu być gąszcz pokrzyw, ale niczego nie było. Przeszła ledwie kilka kroków, a przed nią ukazała się przepaść, gdyby zrobiła jeszcze jeden krok do przodu, wpadłaby do jaru, w którym płynął rwący strumień, wcześniej okolica wyglądała tu zupełnie inaczej. Nie było już bambusów, nie było pokrzyw, nie było śliw, nie było góry.

Góra zniknęła, poczuła, jakby coś w niej się zapadło i powstała wielka wyrwa. I co teraz? Naprawdę nie miała ochoty wsiąść za kierownicę i wracać do Yongjingu. Ale... dokąd miała pójść? Wsiadła do auta i zaczęła krążyć po nantouskim pogórzu, zatrzymała się przed zniszczonym domem. To było stare budownictwo, filary i ściany się zawaliły, druga kondygnacja leżała na ziemi. Była tam na ścianie płaskorzeźba przedstawiająca parę lwów, jednemu z nich ułamała się głowa. Płaskorzeźbę wykonano z wielkim kunsztem, więc także lwia głowa zachwycała finezją. Przyglądając się odłamanej głowie lwa, przypomniała sobie, jak za dawnych lat w fabryce tekstylnej w Shalu obejmowała zmiażdżoną czaszkę. Wsiadła do samochodu i pojechała do Shalu w powiecie Taichung – fabryka jeszcze stała, ale od dawna już opuszczona. Przypomniała sobie, że jej koleżanka, z którą kiedyś tu pracowała, powiedziała jej, że szef dawno temu przeniósł fabrykę do Chin, podobno same budynki i aranżacja wewnątrz są identyczne, tylko rozmiar kilka razy większy. Poszła za halę fabryczną, chciała zobaczyć hotel pracowniczy, gdzie kiedyś mieszkała, ale hotelu nie

było, leżały tam tylko stosy porzuconego sukna. Poczwała, że wyrwa, którą w sobie czwała, powiększyła się.

Powtarzały się jej potem non stop dwa sny. Jeden w dół. Drugi w górę.

W dół. W środku nocy uskok przesunął się gwałtownie i w ciągu kilku sekund pochłonał górę. Zsunęły się zbocza. Zsunęły się krzewy herbaty. Zsunęły się śliwy. Zsunął się stolik stojący pod śliwą. Zsunęły się krzesła stojące przy stoliku pod śliwą. Zsunęła się i ona leżąca pod śliwą. Zsunęły się orchidee. Zsunęła się maszyna do szycia. Zsunęły się pieniądze, które zaoszczędziła, pracując w Shalu i mając ledwie kilkanaście lat. Zsunęła się fabryka tekstylna. Zsunęły się bezgłowe zwłoki. Wszystko zsunęło się na czarne podłoże.

W górę. Nadciągał tajfun, wyły syreny, świszczwał wiatr, stała na dachu szeregowca obok poustawianych tam przez mamę przedmiotów. Zawiało, wiatr porwał wszystko do góry. Wszystkie matczyne dary ofiarne. Poleciał sos sojowy Aromat. Poleciały buty piątej siostry. Poleciały stare gazety ojca. Zbliżała się jej kolej. Shumei szykowała się, żeby polecieć. Poczwała, że palce u nóg oderwały się już od podłoża. Wiatr ustał. Tajfun nagle się rozplynął. Ucichły syreny. Została na miejscu z kartonem książek i tabliczką najmłodszego brata. Nie mogła odejść. Nie mogła odlecieć. Nawet wiatr ją ignorował.

Po przebudzeniu się nie była ani w górach, ani na wietrze. Była tutaj. Cały czas była tutaj.

Brat patrzył na nią smutnym wzrokiem pełnym znaków zapytania.

– Braciszku – chciała powiedzieć – jesteś tutaj, wróciłeś do domu. Tak jak ja. Byłeś tak daleko, a koniec końców jesteś, tak samo jak ja, cały czas tutaj.

Ale nic nie powiedziała.

Chenowie mają smykałkę do spania.



Ale tak naprawdę, to najlepiej potrafią się po prostu zamknąć.

Shumei cały czas milczała. Owego roku tajfun pogardził nie tylko pamiątkową tabliczką i pudłem książek, ale również kartonem kaset VHS.

## FILM W ŚWIĄTYNI MAZU POD MURAMI MIASTA

– Przepraszam, czy mam przyjemność z drugą siostrą?

Shuli opierała się o balustradę peronu na dworcu kolejowym w Yongjingu, na zmierzchającym niebie nie było widać chmur, księżyc na Święto Duchów był duży i okrągły, liczyła na palcach, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, dzisiaj na niebie mamy pięć gwiazd. W okolicy dworca rozciągały się pola i wiejskie chaty, Shuli spojrzała na pobliską plantację bananów, gdzie zobaczyła jasne kropki fruujące w powietrzu. O, świetliki, dawno nie widziałam świetlików, liczyła na palcach, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, dzisiaj w Yongjingu mamy siedem gwiazd.

Dworzec kolejowy w Yongjingu był miejscem bezludnym, nie było obsługi peronu, nie było kasy biletowej, mało kto wsiadał tutaj do pociągu, niewielu też chciało tu wysiadać. Kiedy pociąg regionalny wjechał na stację, wysiadła tylko ona i jakaś licealistka w szkolnym mundurku. Długowłosa uczennica szła z pochyloną głową, nie odrywając oczu od komórki, twarz miała ponurą i zmęczoną, pokrytą bujnym trądzikiem. W bladym świetle dworca wyglądała jak duch z jakiegoś filmu, pomyślała Shuli. Dziewczyna spojrzała na nią i ją rozpoznała. Czy to nie ta referentka Chen, o której się zrobiło dzisiaj głośno w necie, bo znęcała się nad psami? Skąd się wzięła w Yongjingu? Dziewczyna zmarszczyła brwi, jakby upiora

nocą spotkała, szybkim krokiem weszła na kładkę i uciekła z dworca, znikając w mroku.

– Nazywam się Yang Xiaozhou, mówią na mnie Łódeczka. Najstarsza siostra powiedziała mi, żebym przyjechał odebrać, przepraszam, że mój samochód jest trochę zdezelowany, mam nadzieję, że to nie będzie wielki problem.

Shuli opuściła dworzec z Łódeczką, pikap stał tuż u wejścia. Ogrodzenie dworca ozdobione było dziecięcymi malunkami, to pewnie dzieło uczniów z pobliskiej podstawówki. Na jednym obrazku był napis „Tęczowy dworzec”, czerwone słońce oświetlało wioskę, po torach jechał pociąg, w dali widniała zielona góra, na pierwszym planie rosły kwiaty, a nad nimi latały pszczoły. Spojrzała na wschód, jeszcze można było dostrzec zarys łańcuchów górskich na horyzoncie. Kiedy Lekkoduch ukrywał się przed policją, mówił, że chciałby się przedostać na wschód do centralnego masywu Gór Tajwańskich, bo głęboko w górach łatwiej się ukrywać.

W okolicy dworca zabudowa była niska, parterowa, wiele domów miało blaszane dachy. Z dachów wystawały stalowe konstrukcje: srebrzyste, owalne wieże ciśnień, które lśniły w blasku księżyca, rzucając niepospolity blask. Najmłodszy brat, zanim wyjechał do Niemiec, mieszkał w dobudówce na dachu starego apartamentowca w Tajpej, gdzie właściciel składował różne szpargały. Kiedy przyszła do brata w odwiedziny, zobaczyła te szpargały i to ciasne mieszkanie.

– Dam ci pieniądze – powiedziała natychmiast – tylko błagam, wyprowadź się z tej nory. Pomogę ci znaleźć mieszkanie.

Pokiwał głową, otworzył butelkę czerwonego wina, oboje siedzieli na dachu zawalonym gratami i pili wino, patrząc, jak połyskujący Tajpej powoli pęczniał, a potem wolno się kurczył w ich oczach. Za dużo wypła,

zrobiło jej się gorąco, spojrzała na srebrzystą wieżę ciśnień, przylgnęła do niej całym ciałem, chłonąc metaliczny chłód. Obejmując wieżę, zrozumiała, dlaczego brat chce mieszkać w tej upiornej dobudówce na dachu.

Wsiadła do pikapa, zapięła pasy i przypomniała sobie, Łódeczka.

– To ty jesteś tym kolegą mojego brata z gimnazjum?

– Pamiętasz mnie? Często przychodziłem do was do domu odrabiać lekcje, pewnie mnie zauważyłaś, ale ja wtedy miałem dopiero kilkanaście lat.

– Pamiętam twoje imię.

Nauczycielka z mężem odwiedziła ich w domu, żeby zmusić brata do zmiany szkoły. Kiedy wyszła, matka złapała krzesło i roztrzaskała je na najmłodszym synu. Potem chwyciła za drugie krzesło i walnęła nim prosto w ojca.

– Głodna jesteś? U twojej siostry w domu jest mī-suànn z nóżkami wieprzowymi albo... taką długą drogę przejechałaś, co masz ochotę zjeść? Jadę jeszcze kupić kotlety z kurczaka dla twojego brata, może i tobie coś wezmę?

Pikap, pokonawszy wąskie uliczki, wjechał na szeroką drogę, minął yongjińską podstawówkę, po czym skręcił w prawo, gdzie znajdowała się księgarnia Jutro.

W niegdysiejszej księgarni Jutro mieścił się teraz całodobowy sklepik jednej z sieci handlowych, a kotlety z kurczaka sprzedawano naprzeciwno. Łódeczka zatrzymał samochód przy budce z kurczakami.

– Wiecznie zapracowany Yang Xiaozhou! – zawołała właścicielka. – Chcesz mi pomóc sprzedawać kotlety?

Shuli miała wrażenie, że twarz sprzedawczyni wygląda znajomo, ale nie mogła jej sobie przypomnieć.

Zapach smażonego na głębokim oleju kurczaka zmienił się w pałki perkusyjne, które tak uderzały w rozluźnioną skórę na jej brzuchu, że aż dudniło.

– No to weź mi jednego, dam ci pieniądze i pójdę do sklepiku coś kupić.

Łódeczka oddał jej pieniądze.

– Później się rozliczymy.

Wszystkie sklepiki całodobowe na Tajwanie wyglądają tak samo, standardowy wystrój, standardowa barwa oświetlenia, nawet osoby pracujące w tym sklepiku były podobne do tych, jakie spotyka na co dzień w sklepiku nieopodal jej mieszkania w Tajpej. Po księgarni Jutro nie pozostał ani jeden ślad. Weszła, kierowała się w głąb sklepu, zatrzymała się dopiero pod tylną ścianą, gdzie stały lodówki, i udawała, że wybiera coś do picia. Obok lodówki były drzwi, wiedziała, że za nimi, dokładnie za lodówkami, są schody. Po schodach wchodziło się na górę do gabinetu grubego i chudego właściciela, a jeszcze wyżej była ich sypialnia.

Kiedy chodziła do zawodówki, co weekend wpadała do księgarni Jutro i stojąc przed regałem z książkami, czytała powieści. Pewnego razu tak wciągnął ją jakiś opasły tom, że czytała aż do zamknięcia.

– Cały dzień czytasz na stojąco – powiedział do niej gruby właściciel – od samego patrzenia nogi mnie bolą, chciałem podsunąć krzesło, ale bałem się, że ci przeszkodzi. Będziemy zamykać.

Szybko odłożyła książkę na półkę, zauważyła, że stalowa roleta księgarni została już opuszczona, jak to możliwe, że nie tego słyszała?

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – prosiła o wybaczenie, kłaniając się – już mnie tu nie ma.

– Bez pośpiechu. Zostaniesz na kolację? Dzisiaj mamy japoński makaron.

Pokręciła głową, że nie, ale wziął ją za rękę i poprowadził do środka.

– Nie bój się, jesteśmy wprawdzie facetami, ale nie mamy wobec ciebie żadnych zamiarów.

Weszła z grubym właścicielem na górę do gabinetu, chudy przyniósł parujący gar zupy z makaronem.

– Witamy, witamy, zawsze jemy sami we dwóch, a dzisiaj mamy znakomite towarzystwo, super.

Makaron był subtelny i delikatny, sam wślizgiwał się do ust. Rodzice chudego właściciela prowadzili firmę importowo-eksportową. Mieli dojścia, więc mogli sprowadzać wiele japońskiej żywności. Powiedział, że ten makaron pochodzi ze starej fabryki w Kioto.

Wszystkie ściany na drugiej kondygnacji zastawione były regałami wypełnionymi mnóstwem najróżniejszych książek. Gruby właściciel powiedział, że w tej małej wiosce nikt książek nie kupuje, tylko czasopisma się jeszcze jakoś sprzedają, a beletrystyki to już w ogóle nikt nie chce, dlatego kupują tylko takie książki, jakie sami chcieliby przeczytać, a jeśli się nie sprzedadzą, zabierają je na górę i mają je dla siebie, sami czytają.

– Możesz przychodzić na górę czytać książki. Zapraszamy.

Zauważyła, że był tam jeden regał cały zastawiony książkami do nauki angielskiego i japońskiego. Gruby właściciel powiedział, że starają się zaoszczędzić pieniądze na wyjazd do Japonii albo do Stanów, żeby się tam dalej kształcić. Z księgarni dochodu wielkiego nie ma, ale jakoś dają radę, w końcu nie mają żadnych wydatków, więc oszczędzają, ile się da, może za kilka lat uda im się wyjechać.

Od tej pory była stałą bywalczynią piętra nad księgarnią. Jak tylko miała czas, przychodziła tu czytać książki. Chętnie pomagała w kuchni. Sama im powiedziała, że urodziła się w dużej rodzinie w sanheyuanie i mimo młodego wieku umie doskonale gotować, żadna potrawa jej

niestraszna, ze wszystkiego potrafi coś przyrządzić. Kiedy tylko przychodziła na górę poczytać, przyrządzenie kolacji tego wieczoru należało do niej. Niezależnie od tego, jakie warzywa miała pod ręką, jakie mięso było w kuchni, zawsze zrobiła z tego smaczną kolację dla trojga. Jedząc, rozmawiali o książkach, lubiła beletrystykę, ale nie cierpiała powieści romantycznych, lubiła literaturę pełną smutku. Gruby właściciel uwielbiał powieści zagraniczne. Wiele przekładów nie brzmiało mu „za bardzo po chińsku”, tłumaczył sobie z chińskiej wersji, a potem porównywał własny przekład z angielskim oryginałem. Chudy właściciel lubił pisarzy japońskich, powiedział, że właśnie uczy się czytać książki po japońsku.

Z początku dwaj właściciele trzymali się za ręce tylko pod stołem, ale kiedy się już zaprzyjaźnili z Shuli, kładli ręce na stole.

Po skończeniu szkoły Shuli chciała pojechać do Tajpej szukać zajęcia, dzięki swoim kontaktom zaaranżowali jej kilka rozmów o pracę, ale nikt jej nie zatrudnił. Shuli mówiła, nic nie szkodzi, umiem zdawać egzaminy, umiem wkuwać, przygotuję się do egzaminów państwowych. Tego dnia, kiedy dowiedziała się, że jej imię jest na liście osób, które zdały, pobiegła zaraz do księgarni Jutro taka szczęśliwa, że aż z tego szczęścia objęła grubego właściciela.

– Mama powiedziała, że jak nie zdam, to mnie wyda za mąż. Całe szczęście. Całe szczęście.

Kiedy zaczęła pracować w Tajpej, to za każdym razem jak wracała na wioskę, szła do księgarni nieopodal uniwersytetu po książki dla właścicieli księgarni Jutro. Zapieczętowany karton z książkami ważył niemało, ale nie robiła z tego problemu, od dziecka dźwigała ciężary i nosiła koromysło, zawieszenie jednego kartonu książek do Yongjingu to była dla niej pestka.

Pewnego razu, wracając na Nowy Rok do Yongjingu, przywiozła karton książek i zamiast do domu udała się prosto do Jutra. Księgarnia skończyła już pracę, gruby właściciel właśnie zamykał drzwi, zaniósła karton na piętro. Kiedy weszła, zobaczyła, że przed regałem z książkami kuca jakiś nieznany jej człowiek. Spojrzał na nią i natychmiast się podniósł, był niezwykle wysoki.

– Dzień dobry – rzekł, kłaniając się lekko – moje nazwisko Wang, mówią na mnie Lekkoduch. Mieszkamy obok was, kilka domów dalej. Zna pani pewnie mojego starszego brata?

Wyszła ze sklepu, niczego nie kupiła. Poczuła ból w ramionach, jakby właśnie przytargała z Tajpej karton książek i wniosła go na drugą kondygnację tego budynku.

Wsiadła do auta Łódeczki, które całe pachniało już kotлетem z kurczaka smażonym na głębokim oleju. Pikap wjechał w małą uliczkę, minął Świątynię Mazu pod Murami Miasta.

To była niewielka miejscowa świątynia, za którą rosło wysokie drzewo o rozłożystych i bujnie zielonych gałęziach. Za świątynią stało najpierw tylko stare i połamane drzewo ka-tang, potem nagle wyrósł przy nim figowiec bengalski, który z czasem przykrył drzewo ka-tang, tworząc niecodzienny widok. Naprzeciwko świątyni była kiedyś ubojnia, której dzisiaj już nie ma, został tylko kamień z napisem: stela zwierzęcej duszy<sup>82</sup>. Shuli w dzieciństwie słyszała od mamy, że tutaj kiedyś zabijano każdego dnia mnóstwo świń, a jak wieczorem zawiało, okoliczni mieszkańcy mogli usłyszeć kwiczenie. Kiedy ustawiono stelę zwierzęcej duszy, wiatr przestał roznosić bolesne kwiki.

Dawno tu nie była, plac naprzeciw świątyni zyskał malowane ogrodzenie. Nie pamiętała, żeby było tu ono wcześniej.

– Kiedy to postawili? – spytała Łódeczkę.



– To wójt. Mówi coś o pomalowaniu Yongjingu, żeby turyści chcieli przyjeżdżać. Buduje ogrodzenia i zleca artystom, żeby na nich malowali.

Czemu ludzie mają taką obsesję na punkcie budowli?, pomyślała. Jak tylko znajdą jakiś skrawek ziemi, to już coś stawiają; a jak wieżowiec, to musi być od razu najwyższy na świecie, a jeśli mają ograniczone możliwości, to budują ogrodzenia. Pusty szary mur wygląda przerażająco, więc pokryto go różnobarwnymi malunkami. Pikap jechał powoli, Shuli przyglądała się malunkom na ogrodzeniu, które bez wątpienia przedstawiały historię Świątyni Mazu pod Murami Miasta, były tam występy sceniczne i projekcja filmów.

Kiedy była mała, na placu przed świątynią urządzano przedstawienia pacynek i opery tajwańskiej, żeby modlitwy wiernych zostały wysłuchane. Spraszano trupy teatralne, aby wystawiały spektakle przed świątynią. Dzieci z okolicy tłumnie przychodziły tutaj po szkole, żeby oglądać pacynkowe przedstawienia. Potem teatry przestały się pokazywać, wierni zmienili zdanie i zaczęli spraszać nagie tancerki.

No tak, przypomniała sobie, ta sprzedawczyni kotletów, czy to nie ta sama, co tańczyła nago?

Pierwszy film w swoim życiu obejrzała właśnie w Świątyni Mazu pod Murami Miasta.

Kiedy chodziła do zawodówki, gruby i chudy właściciel spytał ją, czy widziała kiedyś film. Pokręciła głową. W wiosce nie było kina; żeby obejrzeć film, trzeba się było wybrać pociągiem do miasta, nie miała pieniędzy, a poza tym rodzice by jej nie pozwolili.

– A co, jeśli – pytali dalej gruby i chudy – przywieziemy kino do Yongjingu?

Złożyli podanie do urzędu gminy, znaleźli plac, ustawili ekran i dali mieszkańcom wioski możliwość obejrzenia filmu. W końcu zdecydowano,

że ekran stanie przed Świątynią Mazu pod Murami Miasta. Ulica przebiegająca przy świątyni nie była ważnym szlakiem komunikacyjnym, zablokowanie jej po to, żeby wyświetlić film, nie będzie nikomu przeszkadzać. Plac przed świątynią pomieści sto osób, to w sam raz.

Postawiono ekran, przywieziono do Yongjing wielki projektor i tak oto już oficjalnie powstało kino przy Świątyni Mazu pod Murami Miasta. Popularne były wówczas filmy polityczno-patriotyczne. Pierwszym filmem, jaki wyświetlono przy świątyni, był propagandowy obraz przedstawiający wojnę rządu republikańskiego z Japonią. Plac przed świątynią wypełnił się po brzegi, zabrakło wolnych miejsc, ludzie przynosili z domu własne krzesła. Ale tłok był taki, że nie było gdzie tych krzeseł postawić, każdy starał się zająć jak najlepsze miejsce, dochodziło nawet do rękoczynów. Latem po zmroku sprzedawcom lodów i kielbasek z różna interes hulał aż miło. Shuli pamiętała, że w ciemnym zaułku stała budka, gdzie sprzedawano opiekane tofu, kupiła sobie z księgarzami tofu zatknięte na bambusowych patyczkach i opiekła je, kucając przy małym palenisku. Z kilku takich palenisk stojących na ziemi unosiła się chmura siwego dymu, tworząc zasłonę dymną; kiedy zasłona opadała, można było zobaczyć całujące się pary, które przykucnęły w zaułku. Przed projekcją panował rwetes, dzieci się darły, dorośli klęli, komary kąsały. Kiedy tylko projektor wyrzucił z siebie wiązkę światła i na pustym białym ekranie pojawił się obraz, wszyscy wybałuszyli oczy, nawet komary ssące krew z ludzkich ramion i ud powyciągały swoje kłujki i popodnosiły głowy, wpatrując się w obrazy na srebrnym ekranie.

Gruby właściciel tak to podsumował:

– Wygląda to tak, jakby wszyscy yongjińscy zobaczyli ducha.

Siedziała razem z księgarzami tuż obok projektora. Płakała. To był rządowy film propagandowy, a płacz jak na tamte czasy był odpowiednią

formą okazywania patriotyzmu. Nie płakała jednak ze względu na fabułę, ale dlatego, że nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że ten stający obok niej projektor zgromadził na taśmie filmowej aktorów, którzy byli przecież tak daleko, a do tego jeszcze ich równie odległe głosy oraz muzykę, i za pomocą światła rzucał to wszystko na biały kawałek szmaty. To była dla niej jakaś niepojęta, przerażająca magia, dlatego dziewczyna nie mogła powstrzymać łez. W rzeczy samej – jakby ducha zobaczyła. Słyszała wiele historii o bezdomnych duchach błakających się po wsiach, ale nigdy żadnego nie widziała. Cała się trzęsła, oglądając film pierwszy raz w życiu, zasłaniała ręką usta, żeby nie piszczeć. Na widok ducha nie zareagowałaby chyba inaczej.

Podczas pierwszej projekcji gruby i chudy siedzieli po jednej stronie, a ona po drugiej, wyczuwali dziwne spojrzenia skierowane w ich stronę. Za drugim razem znowu wyświetlano patriotyczny film o wojnie z Japonią, podczas tego seansu siedziała jednak między dwoma właścicielami.

– Shuli – zagała ją grupka dzieci – jesteś dziewczyną grubego czy chudego?

Trzeci film też był patriotyczny i też o walce z Japonią, wszyscy troje siedzieli oddzielnie. Fabuła filmu zbliżała się do momentu kulminacyjnego, główny bohater miał zaraz oddać życie z ojczyzną. Upewniwszy się, że wszystkie oczy wpatrzone były w ekran, odwróciła wzrok od filmu. Zobaczyła, jak gruby i chudy patrzą na siebie z odległości.

Zapłakała. Noc była wówczas taka jak dziś, okrągły księżyc zwieszał się wysoko nad figowcem za świątynią. Dochodzący spomiędzy gałęzi księżycowy blask zlewał się ze światłem projektora, co w połączeniu z siwym dymem dolatującym z nad grillowanych kiełbasek przeobrażało plac świątynny w senną, baśniową krainę spowitą migoczącymi mgłami. Uskrzydłony pył dryfował w toni światła. Lekki powiew tworzył drobne

fale na tafli ekranu. Jeśli się wsłuchać uważnie, odfiltrując muzykę filmu i kasłanie widzów, można było usłyszeć kwiczenie świń.

Płakała, bo była wściekła. Kipiała gniewem. Czemu, czemu, czemu? Gruby i chudy ukradkiem spoglądali jeden na drugiego, a na nią nie patrzyli wcale.

---

<sup>82</sup> Stele, czasem wkomponowane w pomnik, zawierające taki napis wywodzą się z tradycji japońskiej, ale znane są również w innych kulturach Azji Wschodniej. Stawiano je ku czci zwierząt, które poświęciły życie dla człowieka.

## HIPOPOTAMY SĄ NIEBEZPIECZNE

Shuqing zatrzymała samochód, złocona brama powoli zamykała się za nią.

Od jak dawna nie była w Białym Domu? Budynek jaśniał w księżycowym blasku. Ściany Białego Domu pokrywała niespotykane czysta biel, po prostu nieskazitelna, niezmacona smogiem ani kwaśnym deszczem, krystalicznie śnieżna od zawsze. Z oddali budynek wyglądał jak śnieżnobiały monolit wyrastający na wiejskiej równinie, z bliska połączana brama wyciągała ostry pazur, kłując w oczy. Wangowie pewnie zlecają malarzowi, żeby raz na jakiś czas sprawdzał, jak się rzeczy mają. Jeśli tylko farba na ogrodzeniu gdzieś odpadnie, biel zabrudzi się pyłem, ściany poszarzeją od smogu, ktoś od razu przychodzi z pędzlem i poprawia.

Najstarszy syn Wanga siedział na ławce przed fontanną Apollina, paląc papierosa. Mocno się zaciągał, wstrzymywał oddech, po czym wydychał – powietrze wokół niego było siwe.

– Trzecia siostra już nie pali? – spytał ją.

Kiedy miała osiemnaście lat, tuż przed egzaminem na studia, stres jak termity dniem i nocą zjadał ją po kawałku. Z zeszytem w ręku chodziła wokół stawu rybnego za domem rodziców, wkuwając angielskie słówka. Najstarszy syn Wanga dał jej papierosa.

– A może trzecia siostra sobie zapali, umysł się rozjaśni, słówka będą lepiej wchodzić.

Wzięła od niego papierosa, a on wyjął zapalniczkę i podpalił go, na zapalniczce była naklejka z nagą kobietą. Pokazał jej, jak się zaciągać, wstrzymywać oddech i wypuszczać. Zrobiła, co kazał, siwy dym wtargnął do piersi, uwędził kilka termitów, stopy uniosły się nad ziemię, głowa dostała skrzydeł, wydawało jej się, że zaraz wskoczy do stawu i zacznie pływać z rybami.

– No, no, trzecia siostra nie w kij dmuchał, to jej pierwszy raz, a tak świetnie sobie radzi.

Spojrzała na niego spod byka, zaciągnęła się raz jeszcze, wkuła trzy słówka, nic nie odpowiedziała. Kiedy w dzieciństwie jeździła z ojcem, rozwożąc towary, tragarze dawali jej papierosy i drocząc się z nią, uczyli zaciągać się i wydychać, a widząc, jak biedulka kaszle i jak łzy ciekną jej z oczu, tarzali się ze śmiechu. Po kilku takich akcjach w końcu się nauczyła. Kiedy ojciec poczuł od niej zapach papierosów, zmarszczył brwi, zaśmiał się gorzko, ale nic nie powiedział.

– Niech się trzecia siostra nie martwi, nie trzeba się aż tak pilnie uczyć. Przecież wszyscy wiedzą, że trzecia siostra ma tak doskonałe oceny, że na pewno dostanie się na najlepszy uniwersytet i wdepnie w ślady mojego brata!

– Weź się, co, jesteś starszy ode mnie, jaka ja dla ciebie jestem trzecia siostra? A poza tym to nie mówi się „wdepnie w ślady”, kretynie.

Bez przerwy obracał kciukiem pokrętko zapalniczki, zwiększając i zmniejszając płomień. Podpalił dwa papierosy jednocześnie, wsadził sobie do ust i zaciągnął się.

– Mówię „trzecia siostra”, żeby okazać szacunek – odrzekł, wypuszczając dym. – Ludzie w tej naszej wiosce do nauki się nie garną, ale mają przynajmniej szacunek dla osób z wykształceniem. Zobacz, mój młodszy brat niedługo skończy studia, znajdzie sobie pracę i zostanie

w Tajpej, no i super, a jeszcze mówi, że chce wyjechać na stypendium do Stanów, zazdrozczę mu. Ja się do nauki nie nadaję, mogę tylko z ojcem biznes prowadzić, bo tępak ze mnie.

Wyrwała mu zapalniczkę, pokrętko parzyło. Przyjrzała się nagiej kobiecie na naklejce, blond włosy, biała skóra, duży nos. Widziała kiedyś tragarza, który stojąc w ciemnym miejscu, patrzył na zapalniczkę i zabawiał się swoim przyrodzeniem, a po kilku sekundach wytrysnęła biała ciecz.

– To się wam, facetom, podoba?

– Pierdoły jakieś. Mnie się podobają kobiety piękne i inteligentne, takie z głową na karku, jak trzecia siostra właśnie.

Jak dawno temu to było? Sama dzisiaj dobija do sześćdziesiątki, a najstarszy syn Wangów ma już ponad sześćdziesiąt lat.

Usiadła obok niego, wyrwała mu papierosa z ust, żeby wsadzić go do swoich, ale nagle pomyślała o mężu i wsadziła papierosa z powrotem do jego ust. Spojrzała na brzuch Wanga, wyglądał, jakby połknął globus.

– Ile to ja cię nie widziałam? Z tym brzuchem to czasem nie przesadziłeś?

Ostatnio widziała go w telewizji, kiedy mąż przeprowadzał z nim wywiad. Sławny tajwański biznesmen pan Wang po raz pierwszy przed kamerą opowiadał o problemach rodzinnych i podawał receptę na sukces, to był wywiad na wyłączność dla tej stacji. Powykładał wszystkie produkty, jakie oferowali, ciastka, makaron błyskawiczny, cukierki, żywność prozdrowotną. Podczas przerwy w nagraniu podszedł do niej z cwany uśmiechem na twarzy – takim samym, jak wtedy przy stawie rybnym.

– Niech mi trzecia siostra da namiary, proszę.

– Jakie namiary?

– Do lekarza.

– Weź przestań, chory jesteś? Chwilę temu przed kamerą mówiłeś, że ci śmierć nie grozi. Kto je produkty Wangów, ten będzie żył sto lat, czy nie tak?

– Ojej, śmierć mi nie grozi. Pytam o zabiegi. Taka gładka twarz, zgrabna figura, trzecia córka Chenów cały czas ma osiemnaście lat, podziwiam.

Jakiś czas potem brzuch urósł mu jeszcze bardziej. Ale twarz miał gładką, w kącikach oczu ani na czole nie widać było upływu lat. Chodził do tej samej przychodni co jej mąż, na regularne zastrzyki.

– Nie muszę codziennie występować przed kamerą, jak mąż trzeciej siostry, najznamienitszy na całym Tajwanie a do tego przystojny prezydent; im starszy, tym przystojniejszy, musi dbać o linię, nie to co taki biznesmen jak ja, brzuch im większy, tym kontraktów więcej. – Wyjął papierosa z ust i podał jej. – Nie martw się, nie powiem mężowi.

Wzięła od niego papierosa i zaciągnęła się głęboko, patrząc na fontannę Apollina. Architekt, znajomy męża, pokazał niegdyś rodzinie Wangów zdjęcia Pałacu Wersalskiego, piąta córka zobaczyła fontannę Apollina i stwierdziła, że chce taką. Architekt nigdy nie był we Francji, fontannę wykonał na podstawie zdjęcia artysta rzeźbiący na co dzień bóstwa taoistyczne, przedstawił Apollina powożącego rydwanem zaprzężonym w cztery konie, wokół którego z wody wynurzały się morskie bestie i bóstwa. Rzeźbiarz miał dostęp do zaledwie kilku zdjęć z albumu, którymi mógł się inspirować, w efekcie czego Apollo przypominał Guana Yu<sup>83</sup>, a rumaki były okazałe i pełne wigoru. Po włączeniu fontanny woda leciała nie tylko z końskich pysków czy ust bestii i bogów morskich, ale też z oczu samego Apollina. Tego dnia, kiedy Sujie – czwarta córka Chenów – wychodziła za mąż, Apollo wyrzucił z siebie niebywałe ilości wody, ludzie mówili, że to woda importowana pochodząca z europejskiego śniegu, kto ją



wypije, pozbędzie się wszelkich dolegliwości, wiele osób przychodziło z wiadrami zaczerpnąć wody tryskającej z końskich pysków, żeby ją potem zanieść do domu i pić. Nie brakowało też takich gości, którzy wrzucali Apollinowi monety, żeby spełniły się ich marzenia.

Z boku fontanny wyryto napis po francusku: *Basin d’Apollo*. Zobaczyła wtedy, że brakuje jednego „s”. Ale nic nie powiedziała. Tyle lat minęło, boski Apollo wciąż przypomina Guana Yu i wciąż brakuje mu drugiego „s”. Grecki bóg zestarzał się jak Guan Yu, woda pozostawiła na jego ciele liczne zacieki, twarz przeszła metamorfozę.

– Chcesz zobaczyć fontannę? Dawno nie była włączana.

– Czy przypadkiem muzeum w Tainanie kilka lat temu nie sprawiło sobie takiej? Ponoć jest jeden do jednego, wykonanie zlecono jakiemuś Francuzowi. Idealnie taka sama jak we Francji. Pomyślałam wtedy sobie, czemu Wang nie wyskoczy i nie powie, pierwsza fontanna Apollina na Tajwanie znajduje się w Changhua, a nie w Tainanie! U mnie!

Popatrzył w niebo i zaśmiał się.

– Niech sobie to trzecia siostra tylko wyobrazi. Zapraszam tłum dziennikarzy do siebie, żeby zrobili materiał o fontannie, twoja młodsza siostra jest na górze, jeśli by nagle wybiegła i zrobiła awanturę, byłbym skończony. Daj spokój. W biznesie, kiedy ktoś jest skończony, to jest skończony, nie ma drugiej szansy.

Ktoś jest skończony, to jest skończony? Nie ma drugiej szansy.

Uniosła głowę i spojrzała na drugą kondygnację Białego Domu, gdzie za wielkim portfenetrem zwisała czarna zasłona. Był to jedyny czarny punkt Białego Domu.

– Jak się moja siostra ostatnio... – Słowa uwięzły jej w gardle. Przez telefon głos Sujie brzmiał dzisiaj tak jak zawsze, nawet krzyczała: „Mamy nie ma!”, więc chyba nie jest z nią aż tak źle.

– Niemożliwe? Nie wróciłaś chyba tylko po to, żeby zobaczyć się z Sujie?

Wrzuciła papierosa do fontanny, wydychając resztki dymu.

– Mogę tu zostawić samochód? Proszę, nie mów nic mojemu mężowi. Wiesz, jaki on jest.

Spojrzała na zegarek, zaraz się skończą wiadomości wieczorne i mąż wyjdzie z pracy. Kiedy wróci do tego domu nad jeziorem i zobaczy, że jej auta nie ma w podziemnym garażu, na pewno od razu do niej zadzwoni.

Jej mąż był drużbą na tym wystawnym weselu, jakie się wtedy odbyło w Białym Domu. W tej samej chwili, kiedy hipopotam pokonał płot i opuścił wybieg, przyszły mąż wziął ją za rękę i poprowadził na górę Białego Domu.

– To niebezpieczne – powiedział. – Hipopotamy są niebezpieczne.

Skąd mogła wtedy wiedzieć, że niebezpieczny nie jest hipopotam, ale ten człowiek, który wziął ją za rękę?

Na weselu czwartej siostry zaświtała jej myśl o ślubie. Człowiek, który złapał ją za rękę, był wówczas nie tylko autorem bestsellera, ale również udało mu się, i to w krótkim czasie, zdobyć posadę prezentera wiadomości telewizyjnych.

No to się zgodziła.

Co innego mogła zrobić, niż wyjść za mąż?

Dogłębnie poznała siebie samą dopiero po studiach. Dobrze się uczyła i bez problemu zdawała egzaminy. Na testach pisemnych zawsze miała dużo punktów. Ale kiedy trzeba było zrobić prezentację, przedstawić raport, wypowiedzieć się publicznie, nie potrafiła przerwać nici tak mocno zszywających jej usta. Ucząc się obcego języka, nie miała problemów z gramatyką ani pisaniem, ale usta nie dotrzymywały kroku ręce, pisała swobodnie, a mówiła z wysiłkiem. Przez całe studia z nikim się nie

zaprzyjaźniła. Koleżanki, z którymi mieszkała, lubiły się bawić, ale ona stroniła od imprez. Po ukończeniu studiów została w Tajpej, zmieniła pracę trzy razy w ciągu zaledwie pół roku. W ogóle nie pamiętała, z jakiego powodu. Pamięta tylko, że czuła się zagubiona, była redaktorką w wydawnictwie, gdzie zajmowała się oceną tekstów napływających, potem pracowała w biurze tłumaczeń, a jeszcze później została sekretarką w zagranicznej spółce, każde zajęcie było żmudne i nie do zniesienia. W pracy wymagano kontaktu z ludźmi, a nie miała na to ochoty, więc trzymała się z dala od wspólnych wyjść na lunch, rozmaitych bankietów czy innych imprez firmowych. Pewnego razu do wydawnictwa przyjechał zagraniczny pisarz, szef kazał jej tłumaczyć, rozumiała każde słowo pisarza, ale gramatyka jej się w głowie zatkała, przez co prawie nie potrafiła tłumaczyć.

– Czy pani nie skończyła przypadkiem neofilologii? – spytał szef. – Czemu pani angielski jest gorszy od mojego?

Ojciec mówił, wróć najpierw do domu na jakiś czas, odpocznij sobie, a dopiero potem jedź szukać pracy. Powierzył jej sprawy księgowe swojej firmy dostawczej, mówiąc, że da jej zarobić więcej, niżby mogła dostać w Tajpej.

Pracując w domu jako księgowa, mogła pomagać najmłodszemu bratu w odrabianiu zadań domowych. Chciała się dalej uczyć angielskiego, poszła więc tuż obok do prowadzonej przez rzeźnika węży wypożyczalni kaset VHS. Jeden hollywoodzki film oglądała po dwa, trzy razy, zmuszając się do powtarzania po angielsku kwestii wypowiedzianych przez aktorów. Najmłodszy brat oglądał te hollywoodzkie filmy razem z siostrą, ucząc się tego, co mówili aktorzy. Zauważyła, że brat bardzo szybko opanował akcent aktorów, kiedy tylko nauczył się kilku nowych słów, wypowiadał je niezwykle czysto.

– Kiedy zabierzesz mnie do Tajpej? – pytał siostrę. – Chcę pojechać do Tajpej.

Myślała. Ale bała się.

– Wyjdź za mnie, a zabiorę cię do Tajpej. Kupię mieszkanie, nie takie okazałe jak ten Biały Dom, ale na pewno ci się spodoba.

Przyszły mąż przejrzał ją na wylot, wiedział, że jest księgową w rodzinnej firmie i w końcu popełni samobójstwo, dusząc się poduszką. Kiedy pisał książkę, nosił przy sobie dyktafon, żeby nagrywać wywiady z ludźmi, którzy znali Lekko ducha.

– Chcesz być moją asystentką? – spytał. – Jesteś dobrze zorientowana, a ja nikogo tutaj nie znam.

Rozmawiając tak, od słowa do słowa zorientowali się, że studiowali w tym samym instytucie na uczelni, a dzieliło ich zaledwie kilka lat.

Pewnie słyszał też, co ludzie we wsi gadają po cichu.

– Ta trzecia córka Chenów – ktoś mu na pewno powiedział – tyle się kształciła i co z tego ma? Jeszcze tu wróciła. Ładna jest, ale ma tak wysokie wykształcenie, że żadna swatka nie znajdzie chętnego na taki mezalians. Ma już tyle lat, a za mąż nie wyszła. Jej najmłodsza siostra niedługo bierze ślub.

Kiedy się książka ukazała, osobiście przyjechał samochodem z Tajpej, przywożąc jej cały karton egzemplarzy.

– Wyjdź za mnie i wyjedźmy razem z tego upiornego miejsca.

Kiedy się oświadczył, jej usta nie otworzyły się nawet na milimetr. Ale nie miał wątpliwości i ona też wiedziała, że brak odpowiedzi oznaczał zgodę.

Przejrzał ją na wylot, na pewno będzie z niej dobra małżonka, za dużo nie gada, ładnie wygląda, elegancki dodatek do prezentera, żona doskonała.

Jak ją coś zaboli, to się nie odezwie, będzie trzymać gębę na kłódkę. Nie ośmieli się pisnąć ani słowa.

Wang włączył fontannę, strumienie wody trysnęły z oczu Apollina, ale rumaki, morskie bestie i bóstwa nie wypłyły ani kropli wody. Apollo wyglądający jak Guan Yu płakał samotnie w blasku księżyca, lejąc strumienie wody z rozżalonych oczu.

– Zbyt długo nikt tego nie włączał, coś musiało się zatkać, jutro wezwę kogoś, żeby naprawił.

– Po co naprawiać, komu ma ta woda tryskać? – Dziwne, ale rozmawiając z Wangiem, Shuqing mówiła płynnie i szybko, nie jąkała się. – Idę odwiedzić stare śmieci.

– Podwieźć cię? Też tam dawno nie byłem.

Pokręciła głową, po czym spojrzała w górę na czarne zasłony w oknie Białego Domu.

– Gdyby mi rodzice nie kazali złożyć ofiar, też bym nie wracał, nie spodziewałem się, że ciebie tu zobaczę. Nie wejdiesz, żeby coś zjeść? Nie przywitasz się z Sujie?

Jeszcze raz pokręciła głową, była głodna, miała ochotę na gorzkiego melona z bakłażanami. Ciekawe, czy najstarsza siostra ma bakłażany? Jak będę wracać do domu, zobaczę, może da się kupić gorzkie melony. Albo karambole.

– Pójdę pieszo.

Złocona brama otworzyła się powoli, Suqing wyszła, powtarzając sobie, nie odwracaj się, nie odwracaj się, za nic w świecie nie odwracaj się. Wiedziała, że Wang wlepią w nią wzrok – tak samo jak wtedy. Ale oczywiście odwróciła się.

Zobaczyła, że na drugiej kondygnacji Białego Domu w oknie wychodzącym na ogród poruszyła się czarna zasłona.

Z mroku wyłoniła się spuchnięta i blada twarz Sujie, wyglądała przez okno, zobaczyła Wanga, jak stoi przy fontannie Apollina i pali papierosa, patrząc przed siebie. Sujie spojrzała tam, gdzie patrzył Wang, i zobaczyła, że oto właśnie zamyka się pozłacana brama, za którą stoi jakaś kobieta.

Trzecia siostra.

Komórka Shuqing zadzwoniła. To mąż. Czy dopiero co nie wyszedł z pracy? Czy wiadomości dopiero co się nie skończyły?

Wyłączyła telefon.

Była głodna. Miała ochotę na gorzkiego melona. Surowego.

Przypomniała sobie, że ma w torbie paczkę miodowych cukierków, które kupiła w Berlinie.

Braciszek.

Sięgnęła po cukierka i wsadziła go do ust. Spojrzała na Wanga. Spojrzała na Sujie.

Nie widziały się od trzydziestu lat.

Shuqing wciąż miała w pamięci to pytanie, które Sujie zadała, gdy się ostatni raz widziały:

– A hipopotam? No wiesz, ten hipopotam. Nie wychodzę, bo tam jest hipopotam.

---

<sup>83</sup> Guan Yu był dowódcą wojskowym żyjącym w Epoce Trzech Królestw (III w. n.e.), który został uwieczniony między innymi w kultowej powieści Luo Guanzhonga pt. *Opowieść o Trzech Królestwach*. Czczony jest jako bóstwo w ludowych religiach chińskich.

## TO TYLKO DZIKIE ŁABĘDZIE

Gdzie on się znalazł?

Dźwięki pomogą odgadnąć. Szum morza. Maszyna do szycia. Pianie koguta. Chrapanie mamy. Pochrząkiwanie hipopotama. Knykcie uderzające w stalową wieżę ciśnień. Szczekanie psów. Oklaski. Wiolonczela. Deszcz.

Przecieranie oczu. T. Najstarsza siostra. Rękawiczki. Ciastka. Palenisko. Stołek. Szczelina. Żółty papier. Popiół. Blond włosy. Czarna noc. Księżyc. Łabędzie. Niedojedzony mī-suànn. Żółte rzęsy. Świeża krew. Gęsta mgła.

Smród. Wieprzowe nóżki. Pastylki. Wilgotne powietrze. Mydło na skórze. Wędzona ryba. Odór morskiej wody. Morska woda we włosach. Miód. Cukierki. Dramat Szekspira.

Wszystkie wątki niczym cienkie nitki splatały się i zapętleły, pozostawiając mu w głowie coraz to nowe i niedające się rozwiązać supły. Niczym węże, setki tysięcy węży różnych rozmiarów, kolorów i gatunków oplatały jego ciało, wysuwały języki, kąsały.

Skąd to skojarzenie z węzami?

W dzieciństwie ukąsił go wąż. Tarzał się po trawie, kiedy nagle poczuł ostry ból w ręce, wąż go ugryzł, okręcił mu się wokół ramienia i nie puszczał, postanowił oderwać węża drugą ręką, ale gad był niezwykle silny, nie dał się ściągnąć. Jego starszy brat rozbeczał się, a inne dzieci uciekły z wrzaskiem. Przypomniał sobie trik, jakiego nauczył go rzeźnik węży z sąsiedztwa: na podbrzuszu w pobliżu ogona znalazł odbył, z całej siły

wsadził tam koniuszek palca, wąż natychmiast stracił siły, puścił ramię i spadł na ziemię. Przyjrzał się dłoni – były na niej ślady po zębach węża.

Dzisiaj wrócił, zakręciło mu się w głowie, poczuł kłujący ból. Jak wtedy, po ugryzieniu węża.

Wiedział, że wrócił do domu. Pierwszego domu. Miejsca, gdzie się wszystko zaczęło. Do punktu wyjścia. Do domu, z którego z takim trudem uciekł. Do domu, który go nie chciał. Do domu, w którym nie był mile widziany.

Przyglądał się siwym włosom najstarszej siostry, widząc jednocześnie dzikie łabędzie na morzu. Obrazy nakładały się na siebie, świadomość rozrzedzała się, w torbie miał lek przepisany przez niemieckiego lekarza. Brał go dzisiaj po wyjściu z samolotu?

Wyszedł na dwór, palenisko przy wejściu już ostygło, został tylko szary popiół. Powietrze zamarło, nie było wiatru, kilka przejeżdżających drogą aut zostawiało za sobą ciepły powiew. Na niebie wisiał srebrzysty okrągły księżyc, po lewej stronie na końcu ulicy połyskiwał w mroku Biały Dom. Śnił mu się w berlińskim więzieniu ten Biały Dom. Piąta siostra stała przed złoconą bramą.

– Teraz będę ciąć! – krzyknęła do tłumu dziennikarzy. – Kamery gotowe? Teraz będę ciąć!

Nóż przeciął jej ramię, trysnęła świeża krew, kamery wszystko nagrały. Piąta siostra w jego snach miała niewyraźne rysy twarzy. Przecięła ramię i zniknęła, ale krew, która spadła na ziemię, ożyła, zaczęła się rozchodzić jak pnącza, pryskać jak słup wody, ogrodzenie Białego Domu szybko pokryło się jaskrawoczerwoną krwią, potem ciecz wypełniła również kanały w ogrodzie, pozdychały wszystkie karpie. Krew rozprzestrzeniała się dalej, czerwone stały się greckie kolumny i śnieżnobiałe mury.



Czerwień, jaką widział we śnie, połyskiwała, a ściany Białego Domu sprawiały w dotyku wrażenie krwistej galarety.

– Panie doktorze, czemu ludzie wracają do domu? – spytał psychologa, który się nim zajmował w Niemczech.

Przynależność, bezpieczeństwo, spokój, oglądanie telewizji, jedzenie obiadu, spanie, mycie się.

Spytał prawnika, który miał wietnamskie korzenie, czy wrócił kiedyś do Wietnamu.

Prawnik opowiedział mu historię odwiedzin w rodzimym kraju. Nie umiał ani słowa po wietnamsku. Dzięki kontaktom udało mu się odnaleźć sierociniec, w którym kiedyś mieszkał. Miał trzy lata, gdy został adoptowany, niczego nie pamiętał. Myślał, że jak przyjedzie i przekaze darowiznę, to wyrwa w jego sercu się zagoi. Ale kiedy przybył do Wietnamu, wyrwa się tylko powiększyła. Niemieccy przybrani rodzice byli wzruszeni, ze łzami w oczach obejmowali pracowników sierocińca, tylko on czuł się jakoś obco. Emocje udzieliły się nawet jego partnerowi, któremu zaświtała wtedy w głowie myśl o adopcji dziecka. Ale on miał wrażenie, że chce stamtąd uciec i wyjechać z Wietnamu, wrócić do Berlina, zabierając tę wyrwę, którą w sobie nosił.

Z książek w więzieniu wyczytał, że pamięć ludzka jest wybiórcza, zwodnicza, w skrajnych przypadkach człowiek może wymazać najbardziej bolesne etapy dorastania, zachowując to, co piękne, to, co dobre. Myśląc o domu, przypominał sobie, rzecz jasna, to, co piękne, to, co dobre. Tak jak tego wieczoru, kiedy mama własnoręcznie zrobiła galaretkę ò-giô<sup>84</sup> z longanami i miodem, a cała rodzina siedziała u wejścia do domu, patrząc na gwiazdy, słuchając świerszczy i czekając na świetliki. Mama siedziała zawsze na krześle bujanym, wskazywała palcem na niebo, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, liczyła gwiazdy. Ale nie zapomniał tego, co

ohydne i odrażające, pamiętał ucieczkę i śmierć, których był przyczyną, obelgi matki i jej ciężką dłoń. Matka biła go pięścią ostrą jak nóż, kopała nogą twardą jak miecz, ale najgorsze były usta, z nich wylewała hektolitry tajwańskich przekleństw, a każde słowo bulgotało jak wrzątek. Nie bronił się, kiedy go biła. Nie miał serca, by się postawić matce, to przecież on był dewiantem, to on był nienormalny. Miała rację, kiedy mówiła, że jeśli rodzina Chenów przypadnie, to będzie jego wina. To grzech, że go urodziła. Lepiej było poprzestać na jednym synu.

Posłuchał matki i wyjechał daleko, daleko stąd, nie mając zamiaru nigdy wracać. Oddał nawet tajwański paszport, przyjął niemieckie obywatelstwo, zerwał więzy z rodzinną wioską i z Wyspą.

Ale dzisiaj wrócił. Nie odpowiedział. Czemu ludzie wracają do domu? Gdzie jest dom? Nie wrócił, żeby odkupić winy, nie wrócił, żeby odpokutować, nie wrócił, żeby szukać odpowiedzi. Powrót w rodzinne strony to nie obowiązek. Dusi go ten powrót. Ale musiał to zrobić.

Bo naprawdę nie miał dokąd pójść.

– Weźmy ślub – powiedział T. – a dostaniesz kartę stałego pobytu, będziesz mógł tu zostać. Za kilka lat wystąpisz o niemiecki paszport.

Ślub? Wtedy w Niemczech nie było jeszcze małżeństw homoseksualnych, ale istniało prawo pozwalające na zarejestrowanie takiego związku. T. spojrział na niego stanowczo, on zaś polechtał mu miękkie przyrodzenie. Ślub oznaczałby realne zerwanie więzów, usunięcie z Wyspy. Kusząca propozycja, nowa tożsamość. W miejscu, gdzie nie miał z początku żadnych przyjaciół ani rodziny, w miejscu, z którym nic go nie łączyło, zacząć teraz nowe życie u boku obcego człowieka. Uśmiechnął się i schylił głowę, powiedział okej, T. usłyszał i szybko stwardniał w jego dłoni.

Przed rejestracją związku T. zabrał go do Laboe. Jego matka była nauczycielką w szkole muzycznej, ojciec pracował w porcie. T. powiedział, że za kilka dni będzie Boże Narodzenie i może by z nim pojechał do domu na święta. Psa oddali pod opiekę znajomym i ruszyli z Berlina pociągiem do Hamburga, tam przesiadli się na pociąg regionalny do Kilonii, a potem autobusem dojechali do Laboe. Trasa podróży wiała się jak wąż. Widoki za oknem zmieniały się. Zasnął na siedzeniu, a kiedy się obudził, wielkie miasto zniknęło, dookoła leżał gęsty śnieg, nie było widać żadnego domu. Kiedy dotarli do Laboe, śnieg na chwilę przestał padać, była szarówka, przed nimi rozciągała się cicha zatoka, plażą szła kobieta z psem. Kiedy zobaczyła T., podbiegła do niego i go objęła. Przyjrzała się stojącemu obok T. mężczyźnie, pies zaczął go obwąchiwać, jakby nad zatoką pojawił się kosmita. Morze było spokojne, trzeba się było uważnie wsłuchać, żeby usłyszeć szum fal. T. pokazał dłonią coś w oddali, widziałeś, te białe tam, jedne przy drugich? To dzikie łabędzie.

Dom, w którym T. się wychował, stał tuż nad morzem, był to mały dwukondygnacyjny budynek u brzegu zatoki, spadzisty dach, jasnobezowe ściany, błękitne futryny okien. W ogrodzie były huśtawka, łyśa jabłoń i leżak skierowany ku morzu. T. wskazał dłonią jedno z okien budynku, tam był kiedyś jego pokój, siedział zawsze przy oknie z lornetką i obserwował wielkie statki na morzu, próbując odgadnąć, gdzie kapitan pokieruje jednostkę.

Kiedy wszedł do tego małego domku, zrozumiał, że nie był tam mile widziany przez rodziców T. – chłodny uścisk rąk, unikanie wzroku. Jedynym ciepłym elementem wnętrza była błyszcząca choinka w salonie. Po kłótni przy kolacji jeszcze tego samego wieczoru on i T. opuścili ten domek.

T. nie miał od tej pory domu, powiedział, że jest *heimatlos*, to przymiotnik, *Heimat* znaczy „strony rodzinne”, *los* to „brak”. Sprawdził w słowniku: „pozbawiony stron rodzinnych”. Wtedy nie rozumiał tego słowa, ale teraz już tak. Uchodźcy przepływający się przez morze nie mają domu, bo zniszczyły go pociski. Kraj upadł, zostali wygnani, nie mają ubrań, dryfują porzuceni na pastwę losu, nie wrócą nigdy do siebie, nie mają domu. Wyrwani z korzeniami, odcięci, pozbawieni wszystkiego, pożegnali się na zawsze, nie mają dokąd wracać, nie mają domu.

Kiedy zabił swojego T., sam przyjechał autem do Laboe.

Najstarsza siostra podeszła do niego i razem z nim patrzyła na księżyc. Pot lał się jak deszcz, małe czarne komary pozostawiały czerwone napuchnięte wzgórki na rękach i nogach. Księżyc wschodził bez pośpiechu, na niebie nie było chmur.

– Dawno nie padało – powiedziała.

Kiedy rejestrował związek z T., w Berlinie padał deszcz. Urząd meldunkowy znajdował się nad małym jeziorem we wschodniej części Berlina, procedura rejestracji przebiegła sprawnie, szybko otrzymali akt zawarcia związku. Świadkowie byli niepotrzebni, zamówiono tylko tłumacza pochodzącego z Chin, żeby pomógł mu zrozumieć całą procedurę.

– Witamy w Niemczech – pogratulował mu tłumacz.

Nie było obrączki, odświętnego stroju. Chwycili się za ręce i poszli nad jezioro. Nazywa się Weißensee<sup>85</sup>, powiedział T.

Środkiem jeziora ktoś płynął w tym deszczu łódeczką, wiosłując. Latem przyjdziemy tutaj popływać.

Siostry dowiedziały się o jego „małżeństwie” z tekstu, który napisał. Pisywał wówczas felietony na łamach dodatku do gazety, w których przedstawiał, co widział, co słyszał, co mu się podobało, co wiedział i o czym nie wiedział w Berlinie. Tym razem opisał, jak świeżo poślubieni

sobie mężczyźni całowali się w strugach deszczu bez parasola nad brzegiem jeziora, czekając na lato.

Druga siostra zadzwoniła do najstarszej, całe szczęście, że mama jest niepiśmienna i nie czyta gazet.

– Lepiej zabierz dzisiejszą gazetę, bo jeszcze tata zobaczy.

Trzecia siostra piła rano kawę nad jeziorem, dzisiaj będzie felieton braciszka, szybko przewertowała gazetę, żeby przeczytać dodatek. Dodatku chyba nikt nie czyta, pomyślała. W Yongjingu chyba nikt nie przeczyta.

Matka niepiśmienna, ale na straganie z wieprzowiną umieją czytać, na straganie ze szpinakiem wodnym umieją czytać, w warsztacie skuterów też umieją czytać, w sklepie z bonsai też umieją czytać. Będą szeptać. Żartować. Marszczyć brwi. Zniesmaczonym tonem będą mówić. Przyjdzie wiatr, poderwie gazetę i rozdmucha tekst.

Od kilku miesięcy nie padało, powiedziała najstarsza siostra, kanały powysychały. Wójt zaraz wprowadzi ugorowanie z powodu ograniczonego dostępu do wody. Ech, jak nam niebo nie zapłacze, to susza nas zabije.

Zachciało mu się pić. Poprosił o szklankę wody, wyjął pigułkę z plecaka i połknął.

Po lewej stronie na końcu ulicy widać było smukłą sylwetkę wychodzącą z Białego Domu i kierującą się do nich. Sylwetka uderzała obcasami o ziemię, zobaczyła go z daleka, jak z najstarszą siostrą stał przy ulicy, rytm obcasów przyśpieszył.

Po prawej stronie nad plantacjami chryzantem właśnie co zabłysnęły lampy. Nad polami z wolna pojawiła się żółta poświata, oświetlając zarys okolicy. Światło stopniowo jaśniało, przeganiając mrok, a pogrążona do niedawna w mroku uliczka biegnąca wzdłuż pól tonęła teraz w żółtym świetle, jej powierzchnia wyglądała, jakby ją ktoś pomalował złotym

blaskiem. Ten złoty blask zdawał się falować, a na jego falach zbliżał się ku nim jakiś pikap.

Przyszły mu na myśl dzikie łabędzie na tafli morza, powoli zbliżające się ku niemu. Bielutkie jak śnieg, kołyszące się na falach czarnego morza dzikie łabędzie; liczył na palcach raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, nie doliczył się, za każdym razem wychodziła mu inna liczba. Od dzikich łabędzi biła nieskazitelna biel, tafła morza przypominała nocne niebo, łabędzie to gwiazdy na nocnym niebie.

Nie powiedział o tym siostrze. Nikomu o tym nie powiedział i nigdy nie powie, że gdyby nie łabędzie, to następną osobą po T., którą by zabił, byłby on sam.

---

<sup>84</sup> Galaretka wytwarzana z odmiany figi *Ficus pumila* var. *awkeotsang* zwanej po tajwańsku *ò-giô*, a po mandaryńsku *àiyù*, dlatego można się również spotkać z nazwą „galaretka aiyu”.

<sup>85</sup> Jezioro nazywa się Weißer See, a Weißensee to dzielnica, ale zdaniem autora również na jezioro mówi się potocznie Weißensee.

# WYCISNAĆ CZERWONE WYKWITY SPOD SKÓRY

Jeden księżyc, dwa księżyce, trzy księżyce, cztery księżyce, pięć księżyców.

Jeden łabędź, dwa łabędzie, osiem łabędzi, piętnaście łabędzi, pięć łabędzi, sześć łabędzi, nie ma łabędzi. Łabędzie wymarły co do jednego.

Osiem hipopotamów, dwanaście hipopotamów, jeden hipopotam. Grzeczny hipopotam, hipopotam zatańczy, hipopotam chrząknie.

Siostry, bracia, pamiętacie, jak brzmi chrząkanie hipopotama?

W moim świecie jest pięć księżyców.

Dzisiejszej nocy w moim świecie niebo wypełniło się milionem księżyców. Tak, milionem. Zapalały się szybko jeden po drugim, liczyłam je na palcach, każdy jeden, doliczyłam się miliona, nie pomyliłam się ani o jeden. Za dużo tych księżyców, przepychały się między sobą. Jeden z drugim się zderzał, łączył, stapiał, aż w końcu wypełniły całe niebo.

Powstał jeden superwielki księżyc.

Potrzebuję jednego superwielkiego księżycy, żeby dobrze widzieć. Chcę dokładnie zobaczyć, jak dzisiaj wyglądacie.

Pamiętacie? Chrząkanie hipopotama?

Mama zabrała mnie do złotnika w Yuanlinie. Wychodzisz za mąż, Wangowie dali tak wielką sumę na zaręczyny, posag rodziny Chenów nie

może wypaść blado. Spytałam, co takiego niezwykłego jest w tym Yuanlinie? Mamo, na miesiąc miodowy pojedę do Paryża. Paryż! Tam ci nakupuję złota.

Ten zakład złotniczy w Yuanlinie, mówiła mama, jest słynny już od czasów japońskich, ludzie z daleka przyjeżdżają tam specjalnie po to, żeby kupić ozdoby na posag. Co tam Paryż? Da się tam pociągiem dojechać? Albo na skuterze? Być nie byłam, nie ma co po próżnicy myśleć.

Kupiła kolczyki, naszyjnik, medalion i bransoletę z czystego złota, wszystko w staromodnym stylu. To się dopiero nazywa okazanie hojności, powiedziała, jak to założysz do ślubu, to będzie szyk i elegancja. Spytałam złotnika, a nie dałoby się zrobić złotego naszyjnika dla hipopotama?

Siostry, bracia, pamiętacie chrząkanie hipopotama. Niskie i przytłumione jak dźwięk tuby, podobne do chrapania mamy.

Braciszku, w więzieniu na próbie do Szekspira reżyser przyniósł kilka instrumentów dętych blaszanych, dąłeś bezładnie, aż w pewnym momencie znalazłeś skalę podobną do chrząknięć hipopotama.

Założyłam u złotnika wszystkie złote ozdoby, przejrzałam się w lustrze, były ode mnie złociste promienie. Z uszu zwisały mi złote kolczyki, pierś pokrywało złoto, małemu Wangowi na pewno się spodoba. Podobają mu się moje piersi.

Mówię na niego mały Wang.

Nasza rodzina zrobiła majątek na giełdzie, powiedział, jesteśmy rekinami giełdowymi. Biznes na Kontynencie ruszył z kopyta, ciastka zaczęły się sprzedawać jak szalone, sprzedaż osiągała miliardy sztuk.

– Co byś chciała, powiedz.

Mam bardzo wrażliwą skórę, od tanich ozdób mogę zaraz dostać wysypki. Kiedyś założyłam złoty naszyjnik, który najstarsza siostra dostała



od swojego męża, i na piersi od razu pojawiły mi się czerwone wykwity. Siostra wpadła wtedy w szal.

– A to oszust jeden! Jeszcze mówi mi, że to szczerozłoty jest, z okazji narodzin syna.

Po czystym złocie nie zostają żadne ślady, skóra wesoło ociera się o kruszec, a wykwitów nie widać, tylko złoty blask.

Skóra hipopotama jest taka gruba, założy mu się złoty naszyjnik, na pewno nie dostanie uczulenia. Złotnik powiedział, że nie widział hipopotama. Nie wie pani, jaki ma rozmiar? Wtedy sama jeszcze go nie widziałam, trudno powiedzieć, większy od waszego sklepu. Potrzeba będzie zatem bardzo dużo złota, złotnik na to.

– Nie szkodzi, nieważne, ile złota będzie trzeba, mój przyszły mąż to rekin giełdowy.

Raz, dwa, raz, dwa.

Mieszkający obok nich rzeźnik węży powiedział, że ma dojścia i może załatwić hipopotama.

Nie było takiej rzeczy, której by rzeźnik węży nie mógł załatwić. Wszyscy mieszkańcy tych szeregowców o tym wiedzieli i jak czegoś potrzebowali, to szli do niego, a on na bank znalazł sposób, żeby to załatwić. A tak właściwie to nieraz nie trzeba było nawet mówić, sam się domyślił, czego komu trzeba. Czasem chciał w zamian pieniędzy, a czasem nie wziął ani grosza. Za ugotowanie zupy z węża trzeba mu było zapłacić, zabicie węża liczył oddzielnie, za wypożyczenie kaset VHS trzeba było zapłacić, kiedy się go poprosiło, żeby zagrał na fortepianie, to też trzeba mu było zapłacić. Kiedy kogoś wąż ukąsił, to za antidotum nie brał pieniędzy, jeśli komuś wąż wszedł do domu, to łapał go za darmo, za spanie z mamą nie brał pieniędzy, za pomoc w rozwiązywaniu zadań z matematyki nie brał pieniędzy, za pomoc w nauce angielskiego też nie. Przez to uczulenie

miałam wysypkę na całym ciele, do lekarza nie było nawet po co iść, rzeźnik dał mi wężówkę do wypicia i posmarował maścią, wykwity zniknęły, nie wziął ani grosza.

Ano tak, wy nic nie wiecie. Tylko ja i najstarsza siostra wiemy, że mama z nim spała. Siostra już od dawna o tym wiedziała, na własne oczy ich zobaczyła. Mama właśnie za to tak bardzo jej nie znosiła i narzekała na nią od rana do wieczora. Najstarsza siostra, zanim jeszcze skończyła gimnazjum, postanowiła szukać pracy w Shalu, wtedy mama trochę spuściła z tonu.

Potem i ja się dowiedziałam. Ale nie widziałam na własne oczy. Poszłam do piwnicy i zobaczyłam, że wisi tam kilka sukienek mamy.

Raz, dwa, raz, dwa.

Ano tak, wy nic nie wiecie, że była piwnica. W tych szeregowcach tylko rzeźnik węży miał piwnicę.

Nie bolało, naprawdę nie bolało. Raz, dwa. Światło superksiężycy padało na powierzchnię noża, blask kłuł w oczy.

To najmłodszy brat znalazł moje zwłoki.

Nie potrafiliście mnie znaleźć, tylko on wiedział, dokąd mogłam pójść. Za każdym razem gdy mama go biła, szedł do kanału irygacyjnego na plantacji chryzantem, tak samo jak ja, kiedy dostawałam lanie od mamy.

– Mówią, że jestem dewiantem – powiedział mi.

– Być dewiantem to dobrze, głuptasie – odpowiedziałam. – Wiesz, wychodzę za mąż za małego Wanga, po ślubie będę bardzo bogata. Jak już wybudują Biały Dom, to wprowadzisz się do mnie, będzie tam przecież tyle wolnych pokoi. Będę się tobą opiekować, mały dewiancie, zabiorę cię do Paryża, kupię Chanel.

Nie pojechaliśmy do Paryża. Sam wybrałeś się do Berlina.

Nie bolało, naprawdę nie bolało. Nie rozumiem, dlaczego mieliście takie przerażone miny, patrząc, jak się kroiłam nożem. Przecież nie byłam upiorem.

Ale teraz jestem.

Ciach, raz, dwa, tu, tam, ciekawe, gdzie więcej krwi wypłynie. Naprawdę nie bolało, przyjemnie było. Krew wypływała jak woda – mokra, piękna. Jestem upiorem już od tylu lat, ale wciąż pamiętam to uczucie rozcinanej nożem skóry. Jak możecie nie rozumieć? To ja nie rozumiem, czemu nie chwycicie za nóż i się nie potniecie.

Pierwszy raz był dlatego, że miałam uczulenie na ramionach, strasznie mnie swędziało, nie mogłam tego wytrzymać, wysypkę zadrapywałam paznokciami aż do sińców. Swędziało jeszcze bardziej, ból wydobywał się z głębi skóry. Chyba wiedziałam, co tam pod nią siedzi, czemu tak łatwo dostaję wysypki. Na blacie biurka z mapą świata leżał nóż introligatorski, przecięłam i już, przecięłam i przestało swędzieć, wydłubałam wykwyty spod skóry, jeden po drugim. Ostrzem przecięłam ramię, pojawiła się cieniuszka kreseczka, popłynęła świeża krew. Nie bolało, patrząc na krew, zapomniałam o swędzeniu i alergii. Nie wiedziałam, że krew jest taka piękna. Usuwając wykwyty, wydrążyłam przez przypadek studnię, kto by pomyślał, że ciało zawiera w sobie tyle czerwonych źródeł. Kiedyś co miesiąc wypływały mi z ciała czerwone źródła, ale jak miałam siedemnaście lat, ustały. No i co z tego, że przestałam miesiączkować, miałam przecież takie duże piersi, małemu Wangowi się podobały.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, a psik. Każdego ranka po przebudzeniu kichałam jak szalona. Najmłodszy brat kilka pokoi dalej na pewno liczył na głos, kiedy policzył do końca, był już w pełni obudzony.

Braciszku, stałeś na ulicy, a obok ciebie najstarsza siostra, trzecia siostra biegła w waszą stronę, druga siostra wyskoczyła z pikapa.

Braciszku, nic nie powiedziałaś, rzeźnik węży przyniósł ci karton kaset VHS, nie wziął pieniędzy. Kiedy cała rodzina poszła składać ofiary, w domu zostaliśmy tylko ty i ja, korzystając z okazji, włożyliśmy kasetę do magnetowidu.

Przy drodze w blasku księżycy nikt nie wiedział, co ma powiedzieć.

Superksiężyc szybko się skurczył.

Raz, dwa. Ramię, udo. Następnym razem spróbuję kostkę. Gdzie będzie więcej krwi? Gdzie będzie bardziej mokro?

W ogóle nie wiedzieliście, co powiedzieć.

– Ale schudłeś – powiedziała druga siostra.

– Jem cukierki, te z Berlina – powiedziała trzecia siostra.

Tak naprawdę, to z ich ust nie padło ani jedno słowo, tylko tak sobie pomyślały, jedynie ja to słyszałam.

Czwarta siostra mamrotała coś do siebie w Białym Domu, też to stąd słyszałam. Chodziła potem wolno po pokoju, krzycząc bez przerwy:

– Mamy nie ma! Mamy nie ma! Mamo! Gdzie jesteś?!

Superksiężyc wyraźnie się skurczył, w moim świecie został już tylko jeden księżyc.

Głowa owinięta foliowym workiem, wyraźnie powiększone źrenice.

Najstarsza siostra spojrzała ku niebu, gdzie zobaczyła grube, ciemne chmury.

Pamiętasz, braciszku? Kiedy byłeś mały, wioskę nawiedził grad i roztrzaskał wszystkie lampki nad plantacjami chryzantem. Następnego dnia siedzieliśmy na skraju pola, patrząc na potłuczone żarówki. Yongjing bez chryzantemowych żarówek był taki mroczny, ciemne chmury na niebie wyglądały groźnie, zerwał się chłodny wiatr, przynosząc swym podmuchem ostrzeżenie, coś wielkiego miało się zaraz wydarzyć w tej małej wiosce.

Skąd mogliśmy wówczas wiedzieć, że mama pójdzie to zgłosić? Nic wtedy nie wiedzieliśmy.

Zawiał wiatr, chłodny, unosząc śmieci, kurz i liście przed domem, przy ziemi tworzyły się małe wiry powietrzne. Chmura, którą najstarsza siostra wskazywała palcem, zawierała chyba drobne kropelki deszczu. Spojrzała na brata i dwie młodsze siostry, naprawdę chciała coś powiedzieć, ale tak, żeby się usta otworzyły, żeby gardło zadrgało, a nie głosem wewnętrznym we własnych myślach.

– Będzie padać. – Chciała powiedzieć.

Ale się nie odezwała. Nosila w sobie wyrwę, gdzie wpadało to, co chciała powiedzieć.

Wiatr świszcział, lato w pełni, Święto Duchów, ten chłodny wiatr to jakaś anomalia. Tak samo jak już kilka razy wcześniej: kiedy Lekkoduch zniknął, kiedy księgarnia Jutro została zamknięta, kiedy hipopotam wybiegł, kiedy ja zniknęłam, kiedy najstarszy brat dostał wezwanie do sądu, kiedy ojciec zmarł, kiedy matka umarła, kiedy dom się spalił, kiedy przysłała wiadomość, że najmłodszy brat zabił człowieka w Niemczech.

Sz-sz.

Zawiało, gekony zamilkły, świerszcze ucichły, żaby przestały kumkać, termity się uciszyły, Yongjing zmarł.



**CZĘŚĆ III**

**NIE PŁACZ**

# 1

## ZAPATRZYŁA SIĘ W LABIRYNT LINII POKRYWAJĄCYCH JEGO DŁOŃ

Będzie padać.

Dzień dobiegał końca, zbliżała się noc, A-Chan plewiła w polu, na zmierzchającym niebie zalegały warstwy ciemnych chmur, daleko na wschodzie, ponad Górami Tajwańskimi w głębi Wyspy błyskały pioruny. Dżdżownice wypełzły spod ziemi, mama jej mówiła, że to zapowiedź ulewy. Szturchnęła sierpem dżdżownicę, nie musiała wcale zobaczyć dżdżownic, żeby wiedzieć, że będzie padać, nadchodzący deszcz wyczuwała dzięki włosom. Miała naturalnie kręcone włosy, inne dziewczyny musiały się niemało natrudzić, żeby zakręcić sobie loki, a włosy na jej głowie same z siebie układały się w kłęby fal; jeśli w powietrzu było dużo wilgoci, jej włosy tworzyły wielkie fale, cała głowa wyglądała jak ocean podczas burzy. Mama, widząc jej czuprynę, chciała uczesać grzebieniem te poskręcane kudły, ale mały grzebień nurzał się w głębiny włosów jak łódeczka w rozszalałej toni oceanu, a włosy owijały się wokół jego zębów jak ramiona ośmiornicy wokół masztów. Mama westchnęła, co robić, masz być panną młodą, a z takimi włosami wyglądasz jak upiorzyca, całe szczęście, że najstarszy syn Chenów to porządny chłopak i nie cofnie danego słowa. Całe szczęście, że swatka jest tutejsza, porównała rok, miesiąc, dzień i godzinę narodzin, spytała o znak zodiaku,



sprawdziła genealogię, ale nie powiedziała Chenom, że ta upiorzyca, o której wieść gminna niesie, to nasza rodzina. Nie powiedziała, to i sprawy nie ma, nikt się nie dowie. Sz-sz. Jakby powiedziała, to kto by się ośmielił z tobą ożenić? Matka była wdową, czuła w sercu spokój, wiedząc, że ktoś chce poślubić jej córkę.

Osiemnastoletnia A-Chan miała wkrótce zostać żoną jednego z Chenów, którzy byli niegdyś najbogatszą rodziną w Yongjingu, ale po wycofaniu się Japończyków na Tajwanie zjawiał się rząd narodowy, przeprowadzono reformę rolną, państwo siłą wykupiło za bezcen mnóstwo hektarów ziemi, od tamtej pory Chenowie nie byli już obszarnikami. Mama pokazywała ręką, rysując w przestrzeni wioski niewidzialną miedzę. Kiedyś, mówiła, odtąd dotąd to, co widać, i to, czego nie widać, należało do Chenów. Niełatwo jest wyjść za bogatego męża, i to w dodatku jako pierwsza synowa. Ale teraz Chenowie nie są już obszarnikami, więc mogą wydać syna za córkę szefa fabryki sosu sojowego, inaczej patrzyliby na nas z pogardą. Swatka powiedziała, że najstarszy syn Chenów po twarzy przystojny, nos ma wysoki, wzrost ponadprzeciętny, szczupły jest, szczery, małomówny, dobrze wykształcony, skończył gimnazjum, kulturalny, wielu dziewczynom się podoba.

Po dwóch spotkaniach zapadła decyzja, że będzie ślub. Nic o przyszłym mężu nie wiedziała prócz tego, że nazywa się Chen Tianshan, a wszyscy mówią na niego A-Shan. A-Shan miał na sobie spodnie garniturowe z wysokim stanem, białą koszulę ładnie uprasowaną, w rękę trzymał książkę – nie wyglądał jak chłopak ze wsi. Podczas drugiego spotkania A-Chan i A-Shan zrobili sobie wspólnie zdjęcie. Fotograf chciał, żeby stanęła bliżej A-Shana. Zauważyła, że A-Shan ma chude ręce, zadbane paznokcie, kiedy spojrzała w dół, okazało się, że za paznokciami u nóg obutych w sandały nie miał ani drobiny brudu. Pachniał delikatnie, nigdy wcześniej

nie czuła takiej woni. Jego pięty były białe i gładkie, nie było widać na nich stwardniałego naskórka. Nic nie mówił, ale kiedy się do niego przybliżyła, poczuła świeży oddech bez krzty fetoru.

Nie spotkała wcześniej takiego mężczyzny. Pracownicy w fabryce sosu sojowego ubrani byli niechlujnie i staromodnie, pod pachami cuchnęli jak zdechłe prosiaki, a z ich ust wionęło zgnilizną, za paznokciami mieli błoto, kawałki soi, resztki jedzenia, ich zęby wyglądały jak porozrzucone kamienie, a włosy jak zatłuszczone druty.

Kilka kropel deszczu spadło jej na głowę. Dobiegł ją krzyk matki, ale wiatr zagłuszał słowa, nie słyszała, co matka chce jej powiedzieć. Ale wiedziała, że każe jej zdjąć pranie suszące się na podwórzu. Dookoła nisko latały ważki i jaskółki, dżdżownice jedna po drugiej wypełzały spod ziemi. Kiedy się uważnie przyjrzała, zauważyła, że to nie jaskółki fruwią w powietrzu, ale nietoperze.

Umiała łapać nietoperze i potrafiła ugotować z nich pyszną zupę. Kiedy się drugi raz spotkali, powiedziała mu, że młode cykady, takie zaraz po wyjściu spod ziemi, można usmażyć na głębokim oleju i są pyszne. Okularnik ją tego nauczył.

Okularnik pracował w fabryce sosu sojowego Aromat, odpowiadał za transportowanie, mycie i selekcję soi, był niskiego wzrostu, nosił okulary w grubych oprawkach, miał małe oczy, mały nos i małe usta. Bardzo wcześnie zaczął pracować w fabryce, był bardzo utalentowany, znał japoński, tajwański i mandaryński, inni pracownicy mówili, że kiedy jeździł do Taichungu kupować soję w hurtowni, to miał kontakt z armią amerykańską i znał też angielski. Dorastała razem z Okularnikiem, który nauczył ją całego procesu fermentacji soi i technologii produkcji sosu sojowego.

Spadły kolejne krople deszczu, mama krzyczała jeszcze głośniej. Upuściła trzymany w ręku sierp i pobiegła na podwórze zdjąć pranie.

Suszące się na bambusowym kijku prześcieradła, poszewki i ubrania zniknęły. Ulewny deszcz zaczął z impetem uderzać w dach fabryki, zagłuszając krzyk matki. Choć nie słyszała wyraźnie, co matka wykrzykuje, była pewna, że mówi jej, niedługo wyjdiesz za mąż, a guzdrzesz się jak mucha w smole, jak ty w ogóle zamierzasz być pierwszą synową w sanheyuanie.

Wpadła do domu przemoczona do suchej nitki, krzyk matki dobywający się z fabryki pobrzmiwał nieprzerwanym echem, które ciągle uderzało w bębenki jej uszu. Nagle jakaś para dłoni podała jej ręcznik.

Dłonie Okularnika różniły się znacznie od dłoni A-Shana. A-Shan miał dłonie gładkie, a na dłoniach Okularnika pełno było odcisków. Matka nauczyła ją ujarzmiania strachów, chiromancji, wrózenia z rysów twarzy, recytowania sutr, czytania z gwiazd, pomiaru gruntów. Odtwarzała przeszłość i przepowiadała przyszłość na podstawie ziarenek ryżu, oceniała zdrowie bambusów po liściach, a przyglądając się liniom dłoni, poznawała ludzki los. Te umiejętności prowadziły ją przez życie. Nie umiała pisać ani czytać. Nie rozumiała, co zapisano w sutrach, ale gdy tylko usłyszała, jak ktoś zaśpiewał jakiś passus, zapamiętywała i od razu potrafiła melorecytować.

Nie miała jeszcze wtedy okazji przyjrzeć się liniom dłoni przyszłego męża, ale często czytała z ręki Okularnikowi. Okularnik miał bardzo skomplikowane linie dłoni, przecinały się chaotycznie, trudno jej było zastosować wiedzę, jaką otrzymała od matki, nie potrafiła wyczytać, ile mu jeszcze życia zostało ani jaki los go czeka.

Czytając dłoń Okularnika, nie śmiała unosić głowy, wiedziała bowiem, że Okularnik zawsze patrzy na jej twarz. Soja cicho fermentowała

w kruzach, A-Chan powoli chwyciła rękę Okularnika i zapatrzyła się w labirynt linii pokrywających jego dłoni. Czytając linie, mruczała coś pod nosem, ciągle coś mówiła, Okularnik zaś uśmiechał się delikatnie, słuchając jej słów.

Po ślubie nie mogła już czytać Okularnikowi z dłoni.

Wzięła ręcznik i wytarła bezładne włosy. Matka kazała jej pojechać przed ślubem do salonu urody w Yuanlinie, żeby je wyprostować. Na stole leżały sterty ubrań zdjętych z bambusowego kija, posortowane i poskładane. Okularnik zawsze wyprzedzał ją o krok, wcześniej pościągał pranie, wcześniej obliczył rachunek do zamówienia, szybciej wiedział, w której kruży fermentacja dobiegła końca, wcześniej wiedział, kiedy spadnie deszcz i kiedy cykady wypełzną spod ziemi. Powiedziała Okularnikowi, że wychodzi za mąż, nic jej nie odrzekł. Ale ze mnie gaduła, pomyślała, po co ja to mówię, przecież Okularnik wszystko wie.

Deszcz lał niemiłosiernie, otulając ich swoim dudnieniem. Odchodzę z pracy, powiedział jej, gratuluję, gratuluję, Sojowa Cykada wychodzi za mąż, gratuluję.

Podał jej drugi ręcznik, żeby się powycierała. Kiedy już skończyła, Okularnik wyszedł, i tyle go widziała.

Stała przed lustrem, patrząc na zniszczoną deszczem fryzurę. Kiedy była mała, a na Wyspie panowali jeszcze Japończycy, rozległ się pewnego dnia alarm powietrzny, Amerykanie zrzucili bombę, która zostawiła po sobie lej, wyrwę w ziemi. Kiedy Okularnik powiedział, że odchodzi z pracy, znów usłyszała alarm powietrzny. Jak to powiedzieć mamie? Jak powiedzieć, że ma w sobie wielką wyrwę. Wiedziała, że matka na pewno powie, nie mów, sz-sz, jak nie powiesz, to nikt się nie dowie, a jak się nikt nie dowie, to nic nie będzie.

Następnego dnia pojechała z matką rowerem do salonu urody w Yuanlinie. Mijając bambusowy gaj, matka spojrzała w lewo i w prawo, aby się upewnić, że nikogo nie ma, po czym złożyła ręce do modlitwy i pokłoniła się gajowi.

Sz-sz, powiedziała, sz-sz, nikomu nie mów, w gaju mieszka upiórzyca, babcia, mama mamy.

# JA TYLKO CHCĘ POĆWICZYĆ TANIEC

W domach szeregowych było naprawdę gorąco, brak klimatyzacji, duchota, gdyby to był gaz łatwopalny, jedna iskra zamieniłaby wszystko w szary popiół. Siedząc w berlińskim więzieniu, często wyobrażał sobie, jak powstaje iskra, gaz wybucha, wszystko staje w płomieniach, ściany się walą, stalowe ogrodzenie się topi, papier płonie, pożar szaleje. Gdy ogień gaśnie, widać jedynie drobny pył, jak tylko przyjdą wiatry i deszcze, wymiotą to wszystko, przywrócą do pierwotnej nicości. Ale wiatr się ociąga, słychać grzmoty w oddali, deszcz się do nas jednak nie kwapi.

Łódeczka powiedział, że musi już iść. Najstarsza siostra próbowała go zatrzymać:

– Yang Xiaozhou, nakupowałeś tyle kotletów, pomóż nam, bo sami nie damy rady tego zjeść, zmarnuje się.

Postawiła w podcieniu okrągły składany stolik przeznaczony na ofiary dla duchów i zaproponowała wszystkim kotlety na świeżym powietrzu, przynajmniej będzie lekki wiaterek. Kotlety z kurczaka w panierce krótko smażone w wysokiej temperaturze na głębokim oleju, posypane pudrem śliwkowym i sproszkowanym chili, z zewnątrz kruche i chrupiące, mięso w środku miały świeże i pulchne, paliły w usta, pot leciał z czoła i śluz płynął z nosa. Dawno już nie jadł niczego takiego, od pierwszego kęsa odzyskał apetyt i zajadał się łapczywie. Rozejrzał się dookoła stołu,

wszyscy schylili w milczeniu głowy i pochłaniali kotlety. Ciszę przerwała najstarsza siostra, prawiąc Łódeczce zdawkowe uprzejmości, zawtórowały jej druga i trzecia, a Łódeczka grzecznie odpowiadał. Zatrzymanie Łódeczki nie było bezcelowe, przy gościu można prawić uprzejmości do woli, unikając siebie nawzajem. Prawienie uprzejmości jest jak rzucanie piłką do kosza na oślep, taka piłka za nic w świecie nie chce wpaść, nikt nie ma ochoty zbliżyć się do sedna; lepiej, żeby nic nie wpadło. Niezobowiązujący small talk nikogo nie zrani, można mówić o pogodzie, wschodach i zachodach słońca, o spadających liściach, o wietrze, o deszczu, o Święcie Duchów, o upiorach, o kotletach z kurczaka, można mówić dziękuję, nie ma za co, żeby tylko nie rozmawiać o sobie, żeby tylko zachować decorum, oddalając się od siebie na falach bon tonu, bo nikt nie chce dobić do brzegu, każdy nieustannie dryfuje. W obawie, by nie zostać samotną wyspą, snujemy wątek jak te pająki, wypływamy wodniste słowa, które krystalizują się po zetknięciu z powietrzem, tworząc nić, której cienkie włókna łączą nas nawzajem, już się oddaliliśmy od siebie, już jesteśmy wyspami, jeszcze słyszymy wzajemnie swe nawoływania, mamy przynajmniej tę nić uprzejmości. Pod żadnym pozorem nie wolno pytać: „Co u ciebie?”. Przecież głęboka poufałość w rodzinie jest jak kurz i pył, które zaraz rozdmucha wiatr, lepiej nie zadawać sobie takich bolesnych pytań.

– Ta właścicielka budki z kotletami – zwróciła się druga siostra do Łódeczki – wydała mi się jakoś dziwnie znajoma.

– Na pewno ją już kiedyś widziałas, w dzieciństwie tańczyła nago, jak cała jej rodzina zresztą, babcia, mama, ciotka, wszystkie. Ale teraz jest internet, jak ktoś chce sobie pooglądać tańce nago, to ma na komórce. Grupy takich tancerek teraz cienko przędą, więc zaczęła sprzedawać kotlety. Kiedyś chodziła z Chen Tianhongiem do tej samej klasy.

Druga siostra przypomniała sobie, jak widziała właścicielkę budki z kotletami tańczącą nago w Świątyni Mazu pod Murami Miasta.

Chen Tianhong pamiętał oczywiście koleżankę z klasy, która w dzieciństwie tańczyła nago w świątyniach, na weselach, na pogrzebach. Jak tylko w Żółtym Kalendarzu<sup>86</sup> wypadał pomyślny dzień, zabiegana była od rana do wieczora. Nie miała czasu odrabiać lekcji, więc odpisywała od niego. Kiedy nauczycielka zadała wypracowanie, pisał najpierw prawą ręką swoje, a potem lewą ręką dla niej, zmieniając ton wypowiedzi i słownictwo, nauczycielka nigdy się nie domyśliła. W gimnazjum, kiedy oboje trafili do grupy słabeuszy, dalej odrabiał za nią zadania domowe. Jak teraz o tym pomyśleć, wydaje się to kompletnie niedorzeczne, przecież to taka tradycyjna, konserwatywna wioska. Jak to możliwe, żeby małe dziewczyny tańczyły nago na weselach czy pogrzebach? Chen Tianhong widział, jak zmieniało się jej ciało na scenie, w blasku barwnych świateł zaczęły stopniowo wyłaniać się piersi, a pod pachami i w kroczu wyrastały włosy. Kiedy miała już duży biust, przeniesiono go z grupy słabeuszy do klasy przygotowującej na studia.

Wtedy po szkole nauczycielka przyprowadziła dwóch roślących uczniów i dostało mu się pod drzewem ka-tang. Dłoń nauczycielki parzyła jak ogień, pozostawiając czerwony ślad na policzku.

– Cholerny dewiancie, cholerny homo, ostrzegałam cię, mówiłam, żebyś trzymał się z dala od mojego syna, ale do ciebie nic nie dociera. Nic nie dociera, co? Prawda, że nic nie dociera? To nie szkodzi, bo nie wierzę, że teraz nie zrozumiesz.

Obaj rośli chłopcy kopnęli go z kolanka w brzuch, jeden z nich wcisnął mu z całej siły w pośladki butelkę po sosie sojowym.

– Przyjemnie? Pytam, czy przyjemnie? Zaruchamy? – Stawiał opór, szamotał się, butelka upadła na ziemię, roztrzaskał się Aromat. Jeden



z chłopców podniósł ostry kawałek szkła i przystawił mu do twarzy. Zobaczył wtedy Chena Tianyi, swego starszego brata, ale on uciekł.

– Dzień dobry pani! – Koleżanka przyjechała na rowerze pod drzewo ka-tang. – Proszę pani – powiedziała, uśmiechając się promieniście – mam tu odprawiać obrzędy, pomyślałam więc, że trochę poćwiczę, za kilka dni ktoś będzie się modlił pod drzewem ka-tang i zamówił, żebyśmy zatańczyły, chciałabym zrobić próbę. Podobno jakiś hazardzista wygrał kupę pieniędzy i chce podziękować bóstwom.

– A ty kto jesteś? – Nauczycielka aż poczerwieniała ze złości. – Z której klasy? Wynoś mi się stąd! Muszę ukarać swojego ucznia. Jeśli piśniesz słowo, to po tobie!

Niech się pani nie denerwuje. Ja niczego nie widziałam. Ja tylko chcę poćwiczyć taniec, będę udawać, że nic nie widzę.

Cisnęła tornister na ziemię i zanuciła po tajwańsku popularną wówczas piosenkę:

*Pociąg powoli już rusza przed siebie,  
Żegnam was, krewni, żegnam, wiosko, ciebie.  
Do zobaczenia, rodzice kochani  
I przyjaciele, to nasze rozstanie.*

Głośno śpiewając, zdjęła szkolny mundurek i zaczęła się kołysać pod drzewem.

Obaj chłopcy zdębieli, puścili go, a on pognał ile sił w nogach na pole bananowców za drzewem ka-tang. Biegł i biegł, przez kanały irygacyjne, przez pola ryżowe, obok Pływalni Wiecznej Pomyślności, minął sad karambolowy, żeby się tylko nie zatrzymywać, żeby się tylko nie oglądać za siebie, bo gonią go upiory, mama mówiła, jak zobaczysz upiора, to uciekaj, biegnij tak długo, aż upiór przestanie cię gonić. Biegł, biegł, biegł, biegł, aż dobiegł do dworca kolejowego w Yongjingu, chciał poczekać na

następny pociąg, wskoczył do niego i wyjechać stąd, i nigdy nie wracać. W końcu opadł z sił, rozplakał się. Nagle nadjechała limuzyna i zatrzymała się tuż przed nim. Kierowca opuścił szybę w drzwiach, to był rzeźnik węży; dziewczyna, która przed chwilą tańczyła nago, wysiadła z auta i objęła kolegę.

Rzeźnik węży zobaczył, że chłopak jest poobijany i nie może ustać na nogach, natychmiast zabrał go z Yongjingu i zawiózł na pogotowie do szpitala w Changhua. Pamięta to doskonale. Rzeźnik węży całą drogę gnał jak pirat drogowy, przekraczał dozwoloną prędkość, przejeżdżał na czerwonym świetle, Yongjing w tylnej szybie malał w oczach. Dziewczyna trzymała go mocno za rękę, śpiewała i uśmiechała się. W aucie była klatka z kilkoma węzami. Jeden chyba miał chorobę lokomocyjną, bo wypluł tłustą żabę, która jeszcze żyła i skakała po klatce spanikowana.

Lekarze powiedzieli, że ma złamane żebro i musi zostać. Po kilku dniach spędzonych w szpitalu wrócił do Yongjingu, ale wszystko się zmieniło. Biały Dom został ukończony, fontanna Apollina tryskała słupem wody. Początkowo piąta siostra miała się wydać za najstarszego syna Wangów, z którymi sąsiedowali, a teraz panną młodą była czwarta siostra. W szkole mieli już nową nauczycielkę, a Łódeczka przeniósł się do innej placówki. Wsiadł na rower i pojechał do domu Łódeczki, nikogo tam jednak nie zastał, na drzwiach przyklejono kartkę z napisem „Sprzedam”. Koleżanka tańcząca nago zaszła w ciążę, rzuciła szkołę i kontynuowała karierę tancerki.

– Mama mówi – powiedziała dziewczyna – że póki mi brzuch nie urósł, mogę jeszcze potańczyć ze trzy miesiące, zarobić trochę, wychowanie dziecka kosztuje.

Łódeczka zjadł trzymany w ręku pikantny kotlet i wypił duży łyk lodowatej wody.

– Teraz jest babcią, ma gromadkę dzieci i wnucząt.

T., na pewno pamiętasz tę koleżankę, która tańczyła nago.

Kiedy wprowadzili się z T. do mieszkania pachnącego cukierkami, bardzo szybko poczuli presję ekonomiczną. Całe swoje tajwańskie oszczędności przelał na niemieckie konto. Jak zapłaci czynsz za cały rok, to skończą mu się fundusze. Po rejestracji związku z T. wklejono mu do paszportu kartę stałego pobytu, mógł iść do pracy i zarabiać pieniądze. Ale co by mógł robić? Nie zna przecież niemieckiego i jeszcze boi się kontaktu z ludźmi. Może powinien się najpierw nauczyć języka? Poszedł na kurs, cała grupa składała się z młodych Skandynawów, beztroskich, wesołych, uśmiechniętych, planujących, na jaką dyskotekę pójść w weekend, potańczyć i popić, czuł się w tym towarzystwie nieswojo, kiedy usiłował śmiać się razem z nimi, nad wypełnioną słońcem klasę nadciągały ciemne chmury. Ale jaką pracę może znaleźć bez niemieckiego? Życie wyhodowało mu kaktus na barkach, pełen kolców, które z każdym najdrobniejszym ruchem sprawiały mu dotkliwy ból. Przyjmował każde zlecenie na tekst, jakie tylko dostał z Tajwanu. Ale honoraria za zlecenia nie nadążały za czynszem, wcześniej opublikowane książki też nie sprzedawały się najlepiej, w trudnych czasach nie da się wyżyć z pisania.

T. powiedział mu, żeby się nie martwił. Przestanie zbierać porzucone rękawiczki, nie będzie już grał na wiolonczeli, poszuka pracy, coś wymyśli, żeby zarobić.

T. wyrabiał w domu zwierzątka z gliny garncarskiej: foki, pstrągi, śledzie kilońskie, węgorze, wszystkie te zwierzęta, które żyły w Bałtyku. Gliniane figurki zwierząt mieściły się w dłoni, były szarobure, proste i miłe dla oka, ryby miały wyraźne łuski. T. wykonał ich całą masę, włożył do torby i poszedł sprzedawać. Powiedział, że na bazarze trzeba zapłacić za miejsce, żeby móc tam sprzedawać, a to się nie kalkuluje. Znajomy, który

prowadzi sklep, bierze prowizję od sprzedaży, jedynym sposobem na zarobienie gotówki bez pośredników jest teatr.

Teatr?

T. przygotował mnóstwo małych karteczek, na których coś napisał. Sprawdzał w słowniku wyrazy, chcąc sobie przetłumaczyć cały napis, ale nie mógł w pełni wszystkiego zrozumieć, informacja na karteczkach brzmiała mniej więcej tak: jestem głuchoniemy, nie mogę znaleźć pracy, zrobiłem to własnoręcznie, dziesięć euro za sztukę, dziękuję za wsparcie.

T. założył mały plecak i wyszedł. W godzinach szczytu wsiadł do pociągu regionalnego RE. W tym pociągu przy wielu miejscach siedzących znajdują się stoliki, po wejściu do przedziału postawił na każdym stoliku zwierzątko z gliny garncarskiej i położył karteczkę, po czym wpatrywał się w pasażerów głęboko błękitnymi oczyma, prosząc wzrokiem, żeby zechcieli coś kupić. Teatr głuchoniemego aktora okazał się wielkim sukcesem, w ciągu dnia udało mu się sprzedać kilkanaście glinianych zwierzątek, a największym powodzeniem cieszyła się pulchna, uśmiechnięta foka.

Potem T. dostał pracę rozklejacza wlepek. Agencja reklamowa dała mu worek naklejek, a on, jeżdżąc rowerem po ruchliwych berlińskich ulicach, musiał je tylko wszędzie przyklejać. Na trafostacjach, na ogrodzeniach, na latarniach ulicznych, na słupach, po prostu wszędzie, żadnego miejsca nie przepuścił. Obok naklejek od agencji przyklejał wlepki, które sam zaprojektował. Był na nich okręt podwodny i dłoń pokazująca środkowy palec.

T. wyprowadził psa, żeby siedział przy bankomacie. Zawiesił mu na szyi kartkę z napisem: *Ich habe Hunger* (Jestem głodny). Po całym dniu kapelusz leżący przed psem zapełnił się drobniakami.

Zatrudnił się w lokalu z fast foodem, stał za ladą, przyjmując zamówienia i pobierając pieniądze. Kiedy ktoś płacił gotówką, przyglądał się uważnie i jeśli kwota była odliczona, to nie rejestrował zamówienia w systemie, nie otwierał nawet kasy, tylko wkładał pieniądze do własnej kieszeni. Wszystkich zamówień było w tym lokalu co niemiara, nikt więc nawet nie zauważył tego przekrętu.

Wieczorem był kelnerem w klubie ze striptizem. Pewnego razu studio filmowe wynajęło cały klub nocny do nagrań. Kręcono film, potrzebowano wielu statystów, więc T. zgłosił i siebie, i jego. Bał się tłumów, ale kiedy pomyślał, że zobaczy plan filmowy, że pozna miejsce, gdzie T. pracuje, i w dodatku jeszcze coś przy tym zarobi, zebrał w sobie siły i się zgodził.

To był serial kryminalny, światła na planie razily w oczy. Śledczy zaczął się, żeby podejść striptizerkę. Siedział z T. przy jednym stole, reżyser chciał, żeby patrzyli na striptiz jak obłąkani. Obaj trzymali się mocno za ręce pod stołem.

Po zakończeniu zdjęć, podpisując rachunek wypłaty, zauważył, że na kilku kamerach, statywach i lampach pojawiła się mała naklejka z okrętem podwodnym.

Kiedy wyszli z klubu, w Berlinie świtało. Temperatura o poranku latem była nieznośna, T. ściągnął wierzchnie okrycie i podał mu, został tylko w podkoszulku na ramiączkach. T. znowu schudł, rysy jego twarzy stały się jeszcze wyraźniejsze. Postanowili zaoszczędzić pieniądze i nie kupować biletu, do domu wrócili pieszo, trzymając się za ręce. W drodze opowiedział mu o koleżance, która tańczyła nago.

T. wpadł w szal, zaczął się wydzierać na pustej ulicy, ta nauczycielka nie ma kompetencji, żeby uczyć. Po ulicy rozniosła się wiązanka niemieckich przekleństw. Niemieckie wulgaryzmy wydawały mu się miłe

dla ucha, skrobały w gardło, drapały po zębach i w język, szorstkie jak papier ścierny, wygładzały fałdy plugawej przeszłości.

Na tej opustoszałej ulicy po raz pierwszy poczuł, że nie było między nimi bariery językowej. T. rozumiał jego angielski, a kiedy T. mówił do niego po angielsku, wplatając niemieckie słowa, on też wszystko rozumiał.

T. nie grał już na wiolonczeli, mogli więc spędzać czas ze sobą, ale nie zarabiali dużo, czynsz deptał im po piętach. Nie szukali już porzuconych rękawiczek, nie mieli kiedy zbierać czosnku niedźwiedziego w lesie.

Tak przebiegowali razem kilka lat. Kiedy naprawdę zaczęło im brakować pieniędzy, T. zgłosił się na pokaz fryzjerski, gdzie stylistą jednym pociągnięciem ściął mu długie złociste włosy, które potem sprzedano producentowi peruk. Nie martw się, mówił T., możemy jeszcze sprzedać wiolonczelę.

Każdemu z nich rósł kaktus na barkach.

Potem przeszedł proces naturalizacji, oddał tajwański paszport i przyjął niemieckie obywatelstwo. A więc zostajesz, powiedział T., to super.

Został kelnerem w pewnej tajwańskiej restauracji, obaj mieli więc jakiś dochód, życie się ustabilizowało, kupili stare auto od znajomego, mieli wreszcie jakieś oszczędności. Wybierzmy się w moje rodzinne strony na urlop, powiedział T.

Wsiedli do samochodu i pojechali nad Bałtyk, zatrzymali się u koleżanki T. Codziennie pili wino na plaży, jedli ryby, pływali, jedli lody, dom T. był rzut kamieniem od nich, ale T. nigdy nawet nie spojrział w tamtą stronę, udawał, że go nie widzi, gdy przechodził obok, w ogóle nie wspominał rodziców. Koleżanka zrobiła im zdjęcie na tle okrętu podwodnego. Tego dnia T. palił marihuanę, śmiał się w głos, obejmując go i całując co chwilę. Koleżanka też się śmiała do rozpuku, pociągała skręta, zdjęła bikini i opalała się nago. Wtedy, powiedziała, T. chciał pojechać

stopem do Berlina i nigdy nie wracać, spytał mnie, czybym z nim nie pojechała, całe szczęście, że się nie wybrałam, bo dopiero po przyjeździe bym się dowiedziała, że jest gejem, ha, ha, ha.

Zaczął się zastanawiać, czy to był jakiś konkretny moment. Konkretny moment, kiedy między nim a T. zaczęło się coś psuć.

W drodze powrotnej znad Bałtyku do Berlina zmieniali się za kierownicą, ale nic do siebie nie mówili. Tuż przed Berlinem T. nagle się rozpłakał.

Kiedy wrócili do swego berlińskiego mieszkania, przez kilka dni na dworze było gorąco i duszno, wiatr przywiewał woń cukierków z pobliskiej fabryki, skórę pokrywał lepki truskawkowy zapach. Życie płynęło jak dawniej, ale miał jakieś przeczucie, coś było nie tak, coś się popsuło. Kiedy rozerwał nowo kupione opakowanie cukierków, uderzył go w nos zapach spalenizny. Kiedy otwierał wino, pękł korek, okruchy wpadły do butelki. Talerz wypadł mu z rąk i runął na ziemię. Obcinając paznokcie, zobaczył krew. Ze słuchawki prysznicowej nagle poleciała wrząca woda. W nocy T. objął go z całej siły, szlochając przez sen, założył mu ramię na szyję, prawie go udusił, a w kieszeni miał jakieś nieznane pastylki.

T. dalej sprzedawał gliniane zwierzątka w pociągach RE, tym razem były to hipopotamy, okrągłutkie z otwartą paszczą. Natknął się na grupę pijanych obcokrajowców o ciemnej karnacji, doszło do sprzeczki, hipopotamy spadły na ziemię i się potłukły. T. wrócił do domu z siniakami na twarzy, na ramionach widać było kilka ran ciętych, miał złamany palec u nogi, nie przestawał złorzeczyć na obcokrajowców.

W lokalu z fast foodem wyszło na jaw, że przytulał gotówkę, natychmiast został zwolniony.

Klub ze striptizem zamknięto.

Czarny pies zachorował. Kilka dni później umarł.

Zostało mu tylko rozklejanie wlepek. Kiedy zgodnie z umową poszedł po naklejki, spytano go, czy nie chciałby wstąpić do ich organizacji. Powiedzieli, że potrzebują takich młodych Niemców jak on, mają multum spraw do załatwienia, pensja nie jest wysoka, ale jak się im współpraca będzie dobrze układać, to kto wie, może dostanie umowę na cały etat.

Wstąpił do organizacji.

T. zaczął się wyraźnie zmieniać, nie wyglądał już cały jak czarna noc, nosił teraz modne ubrania, dbał o fryzurę.

Zauważył, że na naklejkach, które T. rozklejał po mieście, widniały kombinacje cyfr. Wkrótce potem na ramionach T. pojawiły się tatuaże. Małe tatuaże między ramieniem a barkiem. Na prawym ramieniu 18, na lewym 44.

---

<sup>86</sup> Almanach oparty na chińskim kalendarzu księżycowo-słonecznym, czasem utożsamiany z tymże kalendarzem, w którym przy każdej dacie znaleźć można informację, czy dany dzień jest pomyślny, czy pechowy w odniesieniu do konkretnych czynności, takich jak na przykład wyjście za mąż czy rozpoczęcie budowy domu.



## TEN CHOLERNY DESZCZ KŁUJE JAK IGŁY

A-Chan miała dwadzieścia pięć lat, kiedy urodziła czwartą córkę.

Bolało. Jak rodziła poprzednie trzy córki, to za każdym razem padał deszcz. Dzisiaj, gdy położna weszła do sanheyuanu, za oknem zaczęło kropić. A-Chan krzyczała, zaciskając pięści, klęła na pogodę. Leżała na łóżku, przyglądając się strugom deszczu za oknem, krople spadającej wody wyglądały jak sypiące się z nieba igły, celujące w jej pochwę i tyłek. Deszcze to igły, nie strzały. Strzała może przeszyć ciało, porozrywać trzewia, doprowadzić do śmierci. Ale ten cholerny deszcz kłuł jak igły, dźgał bez opamiętania, nie zabijał, powoli zarzynął ciało.

Znowu córka. Położna przekazała jej dziecko i poszła powiedzieć teściowej, że to znowu córka. Teściowa stała za drzwiami, nawet nie weszła, jak się dowiedziała, że synowa urodziła kolejną dziewczynkę, słowem się nie odezwała, włożyła japońskie geta i powiedziała, że idzie na zakupy. Drewniane obuwie stuknęło o ziemię głośno i wyraźnie. Leżała na łóżku, czując się jak podłoga, po której stąpała teściowa, drewniaki miażdżyły jej ciało, czaszka jej pękała, drewniane obcasy odcisnęły trwałe ślady na jej skórze.

Bolało. Ależ bolało. Mamo. Przy każdym porodzie myślała o matce. Ale dzisiaj mamy nie było, jej mąż A-Shan też nie był obecny. Miała tylko siebie i czwartą córkę.

Mama często opowiadała A-Chan o bólu. Obie były niepiśmienne, ale gadać uwielbiały. Ich struny głosowe non stop drgały, roznosząc po całej hali fabrycznej ogrom słów, potoki ich rozmów wsiąkały w ściany dookoła. Przed Nowym Rokiem było wielkie sprzątanie, wszyscy chwyтали za szczotki i czyścili ściany z nagromadzonego przez rok brudu, rozmowa matki z córką odpadała ze ścian razem z brudem, trafiając do uszu pracowników.

Mama mówiła, że ból porodowy to nie ból. Jak cię rodziłam, to pewnie, że bolało, ale w porównaniu z innymi bólami poród to nic takiego.

Kiedy była mała, mama jej mamy została zgwałcona, chłopcy zobaczyli, jak leży naga w gaju bambusowym przyciskana do ziemi przez kilku mężczyzn. Chłopcy chwycili motyki i przegнали mężczyzn, okryli ją workiem na ryż i odprowadzili do domu. Ale rodzina męża nie pozwoliła jej wejść, wygnano ją do domu rodziców. Umrę, powiedziała malutkiej jeszcze wtedy mamie, powieszę się w gaju bambusowym. Dzisiaj nic nikomu nie mów, jutro wszystkim powiesz, żeby poszli do gaju bambusowego zabrać trupa. Mama grzecznie usłuchała i dopiero następnego dnia wyjawiała prawdę. Pobiegła razem ze wszystkimi do gaju, zobaczyła mizerne zwłoki wiszące na grubym bambusie. Zawiało, strzelisty bambus chwiał się na wietrze, zwłoki też kołysały się lekko, węzły łodygowe wydawały dziwne dźwięki, jakby ktoś ciął bambus nożem, odgłosy te były rytmiczne jak piosenka. Łopot liści na wietrze również przypominał piosenkę, jakby ktoś jednocześnie śpiewał i płakał. Słuchając tych śpiewów, miała wrażenie, że porywisty wiatr złamał pień bambusa, zaostrzył go i wolno wbijał prosto w nią. Bolało.

Przed świątynią wyłożono grubą warstwę czarnej ziemi, na której usypano stos złotych papierów, a wszystko po to, aby przeprowadzić obrzęd przechodzenia przez ogień, w kolejce ustawili się bosi mężczyźni

trzymający lub niosący figurki bóstw, czekając na pomyślny moment, żeby przejść. W długiej kolejce stali sami mężczyźni, byli tam i starcy, i dziesięcioletni chłopcy, tylko kobietom nie było wolno przechodzić przez ogień. Mężczyźni gęsiego przebiegali po stosie płonących papierów. Jeden z nich, trzymając oburącz figurkę bóstwa, zawahał się tuż przed ogniem, starzy krzyknęli na niego, pośpiesznie wszedł na palenisko, ale potknął się, figurka wpadła do ognia. Tłum zaczął wyć, że trzeba ratować figurkę, nikt nie zamierzał ratować mężczyzny, który się potknął. Ruszyła jak z kopyta, wbiegła do ognia i wyciągnęła mężczyznę. A-Chan, A-Chan, mówię ci, ale potem na mnie klęli, mówili, że kobietom nie wolno przechodzić przez ogień, że to obraza majestatu niebios. Ale A-Chan, ten mężczyzna, który się potknął, to wasz ojciec, jakbym go nie uratowała, to kto by go uratował? Nie pamiętasz swojego ojca, co? Całą skórę miał spaloną do czarności, pojęczał kilka dni w domu i umarł. Umarł z otwartymi oczami, próbowałam je zamknąć ręką, ale nie chciały się zamknąć. Starcy w świątyni mówili, że twój tata umarł, bo rozwścieczyłam bogów, kiedy nadepnęłam na ogień. Też wyłam z bólu przez te kilka dni, przypaliłam sobie stopy, nie umarłam razem z twoim tatą, ale wiesz, jak bolało? Do dzisiaj mnie stopy bolą, jak umrę i zamienię się w ducha, na pewno będą nadal boleć.

A-Chan patrzyła na płaczącą w jej ramionach czwartą córkę, kipiała w niej złość. To przecież mnie boli, nie ciebie, czemu płaczesz? Gniew się w niej kotłował, chciała podnieść córkę wysoko, wysoko i wyrzucić za okno, na deszcz.

Była zmęczona, ale nie potrafiła zasnąć. Poczowała głód, miała tłusty boczek i ryż ze smalcem, ale nie była w stanie niczego zjeść. Chciała coś powiedzieć, ale zaschło jej w ustach. Słowa piętrzyły się w piersi, same złorzeczenia, jak tylko spojrzała na córkę, to klęła. Klęła na A-Shana. Pieniądze, jakie zarabiał, pomagając rolnikom, nie wystarczały na

wyżywienie dzieci. Biła córki, które w oczach miały tylko przerażenie za każdym razem, kiedy ją zobaczyły.

A-Shan wrócił; kiedy usłyszał, że ma kolejną córkę, usiadł na skraju łóżka i nawet nie spojrzawszy na żonę, wziął córkę na ręce i ukołysał. No już dobrze, już dobrze, mówił, nie płacz, nie płacz, następnym razem będzie braciszek.

A-Chan miała przeczucie, że za piątym razem na pewno znowu będzie padało.

Wchodząc do rodziny Chenów, szybko się zorientowała, że to dawni obszarnicy, ale teraz nie tylko nie mają grosza przy duszy, ale jeszcze narobili sobie długów. Odebrano im ziemię, a teściowa mimo tego zachowała dawne zwyczaje, kupowała japońskie naszyjniki z pereł, złote kolczyki, nefrytowe bransolety, srebrne szpilki do włosów, na ofiary dla przodków stawiała tylko najdroższe owoce, zabijała tylko najtłustsze prosiaki.

Jako pierwsza synowa musiała sprzątać domową kapliczkę, oddawać cześć przodkom, składać ofiary z okazji świąt dużych i małych, przyrządzać codziennie trzy posiłki dla teściowej. Początkowo kilka synowych na zmianę wykonywało te obowiązki, ale żony braci A-Shana urodziły synów za pierwszym razem, teściowa stwierdziła, że synowa, która urodzi chłopca, nie musi brać udziału w tej rotacji, wszystkie obowiązki spadły więc na barki tej, która umiała rodzić tylko córki.

W końcu zabrakło pieniędzy, żeby kupić ryż, warzywa czy mięso, A-Shan dopiero wtedy poszedł do pracy, znalazł zajęcie na plantacji. A-Chan poszła do mamy pożyczyć pieniądze, mama dała jej pewną kwotę, ale młodszy brat miał się żenić, w domu potrzebne były pieniądze. A-Shan był człowiekiem wykształconym, codziennie czytał książki, uczył córki czytać i pisać. Po co czytać książki? A-Chan wyrzucała wszystkie tomy, które A-

Shan miał na półce, w końcu sama nie umiała przecież czytać, a czy z czytania można wyżywić rodzinę? Można w książkach sadzić ryż? Można w książkach hodować świnie? Może jak rzucić książki świniom, to świnie je zjedzą?

Teściowa za ścianą słyszała czasem szlochanie synowej, którego nie była w stanie stłumić bawełniana kołdra. Wariatka, wydzierająca się, chora, cholerna swatka nie powiedziała mi, że ta upiorzyca co się powiesiła, to z ich rodziny jest. Wariactwo jest dziedziczne, chore z chorego powstaje.

Pewnego razu podczas oddawania czci przodkom w sanheyuanie kilka trociczek w kadzielnicy zajęło się ogniem od spodu.

– *Huat-lôo*<sup>87</sup>! – wrzasnęła teściowa, jak tylko to zobaczyła. – *Huat-lôo!*

A-Chan patrzyła na buchające płomienie i trzymając dziecko na jednej ręce, drugą wyciągnęła w kierunku trociczek.

Ogień sparzył jej palce, co jednak było przyjemnym doznaniem.

Gdyby teściowa nie wymierzyła jej pięknego policzka, A-Chan pozwoliłaby płomieniom, by te połknęły jej rękę. Dobrze byłoby nie mieć rąk, pomyślała sobie. Bez rąk nie można zapalać trociczek, nie trzeba gotować posiłków, nie trzeba karmić świń i kur, nie trzeba sprzątać, nie trzeba plewić w polu, nie trzeba bić dzieci ani ich nosić.

---

<sup>87</sup> Sytuacja, w której trociczki zamiast spalać się z góry na dół, tlą się lub płoną od spodu.

## 4

# Z FACETEM

Łódeczka wstał, żeby się pożegnać, najstarsza siostra Shumei, druga siostra Shuli, trzecia siostra Shuqing i najmłodszy brat Tianhong pobledli ze strachu, co teraz będzie? Kiedy Łódeczka sobie pójdzie, zabraknie osoby z zewnątrz, nie będzie można dalej prawić sobie uprzejmości, nie będzie jak owijać w bawełnę, trzeba będzie spojrzeć sobie prosto w oczy. Ale mī-suànn z wieprzowymi nóżkami i kotlety z kurczaka już się skończyły, wszystko zjedli, uprzejmy small talk się wyczerpał, nie było powodu, by zatrzymywać gościa.

Chen Tianhong odprowadził Łódeczkę do auta, ciemne chmury zniknęły z nieba, było bezwietrznie i parno, nastąpiła ponownie gwieździsta, księżycowa noc.

– Skąd znasz moją najstarszą siostrę?

– Z Pływalni Wiecznej Pomyślności. Kiedyś tam sprzątała, smażyła parówki w cieście, sprzedawała lody, zaraz po powrocie każdego dnia chodziłem sobie popływać i codziennie kupowałem od niej lody. Na pływalni ludzi było tyle, co kot napłakał, lodów nikt nie kupował, nudy straszne, więc zacząłem gadać z twoją siostrą. I tak od słowa do słowa okazało się, że jej najmłodszy brat to mój kolega z gimnazjum.

Blask księżycyca obsypywał ciemną cerę Łódeczki złotym pyłem, zmarszczki to pogłębiały się, to wyglądały w rytm ruchów mięśni twarzy. W kącikach ust Łódeczki mieniły się jeszcze tłuste drobiny panierki po

kotlecie, w szczelinach między zębami widać było resztki mięsa i makronu, twarz miał obfitą i pełną. W zmarszczkach na czole kryły się promyki słońca, w bruzdach nosowo-wargowych blask księżycy, w kurzych łapkach światło gwiazd, a na spoconym nosie obfite krople deszczu. Kiedy mówił, świeciło słońce, lśnił księżyc, migotały gwiazdy, cała twarz wyglądała jak niezagospodarowane pole, na którym gleba żyzna, trawy i krzaki rosną gdzie popadnie, dżdżownice spulchniają ziemię, a wiatry i deszcze cyrkulują bezustannie. Jego własna twarz, pomyślał sobie Tianhong, to jałowy ugór, ani piędź trawy nie wyrośnie, w zmarszczkach kryją się brudy z dawnych lat, dlatego się nie uśmiecha, śmiech rozciągnąłby mięśnie twarzy, ścisnął zmarszczki, wyciskając z nich zbyt wiele syfu.

– Chcesz? Zabiorę cię, przywitasz się z właścicielką budki z kotletami.

Tianhong zastanowił się chwilę, ale pokręcił głową. Siostry czekają na niego w domu, musi wracać i spojrzeć im prosto w oczy.

– Sorry, że cię tak zatrzymałem.

– A weź, sam byłem głodny, miałem ochotę na te kotlety z kurczaka.

– Dzięki. To w sumie dziwne, że cię dzisiaj spotkałem w fabryce sosu.

– Nie ma za co dziękować. Starzy koledzy jesteśmy. Jakby coś, to wal do mnie, mieszkam tam, gdzie kiedyś.

Tianhong przypomniał sobie ten dom nauczycielki z gimnazjum, spocone dłonie zaciskające się na jego szyi i butelkę po sosie wsadzoną w tyłek.

Łódeczka zauważył, jak się koledze zmienił wyraz twarzy.

– Spokojnie, mamy nie ma. Cała rodzina przeniosła się do Kanady, tylko ja tu jestem. Mama strasznie się zdenerwowała, kiedy jej powiedziałem, że chcę wracać. Im bardziej była wściekła, tym większy był to dla mnie sukces. Ano tak, ale ja jestem, gadam jak najęty. Zaraziłem się

tym od twojej siostry, uwielbiam gadać teraz tak jak ona. Nie do zniesienia, co nie?

Tianhong pokręcił głową.

– Mów, jak ciebie słucham, to spać mi się nie chce. Inaczej bym się tutaj po prostu położył. Mów jeszcze.

Żołądek Tianhonga zaczął bełtać, memłać kotlety z kurczaka, aż wymemlał lepka senność. Pikantna i gorąca senność rozbiegła się po całym ciele.

Łódeczka zaczął mówić.

– Przepraszam – powiedział najpierw.

Pewnego razu mama powiedziała nagle, że się przeprowadzają, a on musi zmienić szkołę, nie miał zielonego pojęcia, co zaszło. Dopiero jak kilka lat temu poznał jego najstarszą siostrę, dowiedział się od niej, co mama zrobiła.

O niczym nie wiedział, więc wykonywał polecenia mamy, zdał egzaminy do elitarnego liceum, dostał się na najbardziej oblegane studia. Łódeczka miał starszego brata, który doktoryzował się w Kanadzie, potem cała rodzina się tam przeniosła. Kontynuował naukę w Kanadzie, na studiach doktoranckich poznał dziewczynę, chodzili razem do lasu prowadzić badania, codziennie chowali się w drewnianej chacie, obserwując sowy. Powiedział mamie, że chce się żenić, mama spojrzała na dziewczynę i powiedziała, taka ciemna skóra, nie ma mowy. Łódeczka nie ośmielił się przetłumaczyć słów matki na angielski, mama łypnęła okiem na syna i sama powtórzyła po angielsku do dziewczyny. Po takich studiach pracy żadnej nie dostaniesz, mówiła dalej mama, a ty jeszcze przyprowadzasz do domu takie coś.

Takie coś?

Jego starszy brat też powiedział, że chce wziąć ślub.



Z facetem.

– Wyobraź sobie, jaką mama zrobiła minę, można było umrzeć ze śmiechu. Wtedy zrozumiałem, że za każdym razem kiedy mamie rzedła mina, czułem radość, wielką radość, nawet odebranie dyplomu doktorskiego nie dało mi tyle radości.

– No to... gdzie twoja żona?

– Rozwiedliśmy się. – Gdy to powiedział, twarz Łódeczki była wciąż żywną glebą, nos i oczy zdrową roślinnością, nie wyrosły tam żadne chwasty. – Nie było innego wyjścia, nie pokłóciliśmy się, wytrzymałem kilka lat, zmęczyło mnie to. Długo rozmawialiśmy, dzięki niej, dzięki rozmowie z nią poznałem w końcu samego siebie. Okazuje się, że jestem głupkiem, który umie tylko słuchać, co mu mama powie, a sam nie wiem, co chcę robić. Nasz ślub to była zbyt pochopna decyzja. Chciałem się jak najszybciej ożenić, żeby zrobić na złość mamie. Ale po co mi to było? Wystarczy mi brat, brat jest taki szczęśliwy, to wystarczy.

Czy nie poznałem sam siebie dzięki T.?, pomyślał Tianhong.

– W chińskiej księgarni w Kanadzie zobaczyłem twoją książkę. Uderzyło mnie, że imię i nazwisko jakieś takie znajome, wziąłem, no i faktycznie to ty. Jedno opowiadanie było o mojej mamie, co nie? O tej opętanej nauczycielce, która biła uczniów ratanowym wskaźnikiem. Wszystko mi się przypomniało, jak przeczytałem. Dziwne, całkowicie zapomniałem o Yongjingu. Po przeczytaniu twojej książki postanowiłem wyjechać z Kanady i wrócić tutaj. W dzień rozvodu poszliśmy na spacer do zoo, widzieliśmy hipopotama, jak otwiera paszczę, żeby mu pracownik ogrodu mógł wyczyścić zęby, przypomniałem sobie wtedy o czymś. Pewnego dnia niedługo po przeprowadzce, kiedy rodziców nie było w domu, wsiedliśmy z bratem do pociągu i przyjechaliśmy z powrotem do Yongjingu. Nagle zobaczyliśmy hipopotama na drodze, potem wpadł

w pole ryżowe, paszczę miał szeroko otwartą. Nawet coś tak niebywałego wyleciało mi z głowy. To naprawdę niebywałe, skąd w Yongjingu hipopotam? Czy ja coś źle zapamiętałem? Mówi ci to coś?

Tianhong wybuchnął śmiechem. To był naprawdę niedorzeczny obraz: pijany hipopotam biegający samopas po ulicach Yongjingu, a potem wpadający w pole ryżowe.

Kiedy opowiedział swojemu T. historię z hipopotamem, T. ulepił z gliny całą masę małych, okrągłutkich hipopotamków. T. powiedział, że hipopotam z jego historii był bardzo nieszczęśliwy i do tego pijany, nigdy jeszcze nie widział pijanego hipopotama, dlatego ulepił tylko takie rozkoszne hipopotamki. Potem te małe figurki się potłukły, a potłuczone przywoływały mu na myśl tego hipopotama, którego pamiętał.

– Spędziliśmy wtedy w tym zoo cały dzień, a kiedy przyszło do rozstania, zapłakała. Ale nie była smutna, rozumiałem, że to były jej przeprosiny.

Tianhong pomyślał, że też by pewnie zrozumiał. Widział już takie okazywanie wdzięczności. Mocowali się, uderzali, nożem w rękę dźgnął swojego T., ale T. nie poczuł bólu, nawet się uśmiechnął, to był uśmiech wdzięczności. T. wyciągnął nóż, nie czuł bólu, rzucił się na niego, okładał go pięściami zboczonymi świeżą krwią. Znowu się chwilę mocowali, nóż raz jeszcze wbił się w ciało T.

– *Go, now* – powiedział T.

Kiedy go potem policja przesłuchiwała, miał mętlik w głowie. W jego ciele buzowały nieznanne mu pastylki, sznur krępował go bardzo długo, nie pił, nie jadł, niemal się udusił, pięści pozostawiły na skórze mnóstwo ciemnych obłoków. T. wyciął mu nożem kawałek skóry z ramienia, prostokątny, może miał już w sobie zbyt wiele farmaceutyków, bo nie czuł najmniejszego bólu; patrząc, jak T. trzyma w ręku kawałek jego skóry,

myślał cały czas o piątej siostrze, która przed śmiercią powiedziała mu, że chce „zrobić przedstawienie”. Pocięła sobie ramię nożem introligatorskim, wytrysnęła świeża krew.

– Sz-sz, tylko nikomu nie mów – powiedziała mu. – W ogóle nie boli. – Wzięła płyn odkażający i gazę, po czym opatrzyła sobie ranę. – Jak się zablizni, rozetnę jeszcze raz.

Pamięta, że siostra była roześmiana, miała bardzo pogodną minę.

Łódzka powiedział, że hoduje nietoperze w ogrodzie za domem. Kiedy wrócił, zauważył, że nie widuje już zwierząt, jakie pamiętał z dzieciństwa. Nie widział żółtych motyli, nietoperzy na gałęziach drzew, węży było znacznie mniej, żab też ubyło, odgłosy cykad latem stały się słabsze. Drzewa, na których mieszkały nietoperze, wycięto w pień, żeby zbudować Biały Dom. Zamierzał odnowić populację nietoperzy, zgromadził wiele informacji na ich temat i zaczął od hodowania kilku osobników w ogrodzie.

– Nie zapomnij mnie odwiedzić. Przyjdź zobaczyć nietoperze.

Pikap Łódzki odjechał w mrok, pozostawiając za sobą chmurę dymu i pyłu, która wdzierała mu się do oczu. Szybko więc je zamknął i zaczął je przecierać. Kiedy znowu je otworzył, Łódzki już nie było, został tylko jaśniejący księżyc.

## JAPOŃSKIE WITAMINY

Czy to dobrze być upiorem? Mówię wam, świetnie być upiorem.

Za życia byłam cała sucha. Skórę miałam jak pustynia, paznokcie jak skały, włosy jak uschłe pnącza. Teraz mogę się wylegiwać pośród mchu, sypiać w zawilgotniałych ścianach rodzinnego domu, tarzać się w mokrej ziemi, a najlepsze jest błoto po deszczu latem, ziemia łączy się z wodą, nie wiem, czy po śmierci jest raj w niebie, ale rajem jest błoto.

Tylko że w tej małej wiosce rzadko kiedy pada deszcz.

Bardzo wcześnie dojrzałam, piersi mi szybko urosły. Pewnego razu, kiedy rano wychodziłam do szkoły, koszula mundurka jeszcze dobrze leżała na ciele, po szkole piersi wybrzuszyły koszulę, guziki wystrzeliły jak pociski, trafiając kilku wpatrzonych we mnie chłopaków. Od tego dnia chłopcy w szkole zapomnieli, że nazywam się Chen Qiaomei, i zaczęli na mnie mówić Manmei, stałam się pełna i obfita<sup>88</sup>. Piersi rosły mi coraz większe, doszło w końcu do tego, że nie mogłam kupić biustonosza, mama musiała zabrać mnie do zakładu bieliźnianego w Yuanlinie, żeby mi uszyto na zamówienie. Ksywka „Manmei” rozbiegła się po całej szkole, przeskoczyła ogrodzenie, po czym wijąc się uliczkami i zaułkami, dotarła nawet do mojego domu, gdzie wszyscy zaczęli mówić na mnie Manmei.

Czwarta siostra bardzo mi zazdrościła, nic nie powiedziała, ale wiedziałam, że mi zazdrości. Jadłyśmy codziennie to samo, robiłyśmy to samo, chodziłyśmy to tej samej podstawówki, do tego samego gimnazjum,

piłyśmy taką samą wodę, o tej samej porze chodziłyśmy spać i o tej samej godzinie wstawaliśmy. Czemu ja byłam taka obfita, a ona taka płaska?

Podobała mi się ta ksywka i lubiłam, jak ludzie się na mnie gapili. Przewoźnik najęty przez ojca ledwie zobaczył moje piersi, a już mu coś na dole stanęło. Oceny ze sprawdzianów w szkole miałam kiepskie, jak wystawiałam ręce do bicia, to nieważne, czy to nauczyciel, czy nauczycielka, wystarczyło, że się wyprostowałam i piersiami przysłoniłam pole widzenia, a siła uderzenia malała, ratanowy wskaźnik lekko opadał mi na dłoń. Sąsiedzi pytali mamę, co należy córkom do jedzenia dodawać, żeby takie urosły. Swatka kiedyś do nas przyszła i powiedziała, że tylko patrzeć, jak dorosnę, bo wielu jest chętnych, żeby wziąć piątą córkę Chenów za żonę.

Najstarszy syn Wangów z sąsiedztwa, mówiłam na niego mały Wang, przyszedł do mnie z propozycją biznesową. Powiedział, że wszyscy gadają o moich piersiach i każda kobieta pragnie mieć takie same. Chciał, żebym rozpowiadała, że urosły mi takie duże, bo brałam jakieś japońskie witaminy. On się zajmie hurtowym zakupem syntetycznych witamin, nieistotne jakich, bo i tak przyklei tam japońską metkę; grunt, żeby nikt po zażyciu nie umarł i będzie dobrze. Mieliśmy się podzielić sześć na cztery: on sześć, ja cztery. On się zajmie zakupem i sprzedażą, ja nie muszę nic robić poza rozpowiadaniem, że zażywam japońskie witaminy. Powiedziałam, że podział sześć na cztery mi odpowiada, ale ja sześć, a on cztery. Wrzasnął, że się nie opłaca i nie chce takiej współpracy. Pozwolę ci pomacać obie przez dziesięć sekund, powiedziałam, i dzielimy się sześć na cztery, ja sześć, ty cztery.

Lewa dziesięć sekund. Liczyłam powoli.

Prawa dziesięć sekund. Przyśpieszyłam odliczanie i dałam mu po łapach.

Doskonale pamiętam jego zadowolony wyraz twarzy.

– O, ale super, niezła jesteś! Twój ojciec nie jest taki dobry w interesach jak ty. Daje się tylko wykorzystywać mojemu ojcu, frajer.

Robiąc z mamą zakupy na targu, powiedziałam właścicielce straganu z wieprzowiną, że zażywam japońskie witaminy. Odprawiając obrzędy w Świątyni Mazu pod Murami Miasta, powiedziałam świątynnemu, że mama daje mi japońskie witaminy i dlatego tak wyglądam. W szkole powiedziałam koleżankom, że po jednym opakowaniu już będą wielkie, a ja zjadłam kilka opakowań i dlatego się takie zrobiły, to straszny kłopot, takie duże, nie mogę kupić biustonosza na ten rozmiar, muszę jeździć do Yuanlinu i specjalnie zamawiać. A bielizna na zamówienie kosztuje! Krawcowa, biorąc rozmiar, mówiła, że takich wielkich w życiu nie widziała. Same problemy!

Zaczął rozprawdzać japońskie witaminy po domach, sprzedaż miał niebotycznie wysoką, ciągle domawiał towar. Zobaczyłam japońskie witaminy na biurku czwartej siostry, nawet ona kupiła. Powiedziałam jej, że to bujdy, żeby nie kupowała, bo to strata pieniędzy. Wpadła w złość, powiedziała, że to niesprawiedliwe, że mama tylko dla mnie kupuje, a jej nic nie dała, teraz to już na pewno za późno, żeby je brać. Powiedziała mi, żebym szła do diabła, stwierdziła, że ukradkiem zażywam witaminy, nie mówiąc jej o tym, niełatwo jest być córką, a tu jeszcze najukochańsza siostra ją oszukuje.

Też się zdenerwowałam.

– Jedz sobie, jedz! – powiedziałam. – Weź dziesięć opakowań, może to coś da.

Zarobiliśmy z małym Wangiem kupę kasy. Mama rzadko dawała nam, córkom, kieszonkowe, ale nie szkodzi, bo miałam małego Wanga, a on znał

się na zarabianiu pieniędzy, wiedział, co się sprzedaje; współpracując z nim, nie musiałam już prosić rodziców o drobne.

Kupiliśmy sobie z małym Wangiem butelkę francuskiego szampana, żeby uczcić sukces biznesu witaminowego. Ale skąd mogliśmy wiedzieć, jak się pije szampana? Schowaliśmy się na strychu szeregowca, nie mając pojęcia, jak otworzyć butelkę. Wreszcie odkorkowaliśmy, wystawiony na tak wielkie słońce szampan był już ciepły. Ale co tam, złocisty płyn z bąbelkami wlewał się do gardeł, słodki, nawet dobry. Jak już wypiliśmy, zakręciło nam się w głowie. Kiedyś zarobimy jeszcze więcej, powiedział, zabiorę cię do Francji, do Paryża.

Upił się.

– Jak byłaś mała – spytał – to czy rodzice nie kupili przypadkiem broni gazowej?

W Yongjingu roіło się wówczas od rzezimieszków, wszędzie mordowali i gwałcili. Tak właśnie ludzi oszukiwano, to ojciec małego Wanga rozpuścił tę plotkę. W takiej małej wiosce łatwo było tworzyć plotki, wystarczyło wymyślić kilka historyjek, podkupić kilka osób, nawet policji dać czerwoną kopertę, w nocy sfingować jakąś rozróbę i już wszyscy się bali. Psychika ludzka jest trwożliwa. Stary Wang zaczął chodzić po domach, sprzedając broń gazową. Jak tylko w progę zjawi się złodziej, trzeba wycelować i strzelić, bandyta zostanie obezwładniony, rodzina będzie bezpieczna. Mój ojciec zarobił wtedy kupę kasy, stąd stać go było na zakup szeregowca obok was.

Popijając szampana, mały Wang powiedział, że ma na mnie ochotę. Ja mu na to, że wykluczone, musi się najpierw ze mną ożenić, nie jestem taka głupia. Powiedział, że nie da rady, na widok moich piersi tak mu stanął, że musi się spuścić. Mówił, że kiedy sprzedawali broń gazową, to po nocy z ojcem fingowali rozróbę, był wtedy w okresie dojrzewania, biegając po

nocy, naprawdę miał ochotę się spuścić. Wpadł na pomysł, że podejdzie pod parterowy sanheyuan, weźmie latarkę, poszuka pokoju, gdzie śpi jakaś dziewczyna, zrobi trochę hałasu, żeby ją obudzić, potem zgasi latarkę, zmasturbuje się na oczach dziewczyny i tryśnie w kierunku okna. Przecież będzie ciemno, nikt nie zobaczy, wtedy w Yongjingu nie było jeszcze latarni ulicznych.

– Proszę, Manmei, daj mi, na strychu nikogo nie ma, nikt się nie dowie.

– Najpierw zarób fortunę, zbuduj mi dom, zabierz mnie do Paryża, to ci będę dawać. Codziennie, kiedy zechcesz.

Tata pojechał już wtedy z Wangami robić interesy w Chinach. Kiedy pozwolono na odwiedzanie się rodzin po obu stronach cieśniny, stary Wang postanowił wybadać rynek. W czerwcu tego roku w Pekinie doszło do zamieszek, tata wrócił na Tajwan, powiedział, że co to, to nie, zbyt niebezpiecznie, boi się tam wracać. Powiedział, że cały Pekin był jak ta srebrzysta wieża ciśnień. Stary Wang z synem zostali w Pekinie, zakładali fabrykę. Wkrótce potem Wangowie wrócili. Powiedzieli, że wszyscy się rozjechali, trzeba korzystać z okazji, okienko się otworzyło, zawierucha jest na świecie, na zawierusze się człowiek biznesu bogaci!

Najpierw sprzedawali ciastka, zaczęli od słodkich, na opakowaniu roilo się od napisów po japońsku. Stary Wang stwierdził, że gorzkie jest życie, gorzkie jest życie Chińczyka, wyglądają na głodnych, nie jedzą do syta, więc trzeba im sprzedać coś słodkiego, jedząc słodkie rzeczy, zapomną o goryczy, a najedzeni przestaną się zamartwiać. To były oczywiście ciastka produkowane w Chinach, tylko opakowanie sugerowało, że są importowane z Japonii. Stary Wang mówił, jasne, że Japonię należy zwalczać, ale kto nie tęskni za japońskim postępem? Jedząc te ciastka, można się poczuć Japończykiem, na pewno wszyscy kupią.



Ciastka sprzedawały się wspaniale, powiększono halę produkcyjną, potem wprowadzono na rynek ciastka słone, odpowiednie w przypadku nawiedzania grobów, składania ofiar przodkom czy z okazji innych świąt i uroczystości, pożywne i zdrowe, dorośli zajadali ze smakiem, dzieci, jedząc te ciastka, rosły jak na drożdżach.

Wangowie nie tylko w Chinach zarabiali wielkie pieniądze, ale również na tajwańskiej giełdzie. Giełda tajwańska zaczęła szybko rosnąć pod koniec lat osiemdziesiątych, a w latach dziewięćdziesiątych indeks osiągnął 10 000 punktów, Wangowie kupili obu synom niemieckie samochody.

– Ten mój młodszy brat – mówił mały Wang – to głupek, jakieś tam ideały, cymbał, skończył uniwersytet i co z tego, umarł tak wcześnie. Popatrz na mnie, mam wszystkiego pod dostatkiem, śpię na pieniądzach. Popatrz, ta książka, ta książka o moim bracie, autor się obłowił, a mój brat leży w grobie i ani grosza z tego nie ma. Cymbał. Kiedyś będziemy mieć razem dzieci, niech tylko jakieś powie, że chce iść na studia, to mu nogi z dupy powyrywam.

No to możemy się teraz pobrać?, spytał mały Wang. Powiedział, że zobaczył kiedyś miłość hiszpańską w japońskim pornosie i chciałby ze mną spróbować. Spytałam go, co to jest ta miłość hiszpańska? Włożył mi palec wskazujący między piersi i przesuwał go w dół i w górę. Jak tylko dotknął palcem moich piersi, poczułam dziwne swędzenie i zaraz dostałam wysypki. Czym prędzej zakryłam wykwity kurtką.

– Tata mówi, że jeśli się ożenię, to wybuduje dla mnie wielki dom. Powiedz, co tylko sobie życzysz, a postawimy dla ciebie.

Powstał projekt i rozpoczęła się budowa Białego Domu. Chciałam fontannę, zoo i hipopotama. Stary Wang wręczył moim rodzicom sporą sumę na zaręczyny, Chenowie połączyli się z Wangami, Biały Dom miał

być zbudowany z najwyższej jakości materiałów, ściągnięto najlepszych murarzy z bliska i z daleka, żeby jak najszybciej ukończyć budowę.

No to teraz możesz mi dać, co nie? Powiedział mały Wang po oświadczeniach.

Podjechał niemiecką limuzyną i zabrał mnie do wielkiego hotelu w innym powiecie. Jak tylko weszliśmy do pokoju, ściągnął spodnie i powiedział, że przez całą drogę miał wzwód.

Chciał, żebym mu obciągnęła, ale jak tylko przystawiłam usta, poczułam smród i zwymiotowałam najpierw w jego członka, potem na podłogę, a w końcu na łóżko.

Poprosiłam go, żeby poczekał, żeby jeszcze trochę poczekał. Przepraszam, źle się ostatnio czuję.

Dobrze, poczekał.

Przy drugim podejściu chciał miłości hiszpańskiej. Kazałam mu umyć krocze mydłem, żeby nie było już żadnego odoru. Posłuchał mnie, ale odór wciąż było czuć, myślałam, że zwymiotuję, ale powstrzymałam się jakoś. Był bujnie owłosiony, czuć było papierosy, wódkę i mięso. Kazał mi się położyć na plecach i dłońmi przycisnąć piersi z dwóch stron do środka, żeby jego wielki narząd mógł się wsunąć w szczelinę między piersiami. Zaczął pocierać i pojękiwać. Robił to, aż zauważył, że moje piersi obsypała nagle dziwna gęsta wysypka, natychmiast mu wtedy opadł, a on sam czym prędzej się wycofał.

Wiesz, że mam uczulenie, powiedziałam.

Po dłuższym czasie uczulenie ustąpiło. Powiedział, że tym razem nie chce ani po francusku, ani po hiszpańsku. Nie będzie już wydziwiał, wejdzie od dołu.

W moim pokoju.

Byłam sucha.

Bardzo sucha.

Naprawdę sucha. Chciał wsunąć swojego we mnie, ale ja byłam na dole naprawdę sucha, ani krzty wilgoci. Starał się, ślinił się, macał sobie członka, ale ja byłam szczelnie zamknięta, chciał się wedrzeć, ale odepchnął go mój krzyk. Boli, boli, bardzo boli!

Powiedział, że za pierwszym razem to normalne, że boli, muszę trochę wytrzymać, przygniótł mnie swoim ciałem i wdzierał się dalej. Boli, boli, piszczalam.

Zupełnie zapomniałam, że obok był pokój czwartej siostry. Siostra przywarła do cienkiej sklejki i słuchała.

Za każdym razem byłam sucha. Próbował wiele razy. Ciągle sucha. Powiedział, że jeszcze mu się taka nie trafiła, czemu nie chce wejść. Posuwał tyle kobiet, czemu nie chce wejść, jak ma się teraz ze mną ożenić?

Nikomui nie mówiłam, ale gdy miałam siedemnaście lat, nagle przestałam miesiączkować.

Kiedy próbowaliśmy ostatni raz, przyniósł duży pojemnik żelu. Kiedy w końcu wszedł, zaczęłam kichać, nie mogłam przestać. Usłyszałam, jak kilka pokoiów dalej najmłodszy brat liczył moje kichnięcia: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Od kichania zwężyla mi się pochwa i mały Wang, który po wielu trudach w końcu się do niej wcisnął, został z niej wypchnięty. Dalej próbował się wsunąć, ale wejście się zacieśniło, wypływając go. Ciągle kichałam, braciszek liczył, w końcu pierdnęłam. Pierdnięcie było tak donośne, że aż zagłuszyło odgłos kichania. Usłyszałam śmiech braciszka, nie wytrzymałam i też zaczęłam się chichrać. To pierdnięcie wyrzyło między brwiami małego Wanga głęboką zmarszczkę.

– Jeb się! – wrzasnął. I wyszedł.

Leżałam na łóżku rozchichotana, wączając smród własnego pierdu.

Skąd mogłam wtedy wiedzieć? Skąd mogłam wiedzieć, że jestem tutaj zamknięta, że nie może wejść. Czwarta siostra za ścianą otworzyła drzwi swojego pokoju.

Byłam sucha.

Ale ona była mokra.

Byłam zamknięta.

Ale ona była otwarta na oścież.

Zastąpiła mnie, bardzo wilgotna, w pełni otwarta, nie miała co prawda dużych piersi, ale nie miała też wysypki, nie kichała.

Patrzę teraz na czwartą siostrę. Wygrała, Biały Dom należy do niej. Przed chwilą uchyliła zasłonę, żeby spojrzeć na trzecią siostrę. Trzecia siostra też ją zobaczyła. Pobiegła czym prędzej do łazienki, wskoczyła do wanny, gorąca woda już wystygła. W jej pokoju leżały stosy gazet i kolorowych magazynów, we wszystkich były artykuły o mnie.

Ślub potentata branży ciastkarskiej przyciągnął mnóstwo dziennikarzy. Mały Wang i czwarta siostra pozwali do zdjęcia przed importowanym z Paryża kryształowym żyrandolem, fotografia trafiła na okładkę magazynu.

Ale ich ślub nie zajmował tyle miejsca, co moje późniejsze samobójstwo.

Czwarta siostra zgromadziła w pokoju Białego Domu stosy gazet i magazynów opisujących, jak się zabiłam. Po mojej śmierci wsiadła w niemiecką limuzynę małego Wanga i jeździła po wszystkich sklepach, wykupując gazety i magazyny relacjonujące moje samobójstwo, po czym składowała je w pokoju. Dzięki temu nikt nie będzie mógł przeczytać, mówiła, nikt się nie dowie.

Ale czwarta siostra czytała codziennie, non stop czytała. Prasa pisała, że zostałam uwiedziona, a potem porzucona przez najstarszego syna potentata

branży ciastkarskiej, nałożyłam sobie foliowy worek na głowę i podciąłam nadgarstki. Kiedy mnie znaleziono, folia przywierała mi do skóry, po wsi rozeszła się plotka, że umierając, byłam w ciąży. Czytała i czytała, zawiesiła zasłony, pozasuwała okna, zamknęła drzwi do pokoju. Bała się hipopotama, nie odważyła się wyjść z pokoju.

W nocy ciągle się budziła. Budził ją płacz noworodka.

Głupia.

Plotkę o ciąży sama rozpowszechniłam przed śmiercią.

A hipopotama to też ja wypuściłam.

.....

88 Jej prawdziwe imię Qiaomei (巧媚) znaczy tyle co „przebiegła i urocza”, podczas gdy Manmei (滿妹) można przetłumaczyć jako „pełna panienka”.

## 6

# ZASZYWAŁY USTA PIĘCIU SIOSTROM

Najstarsza siostra wyniosła na zewnątrz kilka drewnianych stołków, w mieszkaniu było naprawdę gorąco, wszyscy siedzieli w podcieniu, zdjęli buty, odganiając wachlarzami strumienie ciepłego powietrza. Gekon skrzeczał, pewnie narzekając, że mu gorąco.

– Nie myślałam, że wszyscy dzisiaj przyjdziecie – powiedziała najstarsza siostra. – Na waszym piętrze w ogóle nie jest posprzątane, wszędzie pełno kurzu, kołdry niewyprane.

– Jakie ty kołdry chcesz prać? – odezwała się druga siostra. – Nie trzeba żadnej kołdry, błagam cię, gorąco jak diabli, taki piekarnik, a ty jeszcze chcesz się kołdrą przykrywać.

– Dam ci pieniądze – dorzuciła trzecia siostra – i weź, zamontuj sobie klimę, co? Jak ty w takim skwarze możesz szyć te ubrania?

– Myślisz, że sprawia mi to przyjemność? – odrzekła najstarsza siostra. – Ja nie to co ty, mąż ma pieniędzy jak lodu, w ogóle nie musisz pracować.

– O co ci chodzi? – spytała trzecia siostra. – Nie znasz mojej sytuacji.

– Jakiej sytuacji? – wtrąciła druga siostra. – Czemu nic nie mówisz?

– Mieszkasz w Tajpej w takiej wielkiej rezydencji nad jeziorem w Neihu, a nawet nas jeszcze nie zaprosiłaś – zauważyła najstarsza siostra.

– Chcecie mieszkać w wielkiej rezydencji, co? – zareagowała trzecia siostra. – No to się zamieńmy. Odstąpię wam.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała druga siostra. – Nie chcę się z tobą kłócić.

– Wy dwie się lepiej nie kłóćcie – wtrąciła się najstarsza siostra.

– To ty się chcesz kłócić – trzecia siostra na to. – Mówię tylko, żebyś sobie założyła klimatyzację. Jeszcze chyba nie jest za późno. Szybko zadzwoń do jakiegoś sklepu z AGD, żeby przyjechali zamontować. Zaraz pozdychamy od tego upału.

– A miesięczne opłaty za prąd też weźmiesz na siebie? – spytała druga siostra.

– Nie potrzebuję klimatyzacji! – skwitowała najstarsza siostra. – Mam wiatrak, to wystarczy! Nie mam tak dobrze w życiu jak wy, że sobie mieszkacie w Tajpej.

– Dobrze w życiu to ma trzecia siostra, używa sobie życia – powiedziała druga siostra.

– Chcesz pogadać o tym, kto ma dobrze w życiu? No to pogadajmy. To chyba ty masz dobrze w życiu – odparła trzecia siostra.

– Ja mam dobrze w życiu? – zdziwiła się druga siostra. – Co masz na myśli? No mów.

Ich brat siedział na stołku, trzy siostry w końcu porzuciły konwenanse, zaczęły mówić ostro i energicznie, gadały jedna przez drugą, leciały cięte słowa. Przekrzykiwały się, to podnosząc, to zniżając ton głosu; dźwięki nachodziły na siebie, wspomnienia kumulowały się, odpowiedzialność była już lepka jak smoła, wszystkie wypowiedzi sióstr zlepiły się w jedno, wymieszały się, nie mógł odróżnić, która co powiedziała.

Zdało mu się, że słyszy nawet czwartą i piątą siostrę.

Schylił głowę i śmiał się po kryjomu. Pamiętał z dzieciństwa, że kiedy pięć sióstr zaczynało się kłócić, to jakby do woka z gorącym olejem wlać miseczkę wody – buchały płomienie wściekle jak rwące potoki, wzlatywały kłęby tłustego dymu potężne jak góry, a kłócić potrafiły się o każdej porze: jedząc, wychodząc do szkoły, wracając ze szkoły, przed zaśnięciem, po przebudzeniu. Tylko matka umiała przerwać ich kłótnie. Wystarczyło, że raz krzyknęła, a z jej oczu wylatywały igły, które natychmiast zaszywały usta pięciu siostrom.

Gdyby czwarta siostra słyszała teraz, jak się te trzy kłóca, pomyślał, na pewno wystrzeliłaby z tego Białego Domu jak z procy i przybiegła tutaj, żeby dołączyć do rozmowy. Siostry wypowiadały się zazwyczaj bardzo monotennie, ale kiedy dochodziło do bitwy na słowa, dobywały szabel, naciągały łuki, głos im się podnosił jak aktorom na scenie, przepona pęczniała, nie trzeba było wcale mikrofonu. Ostatnio wrócił do domu po śmierci ojca. W środku nocy powiedział, że będzie czuwał przy zmarłym, bo i tak nie jest śpiący ze względu na różnicę czasu, powiedział siostrom, że mogą się położyć.

Noce jesienią są ciche, bardzo ciche. Cisza jest taka, jak czasem celowo w filmach, gdy wszelkie odgłosy zanikają, jakby nad całym światem zapanował wielki spokój, bohaterowie niczym się nie martwią, aż tu nagle przelatuje nóż, słychać wrzask, po ekranie ścieka krew. Siedział sam przed duchem ojca, składając papierowe lotosy, surfując po sieci na laptopie, pisząc mejl do T. o tym, że wrócił do domu. T. od razu odpisał, że właśnie wychodzi na nocną zmianę. T. pracował wtedy jako stróż w fabryce, szedł do pracy, gdy zapadała noc, a kończył pracę następnego dnia o piątej nad ranem. Po pracy wracał do domu rowerem, kiedy zobaczył jakąś pustą ścianę, wyciągał z torby puszkę farby w spreju i przelewał na mur uciążliwości życia.



T. w mejlu napisał, dzisiaj po pracy znajdę jakąś ścianę i namaluję na niej twarz twojego taty.

Podniósł głowę, spojrzął na zdjęcie pogrzebowe ojca w sali pożegnań i wyobraził sobie obraz namalowany sprejem przez T.

O pierwszej zbudziła się najstarsza siostra. Zeszła do sali pożegnań, zapaliła trociczki, pomodliła się, po czym usiadła przy nim, pomagając mu składać lotosy z papieru. Wyglądała jak zardzewiała maszyna, stawy i kości rzeziły.

– Tu boli, tam boli, wszędzie boli. Ramiona bolą jak diabli, plecy bolą jak diabli, jedną nogą w grobie, a jeszcze roboty po same uszy, nawet spać nie mam kiedy. Głodny jesteś? Ugotuję ci makaronu.

– Nie jestem głodny, tyle co mnie nafaszerowałyście.

– No dobra, martwię się o braciszka, że w Niemczech nie dojada, strasznie schudłeś. Że tego... mam sprawę, chciałabym cię o coś spytać, ale nie wiem, jak zacząć. Ajajaj, ale mnie ramię boli.

Staął za plecami siostry i pomasował jej ramiona. Gdzie tylko dotknął, wpadał na minę, ledwie ucisnął, a wybuchała, jękiem nie było końca.

– A może spróbujesz tego – powiedział, wyjmując z torby skręta. T. mu go dał.

Dręczyły go wtedy niewytłumaczalne bóle, bolało go, jak pisał, bolało go, jak zanosił naczynia do kuchni, bolało go, jak szedł po ulicy, więc T. zaproponował mu, żeby spróbował, i okazało się, że to skuteczne, mgiełka dymu wypędzała z ciała wszelki ból.

– Życie ci niemiłe, to chyba nie jest... Nie boisz się przywozić takich rzeczy na Tajwan? Życie ci zbrzydło<sup>89</sup>?

– Niemiec powiedział, że jak teraz wrócę do kraju, to na pewno będę potrzebował, więc mi wepchnął, zanim pojechałem na lotnisko. Spróbuj, rozluźnisz się, postawiliśmy salę pożegnań na ulicy, policja nie przyjedzie.

Zapaliła, zaciągnęła się, wstrzymała oddech, nie zakasłała. Powoli wypuściła, dym uniósł się w powietrzu, na jej twarzy rozkwitł uśmiech.

– Nie myśl sobie, że twoja najstarsza siostra to zręczliwa starucha, powiem ci coś, kiedyś nie byłam grzeczną dziewczynką, w gimnazjum stwierdziłam, że nie chcę się dalej uczyć, pojechałam do Shalu pracować w fabryce, rzuciłam szkołę. Koleżanki z pracy wielu rzeczy mnie nauczyły, wcześniej zaczęłam palić.

– Mówiłaś mi to tysiąc razy. Nie przeszkadza ci to, że my tak przed trumną taty...?

– Daj spokój. Ojciec przez ostatnie lata mieszkał w świątyni, jak mama tam swoich mantr nie odprawiała, to całe dni spędzał beztrosko. Kiedy go odwiedzałam, zawsze były tam papierosy i hazard. Mówię mu, czy można uprawiać hazard przed obliczem Mazu? A on, nowotwór to amulet, Mazu jest wyrozumiała, kiedy ktoś ma ostatnie stadium raka wątroby, na pewno go pobłogosławi i szczęście w grze przyniesie!

Spojrzał na zdjęcie pogrzebowe ojca, nie mógł go sobie wyobrazić beztroskiego. Pamiętał ojca, który prawie się nie odzywał, nie uśmiechał, wzrok miał zawsze surowy.

– O co chciałaś mnie zapytać?

– A, takie głupstwo, zapaliłam sobie, rozluźniłam się, chyba nawet zaczęłam głośniejsze mówić. Chciałam spytać o te rzeczy w twoim pokoju, co z nimi zrobić?

– Masz na myśli książki?

– Tak. Ale... mówię o tym pudle starych kaset VHS.

To pudło kaset dał mu rzeźnik węży. Matka je znalazła u niego w pokoju, zabrała na dół, żeby obejrzeć, co na nich jest. Jak zobaczyła, że się dwóch facetów ściska i całuje, to wrzasnęła jak przerażony lew. Dziwne, czemu ich nie wyrzuciła? Czemu je zostawiła?

– Czemu nikt ich jeszcze nie wyrzucił?

– Skąd mam wiedzieć? Ciągłe się pojawiają, nawet tajfun ich nie wywiał.

Najstarsza siostra też obejrzała te kasety. Jak tylko skończyła oglądać jedną, zaraz włożyła drugą. Jak skończyła drugą, to zaczęła następną. W końcu obejrzała wszystkie kasety w pudle. Ale dzisiaj nikt nie ogląda kaset VHS, magnetowid w domu od dawna leży zepsuty. Brat musiał umyślnie zostawić tutaj te kasety, pomyślała sobie, żeby wszyscy zobaczyli. Czego sam nie umiał powiedzieć, zlecił kasetom. Podobały jej się te filmy. Kiedy je oglądała, zdawało jej się, jakby weszła w inny wymiar, gdzie żyją tylko zadowoleni mężczyźni o różnych kolorach skóry.

Skręt szybko się dopalił, oboje zaciągali się nim na zmianę, gwiazdy mrugały na jesiennym niebie, wiał przyjemny chłodny wietrzyk.

– Po pogrzebie zostań w Niemczech, nie wracaj.

Złoty papier w dłoni siostry przybrał formę dziwnego kwiatu.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – powiedziała, patrząc na brata. – Odezwij się.

Przydeptała skręta, wstała, przeciągnęła się leniwie, oczy zaszyły jej mgłą.

– Idę spać, zmęczona jestem. Uważaj na psy i koty, ja ostatnio nie zwracałam uwagi.

O drugiej w nocy zjawiła się druga siostra.

– Właśnie słyszałam głos najstarszej siostry, ależ ona się wydziera, wróciła spać?

– Co, do cholery? Umówiłyście się, że jedna po drugiej tak do mnie przychodzicie?

– No coś ty! Dobrze by było, gdybyśmy były tak zgrane, nawet się razem na obiedzie nie możemy spotkać. Na nic się nie umawiałyśmy.

Usiadła i zaczęła składać lotosy z papieru, zobaczyła lotosy złożone przez najstarszą siostrę i skrzywiła się.

– To najstarsza składała? Dajcie spokój, takie brzydkie, jak je tacie spalimy, to umrze ze śmiechu.

– Też nie możesz spać?

– No, jak sobie pomyślę, że rano mama wstanie i cię tutaj zobaczy, i jaka będzie scena, to... nie mogę zasnąć.

– Nie martw się, przecież wiesz, nie raz już od niej dostałem, jej bluzgi to dla mnie nie nowina.

– Pamiętasz, jak cię biła i opieprzała? Kiedyś bardzo cię kochała, zapomniałeś? Chodzi jej tylko o zachowanie twarzy. Dzisiaj cały dzień się wydzierała, że starszy brat został na Kontynencie w interesach i nawet na pogrzeb taty nie przyjechał. Darła się tak głośno, że aż sąsiedzi słyszeli. Przecież wszyscy wiedzą, gdzie jest, nie wrócił, to nie wrócił, też nie mam ochoty go oglądać.

Na nowo wyasfaltowanej i poszerzonej drodze przed domem przemknął duży motocykl. Jechał naprawdę szybko, w oczach pozostała po nim czerwono-biała poświata, a potężny stukot silnika dudnił jeszcze przez chwilę w uszach.

– Najstarsza siostra mówiła, że w nocy mnóstwo tutaj teraz piratów drogowych, trzeba się odsunąć, jak taki nadjeżdża.

– E tam, sala pożegnań tutaj stoi, mamy trupa, niech lepiej oni się boją.

– Też prawda. Ale co robić? Za kilka godzin mama się obudzi.

– Nie boję się. A ty czego się boisz?

– Naprawdę zapomniałeś? Kiedyś cię rozpieszczała.

Oczywiście, że pamiętał. Kiedy na stole stały już smakowite warzywa, mięso i ryby, siostry nie mogły nawet ruszyć pałeczkami, najpierw jedli oni dwaj, a dopiero potem przychodziła kolej na nie. Najmłodszy z rodzeństwa

dwaj bracia zawsze mieli nowe ubrania, nowe buty, a siostry musiały nosić ubrania po sobie, jak którejś nie pasowało, to trzeba było poprawić, jak było już niemodne, to nie wolno im było narzekać. Kiedy siostry chciały obejrzeć serial, a najmłodszy brat zaczął beczeć, że chce oglądać inną stację, matka ganiła córki i pozwalała synowi zmienić kanał. Kiedy ukradziono mu rower w szkole, mama jeszcze tego samego dnia kupiła mu nowy. Kiedy siostrze ukradziono rower na dworcu kolejowym, matka złoila ją ratanową różgą, wyzywając od wyrodków, i powiedziała, że za nic w świecie nie kupi jej następnego. Kiedy rodzice jechali na wycieczkę, brali ze sobą tylko synów. Synowie jeździli do Yuanlinu uczyć się gry na pianinie i liczenia w pamięci, a siostry miały się za dużo nie uczyć, bo i tak wyjdą za mąż.

– Dobra, wracam do łóżka, może uda mi się zasnąć. To wszystko przez najstarszą, darła się jak diabli. Wiesz, przyjadę kiedyś do ciebie. Co ty na to?

– Przyjeżdżaj.

– Dobra. Zgodziłeś się. Przyjadę. Po pogrzebie jedź do siebie, żyj sobie spokojnie i nigdy tu nie wracaj.

Około trzeciej spojrział w stronę sali pożegnań, a tam... trzecia siostra zeszła z góry.

– Ciągłe ktoś się kręci i hałasuje. Jak tu spać!

– Sypiasz w rezydencji, a wróciłaś w to upiorne miejsce, więc nic dziwnego, że nie możesz zasnąć.

– Odwal się. Wyjechał z kraju, a dalej taki dziecinny. A, widziałeś jakieś psy albo koty? Na wsi błąka się dużo bezpańskich psów i kotów.

– Czemu mam zwracać uwagę na psy i koty?

– Ludzie mówią, że jak pies czy kot przeskoczy przez trumnę, to zmarły zmienia się w wampira.

Obrócili się oboje i spojrzeli w stronę chłodziarki stojącej za salą pożegnań, wyobrażając sobie, jak leżący tam ojciec zmienia się w wampira. Rozbawił ich ten obraz.

Usiedli i zabrali się do składania lotosów z papieru, koszyk na ziemi był już pełen papierowych kwiatów. Trzeba poskładać jeszcze więcej, żeby wystarczyło? Czy ojciec na pewno je otrzyma, kiedy zostaną spalone?

– A on dobrze cię traktuje?

Kiwnął głową. Spojrzała mu prosto w oczy, by się upewnić, że jej nie okłamuje, a on znowu kiwnął głową.

– No to dobrze. Żebyś nie musiał tak jak ja, przez całe życie.

– A nie pomyślałaś... – Nie wiedział, jak zakończyć zdanie.

– Pomyślałam. Codziennie o tym myślę. Ale co mogłabym robić? Wrócić tu, mieszkać z siostrą? Wyjechać do Niemiec, mieszkać z tobą? Albo wprowadzić się do Białego Domu? Schować się razem z czwartą siostrą w pokoju i nigdy nie wychodzić? Nic nie zrobię, on dobrze wie, że nie mam dokąd pójść. Druga siostra bardzo mądrze wyszła za straszliwie nieciekawego faceta. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak jej mąż wygląda. Super, najlepsi są właśnie tacy nieciekawi.

Zadudniły motocykle. Szwadrony piratów drogowych zaczęły pędzić z dwóch stron ulicy, pojazdy mknęły ku sobie jak pociski, ścigały się w ryku cylindrów, po chwili wracały, zostawiając ślady opon na nowo wyasfaltowanej jezdni. Zobaczywszy salę pożegnań, piraci omijali ją, odwracając wzrok. Stał z siostrą na ulicy, patrząc na pędzące motocykle. Mając zwłoki za tarczę, nie musieli się niczego obawiać.

Niejedna dziewczyna z długimi włosami bez kasku na głowie siedziała na tylnym siedzeniu, trzymając się kurczowo mężczyzny prowadzącego motocykl, włosy falowały na wietrze podczas jazdy, wkoło roznosił się głośny śmiech. Jedna z nich wymachiwała długim nożem kuchennym,

takim używanym do krojenia arbuza, i cały czas krzyczała piskliwym głosem. Mijając salę pożegnań, dziewczyna z nożem nagle kichnęła.

Bardzo podobna. Naprawdę bardzo podobna do nieżyjącej piątej siostry. Młoda, długowłosa, obfity biust, bielutka skóra, duże czerwone usta, kichający wulkan.

Szwadrony piratów odjechały, trzecia siostra powiedziała, że idzie spać.

– Tianhong, kiedy ostatni raz odwiedziłam tatę w świątyni, kazał, bym ci powiedziała, żebyś tam został i nie wracał. Był już wtedy bardzo słaby, nie mógł jeść, nie pozwolił nam poinformować cię o tym. Musisz wiedzieć, że kiedy mieszkał w świątyni, ciągle czytał książki, które napisałeś. Kazał, żebyś nie wracał.

Rano mama, jak tylko wstała, wydarła się na niego i go wygnała. Zanim sobie poszedł, zapalił jeszcze trociczki i oddał cześć ojcu. Trzy najstarsze siostry zawiozły go samochodem na pociąg. Poprzedniego wieczoru gadały jak najęte, a w aucie słowem się nie odezwały.

Niedługo po jego powrocie do Niemiec w wiosce usłyszano o morderstwie.

Ponoć najmłodszy syn tego Chena – tego, co kiedyś betelem handlował – zabił w Niemczech człowieka.

Złamał przyrzeczenie i dzisiaj znowu wrócił.

Siostry nadal się kłóciły.

Dała o sobie znać komórka drugiej siostry, odebrała, dzwonił mąż.

– Przed chwilą, zdaje mi się, że widziałem cię w telewizji.

Weszła do domu, włączyła telewizor stojący przy maszynie do szycia i nastawiła na kanał wiadomości, właśnie puszczano powtórkę wiadomości wieczornych, prezenterem był mąż trzeciej siostry.

– Niejaka Chen, referentka do spraw meldunkowych, znęcała się nad psami ratownikami. Nagrania wykonane przez świadków zdarzenia trafiły

do internetu, wzbudzając falę ataków.

Wszystkie trzy zaniemówiły, wpatrując się głupawo w ekran.

Okazuje się, że nie tylko matka, ale także prezenter telewizyjny potrafi zaszyć siostrom usta.

---

89 Za produkcję i sprzedaż twardych narkotyków, takich jak na przykład heroina czy kokaina zaliczanych przez ustawę *O zwalczaniu zagrożenia narkotykowego* do grupy pierwszej grozi na Tajwanie kara śmierci, ale marihuana należy do grupy drugiej, więc za jej produkcję i sprzedaż grozi najwyżej dożywocie; ponadto za samo tylko posiadanie bez intencji sprzedaży nawet heroiny czy kokainy grozi jedynie kara do trzech lat więzienia i grzywna.



## WEŻE, SMOKI, FENIKSY I TYGRYSY NA DACHU

Chen Tianyi zobaczył drugą siostrę w telewizji.

Każdego wieczoru oglądał prowadzone przez szwagra wiadomości wieczorne, a potem powtórkę. Myślał sobie wtedy, że jak tylko dobra passa kiedyś wróci, to szwagier przeprowadzi z nim wywiad w telewizji.

Niemożliwe. To nie może być druga siostra. Tylko podobna do niej.

Na ścianie wisiała kaligrafia, którą dostał od męża najstarszej siostry. Pewnego razu chciał przyozdobić ogród orchideami, poszedł więc do rodzinnego domu kupić orchidee od szwagra, który wtedy właśnie kaligrafował w ogródku orchidei małego Gao. Kiedy zobaczył w ogrodzie szwagra plakaty i flagi ze swojej kampanii wyborczej na wójta, westchnął głęboko.

– Nie martw się – powiedział mu szwagier – w następnych wyborach masz mój głos jak w banku.

Po czym podniósł pędzel, nakreślił cztery znaki na ryżowym papierze i wręczył mu swe dzieło. Sam znalazł drewno na ramkę, pociął piłą, wypolerował papierem ściernym, pomalował farbą i powiesił kaligrafię szwagra na ścianie.

DOBRA PASZA KIEDYŚ WRACA

Ani szwagier, ani on nie wiedział, że powinno być PASSA, nie PASZA.

Nie wiedział, co ta maksyma znaczy, ale co dzień patrzył na kaligrafię, czekając na dzień, w którym powróci na scenę polityczną.

Kiedyś był przecież wójtem w tej wiosce, wygrał dużą przewagą głosów. Ale był zamieszany w defraudację przy kilku projektach publicznych, po apelacji w sądzie trzeciej instancji wyrok się uprawomocnił i po niecałych dwóch latach wójtowania zamienił urząd na więzienną celę.

W dniu, kiedy przekroczył mury więzienia, matka nie poszła z nim, zapukał do jej drzwi, ale usłyszał tylko płacz, drzwi były zamknięte na klucz, matka nie zamierzała wychodzić. Kobieta, która miała zostać wójtową, też nie chciała go odprowadzić, byli już zaręczeni, ale kiedy usłyszała o wyroku, zerwała zaręczyny, przestała odbierać telefony, bez przerwy do niej wydzwaniał, zostawiał wiadomości, aż w końcu usłyszał w słuchawce: „Nie ma takiego numeru”. Spakował się już rano, założył najlepszy garnitur i czekał na przyjazd radiowozu. Ledwie wyszedł z domu, kiedy zobaczył ojca. Tego dnia w Yongjingu panowała mgła, ojciec czekał na niego we mgle. Myślał, że spotkał ducha. Ojciec chory na raka wątroby dawno temu już wyprowadził się z domu i poszedł mieszkać do świątyni, by tam czekać na śmierć. Wychudł, ale na twarzy miał delikatny uśmiech, jego najstarszy syn nigdy jeszcze nie widział ojca w tak pogodnym nastroju.

Otworzył walizkę i wyjął kamizelkę bez rękawów z wydrukowanym napisem: „Wójt Chen Tianyi do Państwa usług”, którą założył na garnitur. Kupił go w Paryżu na wyjeździe roboczym, kupił wtedy dziesięć kompletów, ten był najdroższy, sto procent kaszmiru, prezentował się dostojnie. Ale w tych stronach powietrze było wilgotne. Gdyby nosił taki garnitur na co dzień, pot lałby się z niego strumieniami. Wczoraj wyjął go z szafy, poczuł pleśń, przecież to była jasnoszara wełna, czemu kolor tak

ściemniał? Pokazał garnitur najstarszej siostrze, która właśnie szyła coś na maszynie.

– Grzyb! – krzyknęła, widząc ubranie.

Nazajutrz ma się stawić, by odbyć karę, nie ma szans, żeby zdążył go wyczyścić.

Ubrany w zapleśniały paryski garnitur stał z ojcem w gęstej mgle, paląc papierosy, czekali na radiowóz. Nie było umówionych żółtych wstążek.

Wang obiecał mu wiele rzeczy.

Kiedy wyrok się uprawomocnił, Wang był zupełnie czysty, gdyż sygnatariuszem był Chen Tianyi, Fundacja Wang Xin nie była więc zamieszana w sprawę.

– Nie martw się – mówił Wang. – Znajdę ludzi, każdy będzie miał na ręku przywiązaną żółtą wstążkę, będą cię odprowadzać. Pytałem męża twojej trzeciej siostry, przyśle reportera z kamerą, zrobią transmisję na żywo, setki, tysiące ludzi z przywiązanymi do rąk żółtymi wstążkami będzie cię odprowadzać, pójdiesz do więzienia z nie byle jaką oprawą, a kiedy wyjdiesz, dobra passa powróci.

Wang powiedział mu, że za małą dopłatą znajdzie kilka osób, które będą płakać do kamery, co da jeszcze lepszy efekt.

Ale tego dnia rano przed domami szeregowymi nie było żadnych żółtych wstążek, byli tylko on i ojciec.

To Wang zaproponował mu start w wyborach na wójta.

– Chenowie i Wangowie to jedna rodzina, popatrz, twoja czwarta siostra ma coś z głową, a ja co, zostawiłem ją? Ciągle o nią dbam. Jestem twoim szwagrem, a o pieniądze się nie martw, ja wszystko opłacę. Rozdawać pieniądze to ja potrafię. Gwarantuję ci, że wygrasz dużą przewagą głosów. Jak ludzie dostaną kasę, to na pewno cię wybiorą. Jak zostaniesz wybrany,

otworzysz mi kilka drzwi, postarasz się, żeby część przetargów wpadła w moje ręce.

Kiedy prokuratura zaczęła mu się przyglądać, Wang powiedział, że nie ma się o co martwić, bo znajdzie najlepszego prawnika. Niczym się w ogóle nie przejmował, Wangowie mieli już tyle spraw sądowych, jedna po drugiej, a nigdy nic im się złego nie stało. Postawili w Tajpej wielki biurowiec, dostali nagrodę za ekologiczny budynek, a jak zostali zamieszani w defraudację, media grzały temat przez jakiś czas, a potem wszystko ucichło i Wangowie wyszli z tarapatów bez szwanku. Na dachu tego lśniącego biurowca Fundacji Wang Xin zamontowano panele fotowoltaiczne, które w dzień chłonęły słoneczny blask, a nocą budynek rozbłyskiwał, nigdy nie gaszono światła.

W dniu, w którym miał przekroczyć mury więzienia, wsiadł do radiowozu i rozplakał się. Niczego złego nie zrobił, czemu go zamykają. Był jeszcze dzieckiem, gdy zamknięto Lekkoducha, który mieszkał obok nich. Mama powiedziała wtedy, dobrze mu tak, dewiant, niech zdycha. Ale on przecież niczego złego nie zrobił, nawet dewiantem nie jest, czemu go ukarano? Wszystko, co robił, było dla dobra Yongjingu. Czemu Fundacja Wang Xin nie została w ogóle pociągnięta do odpowiedzialności? Czemu cała wina spadła na niego?

Wiele wysiłku włożył w to, żeby zmienić tę małą wioskę, kiedy był wójtem. Zamówił artystów, żeby malowali jego portrety na gołych murach. Mama uwielbiała te portrety. Pewnego dnia założyła uszyty na zamówienie różowy żakiet i zrobiła sobie zdjęcie z portretem najstarszego syna na murze – syna, który był wójtem. Kiedy objął urząd, petardy odpalano przez trzy dni i noce, wszyscy gratulowali, myślała wtedy, że warto było chować syna, w końcu do czegoś doszedł. Kiedy ktoś pytał ją o młodszego, marszczyła brwi i chłodnym głosem odpowiadała:

– Umarł.

Kiedy Wang przyszedł namówić go na start w wyborach, nie przebierał w słowach.

– Jesteś najstarszym synem – mówił mu. – Twoja mama miała pięć córek, aż w końcu urodziła ciebie, nie chcesz chyba całego życia spędzić w zakładzie pogrzebowym?

Każdego dnia piłował i szlifował w zakładzie pogrzebowym obok domu, i był z tego zadowolony. Wang mówił, jak zostaniesz wójtem, nie będziesz musiał robić interesów na nieboszczykach, zrobisz coś dobrego dla przyszłości Yongjingu, a jak się dorobisz, to zamieszkas w rezydencji większej od Białego Domu. Wang powiedział jeszcze, że żadna kobieta nie wyjdzie za kogoś, kto robi trumny.

Ojciec natychmiast wyraził sprzeciw. Sam kiedyś pojechał z Wangami do Chin, zainwestował niemal całe oszczędności zarobione na rozwożeniu towaru i handlu betelem, w pełni ufał Wangom, podpisywał wszystko bez czytania, nie przejmował się szczegółami przelewów. Wangowie dorobili się fortuny, a ojciec stracił oszczędności. Jesteś rozpieszczonym synkiem, powiedział mu ojciec, niczego nie potrafisz; dobrze, że chociaż radzisz sobie ze stolarką, zajmuj się tym i nie myśl o głupotach. Jakim znowu wójtem? Nie dasz rady.

W dniu, w którym miał przekroczyć mury więzienia, płakał w radiowozie. Zawsze kiedy płakał, zjawiała się mama, żeby stanąć w jego obronie. W dzieciństwie, kiedy siedział nad zadaniem domowym, mając w głowie zupełną pustkę, druga siostra podchodziła i pytała:

– Nauczyć cię?

Od razu zaczynał wtedy beczeć na cały głos, łzy kapąły na pracę domową, matka przybiegała, słysząc płacz syna, i policzkowała córkę. Pamięta, choć niewyraźnie, jak pewnego razu padał grad, bardzo się wtedy

bał i płakał na cały głos, matka go przytuliła, osłoniła własnym ciałem od gradu, nikogo nie broniła, tylko jego. W gimnazjum jeden z kolegów nabijał się z niego:

– Wszyscy mówią, że twój młodszy brat to dewiant, chłopców lubi! Skoro twój brat jest homo, to ty na pewno też!

Wrócił do domu z płaczem i powiedział o tym mamie, następnego dnia poszła z nim do szkoły, żeby załatwić przeniesienie. Nie dostał się ani do liceum, ani do zawodówki, siedział tylko w domu i beczał, matka poszła po prośbie do prywatnej szkoły, zaniosała czerwoną kopertę, prezenty, żeby tylko go przyjęli. Kiedy poszedł do wojska, matka zapłaciła miejscowemu delegatowi, aby ten przekonał władze, że jej syn powinien pójść do najłżejszej jednostki i każdego dnia polewać wódkę i podpalać papierosy dowódcy. Kiedy chciał się ożenić, matka wezwała swatkę, ale dziewczyny z wioski były dla niego zbyt zwyczajne, chciał taką, co by wyglądała jak japońska aktorka.

W dniu, kiedy przekroczył mury więzienia, mamy przy nim nie było. Ojciec zamknął za nim drzwi radiowozu, nic nie powiedział, nie pomachał mu, stał tylko przed progiem domu, odprowadzając radiowóz wzrokiem. Ojciec we mgle naprawdę przypominał ducha. Radiowóz szybko odjechał, ojciec zniknął we mgle.

W dniu, kiedy wyszedł z więzienia, było równie chłodno. Nie było tysięcy ani setek zwolenników, nie było matki, nie było ojca, nie było machania żółtymi wstążkami. Wyszedł sam, cicho i spokojnie, po czym sam wsiadł do taksówki.

Nie wrócił do domu rodziców, pojechał wprost do Wanga prosić o posadę, żeby go wysłał do Pekinu albo chociaż do Shenzhenu czy Jinanu, żeby tylko mógł opuścić Tajwan, schować się, wyjechać na chwilę. Kiedy już wszyscy w Yongjingu zapomną o jego odsiadce, to znowu wystartuje

w wyborach. Wystarczy rozdać pieniądze, pieniądze przysłaniają wzrok, widząc pieniądze, człowiek szybko zapomina to, o czym jeszcze przed chwilą pamiętał.

– Szwagier, proszę, pomóż mi. Przy tych projektach nie mało pomogłem, na pewno nieźle zarobiłeś.

W efekcie nigdzie nie pojechał. Zamieszkał w Białym Domu, został ogrodnikiem, zamiatał opadłe liście, szczepił drzewa, czyścił krzyżujące się kanały, karmił karpie w tychże kanałach, uprzątał fontannę Apollina. Wang dał mu mały pokój w Białym Domu, w którym trzymał sterty puszek z farbą złotą i białą, jak tylko gdzieś w Białego Domu zaczęła odpadać farba, od razu odnawiał. Każdego dnia gotował posiłki, wchodził po schodach na górę i pukał do drzwi.

– Obiad!

Pamięta krzyk czwartej siostry. Początkowo Wang zamierzał ożenić się z piątą siostrą, ale potem nagle przestał się interesować piątą i zaczął chodzić za czwartą. Czwarta siostra miała donośny krzyk, Wang też głośno krzyczał, aż dostawał dreszczy, kiedy ich słyszał, i smyrał się ręką po kroczu. Nie miał pojęcia, że czwarta siostra krzyczała wtedy tak głośno, żeby piąta siostra za ścianą usłyszała. Podziwiał Wanga, że za jego sprawą piąta siostra tak głośno kicha, a czwarta tak głośno krzyczy. Chciał być taki jak Wang, kiedy dorośnie.

Czwarta siostra nie wychodzi teraz nawet z pokoju, gdzie mieszka otoczona zwałami śmieci, czasem coś jej strzeli do głowy i wtedy słycać przeraźliwy pisk. Nocą chrapie jak czołg, brat zakrada się do jej pokoju i z latarką w ręku zabiera talerze i – w miarę możliwości – śmieci. Smród panuje w jej pokoju niemiłosierny, w kącie wyrósł dziwaczny grzyb na ścianie. Chen Tianyi oświetlił latarką siostrę leżącą na ziemi, siwiutkie włosy, obrzękłe nogi, skóra pokryta wielkimi bliznami. Nie wiedział, jak

wyglądają upiory. Ale był niemal pewien, że gdyby upiór zobaczył jego czwartą siostrę, toby się wystraszył, myśląc, że spotkał upiora.

Nagle usłyszał samochód. Wanga dawno nie było, czemu postanowił wrócić na Święto Duchów?

Dalej oglądał telewizję. Jego zdaniem prezenter, mąż trzeciej siostry, był przystojny, miał charyzmatyczny głos, trzecia siostra musi być z nim szczęśliwa. A Chenowie się stoczyli, najmłodszy brat to dewiant, zabił człowieka w Niemczech, utrata twarzy jak diabli. Na szczęście trzecia siostra dobrze wyszła za mąż. Nie szkodzi; jak dobra passa kiedyś wróci, to szwagier do niego przyjdzie. Wiele lat już ćwiczy, co ma powiedzieć, gdy będzie ogłaszał swój start w wyborach.

Po informacji na temat referentki do spraw meldunkowych szwagier prezenter powiedział:

– Dzisiaj Święto Duchów, czy odprawili państwo obrzędy? Wywiadu na wyłączność udzielił nam Wielki Cesarz w Żółtej Todze, który powie państwu o wszelkich tabu związanych ze Świętem Duchów i poinstruuje, jak w spokoju przeżyć ten miesiąc duchów, tak pełen przybyszów ze świata cieni.

Na ekranie pojawił się mężczyzna odziany w długą żółtą togę wychodzący z jakiejś świątyni. Tysiące wiernych ubranych w żółte koszule wznosiło ręce w modlitwie, klęcząc na ziemi.

– Wielki Cesarzu w Żółtej Todze, wybaw swój lud! – wołali chórem. – Odkup winy wszelkiego stworzenia! Wielki Cesarzu w Żółtej Todze, wybaw swój lud! Odkup winy wszelkiego stworzenia!

Kamera szybko odjechała, ukazując świątynię w pełnej okazałości: była to jaskrawofioletowa świątynia o przesadnie wybujałych kształtach z węzami, smokami, feniksami i tygrysami na dachu. Zmienił się kadr, Wielki Cesarz w Żółtej Todze mówił do obiektywu:



– W czas Świąta Duchów setki dusz blakają się w mroku po świecie. Wielki Cesarz w Żółtej Todze służy wam pomocą, chroni całą waszą rodzinę, aby was w miesiącu duchów omijały nieszczęścia, abyście w miesiącu duchów zarobili wielkie pieniądze.

Chen Tianyi upuścił miseczkę i pałeczki na ziemię.

Rozpoznał go.

Wielki Cesarz w Żółtej Todze to sąsiad, rzeźnik węży.

Jak to możliwe, czy podczas pożaru, w którym spłonęła matka, rzeźnik węży też przypadkiem nie spłonął?

## ŚWIEŻOŚĆ I NIECZYSTOŚCI POŁĄCZYŁY SIĘ W NIM

- Po ile te orchidee można sprzedać?
- Czemu ten stary szajs tu leży, to wszystko można wykorzystać.
- Na co komu plakaty wyborcze Chena Tianyi? Lepiej spalić.
- Ej, to w końcu również i twój młodszy brat.
- To twój młodszy brat, ja się do takiego brata nie przyznaję, jeszcze mi kupę kasy wisi. Do spalenia.
- Spal duchom.
- Duchom akurat potrzebny taki szajs.
- Duchom to akurat niepotrzebne.
- Od ciebie też pożyczał? Ode mnie też chciał, to nie żadne pożyczanie, wiedziałam, że jak mu dam, to już tych pieniędzy nie zobaczę. Jeszcze mi powiedział, że my, siostry, nie dbamy o niego, a przecież jest najstarszym synem.
- Najstarszym synem i co z tego? Kretyn, mówi mi, że dobra passa kiedyś wraca, niech idzie do diabła, kretyn jeden. Wiesz, jak wcześniej przesadzał? W całym Yongjingu były jego portrety, pomalujmy Yongjing i te sprawy, a w efekcie każdy malunek to jego podobizna, mama skakała pod niebo z radości, myśląc, że najstarszy syn Chenów do czegoś doszedł w życiu.

– A jeszcze, proszę cię, jak mój mąż przyjechał zrobić z nim wywiad, myślałam, że się porzygam, jak to zobaczyłam, to już nie te czasy, a on przygotował kilka tysięcy skrzynek wody mineralnej ze swoją podobizną i wszędzie ludziom rozdawał.

– A jeszcze na torbach płóciennych, długopisach, pudełkach na betel wszędzie była jego gęba.

– Nawet mi nie mów, te upiorstwa jeszcze gdzieś są.

– Leżą w jego pokoju.

– A gdzie mąż?

– Tam, gdzie Paryż! Niech go szlag.

– Paryż?

– No bo kto by chciał te jego orchidee.

– Diabli by je chcieli.

– Diabli nie kupują.

– Zawołajmy Sujie, żeby wyszła.

– Dzwoniła dzisiaj, drąc się: „Mamy nie ma!”. Niech ją szlag.

– Przecież wiesz, w jakim jest stanie.

– W jakim stanie? W jakim, do cholery, stanie? Komu nie jest ciężko? Komu nie jest smutno? Ale po co się chować?

– Też bym się schowała. Tylko gdzie?

– W górach. Nie kupiliście przypadkiem jakiejś góry w Nantou?

– Już jej nie ma.

– Nie ma?

– Przed chwilą widziałam Sujie w Białym Domu.

– Co? Byłaś w Białym Domu?

– Jak tam weszłaś? Chen Tianyi cię wpuścił.

– Chen Sujie cię wpuściła? Jak ja pukam, to nie otwiera.

- Gdzie dzisiaj śpimy?
- Naprawdę chcecie przenocować? Nie wracacie do Tajpej?
- Która to już godzina? Prześpimy się.

Ale jazgot.

Chen Tianhongowi wydawało się, że trzy siostry są jak boczek na patelni: czerwone, kruche i przyskające olejem. Dawno się już z nikim nie kłóciły, Shumei nie rozmawia z mężem, Shuli nawet nie pamięta, jak mąż wygląda, Shuqing w milczeniu przyjmuje ciosy od męża. Boczek w lodówce leży cicho i spokojnie, czekając na moment, kiedy zostanie wrzucony na olej. Kiedy tylko dotknie dna rozgrzanej patelni, natychmiast zaczyna jazgotać, a tłuszcz pryska na wszystkie strony. Ja znam twoje blizny, ty wiesz, gdzie mnie boli, odkrywamy się, depczemy po sobie, uwalniamy z siebie słowa tłumione przez tyle lat, nagrzewamy się jak wulkany, ziejemy magmą z ust, parzącą śliną. Trzy siostry nie przestawały dogrzewać sobie nawzajem, zapach mięsa unosił się w powietrzu.

Chen Tianhong czuł się jak osoba postronna, nie mógł dołączyć do bitwy. Nie umiał się kłócić, nie wiedział, jak to się robi. Zawsze uważał się za osobę oschłą, nienatłuszczoną, chłodną jak garnek, pod którym dawno zgaszono już ogień. Nigdy się nie pokłócił z T.

Obaj zamknięci w małym berlińskim mieszkaniu martwili się o czynsz i rachunki, on nie mógł się skupić na pisaniu, T. nie miał czasu grać na wiolonczeli, obaj przyzwyczajeni do samotności nie mieli czasu na samotność, jak to możliwe, że nie doszło do sprzeczki? Ale obaj byli skryci, tłumili w sobie wszystko, co chcieli powiedzieć, wszystko, o co chcieli spytać. Nigdy się nie kłócili, zawsze mówili, że nie ma sprawy, uśmiechali się i jedli razem śniadanie.

T. sprawił sobie nową fryzurę, ale on o nic nie pytał. W szafie T. pojawiło się wiele nowych ubrań, ale on o nic nie pytał. T. przestał

zasypywać go pytaniami, ale on o nic nie pytał. Podczas seksu zauważył, że T. zrobił sobie mały tatuaż na ramieniu, ale on o nic nie pytał. Kiedy spleli się potem nogami, T. odwrócony tyłem do niego zapłakał, ale on o nic nie pytał. T. powiedział, że ma dużą sumę pieniędzy i że nie muszą się martwić o czynsz, kazał mu zrezygnować z pracy w tajwańskiej restauracji i skupić się na pisaniu, ale on o nic nie pytał. T. połknął pastylkę, ale on o nic nie pytał. T. kupił wiele par butów sportowych amerykańskiej marki, na których widniała duża litera N, te buty kosztowały tyle, że starczyłoby na czynsz, skąd miał pieniądze? Ale on o nic nie pytał.

Aż pewnego razu w internecie zobaczył film na stronie serwisu informacyjnego, to był marsz skrajnej prawicy w Berlinie, neonaziści maszerowali z racami i niemieckimi flagami, w tłumie szedł T. w okularach przeciwsłonecznych, w czarnym płaszczu, w czarnych spodniach, w czarnych butach, znowu pokrywała go czarna noc. Na płaszczu widniała wyhaftowana duża litera A w kroju gotyckim oraz inne znaki i symbole, których nie rozumiał. T. wymachiwał niemiecką flagą. Kiedy podszedł do niego dziennikarz, nie robił uników, wypowiadał się wprost do kamery.

Nie widział wcześniej takiego T. Wieczorem, kiedy leżeli już w łóżku, nie mógł zasnąć. W końcu powiedział, że widział nagranie z marszu. Ciało T. rozcięło czarną noc, przebrał się, wyszedł z domu i zniknął. Po kilku tygodniach T. wrócił rano, przygotował obfite śniadanie, świeżą pastę z czosnkiem niedźwiedzim, uśmiechnął się i powiedział, że wszystko jest okej, wrócił, nie ma sprawy, a jak tam postępy w powieści? Pocałował go, objął, kilka dni później znowu zniknął, wyłączył komórkę. Kiedy znów się pojawił, złość zastąpiła uśmiech.

– Dowiedzieli się, że żyję z facetem. I to jeszcze obcokrajowcem. Wiedzą.

Kto?

– Przyjdą tu. Musimy się przeprowadzić.

Kto?

– Ty głupku! – T. chwycił go mocno jakby w kleszcze. – Niczego nie rozumiesz.

Tej nocy o trzeciej nad ranem u drzwi małego mieszkania zadzwonił dzwonek. Podniósł słuchawkę domofonu, poleciały bluzgi. Dzwonek nie przestawał dzwonić, T. zapalił skręta, ręce mu się trzęsły. Nazajutrz rano ukradziono im rower, samochód pomalowano czerwoną farbą, na oknie samochodu napisano *Schwuchtel* i wymalowano nazistowskie symbole. T. powiedział mu, żeby wracał do domu, a on zmyje czerwoną farbę i zaraz wróci, kazał mu czekać na górze, ignorować dzwonek, nikomu pod żadnym pozorem nie otwierać drzwi i absolutnie niczego nie zgłaszać na policję. T. zapewnił go, że zaraz wróci do domu, że nie ma się czym martwić.

Samochód odjechał, T. nie wrócił, długo nie wracał, nie odbierał telefonu, nie odpowiadał na mejle. Nocą dzwonek milczał przez wiele dni. Aż pewnego wieczoru cegłówka rozbiła szybę w oknie. Dopiero następnego dnia rano uprzątnął szkło, zobaczył wtedy, że na cegłównie ktoś napisał literę N.

Później, kiedy siedział w więzieniu, dowiedział się w końcu od współwięźnia na próbie Szekspira, co znaczą te symbole.

T. nosił buty New Balance, bo widniało na nich duże N. N to nazi.

Wyhaftowane na płaszczu A oznaczało imię Hitlera – Adolf.

Jeśli chodzi o liczbę 18, to cyfra 1 oznaczała pierwszą literę alfabetu, czyli A, podczas gdy cyfra 8 oznaczała ósmą literę alfabetu, czyli H, zatem 18 to A.H. – inicjały Adolfa Hitlera.

A w liczbie 44 pierwsza i druga cyfra oznaczała czwartą literę alfabetu, czyli D, a więc DD – *Deutschland den Deutschen*, Niemcy dla Niemców.

Ale wtedy niczego jeszcze nie rozumiał. T. znowu się pojawił, miał ze sobą sznur i taśmę klejącą, złapał go i przycisnął mu szyję; aż przypomniał sobie ten dzień pod drzewem ka-tang w Yongjingu. T. przywiązał go sznurem do krzesła, a taśmą zakleił usta, po czym zaczął się pakować, mówił, że musi się przeprowadzić, wyjechać do innego miasta i nigdy tu nie wracać. Powiedział, że tym razem wrócił, żeby się pożegnać. Od tej pory czynsz opłacasz sobie sam; i udawaj, że się nie znamy.

T. zauważył rozbite okno i spytał go podniesionym głosem, co się stało. Mając usta zaklejone taśmą, nie mógł odpowiedzieć. T. uderzył go, ściągnął mu spodnie i wymusił stosunek. Potem zobaczył cegłówkę, z płaczem w oczach prosił o wybaczenie, przepraszam, przepraszam, wiem, że to oni, to oni. Przestał płakać i znowu go uderzył.

Jak długo był związany? Nie potrafił jasno odpowiedzieć na to pytanie w sądzie. T. nieustannie zmuszał go do połykania tabletek niewiadomego pochodzenia, cały czas był rozkojarzony. Pamięta, że oddawał kał i mocz, nie mógł się powstrzymać, opróżnił się na krześle. T. wziął ręcznik, żeby powycierać, po czym brudnym od kału ręcznikiem wysmarował mu twarz. Wziął nożyk i pociął mu skórę. Pocałował go. Mówił, że przepraszam. Mówił, kocham cię. Mówił, żegnaj. Podarł jego ubranie. Pomógł mu założyć brudne od kału spodnie. Uderzył go, potem uderzył siebie. Pchnął go na ścianę, potem sam rzucił się na ścianę. Wyjął wiolonczelę, szarpnął struny bezładnie, sąsiad walił zapalczywie do drzwi, pytając, co to za hałasy.

T. ciągle go o coś pytał, ale warstwy taśmy zaklejały mu usta, T. przecinał taśmę, podawał mu tabletkę, po czym zaklejał na nowo. W ogóle nie miał możliwości, żeby cokolwiek odpowiedzieć. A chciał odpowiedzieć. Chciał spytać, co się właściwie stało.

T. wziął nożyk i powoli przeciął sznur, którym go związał, po czym przyniósł z kuchni duży nóż i rzucił się na niego. Tarzali się po podłodze w kale i moczu, walczyli ze sobą, nóż wbił się w ciało T. Krew ściekała mu po dłoniach, cały był we krwi i w kale. Śmierdziało, otworzył rozbite okno, uderzyła go słodka woń miodu. Cukierki o smaku miodu! Woń miodu mieszała się ze smrodem kału, świeżość i nieczystości połączyły się w nim, był zmęczony, bardzo, bardzo zmęczony. T. kazał mu sobie pójść, ale on chciał spać; leżąc plackiem na podłodze, szybko zapadł w głęboki sen.

Nie wiedział, jak długo spał. Być może bardzo długo. A może tylko chwilkę. Obudził się, cała podłoga była zakrwawiona, T. leżał w kałuży krwi, rozluźniony na twarzy i uśmiechnięty. Wydawało mu się, że w ogóle nie zna T.

Pamiętał, że T. kazał mu sobie pójść.

Tylko dokąd?

Podszedł do T., wyjął z jego kieszeni komórkę i kluczyki od samochodu. Spojrzał mu w oczy, wiedział, dokąd ma się udać. Ciemnobłękitne oczy T. zapełniły się kłębam szarych fal. Zabrał ze sobą narzędzie zbrodni, chciał pojechać nad Bałtyk, stanąć przy okręcie podwodnym i się zabić.



## WZIAŁ KOTA SĄSIADÓW I POSZEDŁ POPLÝWAĆ W MORZU

Ingrid wstała już o piątej rano. Całą noc nie zmrzyła oka, śpiący obok niej mąż w ogóle nie chrapał, podnosiła się kilka razy, by dotknąć palcem jego nosa, i gdy upewniła się, że mąż oddycha, była znowu spokojna. Wszystko się zmieniło, mąż nagle przestał chrapać, ona rzuciła papierosy, kot wyszedł i nie wrócił, wszystkie bonsai w domu pousychały, całą zimę nie padał śnieg, w zegarze ściennym wyładowała się bateria, wskazówki zatrzymały się, od dawna nie spadła kropla deszczu.

Nie powiedziała mężowi, że dzisiaj idzie na pociąg. Powiedziała, że szkoła muzyczna jedzie do innego miasta wysłuchać koncertu, nocować będą w hotelu. Nie odpowiedział, w milczeniu jadł leżącą przed nim na talerzu kanapkę. Nie dojadł kanapki, nie dopił piwa, stracił apetyt, kiedyś przy kolacji wypijał dwie duże puszki, teraz ledwie połowę jednej i miał dość, a czasami w ogóle zapominał o piwie.

Mewy wstały wcześniej niż ona, latały nad plażą, pokrzykując donośnie. Wyszła z domu na autobus, była chłodna marcowa wiosna, od morza wiał silny wiatr, myślała, że ją zaraz przewróci. Ledwie co się rozjaśniło, patrzyła na Fiord Kiloński. Dawno, dawno temu zimy były siarczyste, cały fiord zamarzał, szumiące teraz wody pokrywał niegdyś lód. Prowadząc T. za rękę, szła z Laboe po zmarzniętej tafli morza. Mówiła mu,

jak będziemy tak szli, to przejdziemy fiord i dotrzemy na drugi brzeg do Kilonii. T. zawsze się śmiał, krzycząc:

– Mamo, idziemy po morzu! – Puszczając rękę mamy i biegł jak oszalały, nie mogła go dogonić, przewracała się na lodzie. Widząc, że się przewróciła, śmiał się i biegł dalej przed siebie, znikając w śniegu.

Gdy spotykała sąsiadów w autobusie, grzecznie się z nimi witała i rozmawiała o pogodzie. Sąsiedzi baczyli na ton własnych wypowiedzi, ostrożnie dobierali słowa, bali się wspominać o T. Od kiedy T. odszedł, wszyscy w miasteczku byli dla niej bardzo uprzejmi. Unikali rozmowy o śmierci, ale patrzyli na nią ze współczuciem, nie mogła znieść tego alienującego współczucia. W artykule o śmierci jej syna napisano, że homoseksualista, że neonazista, że Tajwan. Wyobrażała sobie, że sąsiedzi i krewni dyskutują za jej plecami, w końcu naprawdę nie mogła już dłużej wytrzymać i spytała sąsiadkę, z którą się przyjaźniła:

– Czy wy ciągle rozmawiacie o moim synu, kiedy mnie nie ma?

– Ingrid – odrzekła jej sąsiadka – nie, naprawdę nie. To straszne, co napisali w gazetach. Nie wiemy, co powiedzieć. Nawet nie wiemy, gdzie ten Tajwan leży.

Dzisiaj jedzie do Berlina.

W pociągu zastanawiała się, czy jak dojedzie do Berlina, to naprawdę musi wysiąść. Kiedy otrzymała wiadomość, jej pierwszą myślą było, żeby jechać, chciała jechać sama. Nie wiedziała czemu. Ale naprawdę chciała zobaczyć.

Tego dnia – dnia, który zmienił wszystko – w drzwiach stanęła policja, mówili coś, pytali, a na odchodne powiedzieli, że jak się czegoś dowiedzą, to dadzą znać. Wkrótce potem jej komórka zadrżała, na ekranie pojawił się numer telefonu T. Nie umarł, nie umarł, policja się pomyliła, pomyślała

sobie w duchu, mój syn nie umarł, zadzwonił. Kiedy odebrała, okazało się, że to on. Nie T. On.

Pognała do okrętu podwodnego, znalazła go. Nie mieli wspólnego języka. Nie przestawał płakać. Cały był poraniony, twarz miał opuchniętą, włosy pełne piachu, ubrany był lekko. Nie przestawał płakać, mówił „Sorry”. Wtedy zobaczyła, że leży przy nim nóż.

Pociąg dojechał do Berlina, miała cały dzień. Ledwie wysiadła, a już zachciało jej się palić... i spać. Była ładna pogoda, słońce niby marcowe, a jednak ciepłe. Chciała czym prędzej znaleźć jakiś spokojny park, usiąść na ławce i się zdrzemnąć. Dawno już nie paliła, czemu jak tylko dojechała do Berlina, to nałóg tak bardzo dał o sobie znać?

Wsiadła w metro, nie miała konkretnego celu, przesiadła się na przypadkowej stacji, potem wysiadła. Pomyślała, czy powinnam zobaczyć ten Berlin, gdzie się syn obracał? Nie wiedziała jednak, w jakiej dzielnicy mieszkał, nie miała też pojęcia, czym się w Berlinie zajmował. Nie wiedziała nawet, że wziął ślub z Tajwańczykiem. Tego Tajwańczyka widziała ledwie dwa razy, raz dawno temu na Boże Narodzenie, a drugi raz przy okręcie podwodnym. Dzisiaj w Berlinie to jej trzeci raz.

Jak mu spojrzeć w oczy? Nie, nie chce mu spojrzeć w oczy. W torebce miała czapkę, zrobiła próbę w domu przed lustrem, jak dobrze czapkę zaciągnąć, to przykryje pół twarzy.

Kawiarnie powystawiały już krzesła i stoliki na chodnik, upatrzyła sobie jedną z nich, zamówiła cappuccino i kawałek ciasta. Na dnie plecaka znalazła zgniecionego papierosa. Nie miała zapalniczki, trzymała papierosa w palcach, raz chcąc, raz nie chcąc zapalić. Zjadła ciasto i zasnęła na oparciu krzesła. Po przebudzeniu poszła do centrum handlowego. Właśnie pojawiła się wiosenna kolekcja, chwyciła kilka kwiecistych sukienek i weszła do przymierzalni, ledwie przymierzyła jedną, a znów poczuła się

senna, przymierzalnia była przestronna, usiadła więc na podłodze i się zdrzemnęła. Po zakupach zauważyła, że w alejkach roi się od azjatyckich restauracji, weszła do pierwszej z brzegu i zamówiła makaron w zupie. Zjadła i znowu zachciało jej się spać, spytała obsługę restauracji, czy w pobliżu jest jakiś park. Idąc do parku, całą drogę ziewała, w parku bawiły się dzieci, czekały psy. Znalazła sobie pustą ławkę, położyła się i zasnęła. Kiedy się obudziła, trzeba już było ruszać w drogę.

Napężenie w ramionach ustąpiło. W Berlinie czuła się swobodnie. W Laboe wszyscy ją znali, a i ona wszystkich znała, nawet pobliskie psy i koty potrafiła wołać po imieniu. W Berlinie nikt jej nie znał. Spała gdzie popadło i nikt się tym nie przejmował. Nikt jej nie spytał, czemu trzyma w palcach papierosa, ale go nie zapala. Nikt jej nie spytał, co słyhać. Nikt z nią nie rozmawiał o pogodzie. Nikt nie znał jej imienia. Nikt nie wiedział, skąd przyjechała. Nikt nie wiedział, że jej jednak nie żyje. Nikt nie znał jej cierpienia.

Po przybyciu do więzienia musiała wszystkie rzeczy zdeponować w szafce. Mogę tu wszystko zostawić, ale tę czapkę, błagam, czy mogłabym ją założyć?

Znalazła go na karcie spektaklu. Hamleta grało pięciu aktorów, on był jednym z nich.

Widownia była dość liczna, zdziwiła się, czemu tyle osób chciało przyjść do więzienia obejrzeć sztukę wystawianą przez więźniów. Widzowie musieli przejść przez bramki kontroli bezpieczeństwa, po czym kierowani byli przez organizatorów do ceglanego budynku. Weszła razem ze wszystkimi. Wewnątrz było wiele pięter, wiele cel, więzienie wyglądało niemal tak samo jak na filmach. Przed spektaklem na scenę wyszedł reżyser, powiedział, że ten budynek to byłoby więzienie, sąsiednie budynki wciąż są używane w celach penitencjarnych, ale tutaj już od wielu lat nie

osadza się skazanych, niemało czasu i wysiłku kosztowało zdobycie pozwolenia na organizację tego spektaklu. Prace nad przedstawieniem trwały trzy miesiące, osadzeni spędzili wiele godzin, ucząc się szekspirowskich kwestii na pamięć, wielu z nich nigdy wcześniej nawet nie czytało Szekspira; między próbami sami zaczęli czytać inne jego dramaty.

Celowo wybrała miejsce jak najdalej od sceny i założyła czapkę. Zapalono światła, na scenę weszli wszyscy aktorzy i zaczęli wypowiadać swoje kwestie. W szkole czytała Szekspira, ale wszystko zapomniała. Kiedy czytała na papierze, wydawało jej się to nudne. Ale głośna deklamacja, wznoszenie i obniżanie głosu sprawiły, że stało się to nader interesujące. Zobaczyła go, jak donośnym tonem wypowiada kwestie, skoncentrowany.

Po każdym fragmencie jeden z aktorów prosił widownię o przejście w stronę innego aktora. Przez cały spektakl widzowie przemieszczali się za aktorami w różne kąty więzienia. Podczas każdego takiego ruchu trzymała się w ogonie grupy, a gdy zbliżała się do wyznaczonego miejsca, cofała się, żeby tylko być jak najdalej od aktora.

Miał dużo do grania, całkiem sporo fragmentów monologów. Nie rozumiała w sumie, dlaczego reżyser kazał pięciu aktorom grać jednego Hamleta.

W pewnej chwili, kiedy wygłaszał fragment monologu, z jego oczu popłynęły łzy, zaczął się dławić, ale dokończył, cały dygotał. Czemu płacze? Pomyślała. Czy w tym momencie sztuki Hamlet ma płakać? Pogładziła się dłonią po policzku i zdała sobie sprawę, że sama też płacze.

Czy to możliwe, pomyślała, że ją zobaczył?

Przedstawienie trwało ponad dwie godziny, w końcowej scenie wirowały drewniane miecze, postaci dźgały się nawzajem, bij zabij! Wszyscy zginęli. Spojrzała na niego, leżał na ziemi, cicho płacząc.

Kurtyna, ukłony, oklaski. Widownia wstała, bijąc brawo, ona jedna nie śmiała się podnieść z obawy, że ją zobaczy i że inni zobaczą ulewny deszcz na jej twarzy.

Reżyser zwrócił się do obecnych, dzisiaj jest premiera, więc przygotowaliśmy drobny poczęstunek, zostańcie państwo z nami, aby spędzić kilka chwil z aktorami. Wstała i ruszyła w stronę wyjścia, ale natknęła się na jego wzrok.

Podeszła, nie miała pojęcia, co powiedzieć. Obrazy kotłowały jej się w głowie, nie umiała sklecić ani jednego kompletnego zdania. Lekko drżał, wciąż płakał. Stała dwa, trzy kroki od niego, widząc go, mówiła w duchu do siebie, rany na twarzy mu się zagoiły, we włosach nie ma piachu, wygląda teraz znacznie lepiej.

Nie wiedzieli, co powiedzieć, więc nic nie mówili. Ruszyła do wyjścia, nie odwracając się.

Kiedy już wyszła z więzienia, spytała się jeszcze w myślach, czy nie powinna była mu czegoś powiedzieć? Ale co powiedzieć? Co miała mu powiedzieć?

Wracając metrem do hotelu, pomyliła kierunki, a potem źle się przesiadła i błądziła po obcym mieście. Ale nie przejmowała się tym, a nawet cieszyło ją to zagubienie. Wyobrażała sobie, że zgubiła się w Berlinie już na dobre, że nikt jej nie odnajdzie, że nie trafi do hotelu i nigdy nie wróci do domu.

T. wydał jej się wtedy nieco bliższy. Pewnie miał podobne wrażenia, kiedy mieszkał w Berlinie, co nie?

W końcu wsiadła do pociągu właściwej linii metra, ledwie zajęła miejsce, a zobaczyła T.

Miała go tuż przed oczami.

Pod siedzeniem naprzeciwko.

Położyła się na ziemi i wsunęła głowę pod siedzenie naprzeciwko, pozostali pasażerowie odwracali od niej wzrok.

Na podłodze przedziału, pod siedzeniem była naklejka z wizerunkiem okrętu podwodnego i dłoni pokazującej środkowy palec.

T. już od małego przejawiał trudny do zrozumienia i okiełznania charakter. Raz tak pobił dziecko sąsiadów, że trafiło do szpitala. Wziął ich kota i poszedł z nim nad morze, gdzie go utopił, a potem zwłoki zwierzęcia położył sąsiadom na stole. Na lekcji chwycił koleżankę za głowę i uderzył nią w ścianę. Groził nożem nauczycielom i dyrektorce szkoły. Kiedy się pokłócił z ojcem, dźgnął go ostrymi nożyczkami. Pewnego razu powiedział, że chce upiec mamie ciasto, w kuchni wybuchł pożar, kiedy straż pożarna przyjechała, śmiał się i mówił, że ogień taki ładny. Kiedy zabierała go do lekarza, zawsze coś rysował; lubił rysować okręt podwodny stojący na plaży przed domem, mówił, że kiedyś do niego wsiądzie i odpłynie z Laboe daleko, daleko. Jak tak rysował, pewnego razu przed okrętem pojawił się wyciągnięty środkowy palec.

Leżąc na podłodze przedziału berlińskiego metra, rozpłakała się.

T. jechał tym wagonem.

Wiedziała, co powinna była powiedzieć w więzieniu.

Teraz już wiedziała.

Po zakończeniu spektaklu bardzo, bardzo chciała, naprawdę chciała mu powiedzieć: „Nie płacz”.

## NAJLEPIEJ, ŻEBY W PARYŻU TAKŻE USŁYSZANO

Zerwał się wiatr, który świszczwał w szczelinach okien każdego domu w wiosce. Głęboką nocą wioska ziewała, zamykając oczy, aby we śnie pożegnać Święto Duchów. Świst wiatru wpadał do uszu, jakby ktoś szeptem groził, przywołując liczne opowieści o bezdomnych duchach z wioski; błędne ogniki płonęły na cmentarzu, w powietrzu unosił się popiół z papierów pozagrobowych, w bambusowym gaju poruszały się cienie. Ja też tu jestem, razem z wiatrem wciskam się do domu. Zgodnie z prognozą pogody dzisiaj wieczorem w środkowej części Wyspy występuje wielkie prawdopodobieństwo opadów deszczu, suchą od dawna wioskę nawiedzi długo oczekiwana ulewa.

Moje trzy córki i najmłodszy syn weszli na trzecią kondygnację szeregowca, do swoich niegdysiejszych pokoi, wzniesając zalegający tam od dawna kurz. Shumei wzięła ścierkę, miotełkę z piór i pośpiesznie wyczyściła łóżko, biała ścierka wyglądała, jakby nasiąkła czarnym tuszem. Drewniane ściany dzielące pokoje były bardzo cienkie, w ogóle nie tamowały dźwięku, trzy siostry dalej rozmawiały ze sobą mimo dzielących je ścian.

– Shumei, czemu w budynku obok, tam, gdzie kiedyś była wypożyczalnia kaset, ciągle jest ciemno? Nikt tam nie mieszka?



– No tak, ciemno, wywiesili nawet tabliczkę z informacją: „Sprzedam”.  
Kto by chciał kupić spalony dom?

– Choćby go nawet wypucowali, taki potencjalny nabywca zasięgnie języka i który się odważy kupić? Nawiedzony dom.

– Kto wie, co się właściwie stało? Słyszałam, że było jakieś dochodzenie, ale nie wiem, czy do czegoś w końcu doszli.

– Choćby to nawet nie był nawiedzony dom i się nie spalił, to i tak nikt nie kupi. Teraz rynek nieruchomości kiepsko stoi, kto by chciał kupować dom w tak upiornym miejscu?

– Co to za dźwięk?

– Wiatr.

– Nie.

– Pewnie, że wiatr.

– Zamknijcie się obie. Posłuchajcie dobrze.

Sz-sz.

Czyżby usłyszały, jak się przedzieram przez ścianę?

– Termity – powiedział Chen Tianhong.

Gładząc mapę świata na blacie biurka, zatrzymał palec na Niemczech. Zanim wyjechał, spoglądał zawsze na biurko i wybierał losowo jakiś kraj, a potem mówił do siebie, że kiedyś na pewno tam pojedzie i nigdy nie wróci. Przyłożył ucho do blatu biurka i usłyszał, jak termity chrupią drewno.

Głos najmłodszego brata był mętny, rozwidlał się i przenikając ściany, docierał do uszu trzech sióstr, najstarszej siostrze Shumei przypominał pękającą szczelinę, drugiej siostrze Shuli nasuwał na myśl rozgarnianie siwych włosów, a trzecia siostra Shuqing słyszała w nim dźwięk łamiącego się obcasa.

– Idź spać, dopiero co przyjechałeś, pewnie ciężko znosisz różnicę czasu.

– Właśnie, idź spać, jutro pogadamy.

– Idźcie spać, ja zejdem na dół zamknąć drzwi.

– Byłyście tu, jak się ten dom obok spalił? – spytał Chen Tianhong.

Żadna nie odpowiedziała. Nie wiedziały jak. Każda z nich coś tam trochę wiedziała. Ale w sumie to niczego nie wiedziały.

Tylko ja wiem wszystko. Tylko mnie było dane na własne oczy wszystko zobaczyć.

Tianhong, nie możesz mnie usłyszeć, więc nigdy się nie dowiesz, że to twoja mama podpaliła. Kiedy usłyszała, że zostałeś w Niemczech skazany i wtrącony do więzienia, chodząc po piwnicy domu rzeźnika węży, podjęła decyzję, że powinna umrzeć. Nie wiesz, mało kto wie, ja za życia też nie wiedziałem, że w tym rzędzie szeregowców dom rzeźnika węży ma piwnicę.

Twoja piąta siostra wiedziała. Kiedy młody Wang zmienił zdanie i zdecydował, że wyjdzie jednak za czwartą z sióstr, twoja piąta siostra dostała ostrej wysypki na całym ciele, rzeźnik węży otworzył ukryte w podziemiu drzwi i zaprowadził ją do piwnicy, po czym wyjął skrywaną tam jak skarb wódkę ziołową. Nasączył bawełnę wódką i wysmarował delikatnie jej ciało. Zobaczyła wtedy sukienkę twojej mamy wiszącą na wieszaku w tej piwnicy.

Kiedy rzeźnik węży nie patrzył, ukradła tę sukienkę. Założyła ją potem i poszła do A-Chan. Gdy ją A-Chan zobaczyła, na jej twarz wstąpiły błyskawice. Twoja piąta siostra zagroziła, że jeśli A-Chan pozwoli, by czwarta siostra wyszła za Wang, to powie o piwnicy. Jak A-Chan mogła ulec groźbom? Powiedz to tacie, wrzasnęła. No idź, powiedz mu! Jak usłyszysz, to na pewno się ucieszy. Czwarta siostra zamieszka w Białym

Domu, a ty, wszyscy wiedzą, że Wang się z tobą zabawiał, aż trudno słuchać tego, co on o tobie opowiada, kto teraz będzie chciał cię poślubić?

Podczas wystawnego wesela twoja piąta siostra ciągle wygadywała, że się zabije. A-Chan myślała, że pomarudzi i jej przejdzie, potem weźmie się jakąś swatkę, która znajdzie męża piątej córce. Twoja piąta siostra cała się pocięła, zrobiła przed Białym Domem konferencję prasową ze swego samobójstwa, podeszła do młodego Wanga, wyciągnęła nóż i pocięła sobie twarz i piersi. Nie wiesz, ale zostawiła też plamę krwi w piwnicy, żeby mama zobaczyła.

Kiedy usłyszała, że cię wsadzili do więzienia, A-Chan schowała się w piwnicy i nie wychodziła. Zdawało jej się, że słyszy, jak wszystkie usta w wiosce mówią: „Urodziła kupę córek, w końcu udało jej się powić synów, a obaj poszli do ciupy”.

Powiedziała rzeźnikowi węży, że chce wszystko spalić. Spalić piwnicę, spalić siebie i rzeźnika węży, spalić przeszłość. Nie zdała egzaminu jako matka, nie sprawdziła się jako żona. Dwaj synowie to przestępcy, mąż nie żyje, nie ma więc powodu, nie ma też twarzy, żeby dalej żyć na tym świecie.

Tego wieczoru był silny wiatr, płomienie wybuchły o północy. Wszystkie piętra domu rzeźnika węży zajęły się ogniem w okamgnieniu. Na parterze szybko zapaliły się kasety VHS i płyty DVD. Na drugiej kondygnacji hodowane były węże i inne zwierzęta – wszystkie spłonęły.

Shumei obudzili strażacy, otworzyła okna i wyjrzała, przeraziły ją potężne jężory ognia. Z wozu strażackiego tryskała woda, czarny dym unosił się ku niebu. Twoja czwarta siostra w Białym Domu też usłyszała straż pożarną, nie odważyła się odsłonić zasłon. Czy to Biały Dom się pali? Rozmarzyła się. To świetnie, w pokoju leżą całe stosy starych gazet, będą

się dobrze palić. Wyobraziła sobie, jak cała płonie, piąta siostra na pewno chciałaby to zobaczyć.

– Sujie, powiedz mi dlaczego? – chłodnym głosem i z wielkimi znakami zapytania w oczach pytała ją ciągle piąta siostra. – Dlaczego jesteśmy dla siebie takie niemiłe?

Nigdy jej nie odpowiedziała, zazdrościła jej. Od kiedy były małe, wszyscy zwracali uwagę wyłącznie na piątą siostrę, a na nią nikt nawet nie spojrzał. Piąta siostra była najpiękniejsza, najponętniejsza, miała największe piersi, jej narzeczony był bogaty, najładniej śpiewała. A ona, ta czwarta siostra, nie była ładna, piersi miała niewielkie, nie cierpiała na żadne uczulenie, nie podobała się żadnemu chłopakowi. Zazdrościła piątej siostrze jej uczulonego ciała, kuszącej białej skóry i tego, że wszyscy ją kochali. Hipopotam był dla piątej siostry, Paryż był dla piątej siostry, Biały Dom był dla piątej siostry, fontanna Apollina była dla piątej siostry.

– Twoja siostra jest sucha – żalił się jej młody Wang.

Otworzyła się przed nim i przyjęła Wanga, wilgotna. Wang narzekał na jej małe piersi, powiedziała mu, że wszystko inne ma w porządku i na wszystko się zgadza.

– No to chcę ci wsadzić w dupę – powiedział.

Natychmiast skinęła głową, głośno krzyczała, żeby piąta siostra mogła usłyszeć, żeby cały Yongjing usłyszał, a najlepiej, żeby w Paryżu także usłyszano.

– Ja pierdolę! – stwierdził. – Chcę się z tobą ożenić! Żadna kobieta nie dała mi jebać w dupę, nawet te płatne się na to nie zgodziły.

Pomyślała sobie wtedy, że wygrała, hipopotam był teraz dla niej.

Shumei zadzwoniła do drugiej, trzeciej i czwartej siostry.

– U sąsiadów się pali – powiedziała im – u rzeźnika węży, mama chyba tam jest.

Strażacy stopniowo opanowywali ogień, mnóstwo zwierząt wypęzło z budynku, legwan, łuskowiec, paguma, boa dusiciel. Czy to ze względu na wysoką temperaturę, czy też gęsty dym, boa dusiciel wspinający się po ścianie spadł nagle na ziemię, a strażacy rozbiegli się w popłochu. Z chmury dymu wyleciał wielki orzeł, stojący wokół gapie wrzasnęli z przerażenia. Wiał silny wiatr, orle skrzydła zapłonęły, kiedy ptak ulatywał szybko ku wschodowi, płomienie migotały nad wsią. Ludzie domyślali się, że orzeł kierował się pewnie ku łańcuchom górskim w centralnej części Wyspy.

Uprzątając zgliszcza, strażacy znaleźli dwa zwęglone ciała w piwnicy. Stwierdzono, że to rzeźnik węży i Sojowa Cykada.

Tak oto cała wioska się dowiedziała, że ten budynek miał piwnicę.

# 11

## U-995

Słuchając, jak termity chrupią drewno, jak świszczy wiatr, jak skrzeczy gekon, Chen Tianhong zapadł w głęboki sen. Szkoda, że nie padało, bardzo chciał posłuchać tajwańskiego deszczu.

Przyśnił mu się deszcz, piach i przypyływ morski. Woda w morzu była lodowata, piach podrażniał rany.

Zabiwszy T., wsiadł do samochodu i ruszył na północ, do leżącego nad Morzem Bałtyckim miasteczka zwanego Laboe. Noc była gęsta, miasteczko spało, na plaży nie było nikogo.

Stał tam jedynie wielki okręt podwodny z czasów drugiej wojny – U-995. Z daleka wyglądał jak wyrzucony na brzeg wieloryb, ogromny i samotny. Nocą U-995 jest podświetlony kolorem dojrzałego mango, metalowa powłoka okrętu lśni wtedy osobliwym złocistym blaskiem.

Na wydmie obok leżały uschłe trawy. Dął morski wiatr, a on nie był ciepło ubrany, dygotał z zimna. Usiadł na wydmie, zanurzył ranę w piasku, jeszcze boli, to znaczy, że nadal żyje. Położył głowę na trawie, trawa wyglądała na uschniętą, ale kiedy się położył, okazała się wilgotna. W trawie zobaczył mnóstwo białych piór i potłuczonych białych muszli.

Spoglądając na U-995, myślał o T. leżącym na podłodze mieszkania. Wychodząc z domu, nie zamknął drzwi. T. nienawidził policji, więc on nie mógł zgłosić. Drzwi zostawił otwarte, żeby sąsiedzi zgłosili.

Pewnego roku latem jedli lody przy U-995, palili marihuanę, a T., śmiejąc się, opowiedział pewną historię: jak miał piętnaście lat, umówił się na pojedynek pod tym okrętem z chłopcem, z którym miał na pieńku, bójka miała się odbyć bez żadnej broni, tylko na pięści. Chłopiec ten był znacznie niższy od T., ale mocniejszy, wepchnął T. do morza i rzucił się na niego, zanurzając głowę T. w wodzie. T. nie mógł oddychać, przestał się ruszać, udając, że nie żyje, a gdy niski chłopiec puścił go, T. wyskoczył i zaatakował. Znał to morze od małego, wiedział, gdzie są kamienie, gdzie jest głęboko, gdzie płytko, wziął kamień i rozbił chłopcu głowę, a potem zaciągnął na głęboką wodę.

A potem? Niskiemu chłopcu nic się nie stało?

T. roześmiał się i ze zwycięskim wyrazem twarzy powiedział, długo leżał w szpitalu, szkoda, że nie umarł, kretyn.

Wyjął z plecaka nóż – ten, którym niedawno zadźgał swego T. Jak użyć tego noża? Jak się zabić? Poderżnąć nadgarstki i spokojnie położyć się na plecach? Tak jak piąta siostra, najpierw poderżnąć nadgarstki i założyć sobie foliowy worek na głowę? Przed nim rozciągało się czarnobrazowe morze, przypływ wołał zapraszająco, a gdyby tak wejść do lodowatego morza, odpłynąć w głębiny przypływu?

Owego roku nikt nie potrafił znaleźć piątej siostry, tylko on wiedział, gdzie jej szukać. Poszedł do kanału irygacyjnego i tam znalazł siostrę, do połowy zanurzona była w brudnej wodzie, obok pływało kilka martwych świń. Na głowie miała foliowy worek, dzień był upalny, spociała się, foliowy worek przywarł jej do twarzy. Usiłował ją obudzić, ale nie reagowała. Objął siostrę i zapłakał, płacz przyciągnął uwagę przechodniów, którzy powiadomili innych. Kiedy ich wszyscy znaleźli, zdążył już zasnąć, zmęczony płakaniem. Z daleka mogło się wydawać, jakby w kanale irygacyjnym leżały dwa trupy.

Popatrzył na Bałtyk, dojrzał białe punkty w oddali.

Dzikie łabędzie.

Jeden, dwa, trzy, nie przestawał liczyć, aż naliczył trzydzieści osobników, potem policzył od nowa i tym razem wyszło mu dwadzieścia, i jeszcze raz policzył: teraz było trzydzieści pięć sztuk. Białe punkty unosiły się na falach, dryfując coraz dalej i dalej. Liczył i liczył, aż w końcu zasnął. A gdyby się tak nie zabijać tym nożem? Poczuł, jak wypływa z niego ciepłota, a ciało zanurza się w piasku plaży. Zasnąć i się nie obudzić.

Nie wiedział, jak długo spał. Poczuł coś puszystego, usłyszał odgłosy zwierząt.

Otworzył oczy i ujrzał przed sobą biel. Czystą biel, jak obłok na pogodnym niebie, jak bawełna.

Podniósł się powoli i zdał sobie sprawę, że otaczają go obłoki. Łabędzie, które pływały na tafli morza, wyszły na plażę i zgromadziły się przy nim, wiele z nich podeszło nawet bardzo blisko i pochowawszy głowy w piórach, spało. Jeden nadepnął na nóż, spojrzął na Tianhonga i spokojnie poprawił sobie pióra dziobem.

Otoczony przez śnieżnobiałe dzikie łabędzie miał ochotę się roześmiać. Dopiero co zabił swego partnera, jak mógłby się teraz śmiać? Ale pióra łabędzi były naprawdę bardzo białe, błyszcząły w mroku nocy, ptaki w ogóle się go nie bały, ufały mu, spały u jego boku. Nagle przestał się czuć samotny. Naprawdę chciało mu się śmiać. Najmłodszy syn z rodziny mieszkającej na wsi w środkowej części Tajwanu znalazł się nad brzegiem Morza Bałtyckiego na północy Niemiec, w potarganym ubraniu, długo się nie mył, na skórze ma zaschnięte kawałki kału, otoczony teraz przez białe nadbałtyckie dzikie łabędzie, cóż za nedorzeczny obraz, śmiech z głębi ciała uniósł się i wypłynął przez usta.



Przypomniał mu się ten hipopotam na weselu czwartej siostry.

Na tyłach Białego Domu było małe zoo, hipopotam był tam największym zwierzęciem. Młody Wang powiedział rzeźnikowi węży, żeby znalazł hipopotama, rzeźnik powiedział, że ma dojścia i że się tym zajmie. Robotnicy wykopali głęboką sadzawkę na przyjęcie hipopotama. Kiedy hipopotam pojawił się w Yongjingu, nastąpiła zmiana panny młodej. W dniu ślubu czwartej siostry z młodym Wangiem piąta siostra odciągnęła brata od stołu weselnego i powiedziała, że pójda razem zobaczyć hipopotama. Poszli do ogrodu za Białym Domem, tropikalne ptaki hałasowały niemiłosiernie, podobnie jak goście weselni. Goście byli już pijani i stojąc wokół ogrodzenia hipopotamiego wybiegu, rzucali zwierzęciu jedzenie. Hipopotam otwierał ogromną paszczę, ukazując ostre zęby. Wlewali mu do pyska wódkę pędzoną z sorgo, francuskie czerwone wino, niemieckie białe wino, rzucali mu japońskie jabłka, homara.

– Hipopotam jest mój – oznajmiła piąta siostra.

Rzeźnik węży ubrany w garnitur ze skóry pytona karmił właśnie ptaki.

– Wiem, jak otworzyć ogrodzenie – powiedział piątej siostrze.

Zaczął się pokaz sztucznych ogni, goście pobiegli oglądać fajerwerki. Rzeźnik węży mrugnął do nich dwojga, otworzył ogrodzenie, a hipopotam powoli wyszedł. Zwierzę chwiało się po wypiciu znacznych ilości alkoholu, łypnęło okiem na piątą siostrę.

– Idź – powiedział do hipopotama.

Hipopotam zaczął truchtać, pobiegł ku gościom weselnym. Podniósł się przeraźliwy wrzask, hipopotam przewracał stoły, tratował ludzi, weselnicy puciekali.

Pokaz fajerwerków się skończył, ale ogień w oczach piątej siostry dopiero się rozpałał.

Patrząc, jak hipopotam przewraca okrągłe stoły weselne, brat i siostra nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

Hipopotam obijał się o wszystko, wybiegł poza teren Białego Domu, pognął na ulice Yongjingu, w końcu przewrócił się na polu ryżowym.

Siedział spokojnie na plaży, chciało mu się sikać, wysikał się na siedząco, tak długo był przywiązany do krzesła, że zdążył przywyknąć. Niebo się rozjaśniło, słońce wyrzało znad horyzontu, oblewając łabędzie pióra nieskazitelnym złotem. Ptaki zaczęły kierować się ku morzu, z gracją wchodziły do wody, na czystej tafli morza znowu pojawiły się białe punkty, jak lśniące gwiazdy.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął komórkę T. Znał jego hasło, więc od razu odblokował telefon. Znał PIN karty bankomatowej T. i kwotę na jego koncie, wiedział, po której stronie lubi spać, wiedział, że ma kilka jasnobrązowych pieprzyków na wewnętrznej stronie uda, ale tego T., który go związał, bił i zgwałcił, to w ogóle nie znał.

Zaczęło padać. Spoglądał to na dzikie łabędzie pływające po morzu, to na stojący u brzegu U-995. Skąpany w strugach deszczu okręt na plaży nigdy nie wypłynie w morze.

W książce kontaktów odszukał wpis: Mama.

Jak tylko nacisnął przycisk „zadzwoń”, rozpłakał się.

## GDYBYM TYLKO NIC NIE POWIEDZIAŁA

Chen Tianhong leżał na łóżku, zasypiał i budził się, po czym znowu zasypiał. Było tak gorąco, że cały zlany był potem, który spływał po nim strumieniami. Strumienie spotykały się, łączyły, wsiąkały w pośłanie, które wchłonawszy cieką jego ciała, stało się morzem. Był przemoczony, sen miał chaotyczny. Kiedy przyśniło mu się, że jakiś ostry przedmiot chce go dźgnąć, obudził się.

Ale jazgot. Przez ściany ciągle dochodziły odgłosy ciężarówek, podniósł się, otworzył drzwi i poszedł do byłego pokoju piątej siostry. Jej pokój miał balkon i okno wychodzące na zewnątrz, pewnie tam będzie chłodniej.

Drzwi do pokoju piątej siostry były otwarte, okno też, na łóżku siedziała druga siostra, patrząc na księżyc za oknem. W jego blasku zmarszczki na jej twarzy zdawały się głębsze, ale radosne, nieskryte, szczere. Przyglądając się dzisiaj twarzom trzech sióstr, stwierdził, że są bardzo gładkie, jakaś zewnętrzna siła usunęła z nich zmarszczki. W ich oczach widać było zmierzch, ale skóra żyła pełnią dnia, między skórą a wzrokiem występowała duża różnica czasu.

– Ale skwar. Ja też nie mogę zasnąć. Dopiero co byłam na dole, żeby się umyć, dwa razy, ledwie się umyłam, a znów się ze mnie leje.

Usiadł przy niej, łożko zaskrzypiało wiekowym: ija-ija. Termity też się obudziły. Albo w ogóle nie spały.

– Która godzina? – spytał.

– Sama nie wiem, zapodziałam gdzieś zegarek; nie wiem, gdzie jest. Ach, za każdym razem jak tu wracam, odczuwam różnicę czasu. Tutaj jest inny czas, wolniej płynie.

– Czemu te ciężarówki tak hałasują?

– Shumei mówi, że Wangowie zbudowali w pobliżu jakieś centrum logistyczne, żeby stworzyć jakąś tam największą platformę handlu internetowego w centralnej części Tajwanu, sama nie wiem. Jak już je zbudowali, to co noc wałą tędy tabuny ciężarówek.

Wtedy przejechał jakiś tir, aż się ulica zatrzęsała, stropy domów szeregowych również zadrżały. Pomyślał sobie, że te ciężarówki zwożą do tej małej wioski towary z całego świata, w końcu globalizacja, ale tutejsi mieszkańcy nie mają zielonego pojęcia, że nie będzie im dane odczuć tego tak zwanego rozkwitu, bo od zewnętrznego świata dzieli ich różnica czasu.

W końcu zjawił się chłodny powiew. Wiatr, podobnie jak ciężarówki, śpieszył się, przesywał wioskę i dalej w drogę, nie oglądając się za siebie. Wiatr wpadł do tego starego domu, przynosząc ciemne chmury, które zasłoniły księżyc.

– Zanim tu dziś przyszedłem, odwiedziłem kilka miejsc. Wiesz, że pływalnię zamknęli?

– Tak, wiem. Shumei tam kiedyś pracowała.

– Byłem też w sadzie karambolowym, zdziwiłem się, że jeszcze stoi.

Kiedy wspomniał o sadzie, oboje zamilkli.

To wszystko przeze mnie, pomyślał.

To wszystko przeze mnie, pomyślała.

Nigdy nie rozmawiali. O tym roku. Roku 1984, kiedy na Tajwanie otwarto pierwszego McDonalda.

Chen Tianhong miał wtedy osiem lat. Drugi syn Wangów, którzy mieszkali obok, Lekkoduch, rzucił dobrze płatną pracę w Tajpej i wrócił na wieś uprawiać karambole. Bardzo lubił Lekkoducha, po lekcjach zawsze biegł do sadu karambolowego, by się z nim spotkać. Uważał, że chudy i wysoki Lekkoduch ma pachnący pot, jego skóra była jasna, a zęby białe. Lekkoduch nosił zawsze czerwone krótkie spodenki, na brzuchu miał delikatne owłosienie. Ciągle trzymał nos w książkach, czytał mu na głos tłumaczone powieści, grał mu na gitarze i śpiewał amerykańskie piosenki. Lubiał łąpać Lekkoducha za przyrodzenie, Lekkoduch klepał go delikatnie po rękach i mówił:

– Dziecko, tak nie wolno. – Kilka razy, jak Lekkoduch spał, odważnie złapał go za genitalia. Przyrodzenie Lekkoducha twardniało wtedy i rosło, a on nie wiedział dlaczego. Po gradobiciu Lekkoduch leżał w swoim pokoju, lecząc rany, a jemu po wypiciu wielu miseczek wężowej zupy z wódką zakręciło się w głowie i pobiegł do pokoju Lekkoducha. Widząc, że Lekkoduch śpi, zaczął zabawiać się jego przyrodzeniem, wtedy weszła matka z miseczką zupy. Nie odezwała się ani słowem, spojrzała tylko surowym wzrokiem, wzięła go na ręce i zabrała do domu.

W pokoju Lekkoducha matka zobaczyła plakaty na ścianie. Sojowa Cykada nie umiała czytać, ale nie miała wątpliwości, że te plakaty wywołają burzę.

Kiedy przed Świątynią Mazu pod Murami Miasta wyświetlano film, oglądał go, siedząc Lekkoduchowi na kolanach. Wyciągnął rękę do tyłu, złapał go za przyrodzenie, Lekkoduch delikatnie odsunął jego dłoń.

– Oglądaj film – powiedział, wskazując palcem na ekran.

Próbował tak wiele razy, że Lekkoduch w końcu się poddał i pozwolił mu dotykać. To coś pod czerwonymi spodenkami powoli pęczniało.

Matka mówiła, to wszystko przez ciebie, zabiłeś Lekkoducha.

Mówiła, jak tylko zobaczyłam, co z nim wyprawiasz, poszłam na policję.

Powiedziała policji, że w pokoju najmłodszego syna Wangów zobaczyła plakaty partii komunistycznej. Słyszałam, że ten chłopak od Wangów codziennie czyta zakazane książki.

Zanim go oficjalnie aresztowano, zjawilo się kilku zamiejscowych o pogodnym wyrazie twarzy. Dowiedzieli się, że najmłodszy syn Wangów, zwany Lekkoduchem, często bywał w księgarni Jutro.

Policja w Tajpej złożyła wizytę u Shuli.

– Pani Chen Shuli, czy to prawda, że często zawozi pani z Tajpej książki do księgarni o nazwie Jutro?

Shuli nie miała pojęcia, że książki, które bierze ze sobą za każdym razem, gdy wraca do Yongjingu, to materiały antypartyjne i zakazane pisma.

– Pani Chen Shuli, wiemy, że nie ma pani z tym nic wspólnego. Jeśli będzie pani z nami współpracować, to nic pani nie zrobimy – zagrozili jej – bo przecież który to już rok republiki<sup>90</sup> teraz mamy, nie chcemy tego rozdmuchiwać. Proszę nam dokładnie powiedzieć, kto należy do klubu czytelniczego na piętrze księgarni Jutro. Jakie tam są książki? Co wisi na ścianach?

Na ścianach wisieli Marks i Lenin. Tytułów książek naprawdę nie pamiętała. Ale pamiętała, że na ścianie wisieli jeszcze Mao Zedong, Czang Kaj-szek i Chiang Ching-kuo<sup>91</sup>. Brali lotki do darta i celowali trzem politykom w oczy. Mówiąc o Czang Kai-sheku, posikała się. Cała się trzęsła, nie mogła powstrzymać moczu.

Kto, kto tam był? Kto należał do klubu czytelniczego na piętrze księgarni Jutro? Lekkoduch, gruby właściciel, chudy właściciel. Nie rozumiała tych książek, chodziła tam tylko, żeby jeść i pogadać, nie przystąpiła do klubu czytelniczego. „Antypartyjny”, „demokracja”, „socjalizm”, „wolność” – w ogóle nie rozumiała tych słów. Przywoziła im tylko frytki z McDonalda w Tajpej.

– Dziękujemy za informacje, pani Chen. Proszę się nie martwić, nic pani nie grozi, sprawdziliśmy pani historię, pani naprawdę nie brała udziału w tym procederze. Teraz sytuacja się nieco rozluźniła, są naciski z zagranicy, trudno to załatwić. Prawdę mówiąc, sami nie chcemy też robić zamieszania. Ale jeszcze dziesięć lat temu, mówię pani, byłaby za to kula w łeb.

Cały dzień przesiedziała w domu, w końcu zdecydowała, że musi ostrzec właścicieli księgarni. Wieczornym pociągiem wybrała się z Tajpej do Yongjingu, ale uprzedziła ją służba bezpieczeństwa.

Tego lata od dłuższego czasu nie spadła kropla deszczu. A-Chan wiedziała, że tego ranka policja przyjdzie go aresztować. Wcześniej wyszła z domu na spotkanie grupy recytacyjnej w Świątyni Mazu pod Murami Miasta. Rzeźnik węży zaniósł do świątyni doniczkę orchidei w ofierze, zdobył pierwsze miejsce w konkursie, zamówił grupę recytacyjną i nagie tancerki, żeby podziękować bóstwom. A-Chan powiedziała mu, że rano wydarzy się coś ważnego, więc wolałaby się ukryć, czy można by więc recytację sutr wykonać z samego rana?

A-Chan nie umiała czytać, w ogóle nie wiedziała, co jest w sutrach napisane. Ale znalazła sposób: wsłuchując się w słowa i rytm recytacji innych członków grupy, wszystko zapamiętywała. Tego dnia cała grupa recytacyjna była niewyspana, oczy im się jeszcze kleiły. Recytować tak wcześniej rano? Przecież bóstwa jeszcze śpią. Ale rzeźnik węży wręczył

hojną sumę w czerwonej kopercie, cała grupa stawiała się więc ubrana w togi przeznaczone na taką okazję z przypiętymi na piersiach mikrofonami, wzmacniacz nastawiono na pełny regulator i zaczęto recytować bóstwom sutry dziękczynne. A-Chan recytowała najgłośniej, z całej siły darła się w mikrofon.

Naprzeciwko Świątyni Mazu pod Murami Miasta była ubojnia, rzeźnik wyjął nóż i zaklął:

– Cholera jasna! Od samego rana recytują.

Wbił nóż w ciało świni, a ta zaczęła kwiczeć żałośnie. Jej kwik w obliczu śmierci konkurował z odgłosami recytacji dochodzącymi ze Świątyni Mazu pod Murami Miasta, im głośniej świnia kwiczała, tym więcej decybeli dochodziło ze świętego przybytku. Kwiczenie i recytacja szły zgodnym tempem, współgrały ze sobą, prowadziły się nawzajem, miały ten sam rytm, świątobliwe hymny i krwawa masakra uzupełniały się, tworząc najbardziej niedorzeczną melodię. Policja również usłyszała te śpiewy, kiedy się zjawiała we wsi.

Tego dnia krwi było nadzwyczaj dużo, rzeźnik, słuchając recytacji, zrobił się senny, leniwie czyścił rozlaną świeżo świńską krew, która spływała w kierunku świątyni. A-Chan, drąc się do mikrofonu, nagle poczuła wilgoć pod stopami, spojrzała w dół i zobaczyła, że stoi we krwi.

Kiedy Shuli dojechała do Yongjingu, księgarnia Jutro była już otoczona taśmą odgradzającą, kobieta patrzyła z daleka, jak obu właścicieli wsadzano osobno do dwóch radiowozów.

– To wszystko przeze mnie – łajała się. – To wszystko przeze mnie. To wszystko przeze mnie. Gdybym tylko nic nie powiedziała. Gdybym tylko nic nie powiedziała.

Policjanci wtargnęli do domu Wangów, ale nie znaleźli Lekko ducha.



Nie wiedzieli, że w środku nocy rzeźnik węży obudził Lekkoducha i kazał mu pozrywać plakaty, a najlepiej spalić, wziąć ze sobą tyle książek, ile da radę unieść, i znaleźć sobie chwilowo jakąś kryjówkę.

Lekkoduch szybko zerwał plakaty ze ściany, ale gdzie miałby się ukryć? Gdzie schować książki?

– Pokażę ci, jak się zaszyć – powiedział rzeźnik węży – spokojna głowa. Gwarantuję, że cię przez jakiś czas nie znajdą.

Policjanci nie mogli nigdzie znaleźć Lekkoducha.

Ani żadnej z jego książek. Kiedy wtargnęli, jego pokój był niemal pusty.

Shuli nie powiedziała, że klub czytelniczy w księgarni Jutro oprócz Lekkoducha oraz obu właścicieli miał jeszcze jednego członka.

– Shuli, rano chcę pokłonić się tacie.

Zaczęło padać. Wreszcie. Krople deszczu wlatywały z wiatrem na balkon, Shuli i Tianhong poczuli wilgoć na twarzy, ale ani jemu, ani jej nie chciało się wstać, żeby zamknąć okno.

Shuli nie powiedziała, że piątym członkiem klubu czytelniczego był tata.

---

<sup>90</sup> Na Tajwanie używa się datowania rozpoczynającego się od roku proklamowania Republiki Chińskiej, czyli 1911. Rok 1984 był więc 73. rokiem republiki.

<sup>91</sup> Syn Czang Kai-szeka, który był prezydentem Republiki Chińskiej na Tajwanie w latach 1978-1988. Czang i Chiang to to samo nazwisko (蔣) zapisane w różnych transkrypcjach zgodnie z tradycją ortograficzną, jaka się utrzymała w języku polskim w odniesieniu do tych dwóch osób.

# DWA LISTY POŻEGNALNE W BIAŁYM DOMU NA DNIĘ WODOSZCZELNEGO POJEMNIKA

*Tato, Mamo,*

*najpierw bardzo Was przepraszam.*

*Przepraszam. Zrobię pierwszy krok. Jeśli czytacie ten list, to znaczy, że już nie żyję. Po napisaniu tego listu dam go sąsiadowi, rzeźnikowi węży. Zgodził się przechować dla mnie ten list. Jeśli coś mi się stanie, na pewno Wam go przekaże. Mam oczywiście nadzieję, że nic się nie wydarzy. Ale mam przeczucie.*

*Tato, przepraszam. Wiem, że zainwestowałeś we mnie dużo pieniędzy, wykorzystałeś wszystkie kontakty i znajomości, żeby mnie wyciągnąć. Wyszedłem, ale właściciele księgarni jeszcze tam zostali. Pójdę do znajomych, zobaczę, czy da się tę sprawę nagłośnić. Jak się da, to właściciele księgarni powinni zostać wypuszczeni.*

*Mamo, przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Mój starszy brat, chociaż nie garnie się do nauki tak bardzo jak ja, to ma smykałkę do interesów, na pewno będziesz z niego kiedyś dumna.*

*Naprawdę dali mi tam popalić. Nie patyczkowali się, nie pozwalali mi spać, bili tak, żeby nie pozostawić widocznych śladów, chcieli mnie zmusić, żebym się przyznał. Ale mój pokój był pusty, niczego nie znaleźli. Nie mieli bezpośrednich dowodów, musieli mnie wypuścić. Ale wiem, że to nie takie proste.*

*Książki pomógł mi schować rzeźnik węży. Powiedział, że nie zdradzi mi, gdzie je schował, odda mi je kiedyś, jak będzie okazja. Gdyby coś mi się stało, każcie mu te książki wyrzucić, żeby już nikogo więcej w to nie mieszać. Proszę, powiedzcie mu, że dziękuję. Naprawdę mu dziękuję.*

*Nie boję się śmierci. Boję się tylko niewoli.*

*Nie będę płakał, nawet jeśli się dowiem, że umrę.*

*Martwię się o właścicieli księgarni. Tato, Mamo, jeśli możecie, pomóżcie im.*

*Nie smućcie się.*

*Wasz syn*

*Lekkoduch*

*A-Shan,*

*mam nadzieję, że nigdy nie otrzymasz tego listu.*

*Wypuścili mnie, na pewno o tym słyszałeś. Ale pewnie rozumiesz, że tak łatwo tego nie odpuszczą. Nie mogę się teraz z Tobą spotkać, mieszkamy obok siebie, ale nie mogę Cię w to wplątywać. Na szczęście, na szczęście nic Ci się nie stało, na szczęście nie dotarli do Ciebie. Wypuścili mnie pod warunkiem, że będę im dokładnie raportował, z kim rozmawiam, gdzie chodzę, co jem, co czytam. Dlatego nie możemy się spotkać. Przepraszam.*

*Postaram się przekazać ten list rzeźnikowi węży. Jeśli coś mi się stanie, on Ci go da.*

*Najtrudniej mi się rozstać właśnie z Tobą.*

*Czas spędzony w więzy ciśnień to najszczęśliwsze chwile mojego życia.*

*Jeśli Twój najmłodszy syn się przewróci, będzie miał zły sen albo kiedy zaboli go brzuch, na pewno zacznie wtedy głośno płakać. Widząc go tak zapłakanego, powiedziałbym: nie płacz, nie płacz, już dobrze.*

*A-Shan, mówię tak samo do Ciebie: nie płacz, nie płacz.*

*Nie płakałem. Naprawdę nie płakałem. Dlatego, A-Shan, nie płacz.*

*Lekkoduch*

## POLICJA UJĘŁA HOMOSEKSUALNĄ PARĘ PRZESTĘPCÓW

Gruby właściciel i chudy właściciel zostali złapani. Trwały poszukiwania Lekkoducha.

Gdzie się może ukryć taki dryblas?

Nie w sadzie karambolowym. Nie w stawie rybnym. Nie w gaju bambusowym. Policja przeszukała wszystkie wiejskie chaty, ale nie znalazła Lekkoducha. Służby doszły do wniosku, że był wyciek i poszukiwany wyjechał z Yongjingu.

W gazecie pojawiła się krótka informacja:

*Policja ujęła homoseksualną parę przestępców, właścicieli księgarni Jutro w Yongjingu w powiecie Changhua.*

*Księgarnia była tylko przykrywką ich prawdziwej działalności, gdyż para zajmowała się nagrywaniem i dystrybucją filmów pornograficznych, szkodząc obyczajności.*

Siły policyjne niemal opuściły już wioskę, znacznie mniej było osób zamieszkowych, życie powoli wracało do normy, rozkwitały chryzantemy, zieleniły się krzewy betelu.

Chen Tianshan zniknął.

A-Chan nie mogła nigdzie go znaleźć. W domu zalegały stosy betelu i liści betelowych, ale pod nieobecność A-Shana nikt nie ustalił

harmonogramu transportu, nikt nie wiedział, jak podliczyć konta. Wszystko leżało w beładzie.

W piwnicy rzeźnika węży A-Chan znalazła stertę książek. Czytać nie potrafiła, ale pamięć miała dobrą, nie zapomniała tego, co zobaczyła, to były książki, które kiedyś widziała w pokoju Lekkoducha. Zaczęła zadawać pytania rzeźnikowi węży, nie chciała wiedzieć, gdzie, do diabła, przepadł Lekkoduch – najlepiej, żeby zniknął na zawsze. Ale chciała wiedzieć, gdzie, do diabła, przepadł A-Shan.

Rzeźnik węży nie powiedział, gdzie, do diabła, przepadł jej mąż. Ale wiedział, gdzie, do diabła, przepadł Lekkoduch.

– Idź, spytaj. Shumei, Shuli, Shuqing, Sujie i Qiaomei. Kazałem im dostarczać jedzenie.

Pięć sióstr na zmianę dostarczało posiłki. Dziewczyny chodzące nocą po ulicy we wsi wzbudzałyby podejrzenia, dlatego chodziły za dnia ubrane tak, by się nie rzucać w oczy, miały zachować swobodny krok i spokojny wyraz twarzy niezdradzający napięcia. Pory dostarczania posiłków nie mogły być regularne, gdyż wtedy łatwo byłoby je wykryć. Potrawy nie mogły być zbyt smaczne, żeby ich zapach nie zdradził kryjówki. Czasem szły w pojedynkę, a czasem parami, jedna stała na czatach, a druga zносиła posiłek. Czasem jechały rowerem, czasem na skuterze, czasami szły pieszo, nie za wolno i nie za szybko. Siostry znały wioskę jak własną kieszeń, znały wszystkie sekretne uliczki, wiedziały, jak okrężną drogą dotrzeć do sadu karambolowego.

Lekkoduch ukrywał się w srebrzystej wieży ciśnień w sadzie karambolowym. Każdy budynek we wsi miał na dachu owalną wieżę ciśnień w srebrnym kolorze. Również na wielu plantacjach stawiano wysokie rusztowania, na których montowano wieże ciśnień, aby dzięki nim

nawadniać pola. Lekkoduch ukrywał się właśnie w takiej srebrzystej wieży ciśnień w sadzie karambolowym.

Pewnego dnia Shuli wzięła ze sobą Shuqing i obie ruszyły najpierw na wielkie targowisko, żeby zrobić zakupy, potem okrężną drogą udały się do Świątyni Mazu pod Murami Miasta, żeby się pomodlić, a następnie poszły do fabryki sosu sojowego Aromat na obiad u babci. Z fabryki wyszły tylnym wyjściem i niewielką ścieżyną dotarły do sadu karambolowego. Shuli szybko wdrapała się na wieżę ciśnień i wrzuciła tam papier toaletowy, pudełko z jedzeniem, czyste ubrania i wycinki z gazet z ostatnich dni.

O mało co nie spadła z tej wieży.

Zobaczyła tatę.

Tato był w wieży.

Tego dnia siostry musiały przygotować dwa posiłki.

Lekkoduch i A-Shan cicho rozmawiali ze sobą w wieży. Zdrętwiali im ręce i nogi, czasem mieli wrażenie, że się duszą. Trzymali się mocno za ręce.

Dopiero nocą, upewniwszy się, że na niebie nie widać księżyca, a ziemię pokrywa ciemność, odważyli się wyjść z wieży, wysrać się i wysikać, rozprostować kości.

Lekkoduch wskazał palcem ku wschodowi – na pasmo górskie w centralnej części Wyspy.

– A-Shan – odezwał się – musimy znaleźć sposób, żeby się tam dostać, w górach łatwo się ukryć. Na pewno nas nie znajdą.

A-Shan pokiwał głową.

Czytali wycinki z gazet i spoglądając w niebo, rzucali milczące bluzgi. Gruby i chudy tyle lat oszczędzali, żeby wyjechać za granicę na studia. A teraz wszystko przepadło.

Jutro pójdą.

Na drzewach jazgotały cykady, jakby o czymś ostrzegając.

Tego dnia siostry przysły do sadu karambolowego z najmłodszym bratem, by poprosić tatę, żeby wrócił do domu.

Shuli wdrapała się na wieżę i cicho zapukała.

– Tato, mama mówi... błaga cię, żebyś wrócił z nami na chwilę do domu. Jest bajzel w rozliczeniach, tylko ty się na tym znasz.

Lekkoduch i A-Shan zrozumieli. To znaczyło, że wiedzą, że przyjdą.

– A-Shan – powiedział Lekkoduch – błagam cię, idź. Jak nas obu złapią, to obie rodziny przepadną. Jak złapią tylko mnie, łatwiej będzie temu zaradzić. Nie martw się, wyjdę. Na pewno wyjdę cały i zdrowy.

Siostry pamiętały wyraz twarzy ojca, kiedy wyszedł z wieży.

Patrzył cały czas na wieżę. Zanim zszedł, spojrzął do środka wieży i coś powiedział. Jazgotanie cykad było niemiłosierne, dzieci nie słyszały słów ojca.

A-Shan zszedł i wziął syna na rękę. Dziecko położyło głowę na barkach taty i spojrzęło na szczyt wieży ciśnięć, gdzie pokazała się twarz. Wydawało mu się, że oczy ojca pocą się cały czas.

Kiedy A-Shan wrócił do domu, umył się, usiadł i zaczął porządkować książki, ustalił harmonogram dostaw na kilka dni, wykonał mnóstwo telefonów, upewnił się, że wypłaty wszystkich kierowców dotarły na konto.

Było gorąco, w podcieniu ustawiono składany okrągły stół, przy którym cała rodzina zasiadła do kolacji, A-Chan przyrządziła mnóstwo wspaniałych potraw. Nie był to jakiś bardzo ważny dzień, za dużo było tego jedzenia, jakby ku czci bogów i demonów. Ale miesiąc duchów jeszcze nie nastał. Ale już niedługo, za kilka dni bramy piekieł zostaną otwarte.

Cała rodzina spokojnie jadła, tylko najmłodszy płakał, wrzeszcząc, że chce iść do Lekkoducha.

– Złapali – powiedział sąsiad, przejeżdżając obok na rowerze – podobno złapali.

A-Chan poczuła, jakby pałeczki i miseczka, które trzymała w rękach, nagle stały się cięższe, nie mogła ich unieść, czemu ten ryż taki twardy, jak kamienie w ustach. Odłożyła więc pałeczki i miseczkę, poczuła wilgoć pod stopami, nawet się nie odważyła spojrzeć w dół. Poczowała się jak w Świątyni Mazu pod Murami Miasta, przy której rzeźnik bił świnie, a krew płynęła strumieniami. Nabrała w końcu odwagi i spojrzała w dół, zobaczyła, że jej stopy stały we krwi.

Potem Lekko ducha wypuszczono. Kilka dni później hodowca chryzantem znalazł jego ciało w jednym z kanałów irygacyjnych.

W gazecie pojawiła się krótka notka:

*Zdolny student Uniwersytetu Tajpejskiego popełnił samobójstwo z obawy przed karą za przestępstwo.*

Po wielu latach najmłodszy syn Chenów znajdzie w tym samym kanale ciało piątej siostry.

Rzeźnik węży był w posiadaniu dwóch listów.

Zgodnie z umową oba listy przekazał. Przekazał je staremu Wangowi.



## SKĄD WIEJE WIATR?

Deszcz ustał. Niebo się rozjaśniło.

Shumei ugotowała wielki gar kleiku ryżowego, zrobiła jajka sadzone, usmażyła kapustę na woku z chrupką skórą tofu, upiekła kiełbaski. Shuqing w luźnym ubraniu, jakie dostała od najstarszej siostry, nieuczesana, kucając na ziemi, jadła kleik, dawno już nie czuła się tak swobodnie. Złapała ciastko leżące na stole i ugryzła.

– A pomyśleliście – spytała, marszcząc brwi – jak to jest, że tata pojechał z Wangami do Chin sprzedawać ciastka, oni wybudowali Biały Dom, wielki biurowiec, nawet prywatny odrzutowiec mają, a nam został tylko ten rozklekotany dom.

– Bo stary Wang o wszystkim wie – odpowiedział jej ojciec, chcąc czym prędzej podmuchać na parzącą miseczkę kleiku, którą trzymała w ręce.

Shuqing, rzecz jasna, nie widziała ojca ani go nie słyszała.

Kto wejdzie na Wielki Mur, ten jest prawdziwym mężczyzną. Szybko zyskali przewagę biznesową. Owego lata w Pekinie doszło do zamieszek, A-Shan stwierdził, że w to nie wchodzi, nie inwestuje. Poszedł raz na plac, spojrzął w dal przed siebie, zdawało mu się, że widzi tysiące, dziesiątki tysięcy Lekkoduchów. Stary Wang wpadł w szal, wydał mnóstwo pieniędzy, rozdawał czerwone koperty na prawo i lewo, żeby wyrobić sobie

pozycję, jaką dzisiaj ma. Co go ta młodzież obchodzi? Biznesmen musi zarabiać.

– Mam to wszystko gdzieś, nie wchodzę w to – powiedział staremu Wangowi. – Wycofuję się. Jak tu się coś stanie, to będzie jeszcze gorzej niż kiedyś u nas.

– Gorzej? Mnie mówisz, że będzie gorzej? Twój syn nie żyje czy mój? Przyjeżdżasz tu zrobić biznes, a udajesz, jaki to jesteś przyzwoity, tyle ładnych dziewczyn, a żadnej nie pukasz. Nie myśl sobie, że nie wiem, kobiet nie ruchasz, nawet własnej żony nie ruchasz, za to mojego syna ruchałeś.

A-Shan nie wrócił już więcej do Pekinu.

Shuli, kucając na ziemi, suszyła sobie włosy, w blasku porannego słońca nie dało się ukryć siwych włosów. Shumei również kuciała, przyglądając się szczelinie w lastrykowej podłodze, gorąca para unosiła się znad trzymanej w ręku miseczki kleiku. Trzy siostry przyjrzały się sobie nawzajem, wyglądały przerażająco, w miesiącu duchów upiory latają po świecie, jeśliby teraz tak razem wyszły do ludzi, wyglądałyby jak trzy upiorzyce.

– Zjedz i pójdziemy pokłonić ojcu – powiedziała Shumei do brata.

Tianhong miał tego ranka apetyt, zjadł pięć miseczek parzącego kleiku, łąpczywie żuł chrupką skórkę tofu, tłuszcz ciekł mu po brodzie. Wczorajszej nocy w końcu usłyszał deszcz, aż zgłódniał od tego słuchania.

Na dworze wszystko było mokre, lśniaco mokre. Deszcz spłukał pył i kurz z drzew, zabłyszczały zielone liście, ziemia nabrała delikatnego zapachu błota, ptaki świergotały na powitanie dnia. Słońce powoli wspinało się po niebie, chmury rzucały złoty blask, Tianhong spojrzał na Biały Dom w oddali. Ile razy by na niego spojrzał, ciągle wydawał mu się niedorzeczny.

Po drodze spotkali wiele osób, których Tianhong nie rozpoznał.

– Przywitaj się z ciocią! – mówiły mu siostry.

– To wujenka!

– Wujka taty nie pamiętasz?

– Stryja nie poznajesz?

Kompletnie nie miał tych twarzy w archiwach swej pamięci, a twarze uśmiechały się do niego serdecznie; ludzie klepiąc go po ramieniu, pytali:

– Dawno wróciłeś?

Mógł tylko z uśmiechem kręcić albo kiwać głową. Czemu na drodze spotykają tyle postarzałych twarzy?

Przechodząc obok bambusowego gaju, całe rodzeństwo natychmiast złożyło dłonie i się pokłoniło. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiedzieli, dlaczego trzeba oddawać cześć gajowi, matka ich tak nauczyła w dzieciństwie, robili to już odruchowo, gdy mijali gaj bambusowy, za każdym razem mu się kłaniali.

Przechodząc obok fabryki sosu sojowego Aromat, popatrzyli na ubrudzony już portret wójta Chena Tianyi. Kiedy zamknięto fabrykę? Nie mogli sobie przypomnieć. Kiedy ostatni raz jedli sos sojowy Aromat? Zapomnieli.

– Shumei, prowadzisz nas okrężną drogą!

– Co, nic dziwnego, że tak długo idziemy.

– Noż cholera jasna, ej, wy z Tajpej i z zagranicy, zamknąć mi się w tej chwili. Tylko ja tu jeszcze jestem z Yongjingu, idziecie za mną.

– Pierniczysz trzy po trzy, przed chwilą trzeba było przecież skręcić w prawo! Tak to do wieczora nie dojdziemy!

– Pójdę po swojemu!

– Nie przypominam sobie, żeby to było tak daleko. Ta droga kiedyś szła tu przez... a tam! Pójdę po swojemu!

– Dobra, robimy zawody, zobaczymy, kto będzie szybciej!

Chen Tianhong nie wiedział, z którą siostrą pójść, postanowił więc, że będzie szedł sam. Przecież wiedział doskonale, którądy będzie najszybciej.

Pierwszy dotarł do sadu karambolowego. Siostry, ciężko dysząc, jedna po drugiej dotarły na miejsce i od razu zaczęły się kłócić.

Powiedziały, że prochy ojca pochowano w sadzie karambolowym.

Zapalono trociczki, ułożono owoce na talerzu. Składali ofiary, stojąc twarzą do sadu. Srebrzystej wieży ciśnięć już nie było, pozostało tylko puste, zardzewiałe rusztowanie.

Rozgarnięto liście, ułożono na ziemi stos złotych papierów i podpalono. Buchnęły płomienie, Shumei i Shuli złożyły ręce, po czym zwracając się w stronę sadu, powiedziały:

– Tato, Tianhong wrócił i przyszedł cię odwiedzić. Pobłogosław go, obdarz spokojem i pomyślnością.

Tianhong również złożył dłonie i rzekł:

– Tato, wróciłem. Pobłogosław najstarszą siostrę, drugą siostrę, trzecią siostrę i czwartą siostrę.

Chciał płakać, z trudem powstrzymał łzy.

T., wróciłem.

Słysząc było, że nadjeżdża samochód.

Do sadu karambolowego zbliżał się powoli SUV w kolorze fuksji. Shuqing z daleka rozpoznała, że to porsche, jej mąż prezenter takim jeździł. Nagle przypomniała sobie o prezenterze i przerażona, przecie całą noc nawet nie pomyślała o mężu. Spojrzała na stojące obok niej Shumei i Shuli,

usiłując sobie przypomnieć twarze ich mężów, usiłując sobie przypomnieć twarz własnego męża, ale bez powodzenia.

SUV był z każdą chwilą coraz bliżej, cała karoseria pomalowana była na jaskrawą fuksję, po bokach auto obwieszono różnobarwnymi LED-ami. Na dachu samochód miał różne złożone ozdoby, smoka, feniksa, węża, tygrysa, hipopotama, żyrafę, łuskowca, orła, które kołysały się na wszystkie strony, jakby tańczyły. Na przodzie widniał wyświetlacz z przesuwającym się napisem: „Wielki Cesarzu w Żółtej Todze, wybaw swój lud! Odkup winy wszelkiego stworzenia!”. Bez przerwy migał wykrzyknik. Auto zatrzymało się przed nimi, zwierzęta na dachu przestały tańczyć. Jaskrawe kolory SUV-a zdawały się wchłaniać barwy otoczenia, gdzie się tylko pojawił, wszystko wokół niego bladło i ciemniało, jeszcze bardziej uwydatniając pstrokaciznę pojazdu.

Po opuszczeniu szyby w oknie okazało się, że to ten Wielki Cesarz w Żółtej Todze z telewizji szczyrzył swoje białe zęby w uśmiechu, na nosie miał okulary słoneczne. Dla sióstr i brata to nie był jednak żaden Wielki Cesarz w Żółtej Todze, ale sąsiad, który miał wypożyczalnię kaset VHS na parterze, a jego hobby było zabijanie węży.

Shuli coś sobie przypomniwała. Jadąc pociągiem, widziała dużą jaskrawofioletową świątynię, na dachu której widniał napis „Wielki Cesarz w Żółtej Todze”. Shumei też sobie coś przypomniwała. Ostatnio wiele osób z grona jej znajomych zaczęło wierzyć w Wielkiego Cesarza w Żółtej Todze, słyszała, że ów Wielki Cesarz w Żółtej Todze potrafi zmusić do posłuszeństwa setki i tysiące kobr, posiada nieograniczone moce magiczne, leczy nowotwory, uśmierza ból, zapewnia narodziny syna.

Obok Wielkiego Cesarza w Żółtej Todze siedziała ich matka.

A-Chan od dawna już nie odwiedzała tego upiornego miejsca, przyrzekła sobie, że nigdy tutaj nie wróci.

Wczoraj ktoś z tego upiornego miejsca zadzwonił do tej świątyni stojącej niedaleko torów, mówiąc, że widział jej najmłodszego syna.

A-Chan, również w słonecznych okularach, wysiadła z auta. Głowę miała siwą, twarz rumianą, ubrała się w olśniewającą różową sukienkę i cała obwieszona była złotą biżuterią. Wszystkie trzy siostry i brat pobledli z przerażenia, jakby zobaczyli ducha. Co, do cholery, pomyślała sobie, duchy w miesiącu duchów, ale się wystraszyłam. Będzie trzeba ujarzmiać strachy, czy co? Od kiedy byli dziećmi, za każdym razem gdy nie mogli zasnąć, nie mieli apetytu, dostali złe oceny z klasówek, matka brała się do ujarzmiania strachów. Wystarczyło jej chociaż jedno ubranie, które ktoś często nosił, i okrągła porcelanowa miseczka pełna białego ryżu, a wtedy mogła już ujarzmiać strachy w każdym miejscu i o każdej porze. A-Chan nauczyła się tego od matki. Miseczkę ryżu zawijała w ubranie i zawiązywała, żeby ryż się nie wysypał, przesuwała potem trzy razy w dół i w górę z przodu osoby obłąkanej, trzy razy z tyłu, a następnie, trzymając miseczkę przy czole, wymawiała zaklęcie: „Prajcze niebios, Pramatko ziemi, ujarzmijcie strachy, ujarzmijcie niebiosą, ujarzmijcie ziemię, niech zapadną w głęboki sen, na wieki, na zawsze, wielkie niebiosą, wielka ziemi, niechaj uciekną potwory, niechaj przybędzie szczęście”. Na koniec szczypała dziecko za ucho – i było po ceremonii. Odwijala miseczkę ryżu i patrząc na układ ziarenek po przesunięciu, mogła poznać przeszłe i obecne wcielenia. Dziecko musiało potem spać w tym ubraniu, w które ryż był zawinięty, co zapewniało spokojny sen.

Dzisiaj uważana jest w świątyni za osobę nadprzyrodzoną, za jedno ujarzmienie strachów otrzymuje grubą czerwoną kopertę, zamówienia internetowe ma już na następny rok, wielu dystyngowanych biznesmenów i polityków wydaje ciężkie pieniądze, żeby się wepchać bez kolejki.

Siostry zaniemówiły, jeszcze przed chwilą kłóciły się jak najęte, a teraz je zatkało. A-Chan była zdziwiona, że córki tak się postarzały, sfatygowane, blade, starsze od niej. Pomyślała sobie, że jak tylko dmuchnie, to wszystkie trzy zamienią się w popiół i wiatr je rozwieje.

Tianhong miał najbardziej zmieszany wyraz twarzy. Kiedy tak patrzył na matkę, w jego oczach pojawiły się łzy, które zaraz miały wypłynąć.

Siostry i brat poczuli nagle słodko-kwaśny smak w ustach, jakby właśnie upili duży łyk soku z karamboli.

Zerwał się silny wiatr, płosząc jaskółki na drzewach. Tianhong spojrzał ku niebu. A, to nie jaskółki, jaskółki tak nie latają. To nietoperze.

Skąd wieje wiatr? Od dalekiego morza? Od dalekich gór? Dzisiaj do Yongjingu przybywał wiatr znad Morza Bałtyckiego, z wodoszczelnego pojemnika w Białym Domu, z wierzchołków drzew w karambolowym sadzie. Wiatr przynosił słowa, jedno po drugim. Słowa wiatru wpadały do uszu A-Chan, każąc jej wyjawić prawdę.

Chciała powiedzieć, że złożyła wtedy donos wcale nie z twojego powodu, najmłodszy synku. Ale dlatego, że wiedziała o A-Shanie z Lekkochemem.

Chciała powiedzieć, że sąsiad, czyli rzeźnik węży, czyli Wielki Cesarz w Żółtej Todze, to ten Okularnik, którego poznała w fabryce sosu sojowego Aromat jeszcze przed ślubem.

Chciała powiedzieć, nie jesteś głodny? Nie jesteście głodni? Kiedyś najbardziej martwiło mnie, że będziecie głodni.

Ale wiatr nie to kazał jej powiedzieć.

Z oczu najmłodszego syna popłynęły łzy.

Wiatr zawiął ponownie i napełnił jej uszy.

Usłyszała. Wyraźnie.

Wiatr kazał jej powiedzieć do syna: „Nie płacz”. Wiatry przybywające znanad Morza Bałtyckiego, z listów pożegnalnych w Białym Domu, z karambolowego sadu wszystkie powtarzały nieustannie, nie płacz, nie płacz, nie płacz.

A-Chan nabrała powietrza. Gardło jej zadrzało.

Otworzyła usta.



# POSŁOWIE

Zawsze chciałem napisać opowieść o upiorach.

Wychowałem się w Yongjingu. W tej ustronnej wiosce nie brakowało podań o demonach i zjawach. Czy to w wodzie, czy w bambusowym gaju obok pól, na niebie i na ziemi – wszędzie były upiory. Rodzice i dziadkowie straszą małe dzieci upiorami, mówią do pociech, że jak nie będą grzeczne, to zajmą się nimi złe duchy. Dzieci też lubią mówić o upiorach: pływając, przywołują upiory wodne, srając i sikając, wyobrażają sobie, że z głębi ubikacji wydostaje się ręka upiora, mówią, że przy łóżku nie wolno kłaść papierowych ani szmacianych lalek, bo w środku nocy złe duchy przenikają papier czy tkaninę i lalki zaczynają się ruszać.

Ale czym w zasadzie są upiory?

Kiedy byłem mały i głośno płakałem, siostry droczyły się ze mną, mówiąc mi, że jestem upiornym beksą. Słyszac, to beczałem jeszcze głośniejsze i piszczałem:

– Nie jestem upiorny! Nie chcę być upiorem!

Otarłem łzy. Głupie dziecko nie rozumie, co to życie i śmierć, ludzie i upiory. Przechyliłem głowę i pomyślałem, zaraz, zaraz, być upiorem to w sumie nie takie złe, przecież te upiory w tych różnych opowieściach to po prostu duchy, a duchy potrafią przenikać przez ściany, straszyć ludzi,

szczytać, są niewidzialne, mogą wchodzić w ludzkie ciała, mają wielką moc. Płacz zmienił się w śmiech, upiorny beksa chciał zostać upiorem.

Nasłuchałem się mnóstwa opowieści o upiorach, ale dopiero gdy poszedłem do wojska, doświadczyłem tak zwanej transcendencji. Obozowaliśmy wysoko w górach. Podczas gaszenia światła ja i jeszcze dwóch innych kolegów z jednostki zaobserwowaliśmy, i to jednocześnie, zjawisko, które trudno mi opisać. W sumie cała nasza trójka niczego nie widziała, ale w ciągu krótkiej, kilkusekundowej chwili wyraźnie poczuliśmy w pomieszczeniu „czyjaś” obecność. Dziwne, ale wcale się wtedy nie bałem, przypomniało mi się nawet *Tańcz, tańcz, tańcz* Murakamiego. Narrator powieści mieszka w jednym pokoju z Gotandą, który jest sławnym aktorem i bożyszczem tłumów, a jak się upije, rozmaite ciemne byty wkradają się do mieszkania, wydalając lekki zwierzęcy smród.

Następnego dnia skoro świt poszedłem złożyć „raport”, starając się wyjaśnić to transcendentne doznanie w sposób jak najbardziej naukowy i logiczny. Rozumowanie przyczynowo--skutkowe zawiodło, za pomocą żadnej teorii nie byłem w stanie wytłumaczyć niezrozumiałego bytu, który nawiedził nas minionej nocy.

Niczego nie widziałem, tylko „poczułem” to „coś”. Czy to był ten tak zwany „upiór”? Czy magicznie pojawiający się na scenie zamordowany król ojciec w *Hamlecie* to upiór? Czy panna Du z *Peoniowego pawilonu*<sup>92</sup> to upiór?

Czy dopiero po śmierci można stać się upiorem? Czy za życia nie ma takiej możliwości?

Po napisaniu *Upiornego miejsca* wciąż nie potrafię sobie wyraźnie wyobrazić upiorów, nie potrafię ich zdefiniować, mam mnóstwo znaków zapytania. To właśnie te znaki zapytania skłoniły mnie, bym napisał książkę, bo nie było innego rozwiązania, tylko książka przybliżyła do znaków

zapytania. Przypomina mi się zawsze ten sławny cytat z Williama Faulknera: „Przeszłość nigdy nie umiera. Właściwie nawet nie mija<sup>93</sup>. (*The past is never dead. It's not even past*)”.

Pamięć, ból, chciałoby się wszystko pogrzebać, zasłonić, ale przeszłość jest jak cień, dawne sprawy podążają za nami, gdzie jest przeszłość, tam też są demony, upiory są wszędzie między ludźmi, może ty i ja też jesteśmy upiorami.

Zawsze chciałem napisać opowieść o płaczu.

Byłem upiornym beksą, dziewiątym dzieckiem w rodzinie, płakałem głodny, płakałem najedzony, płakałem przed snem, płakałem po przebudzeniu, siedem siostr na zmianę próbowało uciszyć tego słodkiego szkraba, ale gęba mi się nie zamykała. Jak już nauczyłem się czytać, płakałem nad książką, płakałem nad gazetą, płakałem, oglądając telewizję, płakałem, słuchając radia, płakałem, kiedy coś mi się przyśniło.

W dorosłym życiu płaczę przy filmach, płaczę w tłumie, płaczę w samotności, płaczę nad powieścią, płaczę nad esejem, płaczę nad poezją.

Żeby napisać o Morzu Bałtyckim, pewnego zimowego dnia w lutym odwiedziłem leżące na wybrzeżu miasteczko Laboe. Na mroźnej plaży nie było nikogo, wielki okręt podwodny na brzegu wyglądał jak wieloryb, którego morze wyrzuciło na ląd. Pod tym metalowym wielorybem zobaczyłem mężczyznę, który głośno płakał, chował głowę w piasek i uderzał pięściami w ziemię. Na tafli morza pływało mnóstwo śnieżnobiałych dzikich łabędzi.

Usiadłem na zmrożonym piachu, słuchając morza, wiatru i płaczu mężczyzny.

Zawsze chciałem napisać opowieść o hipopotamie.

Kiedy byłem mały, na drodze do szkoły spotykałem czasem kobietę, którą wszyscy nazywali „wariatką”. Nosiła długie włosy związane w kok,

ubrana była niechlujnie, oczy miała rozbiegane i coś dziwnego mamrotała. W środku lata nosiła grube zimowe ubrania.

Pewnego dnia, kiedy ją spotkałem w drodze ze szkoły, wpatrywała się jak zaklęta w jakiś odległy punkt.

– Tam, obok pola, leży martwy hipopotam – powiedziała do mnie stanowczym tonem, wskazując dłonią pole ryżowe w oddali. Zobaczyłem, że ramiona ma w wielu miejscach pocięte jakimś ostrzem.

Więcej już nikt jej potem nie widział.

Jeździłem rowerem po całym Yongjingu, szukając hipopotama, szukając jej.

Zawsze chciałem napisać opowieść o Yongjingu.

W roku 2018 odbyły się wybory na burmistrzów miast wydzielonych i starostów, a równocześnie rozgorzało homofobiczne referendum<sup>94</sup>. Wróciłem z Berlina do Yongjingu na wybory, w domu rodziców spędziłem tylko jedną noc. Jestem yongjińczykiem, ale nie mam już w Yongjingu „domu”. Urodziłem się przy uliczce Bade w Yongjingu, dorastałem w szeregowcu przy ulicy Hulian, w gimnazjum przenieśliem się na ulicę Zhongshan, w wieku osiemnastu lat w końcu wyprowadziłem się z domu i wyjechałem na studia do Tajpej, nie zamierzając nigdy wracać. Dom w uliczce Bade, domy przy ulicach Hulian i Zhongshan wciąż istnieją, ale to nie są już moje „domy”, żaden budynek nie należy do mnie, nie znalazłbym tam biurka, przy którym mógłbym pisać.

Yongjing wyglądał jak dawniej, odpowiadał obrazom w pamięci. Wolnym pociągiem regionalnym dojechałem do dworca w Yongjingu i z tego bezludnego dworca powoli ruszyłem w kierunku domu rodziców. Zdałem sobie wtedy sprawę, że jestem dziwaczny, mało kto wtedy chodzi, ludzie jeżdżą samochodami albo skuterami, a ja ubrany w garnitur, który kupiłem w Berlinie, szedłem pieszo drogą biegnącą między polami jak

zabłąkany ufoludek. Przechodząc obok Pływalni Wiecznej Pomyślności, tam, gdzie uczyłem się pływać, postanowiłem wstąpić – i przeraziłem się. Pływalnia popadła w ruinę, nie było wody, wszystko się waliło. Usiadłem zrozpaczony na skraju wyschłego basenu, wspomnienie błękitnej wody z lat młodości zderzyło się z obrazem pleśniejącej ruiny, którą miałem przed oczami. Czy na pamięci można polegać? Czy pamięć mówi prawdę? Czy okres dzieciństwa istnieje? Czy Yongjing istnieje? Czemu chcę pisać o Yongjingu?

Nocowałem w domu u najstarszej siostry, w domu, w którym spędziłem dzieciństwo, a jednak wszystko w tych czterech ścianach wydawało mi się obce. Po kolacji wyszedłem powłóczyć się po ulicach Yongjingu. Szkoła podstawowa i księgarnia Zgromadzenie nadal istniały, w sumie dobrze, nie były to więc wytwory mojej dziecięcej wyobraźni. Przed księgarnią Zgromadzenie zatrzymał mnie jakiś chłopak z włosami związanymi w koński ogon.

– To ulotka na jutrzejsze referendum przeciw homo, prosimy o głos.

Spojrzałem na chłopaka z końskim ogonem na głowie i chciałem mu powiedzieć, że jeszcze nie tak dawno temu, za czasów opresyjnych rządów Kuomintangu, te twoje długie włosy byłyby zakazane, zmuszono by cię siłą, żebyś je ściął, uważano by cię za odszczepieńca. Teraz, kiedy mamy wolność na Wyspie, stoisz na ulicy i rozsiewasz nienawiść, wykluczasz osoby, które są inne niż ty.

– A może by pan tak nie dyskryminował innych? – powiedziałem. – To właśnie przez takich ludzi jak pan nie możemy wrócić do domu.

A do diabła. Wrócę w rodzinne strony, a może nie – po co mam się nim przejmować?

W lipcu 2018 zacząłem w Berlinie pisać *Upiorne miejsce*, skończyłem pod koniec kwietnia 2019. Nieustannie odgrzebywałem wspomnienia

z Yongjingu, ciągle chciałem uciec od tego miejsca, ale bez przerwy o nim pisałem, z początku wydawało mi się, że jak skończę pisać, to będę płakał, ale po napisaniu ostatniego zdania ani łezka nie zakręciła się w oku upiornego beksy. Wydawało mi się, że widzę, jak wszystko odpływa, schyliłem głowę, spojrzałem na siebie i oczami wyobraźni ujrzałem, że skóra i kości stają się niewyraźne i powoli znikają.

Przerażony, że naprawdę zmienię się zaraz w upiornego ducha, wysłałem szybko tekst do redakcji, położyłem się na łóżku i zasnąłem.

Sen miałem spokojny, bo wiedziałem, że w takiej chwili mogą pojawić się upiory, Yongjing pewnie zakradnie się cichcem do mojego berlińskiego mieszkania i położy się przy mnie.

---

[92](#) Utwór sceniczny autorstwa Tanga Xianzu, w którym panna Du śni o młodym inteligencie, czyli kandydacie do służby urzędniczej, i tak się w nim zakochuje, że po jakimś czasie umiera z tęsknoty za nim, ale potem jej duch pojawia się temuż młodzieńcowi, o którym śniła. W efekcie dziewczyna wraca do życia i para bierze ślub.

[93](#) Przekład własny tłumacza.

[94](#) To referendum dotyczyło wielu kwestii, w tym nawet tego, czy słowo „Tajwan” powinno występować w oficjalnej nazwie reprezentacji Wyspy podczas igrzysk olimpijskich. Pytania dotyczące kwestii homoseksualnych brzmiały następująco: Czy zgadzasz się z utrzymaniem definicji małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety? [Przyjęto]. Czy zgadzasz się na zapewnienie ochrony prawnej związkom homoseksualnym w obrębie małżeństwa? [Odrzucono]. Czy zgadzasz się na zapewnienie ochrony prawnej związkom homoseksualnym w inny sposób? [Przyjęto i wdrożono]. Czy zgadzasz się na obowiązkową edukację seksualną, w tym genderową i homoseksualną? [Odrzucono].

TYTUŁ ORYGINAŁU:

鬼地方

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Marta Stochmiałek

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Mirror Fiction Inc.

Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska

Copyright © 2019 by Kevin Chen

All rights reserved.

Polish translation edition is published by arrangement with  
MirrorFiction Inc. c/o The Greyhawk Agency Ltd., through Graal Ltd.

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova  
an imprint of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Jarek Zawadzki, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.  
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki  
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania  
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-398-9

**Grupa Wydawnictwo Kobiece | [www.WydawnictwoKobiece.pl](http://www.WydawnictwoKobiece.pl)**



Plik opracował i przygotował Woblink

